

AHMED

FINALISTA
THE MAN BOOKER
INTERNATIONAL
PRIZE 2018

SAADAWI

FRANKENSTEIN

TŁUMACZENIE
MAGDALENA
ZAWROTNA

W BAGDADZIE



AHMED SAADAWI

Frankenstein w Bagdadzie

TŁUMACZENIE Z JĘZYKA ARABSKIEGO
MAGDALENA ZAWROTNA

znak *litera
nova*

Kraków 2019



Kairos (gr.) to wyjątkowy, doskonały moment, szczęśliwe zrządzenie losu, w którym kumulują się szanse, energia i działanie, a do głosu dochodzi prawda.

Kairos to chwila, w której kształtuje się nasz świat.

To moment, którego nie możemy przeoczyć.

Seria Kairos to książki, które mówią nam coś ważnego o czasach, w których żyjemy. Niektóre są ostrzeżeniem, inne pokazują, jacy jesteśmy i dokąd zmierzamy. Powieści z różnych stron świata, pisane w różnych językach, oddające polifoniczność rzeczywistości.

Nie przegap tych książek, jeśli chcesz zrozumieć ducha naszych czasów.

W serii ukazały się:

Ulrich A. Boschwitz, *Podróżny*, tłum. Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska

Ahmed Saadawi, *Frankenstein w Bagdadzie*, tłum. Magdalena Zawrotna

Wkrótce:

Adeline Dieudonné, *Prawdziwe życie*, tłum. Beata Geppert

Spis postaci

- Abdullah** – najstarszy brat Mahmuda Sawadiego. Mieszka w Al-Amarze.
- Abu Anmar** – właściciel podupadłego hotelu Uruba w dzielnicy Batawin.
- Abu Dżuni** – służący w redakcji gazety „Haqıqıq”.
- Abu Salim** – sąsiad Hadiego i Eliszemy, mąż Umm Salim.
- Abu Zajdun** – fryzjer, niegdyś członek partii Baas. Odpowiedzialny za wysłanie Daniela na wojnę w latach osiemdziesiątych.
- Adnan Anwar** – dziennikarz gazety „Haqıqıq”.
- Ali Bahir Saidi** – znany pisarz, właściciel i redaktor naczelny gazety „Haqıqıq”.
- Aziz Egipcjanin** – właściciel kawiarni w dzielnicy Batawin, znany plotkarz.
- Daniel** – syn Eliszemy, który zaginął w czasie wojny iracko--irańskiej.
- Daniel (junior)** – wnuk Eliszemy, syn jej córki Hildy, która mieszka w Melbourne.
- Eliszema** – stara Asyryjka, wdowa; mieszka samotnie w dzielnicy Batawin.
- Faradż** – agent nieruchomości, który skupuje domy i mieszkania w Batawin.
- Farid Szawwaf** – dziennikarz gazety „Haqıqıq”.
- Hadi** – sprzedawca staroci, twórca Bezimiennego.
- Hammu** – recepcjonista w hotelu Dilszad.
- Hasib Muhammad Dżafar** – ochroniarz w hotelu Sadir Novotel, którego dusza ożywia ciało Bezimiennego.
- Hazim Abud** – fotograf, przyjaciel Mahmuda Sawadiego.
- Hilda** – jedna z córek Eliszemy, matka Daniela juniora; mieszka w Melbourne.
- Ojciec Jozjasz** – ksiądz w parafii, do której należy Eliszema.
- Luqman** – Algierczyk mieszkający w hotelu Uruba.

Mahmud Sawadi – młody dziennikarz, pracuje w gazecie „Haqıqıa”.

Modlıszka – lokalny przestępca i polityk z Al-Amary.

Matylda – córka Elıszeby, mieszka w Melbourne.

Nadir Szamoni – diakon w kościele, do którego chodzi Elıszeba.

Nahim Abdaki – przyjaciel Hadięo i jego partner w interesach.

Nawwal Wazır – olśniewająca reżyserka filmowa.

Nınus Malko – Asyryjczyk, którego rodzina pomieszkiwała w domu Elıszeby.

General Surur Muhammad Madzıd – dyrektor generalny Wydziału Inwigilacji i Ścigania.

Sultan – osobisty kierowca Saidięo.

Umm Raghad – właścicielka domu publicznego.

Umm Salım – sąsiadka Elıszeby i Hadięo, żona Abu Salıma.

Weronika Munıb – Ormianka w średnim wieku; sprząta w hotelu Uruba.

Zaid Murszıd – dziennikarz gazety „Haqıqıa”.

Zejna – prostytutka podobna do Nawwal Wazır.

RAPORT KOŃCOWY

Ściśle tajne

Specjalnie powołana komisja śledcza pod kierownictwem niżej podpisanego, złożona z przedstawicieli agend bezpieczeństwa wewnętrznego i wywiadu oraz obserwatorów w osobach członków amerykańskiego wywiadu wojskowego, w sprawie działalności Wydziału Inwigilacji i Ścigania powiązanego z dowództwem cywilnym sił koalicji międzynarodowej w Iraku, orzekła, co następuje:

A) Pod bezpośrednim naciskiem politycznym ze strony irackiej dla dobra prowadzonego aktualnie śledztwa w dniu 25 września 2005 roku wstrzymano działalność Wydziału Inwigilacji i Ścigania. Dyrektor Wydziału generał brygady Surur Muhammad Madżid i jego asystenci zostali wezwani do stawienia się przed komisją w celu ustalenia rodzaju działalności, jaką prowadzili od chwili powołania Zarządu Porządku Cywilnego w kwietniu 2003 roku do dnia wszczęcia śledztwa. Wykazano, że Wydział podejmował działania wykraczające poza jego kompetencje. Te określone zostały jako prace biurowe, archiwizacja dokumentów, gromadzenie oraz przechowywanie informacji i akt. Zamiast tego Wydział pod bezpośrednim kierownictwem generała brygady Surura zatrudniał grupę wysoko opłacanych astrologów, których praca finansowana była z budżetu państwa, nie zaś przez stronę amerykańską. Według informacji udzielonych przez generała brygady Surura ich praca polegała na tworzeniu przepowiedni zdarzeń mogących mieć związek z bezpieczeństwem państwa, mających miejsce w Bagdadzie i rejonach sąsiadujących. Nie jest jasny związek tych przepowiedni z wydarzeniami zagrażającymi bezpieczeństwu państwa oraz nieznane są praktyczne korzyści wynikające z tych przepowiedni.

B) W trakcie prac komisji ustalono, że jeden z dokumentów z siedziby Wydziału został ujawniony. Zmobilizowano wszystkich pracowników Wydziału w celu wyjaśnienia tej sprawy.

C) W drodze drobiazgowej kontroli komputerów, z których korzystano w Wydziale, odkryto materiały fotograficzne wysłane pocztą elektroniczną osobie nazwanej w kilku wiadomościach „Autorem”. Dla celów śledztwa nawiązano kontakt z tą osobą, która została następnie aresztowana w miejscu swojego pobytu w hotelu Fanar przy ulicy Abu Nuwasa. Na miejscu nie znaleziono jakichkolwiek nowych dokumentów mających związek z pracą Wydziału Inwigilacji i Ścigania.

D) Przy „Autorze” znaleziono egzemplarz napisanej przez niego książki, liczącej około dwustu stron, podzielonej na siedemnaście rozdziałów, w której wykorzystał informacje zawarte w niektórych dokumentach Wydziału Inwigilacji i Ścigania. Po przeanalizowaniu tekstu przez specjalistów orzeczono, że nie nosi on znamion przekroczenia prawa. Jednakże dla dobra śledztwa komisja nakazała konfiskatę tekstu oraz złożenie przez „Autora” pisemnego zobowiązania do nierozpowszechniania informacji zawartych w nim w żaden sposób, jak również poniechanie próby spisania historii od nowa.

Wytyczne:

A) Zaleca się usunięcie generała brygady Surura Muhammada Madżida oraz jego asystentów z Wydziału Inwigilacji i Ścigania i przywrócenie jednostce jej pierwotnej funkcji, polegającej wyłącznie na archiwizowaniu dokumentów. Zaleca się także zwolnienie osób zatrudnionych w charakterze astrologów i wróżbitów, zachowanie w tajemnicy nadużyć, których dopuściła się ta jednostka w ostatnich latach, oraz zabezpieczenie dokumentów związanych z jej działalnością.

B) Komisja stwierdziła nieprawidłowości w danych osobowych „Autora” zawartych w jego dowodzie tożsamości. W związku z powyższym zaleca się ponowne aresztowanie „Autora” i przesłuchanie go celem ustalenia prawdziwej tożsamości oraz pozyskania informacji mających związek z działalnością Wydziału Inwigilacji i Ścigania i jego pracownikami, a także określenie związku omawianej sprawy z kwestią bezpieczeństwa państwa.

Podpisał: Przewodniczący Komisji

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Stara wariatka

1

Do wybuchu doszło chwilę po odjeździe autobusu, do którego wsiadła staruszka Eliszeba, nazywana też Umm Daniel, czyli Matką Daniela. Przerażeni pasażerowie odwrócili się gwałtownie i za swoimi głowami ujrzeli szary obłok dymu unoszący się ponad parkingiem przy placu Tajaran w centrum Bagdadu. Zobaczyli mężczyzn biegnących w stronę miejsca eksplozji. Kilka samochodów wjechało w dzielący jezdnie pas zieleni, inne się zderzyły, kierowców ogarnęła panika. Słysząc było płataninę głosów, wśród nich niedające się rozróżnić krzyki ludzi i hałas dziesiątek klaksonów naraz.

Sąsiedzi staruszki powiedzą później, że do wybuchu doszło właśnie dlatego, że tego ranka opuściła ona dzielnicę Batawin i poszła, jak to miała w zwyczaju, pomodlić się do kościoła Świętego Abdisza niedaleko politechniki. Staruszka miała bowiem, jak mawiali, moc oddalania wszelkiego zła. Nie było więc nic dziwnego w tym, co zdarzyło się rano.

Eliszeba siedziała w autobusie, zamyślona i nieobecna, głucha na odgłosy gigantycznego wybuchu, do którego doszło zaledwie dwieście metrów za jej plecami. Usadowiła swoje wątłe ciało na siedzeniu przy oknie, w które patrzyła niewidzącym wzrokiem, skoncentrowana na gorzkim smaku w ustach i ciężarze uciskającym pierś od wielu dni. Gorycz w ustach to nic. Minie, gdy staruszka podczas mszy przyjmie komunię. Może i ten ciężar zelżeje nieco, a twarz jej się wreszcie rozchmurzy, kiedy

usłyszy w słuchawce głosy swoich córek i wnucząt.

Na ogół ojciec Jozjasz czekał, aż odezwie się telefon, i wołał ją, mówiąc, że to Matylda. Jeśli telefon nie dzwonił, staruszka czekała jeszcze kolejną godzinę i wtedy prosiła ojca Jozjasza, żeby tym razem to on wykręcił numer Matyldy. Taka sytuacja powtarzała się w każdą niedzielę od co najmniej dwóch lat. Wcześniej, gdy Eliszeba jeszcze korzystała z kościelnego telefonu stacjonarnego, jej kontakty z córkami były nieregularne. Ale potem Amerykanie zbombardowali centralę telefoniczną. Na kilka miesięcy połączenia się urwały i całe miasto pogrążyło się w śmiertelnej ciszy. Córkom zaczęło bardziej zależeć, by przynajmniej raz w tygodniu upewnić się, że ze staruszką wszystko w porządku. Po kilku ciężkich tygodniach jedna z japońskich organizacji praw człowieka podarowała kościołowi Świętego Abdisza i jego młodemu asyryjskiemu proboszczowi telefon satelitarny firmy Thuraya. Gdy zaś na rynku pojawiły się telefony komórkowe, ojciec Jozjasz kupił od razu jeden i odtąd rozmawiano za jego pomocą. Po mszy wierni ustawiali się w kolejce, żeby móc usłyszeć głosy swoich synów i córek, rozproszonych po różnych częściach ziemi. Zdarzało się często, że przychodzili tu też inni mieszkańcy dzielnicy Garaż al-Amana, pośrodku której stał kościół. Byli to chrześcijanie różnych odłamów oraz muzułmanie przybywający, żeby zadzwonić za darmo do swoich bliskich mieszkających za granicą. Kolejki się skończyły, gdy telefony komórkowe stały się na tyle powszechne, że większość ludzi mogła je kupić. Jednak starej Eliszecie te niedzielne rozmowy w zupełności wystarczały.

Gdy tylko weźmie w swoją pomarszczoną dłoń mały aparat telefoniczny marki Nokia, przyłoży go do ucha, a ze słuchawki dobiegną głosy ukochanych, od razu zelżeje ciężar na jej piersi i uspokoi się jej dusza. Popołudniem powróci na plac Tajaran i wszystko będzie tak spokojne, jak rankiem, gdy opuszczała to miejsce. Chodniki zostaną oczyszczone, spalone samochody usunięte, martwi przewiezieni do Wydziału Medycyny Sądowej, ranni do szpitala Al-Kindiego. Gdzieniedzie pozostaną tylko resztki potłuczonego szkła, osmolony słup wysokiego napięcia, tu mniejsza, tam większa dziura w asfalcie; reszty szczegółów słabe oko staruszki dojrzeć nie zdoła.

Msza dobiegła końca, więc Eliszeba postanowiła odczekać jeszcze godzinę.

Usiadła w sali ceremonialnej przylegającej do kościoła, a gdy kobiety rozłożyły talerze z jedzeniem, które zwyczajowo przynosiły ze sobą, zasiadła z nimi do stołu, żeby się czymkolwiek zająć. Po raz ostatni i już bez wielkiej nadziei ojciec Jozjasz wykręcił numer Matyldy. Ciągle była poza zasięgiem. Zgubiła telefon albo ukradli jej go gdzieś na ulicy czy na targowisku w Melbourne, gdzie mieszkała. Nie zapisała numeru ojca Jozjasza w telefonie. Lub coś w tym stylu. Duchowny nie rozumiał sytuacji staruszki, a mimo to próbował ją jakoś pocieszyć, gdy zaś wszyscy zaczęli się rozchodzić, diakon Nadir Szamoni zaproponował, że podrzuci Eliszebę do domu swoją starą wołgą. Kobieta przyjęła propozycję bez słowa. Nie chodziło jej o to, by usłyszeć głos Matyldy, właściwie była już do niego przyzwyczajona. Inna sprawa zajmowała ją bardziej. Tylko z córkami mogła porozmawiać o Danielu. Nikt inny nie potrafił słuchać z tak szczerym zaangażowaniem, gdy mówiła o swoim synu, którego straciła dwadzieścia lat temu. Tylko na córki mogła liczyć, na nie i Świętego Jerzego, do którego często się modliła i którego uważała za swojego osobistego świętego. Można by tu dodać jeszcze jej starego kocura Nabo, którego głównymi zajęciami były spanie i gubienie sierści. Nawet rozmowa z kobietami w kościele stawała się chłodna, kiedy Eliszeba poruszała temat swojego utraconego na wojnie syna. Wciąż te same opowieści, nic nowego. Podobnie sprawa miała się z jej starymi sąsiadkami. Niektóre z nich nie pamiętały już Daniela, choć kiedyś go znały. W końcu był tylko jednym z niezliczonych zmarłych, których w ciągu lat nagromadziło się tylu, że pamięć nie była w stanie ich pomieścić.

Z każdym kolejnym rokiem staruszka Eliszeba traciła kogoś z tych niewielu ludzi dzielających jej dziwne przekonanie, że syn, którego symboliczny grób znajdował się na cmentarzu przy kościele wschodnim, wciąż żyje. Z nikim już o tym nie rozmawiała, czekała tylko na głos Matyldy albo Hildy w telefonie. One zawsze potrafiły jej wysłuchać, niezależnie od tego, jak dziwne były jej historie. Córki rozumiały, że wspomnienie utraconego syna to jedyne, co trzyma ich matkę przy życiu. Nie było więc sensu niczego tłumaczyć. Dlaczego nie dać jej tej odrobiny radości?

Stary diakon Nadir Szamoni podjechał na ulicę Siódmą w Batawin, skąd Eliszeba miała już tylko kilka kroków do domu. Wokół było spokojnie, choć dało się dostrzec

wyraźne ślady krwawej łaźni, do której doszło przed kilkoma godzinami. Był to chyba największy wybuch, jaki zdarzył się w tej okolicy. Stary diakon w głębokim przygnębieniu i bez słowa zaparkował obok słupa wysokiego napięcia, na którym dostrzegł plamy krwi i strzępy włosów z czyjejś głowy. Ogarnął go strach. Umm Daniel, wysiadając, pożegnała go machnięciem ręki i w milczeniu ruszyła ulicą tak spokojną, że dało się słyszeć odgłos kroków staruszki na drodze usłanej żwirem i śmieciami. W głowie przygotowywała sobie, co powie kotu. Wiedziała, że gdy otworzy drzwi, natychmiast zobaczy go z uniesionym pyszczkiem, jakby pytał: „Jakie wieści?”.

Co jednak ważniejsze, układała sobie reprimendę dla swojego powiernika, Świętego Jerzego, bo przecież zeszłej nocy obiecał jej, że spełni się jedna z trzech rzeczy: albo usłyszy wreszcie radosną nowinę, albo jej dusza się uspokoi, albo zakończy się jej męka.

2

W przeciwieństwie do wielu innych Umm Salim, czyli Matka Salima, sąsiadka starej Eliszeby, wierzyła uparcie, że staruszka obdarzona jest szczególnym błogosławieństwem, a ręka Najwyższego spoczywa na jej ramieniu, gdziekolwiek kobieta się znajduje i dokądkolwiek zmierza. Umm Salim mogłaby w nieskończoność wyliczać dowody. Prawda, krytykowała ją czasem. Jej zdaniem Eliszeba nieraz zachowywała się nedorzecznie. Jednak szybko powracało uczucie szacunku i poważania. Rozpościerała przed nią ręcznie tkany dywanik ze wstążek, po lewej i prawej stronie ciała układała jej dla wygody bawełniane poduszki, potem nalewała herbaty i tak siedziały razem z kilkoma innymi sąsiadkami w cieniu podwórka. Czasem mówiła jej szczerze, choć może trochę przesadnie, że Bóg już dawno zrównałby tę dzielnicę z ziemią, gdyby nie niektórzy mieszkańcy obdarowani Jego błogosławieństwem, tacy jak Umm Daniel. Jednak te zapewnienia niewiele różniły się od dymu fajki wodnej, który białą chmurą unosił się nad nimi podczas wieczornych

pogawędek, wił się i falował, ale zaraz potem wędrował ku górze, by rozpląnąć się w powietrzu. Tu rodził się i umierał, na tym małym dziedzińcu wiekowego domu Umm Salim. Nigdy nie przekraczał jego progu, by wędrować dalej po ulicy. Tam, na zewnątrz, wielu uważało Umm Daniel za staruchę dotkniętą demencją. Miałyby o tym świadczyć fakt, że nie pamiętała imion ludzi, których znała od pół wieku. Patrzyła na nich czasem z takim zdziwieniem, jakby pierwszy raz ich tu zobaczyła. Umm Salim i inne dobroduszne kobiety zatroskane o staruszkę bywały czasem szczerze zmartwione, gdy Eliszeba dostarczała najbardziej dobitnych dowodów swojej demencji. Szczególnie gdy zaczynała opowiadać różne niestworzone historie, w które naprawdę nie sposób było uwierzyć. Inni drwili, że Umm Salim i jej przyjaciółki są takie smutne, bo oto kolejny członek ich wiernej drużyny przeszedł na stronę przeciwnika. Znaczyło to tyle, że całe ich grono znalazło się o krok bliżej tego znieawidzonego, mrocznego brzegu.

3

W szczególności dwaj mężczyźni byli przekonani, że Eliszeba nie ma żadnych nadprzyrodzonych mocy, a wręcz przeciwnie, jest beznadziejnym przykładem starej wariatki. Pierwszym z nich był Faradž, właściciel biura nieruchomości Rasul, którego okna wychodziły na ulicę Targową, położoną w centrum Batawin; drugim – Hadi, sąsiad Eliszeby, sprzedawca staroci, którego zrujnowany dom przylegał bezpośrednio do jej domu.

W ciągu kilku ostatnich lat Faradž próbował wielokrotnie, lecz bez najmniejszego sukcesu, nakłonić Eliszebę, żeby sprzedała mu swój stary dom. Odmawiała krótko, niczego nie tłumacząc. Pytał sam siebie: Po co takiej staruszce, żyjącej samotnie z jednym tylko kotem, siedmiopokojowy dom? Czemu nie zamieni go na jakiś mniejszy, ale za to jaśniejszy i bardziej przewiewny? Za zaoszczędzoną sumę mogłaby przeżyć wygodnie resztę dni, które jej jeszcze na tym świecie pozostały. Faradž nie znajdował żadnej sensownej odpowiedzi na te pytania.

Jeśli zaś chodzi o sprzedawcę staroci Hadiego, sąsiada staruszki, był to człowiek około pięćdziesiątki, o paskudnej aparycji i manierach, od którego zawsze śmierdziało alkoholem. Pewnego dnia zaproponował, by Eliszeba sprzedała mu antyki, których stopy piętrzyły się w jej domu: dwa wielkie zegary ściennie, różnych rozmiarów stoły z drewna tekowego, dywany i narzuty, statuetki wielkości dłoni przedstawiające Matkę Boską z Dzieciątkiem, niektóre gipsowe, inne z kości słoniowej. Musiało ich tam być ponad dwadzieścia, poustawianych w różnych miejscach. Do tego cała masa innych rzeczy, których Hadi nie miał czasu obejrzeć ani ocenić ich wartości. Po co jej te wszystkie rupiecie, niektóre pewnie z lat czterdziestych ubiegłego stulecia? Czemu ich nie sprzeda, choćby po to, żeby ulżyć sobie w sprzątanii? W taki mniej więcej sposób próbował ją przekonać, jednocześnie rozglądając się chciwie po pokojach. Staruszka jednak odprowadziła go do wyjścia, w żaden sposób nie wyjaśniając powodu odmowy. Wyprowadziła go na ulicę i zamknęła za nim drzwi. To był ten jeden, jedyny raz, gdy dane mu było obejrzeć mieszkanie staruszki, ale to miejsce na stałe wyryło się w jego pamięci, niczym dziwne muzeum pełne fascynujących przedmiotów.

Obaj mężczyźni nie ustawiali w wysiłkach. O ile starania Hadiego nie cieszyły się poparciem sąsiadów i znajomych, jako że generalnie nie sprawiał on wrażenia człowieka przyzwoitego, o tyle Faradž wielokrotnie próbował posłużyć się przyjaciółkami Eliszeby, by przekonać ją do swojego pomysłu. Na przykład Weronika Munib, nazywana od imienia syna Matką Andrzeja, ormiańska sąsiadka Eliszeby, która czasem pojawiała się na pogawędkach u Umm Salim, została któregoś dnia oskarżona o przyjęcie od niego łapówki. W zamian za nią miała ponoć przekonać staruszkę do wyprowadzki i zamieszkania wspólnie z nią i jej starym mężem. Faradž rozmawiał nawet z samą Umm Salim i innymi, nigdy bowiem nie stracił nadziei.

Z kolei Hadi nieustannie nękał staruszkę na ulicy, uparcie ponawiając swoją ofertę. Aż w końcu któregoś dnia dał sobie spokój, poprzestając na ostentacyjnym rzucaniu jej złowrogich spojrzeń.

Eliszeba nie tylko odrzuciła obydwie oferty, ale również zapalała do obydwu mężczyzn nienawiścią, w myślach posyłając ich do diabła. Dostrzegała w nich chciwość. Dla niej ich dusze były brudne jak stare dywany z plamami atramentu,

których nie sposób usunąć.

Do listy przeklętych można by dodać fryzjera Abu Zajduna, jednego z członków partii. To on tamtego pamiętnego dnia złapał jej syna za kark i poprowadził w nieznaną. Tak właśnie go straciła. Ale Abu Zajdun już wiele lat temu zniknął jej z oczu. Nie widywała go, nie mijala na ulicy. Nikt przy niej o nim nie wspominał. Odkąd opuścił partię, przestał brać udział w życiu dzielnicy i skupił się na swoich rozlicznych problemach zdrowotnych.

4

Gdy na placu Tajaran doszło do eksplozji, agent nieruchomości Faradz wciąż jeszcze był u siebie w domu. Trzy godziny później, około dziesiątej rano, otwierając swoje biuro Rasul przy ulicy Targowej, dostrzegł pęknięcia w grubym szkle witryny. Zaczął przeklinać i nie przestał nawet, gdy zobaczył inne okna sklepowe w pobliżu miejsca wybuchu, których szyby rozprysły się na drobne kawałki. Zauważył po drugiej stronie ulicy Abu Anmara, właściciela hotelu Uruba, ubranego w długą szatę, jak stał bezradnie na chodniku pośród odłamków szkła, które posypały się z górnych okien jego starego, podupadającego już budynku.

Faradz nie przejął się nieszczęśliwym wyrazem twarzy Abu Anmara. Nie darzył go wielką sympatią i w zasadzie nic ich nie łączyło. Można nawet powiedzieć, że stali po przeciwnych stronach barykady; istniał między nimi jakiś rodzaj rywalizacji. Abu Anmar, jak wielu właścicieli hoteli, zarabiał na robotnikach, studentach i ludziach z prowincji, którzy przyjeżdżali tu do szpitali, oraz handlarzach z różnych stron kraju. W ostatniej dekadzie, po wyjeździe Egipcjan i Sudańczyków, takie hotele jak jego działały już głównie dzięki stałym klientom, którzy traktowali je jak domy. Byli to ludzie zatrudnieni w restauracjach przy Bramie Wschodniej i ulicy Sa'adun, pracownicy zakładów obuwniczych, handlarze z targowiska Hardz i kilku małych warsztatów, kierowcy linii międzymiastowych, studenci, którym nie podobało się w akademikach. Niestety większość tych klientów zniknęła po 2003 roku i wówczas

hotele praktycznie opustoszały. W tych właśnie przygnębiających czasach na scenę wkroczył Faradž, by przejąć kilku ostatnich klientów, którzy jeszcze pozostali Abu Anmarowi i innym jemu podobnym.

Faradž wykorzystał chaos w stolicy, by położyć rękę na części okolicznych domów, których własności nie dało się ustalić. Zamienił te, które się do tego nadawały, na nieduże, tanie motele i zaczął wynajmować pokoje przyjezdnym pracownikom albo rodzinom zmuszonym do ucieczki czy to z powodu prześladowań religijnych, czy zadawnionych konfliktów plemiennych, które teraz, wraz z upadkiem reżimu, znów nabrały mocy.

Cóż mógł zrobić Abu Anmar poza ciągłym uskarżaniem się? Sam przybył tu z południa kraju w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, bez rodziny i bliskich, którzy mogliby mu pomóc w stolicy. Wcześniej przynajmniej miał oparcie w stabilności systemu. Faradża za to otaczali liczni krewni i znajomi, którzy w miarę narastania chaosu stawali się jego siłą. Mógł dzięki temu narzucać innym swój autorytet. Tak przywłaszczył sobie te wszystkie domy, choć każdy wiedział, że nie dysponuje żadnymi dokumentami potwierdzającymi ich nabycie lub choćby wydzierżawienie od państwa.

Tę rosnącą siłę Faradž mógł wykorzystać przeciwko Eliszebie. Dwukrotnie dane mu było obejrzeć jej mieszkanie i natychmiast się w nim zakochał. Dom zbudowali najprawdopodobniej iraccy Żydzi, bo utrzymany był w ich ulubionym stylu architektonicznym. Pośrodku dziedziniec otoczony dwiema kondygnacjami pokoi, z piwniczką po prawej, pod jednym z pomieszczeń wychodzących na ulicę. Dziedziniec otaczały kolumny ze żłobionego drewna, podtrzymujące sklepienie podcienia na drugim piętrze. Niezwykle pięknie komponowały się z żeliwną balustradą na zdobionych drewnianych wspornikach. Do tego dwuskrzydłowe drzwi na metalowych zawiasach i z takimiż ryglami. Okna też z drewna, wsparte na ciemnych cylindrycznych drągach, z szybami z barwionego szkła. Na ziemi subtelna mozaika z cegieł. W pokojach zaś niewielkie ceramiczne płytki ułożone w szachownicę. Kwadratowy otwór w dachu dawał widok na niebo; dawniej przykrywano go białym płótnem, które zdejmowano latem, ale teraz już go tam nie było. Mimo że dom nie wyglądał już jak za czasów świetności, to jednak wciąż był

nieźle utrzymany; wilgoć nie zaszkodziła mu tak bardzo jak innym budynkom w okolicy. Piwnicę kiedyś zalało i trzeba by było ją osuszyć, ale nie szkodzi. Większym problemem dla Faradża był jeden z pokoi na drugim piętrze – jego sufit całkiem się zapadł, a znaczna część cegieł posypała się za ścianę, tam gdzie mieścił się zrujnowany dom sprzedawcy staroci Hadiego. Łazienka na drugim piętrze też była w ruinie. Na remont i mniejsze naprawy trzeba będzie wydać majątek, ale sprawa była tego warta.

Faradž myślał sobie czasem, że wystarczyłoby mu pół godziny, by bez większego trudu pozbyć się starej chrześcijanki niemającej żadnej mocy ani wpływów. Jednak inny głos w jego głowie ostrzegał go, że już i tak porusza się na granicy prawa, co nieraz było przyczyną ludzkiego nieszczęścia. Lepiej nie posuwać się za daleko. Trzeba najpierw wy badać, co inni sądzą o tej kobiecie, żeby jej krzywda nie skierowała na niego ich gniewu. Właściwie to najlepiej poczekać, aż staruszka sama umrze. Wówczas nikt poza Faradžem nie ośmieli się zająć domu – przecież wszyscy wiedzą, jak bardzo go pragnie. Jest dla nich jasne, że to on jest przyszłym właścicielem tego miejsca, niezależnie jak długo pożyje jeszcze Eliszeba.

– Bóg da, że wszystko będzie dobrze! – krzyknął głośno do Abu Anmara, przeciągając sylaby.

Ten zaś stał, oklepując dłońmi policzki w geście oznaczającym rozpacz z powodu straty. Usłyszawszy słowa Faradża, uniósł ręce, jakby się modlił. Być może uwierzył we współczucie sąsiada. A może tak naprawdę prosił, by Bóg zabrał mu sprzed oczu tego chciwego człowieka, którego los postawił tu dziś przed nim już godzinę temu.

5

Eliszeba przepędziła kocura Nabo z kanapy w pokoju gościnnym i strzepnęła ręką pozostałą na niej sierść, choć nie była w stanie jej zobaczyć. Wiedziała, że Nabo gubi kłaczki; czuła to, głaszcząc go od czasu do czasu. Reszta domu jej nie obchodziła, ale to miejsce na kanapie było jej ulubionym – naprzeciwko wielkiego obrazu Świętego

Jerzego, po którego obydwu stronach wisiały dwa poszarzałe już mniejsze zdjęcia: jej syna Daniela i męża Tadrosa, oprawione w rzeźbione drewniane ramy. Były tam jeszcze inne obrazy, również niewielkie, przedstawiające ostatnią wieczerzę i zdjęcie Chrystusa z krzyża, oraz trzy maleńkie, wielkości dłoni, kopie średniowiecznych ikon napisanych jaskrawym atramentem – portrety świętych z różnych kościołów. Nie znała ich imion. To jej mąż je tutaj porozwieszał wiele lat temu i tak pozostały. Było ich więcej w różnych miejscach domu: w pokoju gościnnym, w jej sypialni i sypialni Daniela, w innych pustych pokojach.

Siedziała tak prawie cały wieczór, próbując zacząć na nowo swoją bezowocną rozmowę z obrazem świętego, który pomimo anielskiej twarzy nie wyglądał wcale na uduchowionego – okuty w lśniącą srebrną zbroję, na głowie miał hełm z piórami, spod którego z tyłu wystawały jasne, faliste pukle włosów. Siedział tak z włócznią skierowaną ostrzem ku górze, usadowiony na muskularnym białym koniu. Zwierzę uniosło przednie kopyta, jakby próbując uciec szczęką smoka wyłaniającego się z za rogu z zamiarem połknięcia go wraz z jeźdźcem i całym jego wojennym ekwipunkiem.

Staruszka nie potrafiła dostrzec wszystkich zdobnych szczegółów. Założyła grube okulary, które nosiła zwykle zawieszane na szyi. Mogła się teraz przyjrzeć anielsko spokojnej twarzy, na której nie dostrzegła najmniejszego śladu poruszenia: ani złości, ani smutku, ani radości, ani nawet rozmarzenia. Święty wypełniał zwyczajnie swoją misję z nabożnym oddaniem.

Eliszebie nie wystarczyło kontemplowanie oblicza jej powiernika; traktowała go jak kogoś bliskiego, jak członka rozdartej i rozproszonej rodziny. On jeden jej pozostał, nie licząc kocura Nabo i syna Daniela, którego powrotu wciąż wyczekiwała. Wielu sądziło, że żyła w samotności, podczas gdy była z nią zawsze ta trójka – te trzy duchy o mocy tak wielkiej, że nie czuła się samotna.

Była zła, bo święty nie spełnił żadnej z trzech obietnic, które na nim wymusiła w trakcie niekończących się nocy wypełnionych błaganiami i płaczem. Wiedziała, że zbliża się śmierć, że zostało jej niewiele czasu. Pragnęła otrzymać od Boga jakiś znak. Co dzieje się z jej synem? Jeśli żyje, niech wróci. Jeśli jest martwy, to niech chociaż

będzie jej dane dowiedzieć się, gdzie jest jego grób lub gdzie spoczywają jego szczątki. Chciała wypomnieć świętemu niespełnione obietnice, ale wolała poczekać, aż zapadnie noc, bo za dnia obraz był tylko obrazem – surowym, zastygłym w milczeniu. Nocą zaś jakieś niewidzialne okno otwierało się pomiędzy jej światem a tamtym. Sam Bóg przychodził do niej, przybierając postać Świętego Jerzego i przemawiając jego ustami do swojej smutnej owieczki, którą porzuciło stado i która błąka się teraz zagubiona na granicy otchłani, bliska utraty wiary.

Następnego dnia, gdy Eliszeba zjadła śniadanie i umyła naczynia, usłyszała nagle ryk amerykańskich śmigłowców Apache przelatujących nad dzielnicą. I zobaczyła swojego syna Daniela, a może tylko jej się zdawało. Zobaczyła Daniego, jak go nazywała, kiedy był dzieckiem. Wreszcie jej święty powiernik spełnił swoją obietnicę. Zawołała: „Chodź, synku, mój Dani. Chodź, mój Dani”.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kłamca

1

Żeby uczynić swoje opowiadanie ciekawszym, Hadi zawsze dodawał kilka realistycznych szczegółów. Pamiętał je dokładnie i przytaczał za każdym razem, gdy opowiadał historię, która mu się przydarzyła. Siedział w kawiarni Aziza Egipcjanina, na kanapie w rogu tuż przy witrynie, głaszcząc wąsy i długą, rozdwojoną na końcu brodę. Uderzał głośno łyżeczką zanurzoną po samo dno w filiżance herbaty. Wypił dwa łyki, nim na nowo zaczął snuć swoją opowieść. Tym razem na cześć kilku nowych gości, których zwabił Aziz, by i oni posłuchali kłamstewek Hadiego, sprzedawcy staroci.

Gośćmi byli: wychudzona niemiecka dziennikarka o wąskich ustach i blond włosach, w grubych okularach korekcyjnych na szpiczastym nosie, która siedziała na sąsiedniej kanapie w towarzystwie swojego młodego irackiego tłumacza i palestyńskiego fotografa, oraz młody dziennikarz o smagłej twarzy – Mahmud Sawadi z miasta Al-Amara na południu Iraku mieszkający obecnie w hotelu Uruba u Abu Anmara. Niemiecka dziennikarka przygotowywała film dokumentalny o pracy irackich dziennikarzy w Bagdadzie i dlatego towarzyszyła Mahmudowi przez cały dzień. Filmowała go, gdy kręcił się po ulicach, zbierając materiał, a on komentował wydarzenia i trudności, jakie napotykał. Nie była przygotowana na słuchanie długiej i skomplikowanej historii opowiedanej przez śmierzącego alkoholem zbieracza staroci z wytrzeszczem oczu, w znoszonym ubraniu upstrzonym dziurami po

papierosach. Tym bardziej że już samo spacerowanie po ulicach Bagdadu przy jej przyciągającej spojrzenia aparycji było raczej ryzykowne. Dlatego nie włączyła nawet kamery, poprzestała na słuchaniu i popijaniu herbaty. Odwracała się przy tym co jakiś czas w stronę tłumacza, który szczegółowo objaśniał jej opowieści Hadiego.

Nie wytrzymała do końca. Dzień był ciepły, wiosenny, wołała więc spędzić resztę wieczoru, oddychając czystym powietrzem na zewnątrz kawiarni. Poza tym musiała wrócić do biura prasowego w hotelu Sheraton i skopiować taśmy, które tego dnia nagrała z Mahmudem Sawadim.

Gdy wychodzili, powiedziała Sawadiemu przed pożegnaniem:

– On opowiada film... Zapożyczył swoją opowieść ze słynnego filmu z Robertem De Niro.

– Tak, wygląda na to, że ogląda dużo filmów. To znana postać w okolicy.

– To może powinien jechać do Hollywood?

Powiedziała to, śmiejąc się, a potem wsiadła do białego protona swojego tłumacza.

2

Jej wyjście nie zasmuciło Hadiego. Przecież zdarza się, że ludzie opuszczają salę kinową w połowie filmu. Nie ma w tym nic dziwnego.

– Dokąd dobrnęliśmy? – spytał Hadi, widząc Mahmuda wracającego i zajmującego swoje miejsce na przeciwległej kanapie. Niosący puste filiżanki Aziz Egipcjanin zatrzymał się i z szerokim uśmiechem na twarzy oczekiwał na dalszy ciąg historii. Przypomniiał:

– Dobrnęliśmy do wybuchu.

– Pierwszego czy drugiego? – Sprzedawca staroci wołał się upewnić.

– Pierwszego, tego na placu Tajaran – ponaglił go Mahmud w nadziei, że bard zapomni kilku szczegółów swojej opowieści albo opowie ją inaczej niż poprzednio i w ten sposób sam się ośmieszy. Tylko po to Mahmud słuchał tej historii już po raz

drugi czy trzeci.

Eksplozja była spektakularna. Hadi spojrzał na Aziza, by ten potwierdził. Hadi wybiegł z tej samej kawiarni, w której dziś siedzieli. Jadł właśnie bób z omastą, który co rano kupował na śniadanie u Alego Sajjida w lokalu obok. W biegu uderzał o ludzi uciekających przed wybuchem. Poczował, że jego nozdrza atakuje dym nadlatujący z daleka – swąd eksplozji, palonego plastiku, tapicerki samochodowej, zwęglonych ciał. Nigdy wcześniej nie czuł podobnej mieszanki zapachów i póki żyje, jej nie zapomni.

Niebo było zachmurzone i zanosilo się na rześisty deszcz. Tłum robotników ustawił się w prostej linii przed kościołem ormiańskim – okazałym budynkiem ze stożkowatymi, żebrowanymi wieżyczkami, na szczytach których stały masywne krzyże. Gapili się na pogrążoną w ciszy świątynię, paląc i gawędząc, niektórzy popijali herbatę kupioną na jednym z kramów herbacianych stojących na szerokim chodniku, przegryzając ciastkiem. Inni jedli rzepę albo bób ze stoisk rozstawionych obok. Czekali na przyjazd samochodów poszukujących robotników za dniówkę, majstrów od budowlanki i wyburzeń. W pobliżu chodnika zatrzymywały się autobusy, z których nawoływano chętnych, by udali się w stronę Karrady i politechniki. Na przeciwległym chodniku było podobnie: auta, stoiska z papierosami, słodyczami, bielizną i mnóstwem innych rzeczy. W pewnym momencie zatrzymał się samochód z napędem na cztery koła w kolorze ołowianym. Większość siedzących robotników wstała z miejsca. Samochód wyleciał w powietrze w momencie, gdy kilku ruszyło w jego stronę. Nikt nie był w stanie tego przewidzieć. Wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy. Ci, którym nic się nie stało, bo byli zbyt daleko, zorientowali się, co się dzieje, w chwili gdy zobaczyli kłęb płomieni. Niektórych osłaniały ciała innych ludzi. Jeszcze inni stali za zaparkowanymi samochodami lub też znajdowali się w bocznych uliczkach i nie zdążyli się z nich jeszcze wyłonić. Byli tam także pracownicy punktów handlowych działających w budynku blisko kościoła ormiańskiego i kierowcy samochodów nadjeżdżających z daleka. Dym pochłaniał samochody i ciała osób stłoczonych wokół nich, przeciął linię wysokiego napięcia, zabijając przy tym prawdopodobnie kilka wróbli i innych ptaków. Szkło rozprysło się wokół, drzwi domów dzielnicy Batawin zostały wyrwane z futryn, zapadły się ściany,

zachwiały dachy, nie wspominając o innych, niewidocznych jeszcze uszkodzeniach. A wszystko to w ciągu kilku sekund. Hadi obserwował całą scenę. Dźwięk eksplozji ucichł, a chmura dymu, jaką zrodził wybuch, uszła do góry, pozostawiając po sobie czarne pręgi unoszące się razem z jęzorami ognia ponad samochodami. Na chodniku pozostały rozproszone kawałki spalenizny. Szybko pojawiły się wozy policyjne. Ranni jęczeli, ciała zabitych leżały wzdłuż ulicy przytulone do siebie, spiętrzone jedne na drugich, pokryte mieszanką czerwieni i czerni.

Hadi powtórzył, że gdy dotarł na miejsce, stanął na rogu sklepu z narzędziami i przyglądał się scenie z całkowitym spokojem. Palił papierosa. Zaciągnął się, jakby chciał w ten sposób zneutralizować dziwny zapach dymu. Podobała mu się rola, jaką sobie w tej opowieści przypisał – zimnego, obojętnego obserwatora. Oczekiwał, że publiczność odbierze ją pozytywnie.

Przyjechały karetki pogotowia, zabrały rannych i zabitych, potem pojawiły się wozy strażackie, by ugasić płonące samochody, które następnie lawety marki Dodge odholowały w nieznaną stronę. Strażacy pozostali na miejscu, żeby obmyć ulicę z krwi i popiołów. Hadi obserwował tę scenę z najwyższą uwagą. Szukał wśród tego igrzyska zniszczenia pewnej rzeczy. Gdy się upewnił, że ją widzi, rzucił papierosa i ruszył śpiesznie, by podnieść swoją zdobycz, nim rwący strumień wody z węża strażackiego poniesie ją w stronę studzienki kanalizacyjnej. Zabrał znalezisko z ziemi, zawinął w płócienną chusteczkę, schował pod pachą i prędko opuścił to miejsce.

3

Nim z nieba lunęło, był już w domu. Pokonał prędko dziedziniec wyłożony luźnymi płytami, wszedł do swojego pokoju i położył płócienne zawiniątko na łóżku. Każdemu oddechowi Hadiego towarzyszył świszczący odgłos. Spojrzał na poskładane płótno i już wyciągał w jego stronę dłoń, wtem jednak zmienił zdanie. Postanowił odczekać chwilę, posłuchać pojedynczych odgłosów dudnienia deszczu, który z początku nieśmiały, teraz przyspieszył, by w końcu zmienić się w kaskadę obmywającą dom,

zaułek, ulice i plac Tajaran ze śladów wszystkich bolesnych wydarzeń, do jakich doszło w stolicy tego dnia.

Hadi wszedł do domu, choć słowo „dom” było w tym wypadku lekką przesadą. Wielu znało to miejsce bardzo dobrze, w szczególności Aziz Egipcjanin, który spędził tu swoje lata próżności, by następnie porzucić je po swoim ślubie. Tutaj, w tym domu przesiadywał razem z Hadim całymi nocami, upijając się. Czasem spotykał u niego jedną lub dwie prostytutki z ulicy Piątej i wieczór stawał się jeszcze piękniejszy. Hadi nie oszczędzał na przyjemnościach, mógł wydać na nie ostatnie pieniądze.

Dom nie należał do niego. Gwoli ścisłości, to w ogóle nie był dom. Większość ścian się zawaliła, pozostał tylko jeden pokój w głębi, przykryty zapadniętym sufitem. Pokój ten Hadi razem z przyjacielem Nahimem Abdakim przerobili przed trzema laty na swoją siedzibę.

Wielu ludzi w dzielnicy znało dawniej Hadiego i Nahima. Dwaj przyjaciele przemierzali ulice w wozie zaprzęgniętym w konia, skupując używany sprzęt, naczynia i zepsute urządzenia elektryczne. Zatrzymywali się rano przy kawiarni Aziza Egipcjanina, by zjeść śniadanie i wypić herbatę przed rozpoczęciem długiego objazdu po całej dzielnicy Batawin, a potem Abu Nuwas – leżącej po drugiej stronie ulicy Sa’adun. Następnie kierowali się wozem, którego właścicielem był Nahim Abdaki, do innych części miasta, aż docierali do Karrady. Kręcili się chwilę po jej uliczkach, a w końcu znikali.

Gdy zaczęła się okupacja i zapanował chaos, wszyscy widzieli, jak Hadi i Nahim pracowali nad renowacją tak zwanej Żydowskiej Ruiny, choć prawdę mówiąc, nie było w niej nic żydowskiego – ani świeczników, ani gwiazd Dawida, ani hebrajskich napisów. Hadi zbudował na nowo płot otaczający dom, używając do tego dokładnie tych samych materiałów, z jakich zrobiony był oryginał. Przymocował drewniane drzwi, które wcześniej przykrywała warstwa cegieł zmieszanych z gliną. Usunął kamienie z dziedzińca, odnowił jedyny nadający się do użytkowania pokój, zostawiając bez zmian wszystkie pozostałe, w połowie zrujnowane, z zapadniętymi sufitami. Na drugim piętrze, ponad pokojem Hadiego, znajdowało się pomieszczenie z jedną stojącą ścianą i oknem. Ściana mogła się w każdej chwili zawalić na kogoś,

kto akurat stałby na dziedzińcu, i pogrzebać go żywcem. Ale nigdy nie runęła.

Z czasem mieszkańcy dzielnicy przyzwyczaili się do faktu, że Hadi i Nahim stali się jej częścią. Nawet agent nieruchomości Faradz, znany z niepohamowanej żądy przejmowania domów opuszczonych przez właścicieli, nie miał nic przeciwko. Dla niego miejsce to było wciąż Żydowską Ruiną.

Skąd wzięli się ci dwaj mężczyźni? Nikt zbyt długo się nad tym nie zastanawiał, w końcu w dzielnicy roіło się od obcych. Nadciągali tu jeden po drugim przez długie dekady, tak że w końcu nikt z tutejszych nie mógł się poszczycić tym, że należy do jej pierwotnych mieszkańców. Rok czy dwa lata temu Nahim ożenił się, wynajął dom w głębi Batawin i przestał przesiadywać z Hadim, wciąż jednak pracowali razem, objeżdżając miasto konnym wozem.

Nahim przekroczył trzydziesty piąty rok życia, był młodszy od Hadiego i prawdopodobnie można by ich wziąć za ojca i syna. Tyle że nie byli do siebie podobni. Nahim miał małą głowę i wielkie uszy, czuprynę bujną, lecz szorstką niczym drucziana szczotka. Miał też gęste, prawie zrosnięte brwi. Hadi żartował sobie z niego, mówiąc, że nie straci włosów, nawet gdyby żył sto dwadzieścia lat.

Hadi przekroczył pięćdziesiątkę, choć na oko trudno było określić jego wiek – zawsze chodził nieogolony, z brodą, której końcówki rozłaziły się w dwie strony. Ciało miał wyniszczone, ale twarde i energiczne, twarz kościstą, policzki zapadnięte.

Hadi nazywał Nahima nieszczęśnikiem, bo w przeciwieństwie do niego samego tamten ani nie palił, ani nie pił alkoholu. Sprawy religijne były dla niego bardzo ważne, do dnia ślubu nie dotknął kobiety. To on „pobłogosławił” dom, w którym zamieszkali po remoncie, wieszając na jednej ze ścian w pokoju kawałek tektury w kształcie kwadratu z koranicznym Wersetem Tronu[1]. Przykleił go za pomocą gęstego kleju. Nikt nie potrafił go oderwać, chyba żeby miał go całkowicie podrzeć. Hadiego co prawda sprawy duchowe nie bardzo obchodziły, nie chciał jednak sprawiać wrażenia wroga religii czy wręcz apostaty. Nie protestował więc wobec poczynań swojego towarzysza i ucznia. Pozwolił, by werset był pierwszą rzeczą, jaka witała go każdego dnia o poranku.

Niestety Nahimowi nie było dane osiągnąć wieku, w którym mógłby sprawdzić

trwałość swojej fryzury, jaką wieszczęł mu Hadi. Na kilka miesięcy przed dniem, gdy sprzedawca staroci siedział w kawiarni Aziza, snując swoją fantastyczną opowieść przed Mahmudem Sawadim i kilkoma starszami, przed siedzibą jednej z partii religijnych w dzielnicy Karrada wybuchł samochód pułapka, zabijając kilku przechodzących tamtędy cywilów. I zabił Nahima z jego koniem, tak że ich ciała zespoliły się w jedną masę.

Po tym wydarzeniu Hadi zmienił się nie do poznania – zaczął przeklinać, złorzeczyć, rzucać kamieniami w amerykańskie samochody terenowe, wozy policji i straży miejskiej. Wdawał się w bójkę z każdym, kto tylko wspomniał przy nim imię Nahima oraz to, co się z nim stało. Spędził jakiś czas samotnie, a potem wrócił do swych dawnych zwyczajów – zaczął znów się śmiać i opowiadać niestworzone historie. Teraz jednak miał dwie twarze – dwie maski; gdy tylko zostawał sam, przybierał na nowo przygnębioną, smutną minę, z którą nikt go nie kojarzył. Zaczął pić w ciągu dnia. Zawsze miał w kieszeni ćwiartkę araku albo whisky, a smród alkoholu nigdy go nie opuszczał. Zaniedbał higienę, przestał podcinać brodę, nosił brudne ubranie.

Żeby uniknąć niepożądanego agresji Hadiego i jego ataków złości, nie poruszano nigdy tematu Nahima. Dlatego też Mahmud poznał tę historię znacznie później, z opowieści Aziza Egipcjanina.

4

– Dokąd doszliśmy? – krzyknął Hadi po szybkiej wizycie w pobliskiej toalecie.

Nadeszła leniwa odpowiedź Mahmuda:

– Do wielkiego nosa zapakowanego w płócienny worek.

– Aha, nos...

Idąc w stronę kanapy stojącej tuż przy witrynie kawiarni, Hadi zapiął rozporek, po czym usiadł, by wznowić opowieść. Zawiódł jednak nadzieje Mahmuda, który liczył na jakieś potknięcie. Przed przerwą na sikanie opowiadał o tym, że deszcz ustał, więc

wyszedł ze swojego pokoju z płóciennym workiem i skierował się w stronę podwórka. Spojrzał w niebo i zauważył, że chmury rozstępują się jak białe bawełniane kłęбки, jakby wylały z siebie naraz cały deszcz i zbierały się do odejścia. Kilka staroci i drewnianych szaf utonęło w deszczówce, co oznaczało, że nie będą się już do niczego nadawać, ale nie myślał o nich wtedy. Wszedł do drewnianej komórki, którą sobie zbudował z resztek mebli, metalowych prętów i frontów szaf, wspartej z jednej strony o samotnie stojącą ścianę. Kucnął w rogu. Wnętrze komórki w całości zajmowały ogromne nagie zwłoki mężczyzny. Z różnych miejsc poranionego ciała wyciekała lepka substancja o jasnym kolorze; krwi było tylko trochę – zakrzepłe plamy widniały na ramionach i łydkach, zaś wokół barków i szyi widać było niebieskie siniaki i zadrapania. Kolor zwłok był niejednorodny i właściwie nie do określenia. Hadi podszedł bliżej, usadowił się w pobliżu głowy. Nie było nosa. Miejsce po nim, całkowicie zniekształcone, wyglądało, jakby wygryzło je dzikie zwierzę. Hadi rozwinął kilkakrotnie złożone płócienne zawiniątko, następnie wyjął z niego rzecz, której szukał długo przez ostatnie dni, a mimo to teraz nie miał odwagi na nią spojrzeć. Wyjął świeży nos, wciąż oblepiony krwią. Następnie drżącą ręką umieścił go w czarnym zagłębieniu twarzy martwego. Pasował jak ulał, jakby już przedtem należał do tego ciała i teraz do niego powrócił.

Hadi cofnął rękę i wytarł palce o ubranie. Spojrzał na skończone dzieło z pewnym niezadowoleniem. Niemniej tutaj misja się kończyła. Chwila – jeszcze nie całkiem. Musiał przecież przyszyć nos, żeby nie odpadł.

Zwłokom brakowało tylko nosa. Tak więc kończy się jego paskudna, dziwna misja, której podjął się sam, bez niczyjej pomocy. Praca, której nie sposób usprawiedliwić ani zrozumieć, pomimo wszystkich argumentów, jakie wytoczył przed słuchającymi.

– Chciałem je przekazać do Wydziału Medycyny Sądowej. Przecież to ciało ludzkie, które oni pozostawili na ulicy, potraktowali jak śmieć. Ludzie! Przecież to jest osoba. Człowiek, na Boga!

– To nie było ciało ludzkie, ty uczyniłeś je ciałem.

– Uczyniłem je ciałem, żeby nie zmieniło się w śmieci. Żeby było szanowane, jak

inni zmarli, żeby zostało pochowane. O ludzie!

– I co się stało później?

– Komu? Mnie czy temu... Jak-mu-tam?

– Wam obydwu.

Hadi wciąż odpowiadał na pytania słuchaczy, całkowicie pochłonięty swoją historią. Dlatego ten, kto jej wcześniej nie słyszał, z trudem orientował się w biegu wydarzeń, zwłaszcza gdy jakiś inny słuchacz upierał się przy drobiazgowym sprawdzaniu wszystkich szczegółów. Na ogół więc zdroworozsądkowe zastrzeżenia odkładano na koniec, inaczej Hadi nigdy by nie skończył. Nikt też nie ingerował w jego sposób opowiadania i wątki poboczne, którym dał się ponieść, porzucając na jakiś czas zasadniczą historię.

Miał spotkać się z kimś w Karradzie, bo od wielu dni nie kupił ani nie sprzedał żadnego przedmiotu, a oszczędności zaczynały topnieć. Ten człowiek, którego tropił od pewnego czasu, mógłby stać się dla niego źródłem sporego zarobku. Był to stary mężczyzna mieszkający samotnie w swoim domu, podobnie jak Eliszeba. Jednak starszek postanowił wyemigrować do Rosji, do narzeczonej, która przekonała go, by sprzedał dom wraz z całym wyposażeniem i przyjechał spędzić z nią emeryturę. I dobrze, niech... żyją długo i szczęśliwie. Ale ten mężczyzna, ilekroć już prawie dochodziło do porozumienia, chwycił w dłoń przedmioty znajdujące się w domu – świeczniki, lampki nocne, stare odbiorniki radiowe – i ścisnął mocno, jakby się bał, że bez nich utonie. Cofał się o krok, opóźniając transakcję. Hadi nie chciał naciskać, żeby go nie wystraszyć. W takich chwilach zostawiał go i wracał dopiero po pewnym czasie. Zastawał go wówczas uśmiechniętym i na nowo chętnym, by dobić targu.

Obmył ręce po swojej potwornej zabawie z ludzkimi zwłokami, zmienił ubranie na czystsze i wyszedł na spotkanie swojego wahającego się znajomego. Bał się, że pojawi się ktoś inny, kto przekona starca do sprzedaży cennego wyposażenia mieszkania i w ten sposób zrukuje mu interes, albo że ktoś wynajmie dom wraz z umeblowaniem, kusząc starszka perspektywą zachowania własności i korzyściami płynącymi z wynajmu, podczas gdy sam będzie skrycie liczył na przejęcie domu po jego śmierci.

Do domu nie było daleko, mieścił się w jednej z uliczek za placem Andalus. Wystarczyło wsiąść do autobusu i po pięciu minutach Hadi był na miejscu. W godzinach szczytu szedł pieszo; zbierał wówczas z ulicy puszki po pepsi, innych napojach i alkoholach. Wkładał je do wielkiej płóciennej torby, żeby później sprzedać wyspecjalizowanym w tych rzeczach obwoźnym zbieraczom. Czasem też składował je w domu, worek za workiem, potem wynajmował toyotę i zawoził je do przetwórnicy aluminium mieszczącej się w Hafiz al-Qadi, niedaleko ulicy Raszid.

– A ciało? Na miłość boską, powiedz, co się z nim stało!

– Trochę cierpliwości!

Hadi dotarł do domu staruszka Amiriego i zapukał kilkakrotnie do bramy głównej, ale nikt mu nie otworzył. Być może właściciel spał albo nie było go w domu. A może już nie żył? Jego czas nadszedł, nim zdążył zobaczyć się ze swoją rosyjską narzeczoną, nim dotknął jej chudej, pomarszczonej dłoni? Hadi stał tak, pukając, aż zaczął wzbudzać zainteresowanie sąsiadów, odwrócił się więc i ruszył w drogę powrotną na ulicę Sa'adun. Wstąpił do baru w pobliżu szpitala publicznego Rahma, zjadł kebab w cieście, do tego zamówił jeszcze dwa szaszłyki na wynos.

Niebo przejaśniało już całkiem, ale teraz pojawiły się gwałtowne porywy wiatru. Raz wiał mocno, za chwilę przycichał, potem zaś zrywał się w zupełnie przeciwnym kierunku i nie chciał się uspokoić. Druciano-tekstylny parasol ulicznego sprzedawcy papierosów leżał przewrócony na ziemi, przed odfrunięciem powstrzymywała go puszka wypełniona cementem, do której był przymocowany.

Silny wiatr popychał przechodniów, utrudniając im ruchy; niektórzy wyglądali, jakby uderzała w nich jakaś niewidzialna ręka i pchała do przodu, by szli szybciej. Ci, którzy siedzieli na ławkach na zewnątrz kawiarni, pośpieszyli do środka. Uchylone nieco okna samochodów teraz szczelnie pozamykano. Z ulicy zniknęli sprzedawcy gazet i czasopism, a przy skrzyżowaniu handlujący papierosami i słodyczami powkładali towar do worków i zawiesili sobie na szyjach ze strachu, że odfrunie z wiatrem. Właściciele kapeluszy trzymali je mocno, żeby nie odsłaniać łysiny. Nie chcieli robić przedstawienia dla widzów obserwujących ich zza szyb samochodów i lokali handlowych, goniąc za uciekającymi nakryciami głowy.

Ugięły się do ziemi gałęzie palm w hotelu Sadir Novotel przy placu Andalus. Młody strażnik przy przednim dziedzińcu hotelu zapiął szczelnie wojskową kurtkę. Nie musiał stać na wietrze, ale jego drewniana kabina ulokowana w pewnej odległości od głównej bramy nie chroniła ani przed chłodem, ani przed upałem. Gdyby był policjantem albo strażnikiem miejskim stojącym w jednym z punktów kontrolnych rozstawionych na ulicach Bagdadu, rozpaliby sobie ogień w puszcze po oliwie, by się ogrzać. Pewnie osmoliłby przy tym ubranie. Ale dykcja zabraniała palenia ognia.

– Teraz będzie gadał o strażniku hotelowym...

– Cierpliwości, człowieku. Zaraz doczekasz się dalszej części.

Hadi skończył posiłek, wypił pepsi, po czym zgniótł puszkę i włożył ją do płóciennego worka. Nie miał ochoty wychodzić na taką pogodę. Spędził chwilę na przeglądaniu odpadów z restauracji. Pozbierał aluminiowe puszki, które tam znalazł. Gdy wiatr się uspokoił, Hadi wyszedł i zorientował się, że słońce zniknęło za horyzontem, niebo poszarzało, a mrok z każdą chwilą gęstniał. Umysł miał mętny. Wnet przypomniało mu się ciało, które zostawił w domu, i zakreśliło mu się od tego w głowie. Niewiele myśląc, poszedł dalej w kierunku placu Andalus. To był dziwny dzień. W restauracji słyszał, jak w telewizji mówili, że tego dnia doszło do wielu wybuchów: w dzielnicy Kazimijja, w Madinat as-Sadr, w dzielnicy Mansur i w okolicach Bramy Wschodniej. Pokazano zdjęcia rannych i ofiar w szpitalu Al-Kindiego, potem kilka ujęć z placu Tajaran przedstawiających strażaków, którzy obmywali miejsce wodą. Hadi oczekiwał, że zobaczy siebie stojącego na rogu sklepu z narzędziami z papierosem w ustach, jak kryminalista obserwujący efekty swojej zbrodni. Potem pojawił się rzecznik rządu; odpowiadał na pytania dziennikarzy, z uśmiechem mówił o tym, jak udało się pokrzyżować plany terrorystom. Bowiem zgodnie z informacjami od służb wywiadowczych członkowie Al-Kaidy i zwolennicy byłego reżimu zaplanowali na ten dzień sto ataków terrorystycznych z wykorzystaniem samochodów pułapek. Jednak dowództwo sił sojuszu i iracki aparat bezpieczeństwa skutecznie zapobiegły niemal wszystkim, z wyjątkiem jedynie piętnastu. Usłyszawszy to, właściciel restauracji w ramach komentarza zarżał długo i przeciągle. Poza tym, tego dnia zdarzyło się szesnaście wybuchów. Ostatni już po tym, jak rzecznik rządu zakończył pracę i poszedł do domu.

Hadi maszerował, zarzuciwszy na ramię worek z puszkami. Gdy znalazł się w pobliżu hotelu Sadir Novotel, nie przeszedł, jak to miał w zwyczaju, na drugą stronę ulicy, by uniknąć krzyków strażnika. Zagapił się – jego myśli krążyły wokół zwłok pod drewnianym zadaszaniem w domu, z których spokojnie sączyły się lepkie płyny. Co teraz zrobi? Misja, której z własnej inicjatywy się podjął, była skończona. Czy ma wynająć samochód, żeby odstawić zwłoki do Wydziału Medycyny Sądowej? A może wyrzucić je nocą na placu albo gdzieś na ulicy, pozostawiając dokończenie misji samochodom policyjnym?

Kilka kroków później, gdy przechodził pod wielką żelazną bramą hotelowego garażu, dotarło do niego, że znalazł się w tarapatach. I że jedynym sensownym rozwiązaniem jest wrócić szybko do domu i rozmontować ciało na nowo, przywrócić je do pierwotnego stanu – pojedynczych kawałków zwłok, które pozbierał z ulic miasta w ciągu ostatnich dni. Porozrzuca je po ulicach i placach stolicy.

W tym samym czasie strażnik hotelowy drżał z zimna. Pewnie pomyślał, że dobrze byłoby poruszać nogami, dlatego wyszedł zamaszystym krokiem z drewnianej kabiny i skierował się w stronę bramy. Chwycił dłońmi zimne pręty i wpatrywał się w oddalającą się od wejścia postać z podejrzanym workiem. Nie było potrzeby nakazywać mu, żeby sobie poszedł, już to robił.

– A szanowny pan to widział na własne oczy?

– Tak, stałem z kilkoma znajomymi po drugiej stronie ulicy. Wtedy zobaczyłem śmieciarkę zmierzającą w stronę bramy hotelu.

– Widzieliście?! Czyli wcale tego nie wymyślił, oto świadek.

Po przejściu jakichś dwudziestu metrów od bramy hotelu Hadi zauważył śmieciarkę, która mijając go, prawie się z nim zderzyła. Zmierzała w stronę bramy hotelu. Zaledwie kilka chwil później samochód wybuchł, wyrzucając go razem z workiem i kolacją w powietrze. Hadi wykonał w powietrzu salto, zdmuchnięty przez eksplozję razem z pyłem i piaskiem ulicy, a zaraz potem uderzył mocno o asfalt daleko od miejsca wybuchu. Minęła jakaś minuta, nim się zorientował, co się stało. Zobaczył kilku młodych ludzi przebiegających przez ulicę i zmierzających w jego kierunku. Wśród nich był dziennikarz Mahmud Sawadi. Pomogli mu wstać. Pył

i popiół po eksplozji zaczynały już opadać. Gdy Hadi stanął na nogi, odtrącił ich ręce i, przerażony, prędko zaczął się oddalać. Krzyczeli za nim – mógł przecież być ranny i nawet o tym nie wiedzieć. Ale on puścił się do przodu biegiem. Z całą pewnością był w szoku i nie do końca wiedział, co robi.

Zrobiło się ciemno, z dala dochodziło wycie syren policyjnych, karettek i wozów strażackich. Chmura pyłu i dymu zaczynała się rozpraszać, zmieniać w rozległą mgłę rozświetloną teraz przez reflektory samochodów. Mahmud i inni naoczni świadkowie zdarzenia czuli pod stopami kawałki szkła, małe odłamki żelaza i wiele innych rzeczy, które wybuch rozsiał po ulicy. Oddalili się, przestraszeni i wstrząśnięci, depcząc po tym wszystkim, ale niczego nie widząc.

5

Hadi szedł z trudem, ostry ból przeszywał mu ramię i kości miednicy. Od uderzenia o asfalt miał rany na czole i policzkach. Poruszał się więc wolniej niż zwykle. Kuśtykał, z trudem stawiał krok za krokiem. Widać wybuch zmaćił mu umysł, bo nawet nie pomyślał, by wziąć taksówkę do Bramy Wschodniej. W ogóle o niczym nie myślał. Szedł automatycznie, jakby ktoś uruchomił go naciśnięciem przycisku. Gdy wyczerpią się mu baterie, padnie na ziemię bez ruchu.

Mówił sobie, że nie umrze. Przeżył już wiele wybuchów. Obchodziło go tylko, że nie dostał odłamkiem. Wszelkie rany odniósł w rezultacie upadku, były więc powierzchowne.

Dotarł do domu. Na miejscu eksplozji pozostały jego płócienny worek i kupiona wcześniej kolacja. Popchnął ciężko jedno z odrzwi i wszedł do środka, zapominając zamknąć je za sobą. Patrzył na wejście do swojego pokoju w głębi podwórka i czuł, że znajduje się dalej niż zwykle. Szedł powoli po zniszczonej posadzce, mierząc wzrokiem odległość, jaka mu jeszcze została do pokonania. Bał się, że się przewróci, że umrze albo straci przytomność. Chciał tylko dotrzeć do łóżka. Wszedł do pokoju, osunął się na materac i natychmiast pograżył we śnie. A może była to śpiączka, którą

z trudem udało mu się odsunąć w czasie?

Rankiem następnego dnia usłyszał dźwięki radiowych wiadomości dochodzące prawdopodobnie z domu sąsiadów. Może to Umm Salim siedziała na ławce obok domu na wprost jego drzwi, trzymała radio w ręku i obserwowała przechodniów, jak to miała w zwyczaju?

Podniósł głowę. Zauważył na poduszce ślady śliny i plamy zaschniętej krwi z ran na głowie. W pierwszej chwili pomyślał, że to efekt popijawy, ale potem przypomniał mu się wczorajszy wieczór i wybuch, a zaraz po nim zwłoki ukryte pod zadaszeniem. Z całą pewnością do dziś rozłożyły się bardziej i zaczęły śmierdzieć. Pewnie każdy, kto przejdzie obok domu, je wyczuje.

Podniósł się z miejsca, po intensywnym blasku słońca poznał, że było blisko południa. Obmył twarz wodą z kranu znajdującego się niedaleko toalety. Gdy poruszał kończynami, czuł silny ból poranionej twarzy i wszystkich kości. Odwrócił wzrok i dostrzegł, co wydarzyło się na podwórku, kiedy go nie było. Wczorajsza burza porzuciła wszystko: niektóre szafy przewróciły się na plecy, a kawałki drewnianej szopy leżały rozsiane wokół. Nie wiadomo, gdzie podział się dach. Gdy Hadi zbliżył się trochę, odkrył, że brakowało także innych elementów. Na przykład zniknęły zwłoki.

Rozkładające się ciało ludzkie, które wczoraj udało mu się skompletować. Przecież nie rozpląnęło się w powietrzu ot tak, burza też go nie porwała. Wywrócił wszystko do góry nogami. Zaczął nawet wątpić w swoją pamięć, wszedł więc do pokoju i tam też szukał. Potem przeczesał dom na nowo, a jego serce biło coraz szybciej. Ignorował ból odzywający się w kościach. Teraz był już przerażony. Gdzie, do diabła, podziały się zwłoki? Zatrzymał się na środku podwórka, przestraszony i wstrząśnięty, spojrzał na czyste, niebieskie niebo, potem na wysokie ściany sąsiednich domów, następnie na pozostałość niskiego zadaszenia po zwalonym pokoju w domu Umm Daniel. Łysiejący, stary kot gapił się stamtąd na niego, jakby obserwował poczynania sprzedawcy staroci. Zamiauczał gardłowo. Coś mu w ten sposób powiedział, a następnie odwrócił się i zniknął za zawaloną ścianą.

– I co?

- I tyle. Koniec.
 - Jak to tyle? Co się stało z ciałem, Hadi?
 - Nie mam pojęcia.
 - Paskudna historia, opowiedz inną.
 - Nie wierzycie, wasza sprawa. Dobra, na mnie pora. Herbaty na wasz koszt.
-

[1] Jeden z wersetów koranicznej sury *Krowa (Al-Bakara)*, przywoływany przez muzułmanów w chwilach niebezpieczeństwa, a zapisany – traktowany jako amulet ochronny. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zagubiona dusza

1

W wybuchu zginął Hasib Muhammad Dżafar, pracujący od siedmiu miesięcy jako strażnik przy hotelu Sadir Novotel smagły, szczupły dwudziestojednolatek, mąż kobiety o imieniu Dua Dżabbar, mieszkający z nią i ich nowo narodzoną córką Zahrą w Sektorze 44 w Madinat as-Sadr, w domu swojej dużej rodziny. Eksplozję wywołał zamachowiec samobójca, Sudańczyk z pochodzenia, kierowca skradzionej służbom porządkowym Bagdadu śmieciarki wypełnionej materiałami wybuchowymi. Planował staranować bramę wjazdową, zatrzymać samochód w pobliżu recepcji hotelu i tam dopiero zdetonować ładunek, tak by budynek się zawalił i zginęli wszyscy, którzy się w nim znajdują. Nie udało się to z powodu ostrzału, który skierował w stronę zamachowca dzielny strażnik. Przyspieszył on detonację ładunku. Rzeczy osobiste strażnika zostały przekazane jego rodzinie – strój cywilny, para wciąż nierozpakowanych skarpetek, butelka perfum i pierwszy tom poezji As-Sajjaba wydany przez libański dom wydawniczy Awda. W trumnie złożono spalone na czarno buty, pobrudzone krwią strzępy ubrań i kilka małych, zwęglonych, porozrywanych kawałków ciała. Hasib Muhammad Dżafar zniknął zupełnie. Trumna, którą zaniecono na cmentarz w Nadżaf, była symboliczna. Młoda żona strażnika objęła ją, zanosząc się płaczem, następnie to samo zrobili jego matka, jego siostry i bracia, jego sąsiedzi. Żałobnicy przekazywali sobie z rąk do rąk oszołomioną córeczkę Hasiba, dziewczynkę o obślinionych ustach, gdy tylko osoba, która akurat trzymała nad nią

pieczę, poczuła nagły przypływ smutku.

Wyczerpani łkaniem, zasnęli potem wszyscy. Śnili o Hasibie krocącym z materiałową torbą na ramieniu, wracającym do domu. Każdy członek rodziny śnił o Hasibie. Ich sny składały się w jedność, mieszały się, jeden dopełniał drugi. Mały sen wypełniał luki w dużym śnie. Senne wątki splatały się ze sobą, tkając dla Hasiba nowe ciało, odpowiednie dla jego duszy, która wciąż unosiła się ponad głowami, poszukując wytchnienia i nie znajdując go. Gdzie jest ciało, do którego musi powrócić, by stać się pełnoprawnym mieszkańcem nicości?

Niektórzy odpływali w tym śnie daleko, jakby pchali przed sobą kłębek splątanych marzeń sennych. Dalej, niż sięgała wyobraźnia rodziny, przyjaciół, bliskich i sąsiadów razem wziętych, do miejsc, gdzie ich myśli inaczej nigdy by nie zawędrowały.

2

Hasib patrzył na śmieciarkę, a w jego głowie jedna po drugiej pojawiały się sprzeczne myśli. To tylko śmieciarka, nic więcej. Kierowca się pomylił, może stracił panowanie nad kierownicą i dlatego pojazd znalazł się naprzeciwko bramy hotelu. Może zdarzył się gdzieś jakiś wypadek drogowy, który zmusił go do zmiany kierunku jazdy. Nie, to samobójca. Stać! Stać! Strzały, potem kolejne. Nie celował w kierowcę, nie ośmieliłby się nikogo zabić. Ale taki miał obowiązek, znał dobrze rozkazy związane ze wzmocnioną ochroną hotelu. Rezydowali tu przedstawiciele służb bezpieczeństwa i bardzo ważne osoby, być może nawet z Ameryki. Miał, jak to mówią, licencję na zabijanie. W jego głowie myśli napierały na siebie z prędkością światła, palec automatycznie nacisnął spust karabinu, być może jeszcze zanim Hasib zdążył rozważyć jakieś lepsze wyjście z sytuacji. Samochód eksplodował, a Hasib Muhammad Dżafar zorientował się, że obserwuje wybuch, ale nie z pozycji, w której stał przed chwilą, pomiędzy swoją drewnianą kabiną a skonstruowaną z metalowych prostopadłych prętów główną bramą hotelu. Patrzył na ogień i dym, widział, jak metalowe odłamki tańczą w powietrzu, i czuł przy tym dziwny spokój.

Zobaczył mężczyznę z białym płóciennym workiem, którego podmuch uniósł i rzucił daleko. Widział, jak rozpryskują się szyby okien hotelowych i wielkiej witryny recepcji, a kawałki szkła mkną w stronę frontowego dziedzińca. Po chwili chmura dymu opadła, ale jeszcze pół godziny musiało minąć, nim przyjechały pogotowie i straż pożarna.

Wszystko się skończyło, a on wciąż obserwował gęstniejący mrok, który ogarniał miasto. Widział w oddali światła budynków, domów i samochodów, kilka pobliskich wiaduktów, blask z niezadaszonych stadionów młodzieżowych i rozświetlone minarety meczetów.

Widział też głęboką rzekę, spowitą mrokiem. Zapragnął dotknąć jej dłonią. Nigdy mu się to nie zdarzyło. Całe życie spędził z dala od rzeki. Przejeżdżał tylko ponad nią samochodem, oglądał ją z daleka albo w telewizji. Nigdy nie czuł jej chłodu ani nie spróbował, jak smakuje z niej woda. Zobaczył grubego mężczyznę w białej koszuli i białych spodniach, unoszącego się na wodzie twarzą do góry. Co za rozkosz. Z pewnością obserwował gwiazdy świecące jasno tej nocy, pozwalając nieść się nurtowi rzeki. Zniżył się ku niemu i spojrzał mu w oczy.

– Czemu mi się przyglądasz, chłopcze? Idź stąd. Sprawdź, co się stało z twoim ciałem.

Zobaczył w wodzie jeszcze jedno ciało, odwrócone twarzą w dół. Ono nic nie powiedziało. Płynęło tylko powoli w milczeniu.

3

Wrócił do bramy hotelu i przyjrzał się wyrwie w ziemi, jaką zostawił po sobie samochód pułapka. Rozejrzał się wokół. Dostrzegł swój posterunek, ale ciała nie było. Przeszukał wszystkie pobliskie ulice, zajrzał na plac Firdaus, poszedł w stronę placu Tahrir, zobaczył tam ptaki śpiące na odlanych z brązu elementach pomnika Wolności. Po chwili pewna myśl przyszła mu do głowy, więc skierował kroki w stronę cmentarza.

Tutaj, w Wadi as-Salam, w Nadżaf drobiazgowo przeszukał wszystkie groby. Nie znalazł nic, co pomogłoby mu wyjść z impasu. W końcu zobaczył nastolatka w czerwonej koszulce, z dwoma srebrnymi bransoletkami na nadgarstkach i ozdobną nicią na szyi. Siedział na jednym z grobowców z nogą założoną na nogę.

– Po co tu przyszedłeś? Powinieneś czuwać przy swoich zwłokach.

– Ale zniknęły...

– Jak to zniknęły? Musisz je znaleźć, albo jakiegokolwiek inne ciało. Inaczej źle się to dla ciebie skończy.

– Jak to źle się skończy?

– Nie wiem, ale zawsze tak się dzieje.

– A ty dlaczego tu jesteś?

– To mój grób. Moje ciało leży w środku. Za kilka dni nie będę już mógł sobie tak wychodzić. Moje ciało zacznie gnić i w końcu się rozłoży, będę w tym grobie uwięziony na zawsze.

Hasib zakłopotany usiadł obok chłopca. Co ma teraz zrobić? Nikt mu wcześniej nie mówił o tych sprawach. Jaka jeszcze katastrofa może go teraz czekać?

– Może wcale nie umarłeś? Może właśnie śniesz?

– Co?

– Tak, śniesz. Albo twoja dusza opuściła ciało i wyszła na spacer, ale zaraz wróci.

– Oby Bóg usłyszał twoje słowa. Nie jestem przyzwyczajony do tego stanu. Jestem wciąż młody, mam małą córkę i...

– Młody? Nie młodszy ode mnie...

Czas upływał, a on wciąż rozmawiał z chłopakiem ze srebrnymi bransoletkami na rękach. Ten co kilka chwil przypominał mu o konieczności powrotu do ciała. Być może jest mu pisane nowe życie.

– Czasami dusza opuszcza ciało. Umiera, ale Azrael^[2] nagle zmienia zdanie, naprawia swój błąd, więc dusza może powrócić. Bóg wtedy daje ciału rozkaz, by powstało. Dusza jest dla ciała jak paliwo dla samochodu, trzeba jednak jeszcze przekręcić kluczyk w stacyjce.

Spędzili kilka spokojnych, milczących chwil, potem usłyszeli płacz i zobaczyli

czarne jak atrament, walczące ze sobą psy. Wtedy chłopak ze srebrnymi bransoletami spojrzął na Hasiba z niepokojem i powiedział rozkazującym tonem:

– Idź! Sprawdź, co się stało z twoim ciałem. Zrób coś, inaczej będzie źle.

4

Hasib powrócił do hotelu i znów przeszukał wszystkie ulice. Mijały godziny. Poszedł do domu i zobaczył najbliższych pogrążonych we śnie: żonę, maleńką córkę, resztę rodziny. Tuż przed świtem wrócił na miejsce swojej śmierci. Poczuł, że miota się w błędnym kole, że jest w poważnych tarapatach. W jednym z domów w Batawin ujrzał śpiącego nagiego mężczyznę. Zbliżył się i upewnił, że ten nie żyje. Nie znał tego człowieka. Przyjrzał się jego dziwnej, brzydkiej postaci. Spojrzął w niebo – po jego zmieniającym się kolorze poznał, że zbliża się świt. Był pewien, że wzejście słońca będzie dla niego oznaczało tragedię. Nie potrafił już znaleźć w sobie siły ani chęci na kolejny obchód po ulicach i placach albo powrót na miejsce wybuchu, przed bramę hotelu. Dłonią stworzoną z pierwotnej materii dotknął poblądłych zwłok i poczuł, jak jego dusza w nie wsiąka. Najpierw zanurzył ramię, potem głowę, potem całego siebie. Poczuł ciężar tego ciała i ogarnął go spokój. Jakby się w nie ubierał. Teraz był już pewien, że ono nie miało własnej duszy. Tak jak on był duszą bez ciała.

5

Nic więc nie dzieje się bez powodu. On i to ciało byli sobie przeznaczeni. Teraz pozostało mu tylko czekać, aż bliscy tego człowieka dokończą sprawę – zabiorą go na cmentarz, przysypią piaskiem i pogrzebią – pogrzebią ich obydwu w ziemi i już nie będzie go obchodziło imię wyryte na tablicy nagrobnej.

[2] Azrael – anioł śmierci w tradycji muzułmańskiej.

Dziennikarz

1

Obudził go wybuch na placu Tajaran o godzinie siódmej trzydzieści, ale nie wstał z łóżka. Potwornie bolała go głowa i wciąż był śpiący. Ocknął się dopiero około dziesiątej, gdy zadzwoniła jego komórka. Po drugiej stronie usłyszał swojego szefa, redaktora naczelnego gazety „Haqīqa”:

– Dlaczego wciąż jesteś w łóżku?

– Aa... ja...

– Mahmud, masz wstać natychmiast i lecieć do szpitala Al-Kindiego, sfotografować rannych, porozmawiać z personelem i policją, zrozumiano?

– Tak, już idę.

– Tylko dziś! Dziś, a nie jutro, jak śpiewała Fairuz^[3], okej, Mahmud?

Wychodząc z pokoju, Mahmud zobaczył Abu Anmara, właściciela hotelu, w którym mieszkał. Mężczyzna stał na ulicy pośród odłamków szyb z hotelowych okien i załamywał ręce. Mahmud przeszedł ulicą Targową w centrum Batawin, wpadł na chwilę do kawiarni Aziza Egipcjanina, by wypić w pośpiechu filiżankę herbaty. Miał ze sobą cały sprzęt: aparat fotograficzny, mały cyfrowy dyktafon, kartki i długopisy; wszystko to spoczywało w małej skórzanej torbie przewieszanej przez ramię w taki sposób, że obijała mu się o tyłek, gdy stawiał kroki.

Dotarł na plac Tajaran i dostrzegł pozostałości wybuchu. Było pusto, na środku dziura o średnicy dwóch metrów. Spalone samochody i budki policyjne. Wyobrażał

sobie, jak wielki musiał to być wybuch, ile pozostawił po sobie zniszczenia i ofiar. Mahmud zatrzymał się na pasie zieleni dzielącym jezdnie. Wziął głęboki oddech i wyjął dyktafon. Zbliżył go do ust i włączył nagrywanie, żeby zdać relację z obserwacji, której odnotowanie uznał w tej chwili za konieczne.

– Bądź przeklęty, Hazimie Abudzie. Bądź przeklęty teraz i na wieki.

Hazim był fotografem prasowym. Teoretycznie był też jego współlokatorem na drugim piętrze hotelu Uruba, ale nie spędzał tam zbyt dużo czasu. Traktował ich pokój raczej jako stację regeneracyjną albo schron w nagłych sytuacjach. Stary brzuchaty Abu Anmar był z nim zaprzyjaźniony od lat i nie traktował go jak klienta. Być może był też wdzięczny Hazimowi za przyprowadzenie Mahmuda, który stał się czwartym stałym gościem jego podupadłego hotelu, w czasach świetności mieszczącego nieraz i siedemdziesiąt osób.

Wieczorem poprzedniego dnia Hazim nalegał, żeby się zabawili, choć nie było po temu żadnej konkretnej okazji. Zaciągnął przygnębionego przyjaciela za kołnierz do jednego z domów przy ulicy Piątej w Batawin. Mahmud, choć z początku zaniepokojony, poddał się inicjatywie przyjaciela. Wypili kilka puszek schłodzonego piwa, po czym przysiadły się do nich dwie dziewczyny o jasnej karnacji ubrane w letnie sukienki, mimo że było chłodno. Sączyli piwo przez kolejne dwie godziny. Ilekroć dziewczyna siedząca obok Mahmuda otarła się o niego, podnosząc do ust kufel z piwem albo częstując się orzeszkami, jego serce zaczynało bić tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Nigdy wcześniej nie spędzał wieczoru w taki sposób i nigdy jeszcze nie był tak blisko kobiety. Hazim zachęcał go, by pił więcej i więcej. Potem zaczął raz po raz szeptać mu na ucho:

– Jeśli ci się nie podoba, możemy wyjść w każdej chwili.

Ale Mahmud ani myślał wychodzić. Spotkanie skończyło się, gdy dziewczęta wstały i pociągnęły go za rękę. Zaprowadziły go do jednego z pokoi na drugim piętrze, a on, upojony piwem, nie stawiał oporu. Jedna z nich wyszła roześmiana po półgodzinie i usiadła, by dokończyć piwo. Druga została pełną godzinę. Gdy potem wracali z Hazimem chłodną ulicą, Mahmud zapytał:

– Dlaczego ty też z nimi nie poszedłeś?

– Jakoś im to wynagrodzę następnym razem. Ważne, że ty jesteś teraz zrelaksowany.

– Tak... Dobry z ciebie kumpel. – Mahmud uśmiechnął się zmieszany. Kręciło mu się w głowie od ilości wypitego piwa, ciało ogarnęło odrętwienie. Pulsowała w nim dziwna mieszanka uczuć i pragnień.

Dotarli do drzwi hotelu Uruba. Hazim zatrzymał się, odpalił papierosa i zaczął się bawić, wypuszczając dym przez nos. Potem spojrzął na swojego młodszego kolegę i wskazał na niego ręką, w której trzymał papierosa.

– Najważniejsze, żebyś już więcej nie wspominał przy mnie o Nawwal Wazir, okej? Niech idzie do diabła.

– Tak, niech idzie do diabła.

2

Nawwal Wazir była, jak sama twierdziła, reżyserką filmową. Miała około czterdziestki, jasną karnację, kruczoczarne włosy, pełne kształty i podwójny podbródek dodający jej twarzy wschodniej urody. Nosiła zawsze prosty, ale wyrazisty makijaż. Usta malowała ciemnoczerwoną szminką, a oczy i łuki brwiowe grubo podkreślała czernidłem. Na głowę luźno zarzucała chustę. Nosiła dwuczęściowy kostium w jednolitym kolorze i barwne plastikowe dodatki, które ciągle zmieniała. Jeśliby zapytać Mahmuda, to miał w pamięci całą listę tego rodzaju szczegółów, które tylko człowiek opętany jest w stanie zapamiętać. Ale jedną rzecz musiał ignorować – Nawwal Wazir była bliską przyjaciółką redaktora naczelnego, Alego Bahira Saidiego, słynnego dziennikarza, pisarza, przeciwnika byłego reżimu, blisko zaznajomionego ze środowiskiem polityków, w szczególności tych, którzy ostatnio często pojawiali się w telewizji.

Nawwal Wazir czasem pojawiała się w siedzibie redakcji w dzielnicy Karrada. Zwykle mijało pół godziny i wychodziła razem z naczelnym. Wsiadali do jego samochodu. Mahmud był zmuszony spotykać ją, ilekroć wchodził do gabinetu

redaktora, który od czasu do czasu wzywał go, żeby usiadł z nimi i przedyskutował jakieś sprawy. Zazwyczaj zgadzał się wtedy z pomysłami naczelnego i przystawał na jego propozycje bez dyskusji, bo obecność tej kobiety sprawiała, że czuł się niekomfortowo.

– Wiesz, że to jego *fuck buddy*? – spytał któregoś dnia jego kumpel Farid Szawwaf. Mahmud z początku uznał to za bezpodstawne oskarżenie i nawet wdał się z Faridem w sprzeczkę, ale potem przyznał przyjacielowi rację. Co w końcu mogło łączyć tę kobietę z Alim Bahirem, jeśli nie łóżko?

Potem miewał okazję siedzieć z Nawwal sam na sam w biurze redaktora, gdy Saidi się spóźniał albo w ogóle nie przychodził do redakcji. Z tych rozmów Mahmud wywnioskował, że Nawwal przygotowuje się do nakręcenia pełnometrażowego filmu fabularnego opowiadającego o zbrodniach byłego reżimu. Być może będzie to jeden z najważniejszych współczesnych filmów irackich. Saidi pomagał jej załatwić kilka spraw z tym związanych i uzyskać potrzebne pozwolenia, korzystając ze swoich kontaktów wśród polityków, w ministerstwach i różnych organizacjach. To pomogło Mahmudowi pozbyć się paskudnej wizji, którą zasiał mu w głowie Farid Szawwaf, i oczyścić dobre imię Nawwal.

Wrócił mu spokój, mógł dalej spoglądać na nią ukradkiem, śledzić szczegóły jej wyglądu, odnotowując każdą małą zmianę; wciąż też rozmawiał o niej ze swoim przyjacielem Hazimem Abudem. Co gorsza, stał się teraz ulubionym pracownikiem swojego szefa, co mogło się wiązać z tym, że ostatnio bez dyskusji wypełniał wszystkie jego polecenia: idź tam, przeprowadź taki a taki wywiad, przygotuj konferencję, zajmij się tą sprawą. Sam jeden pracował tyle, ile wszyscy jego koledzy w redakcji razem wzięci.

3

Zanim Ali Bahir Saidi zaproponował mu posadę w swoim czasopiśmie, Mahmud pracował w małej gazecie „Hadaf”. Jeszcze wcześniej, po wydarzeniach kwietnia

2003 roku, próbował sił w dziennikarstwie jako redaktor tygodnika „Sada al-Ahwar” w mieście Al-Amara, z którego pochodził. Z niejasnych powodów przeniósł się nagle do Bagdadu. Przyjechał w czasie, gdy większość ludzi stąd wyjeżdżała.

„Zostań u siebie. Przyjedziesz, jak sprawy w stolicy się uspokoją” – powiedział mu Hazim Abud podczas ich ostatniej rozmowy telefonicznej.

Jednakże sprawy w stolicy wcale nie chciały się uspokoić, przeciwnie – zaogniły się jeszcze bardziej. Mahmud nie posłuchał przyjaciela. Miał palącą potrzebę znalezienia się w Bagdadzie, a ściślej rzecz ujmując – ucieczki z Al-Amary. Hazim dopiero znacznie później dowiedział się dlaczego. Gdy Ali Bahir Saidi zadzwonił, Mahmud pracował już w gazecie „Hadaf” od kilku miesięcy. Polecił mu go jeden z jego pracowników – Farid Szawwaf. Już po kilku pierwszych spotkaniach z Saidim Mahmud wiedział, że coś go przyciąga do tego człowieka, starszego od niego o co najmniej dwadzieścia lat, choć wygląd zewnętrzny nie pozwalał z łatwością określić jego wieku. Saidi był niezwykle elegancki. Był, rzecz można, wcieleniem elegancji. Po kilku miesiącach znajomości Mahmud nie dostrzegł choćby jednego defektu w jego powierzchowności. Był też aktywny i energiczny, zawsze w ruchu, zawsze szeroko uśmiechnięty. Miał niezwykłą zdolność zapobiegania kryzysom, jakiegokolwiek by one były. Umiał je przemieniać w małe problemy, dające się przeskoczyć za jednym zamachem. A do tego jeszcze emanował pozytywną energią, zarażając nią wszystkich wokół.

Może dlatego Mahmud nie potrafił mu się sprzeciwić w sprawach zawodowych. W ciągu ostatnich dwóch lat w żadną z podejmowanych prac nie wkładał tyle wysiłku. Był permanentnie wyczerpany, ale wierzył w Saidiego i w głębi serca wiedział, że ten popchnie go we właściwym kierunku.

4

– Bądź przeklęty, Hazimie Abudzie, teraz i na wieki – powtórzył jeszcze raz do swojego dyktafonu, tym razem takim tonem, jakby recytował opowieść o śmierci

imama Husajna[4]. Gdy wchodził do szpitala Al-Kindiego, towarzyszył mu ból głowy, być może z głodu – jeszcze nic tego dnia nie jadł – a może z powodu ilości wypitego poprzedniej nocy alkoholu. Po wyjściu z burdelu nie umiał poradzić sobie ze stanem cielesnego pobudzenia, więc oddał się picciu bez umiaru. Zbliżając się do recepcji szpitala, zauważył, że napięcie wcale go nie opuściło – gapił się na tyłki pielęgniarek i salowych. Pożądał wszystkich kobiet naraz. Wyobrażał je sobie w śmiałych pozycjach i siebie na nich.

Zmęczony potarł ręką twarz. Poczł szorstkość brody i wiedział, że nie spodobałby się Alemu Bahirowi w takim stanie. Powiedziałyby mu:

– Nie możesz wzbudzać pesymizmu w osobach, które na ciebie patrzą. Musisz być pozytywny. Dziel się dobrą energią, a nie zginiesz. Ogot się, załóż świeżą koszulę, uczesz włosy. Wykorzystuj każdą okazję, by przejrzeć się w lustrze, jakiegolwiek by było – nawet w szybach samochodów, które mijasz. Bądź w tym jak kobiety, nie bądź zbyt „orientalny”.

– A co to znaczy być zbyt „orientalnym”?

– Mężczyznę orientalnego można podsumować wersem z Antary ibn Szaddada[5]: „Czy dziwi cię, o, Abla, że nie myłem się ani nie używałem wonnych olejków od dwóch lat?”.

Była to całkiem nowa teoria dla Mahmuda, nigdy wcześniej o niej nie słyżał. Ale zrobiła na nim wrażenie. Zapamiętał werset z Antary i czasem go sobie powtarzał. W jego świetle dziś był bardzo orientalny.

Z pewną trudnością udało mu się dotrzeć do poszkodowanych w porannym wybuchu na placu Tajaran. Było przy nich więcej dziennikarzy, a oprócz tego wielu fotografów i korespondentów kanałów satelitarnych. Ustawiał się za nimi i wchodził do środka, kiedy oni wchodzili. Tamci chcieli przygotować szybkie relacje, podczas gdy jemu potrzebne były spotkania i wywiady. Artykuł w tygodniku wymaga więcej szczegółów. Musiał też zdobyć zdjęcia niepublikowane nigdzie wcześniej.

Kończąc zbieranie materiałów, nie był z siebie szczególnie zadowolony. Poczł narastające zmęczenie. Kupił jednorazową maszynkę do golenia i wszedł do restauracji przy ulicy Sa’adun. Zjadł obiad, a potem przy niewielkiej publicznej

umywalce umył twarz i ręce. Wyjął plastikową maszynkę i ogolił się wśród zaciekawionych spojrzeń kelnerów i klientów restauracji. Zwilżonymi dłońmi zaczesał włosy do tyłu i wyszedł na ulicę. Po kilku krokach wyjął cyfrowy dyktafon i włączył nagrywanie:

– Więc, Rijadzie Sawadi, mój świętej pamięci ojciec, jestem tu z twojego powodu. Przez ciebie przybyłem w to miejsce, ale już jestem zmęczony. Bolą mnie stawy, nie wyspałem się. To wszystko musi się skończyć przed moimi dwudziestymi trzecimi urodzinami.

Tak naprawdę koniec był w pewnym sensie bliski, w każdym razie historia zbliżała się do punktu zwrotnego. Gdy tylko Mahmud dotarł do budynku, w którym mieściła się siedziba gazety, zajął się obróbką danych, jakie udało mu się zebrać. Skopiował zdjęcia na komputer w pokoju redaktorskim, wciąż plotkując z Faridem Szawwafem i innymi; potem stary służący podszedł do niego, mówiąc, że redaktor naczelny wzywa go do siebie.

Zastał go siedzącego samotnie. Jedną ręką za pomocą pilota zmieniał kanały w wielkim telewizorze wiszącym na ścianie naprzeciwko biurka, a drugą uniósł w powietrzu, trzymając cygaro tak, jak się trzyma długopis. Saidi chciał wiedzieć dokładnie, co Mahmud robił w ciągu dnia i jakie informacje udało mu się zdobyć. Potem zapytał o artykuły, które miał przygotować. Na jego biurku leżał już plik dokumentów. Przerzucił kilka z nich, po czym spojrzał na Mahmuda i powiedział:

– To są rzeczy, które napisali twoi koledzy w ciągu ostatniego miesiąca. Prawdę mówiąc, nic z tego nie nadaje się do publikacji.

Zapalił cygaro i intensywnie się zaciągnął, aż dym zgęstniał. Dmuchał w powietrze ze spokojem. Po chwili wrócił do rozmowy z Mahmudem, którego teraz ogarnął silny niepokój. Mężczyzna, widać, miał mu coś ważnego do powiedzenia.

– Zamierzam pozbyć się Zaida Murszida, Adnana Anwara i tej wychudzonej dziewczyny... Majsy. I powiedz swojemu przyjacielowi Faridowi Szawwafowi, żeby przestał być taki leniwy. Umie pisać, ale nie wierzy w to, co tutaj robi.

– Co mam z nim zrobić? Myślałem, że łączy was silna relacja.

– Nie chcę wchodzić z nim w dyskusję. Bardzo lubi dyskutować. Niech zacznie

wykorzystywać tę energię w pracy, a jego pozycja tutaj znacznie się polepszy. Jakoś mu to dyskretnie przekaż, sam będziesz wiedział jak. Jesteś jego przyjacielem, daj mu to do zrozumienia, ale nie bezpośrednio.

Mahmud od razu zaczął się zastanawiać, czy naprawdę wie, jak to zrobić. Nic nie przyszło mu do głowy, więc przez chwilę patrzył na swojego szefa, po czym odwrócił się w stronę telewizora, żeby posłuchać wiadomości.

– Jeszcze jedno, przyjacielu. Dużo pracujesz.

Mahmuda zdziwiły te słowa. Nie był dziś przygotowany na pochwały. Ucieszyło go, że przynajmniej on nie jest na celowniku. Dużo pracuje, no cóż – nic nowego. Przynajmniej stawiało go to dziś poza kręgiem osób, z których szef był niezadowolony.

Cygaro zgasło w ręku Saidiego, więc oparł je o krawędź ceramicznej popielniczki. Mahmud spoglądał na zegarek. Była to pora spotkania z Nawwal Wazir. A jednak kobieta nie nadchodziła. Przynajmniej Mahmud tak sądził. Przypomniały mu się niesprawiedliwe oskarżenia Farida Szawwafa. Nie zauważył, że Saidi jeszcze nie dokończył swojego ostatniego zdania. Człowiek ten uwielbiał budować dramaturgię, robiąc długie przerwy pomiędzy słowami. Znowu spojrzął na Mahmuda i powiedział:

– Jesteś oddany swojej pracy. Dlatego od jutra będziesz kierownikiem redakcji gazety „Haqiqah”.

5

Wszyscy trzej siedzieli przed nim przy drewnianym stoliku przykrytym czerwonym obrusem i dodatkowo grubą nylonową ceratą. Przed każdym stały puszka piwa Heineken, szklany kufel i talerz gotowanego bobu. On jednak zamówił butelkę napoju gazowanego. Nie udało im się namówić go do wypicia choćby jednej puszki piwa. Jego jelita jeszcze nie wróciły do formy po przygodach dnia poprzedniego. Patrzył na ich twarze, gdy się śmiali: Zaid Murszid, Adnan Anwar i Farid Szawwaf. Dwóch pierwszych Saidi postanowił wyrzucić, trzeci dostał ostrzeżenie. Sam Mahmud

natomiast awansował, został drugą najważniejszą osobą w redakcji. Jak ma im to powiedzieć, nie ryzykując, że przewrócą mu stół na głowę? Ma to zrobić teraz, zanim się upiją, żeby uchronić ich przed załamaniem nerwowym? Czy może poczekać, aż alkohol rozluźni im nerwy i łatwiej im będzie przeżyć szok?

Może lepiej by było, gdyby on też się napił? Nabraliby odwagi, żeby wreszcie to z siebie wyrzygać. Nie umiał podjąć decyzji. Czuł, że zadanie, które mu powierzono, przerasta go. W końcu przekonał sam siebie, że najlepiej będzie odłożyć to wszystko do jutra.

Śmiali się. Farid Szawwaf był podekscytowany swoim nowym projektem. Chciał wydać książkę zawierającą sto najdziwniejszych opowieści Iraku. Przyjacielu, czemu nie przyłożysz się zamiast tego do pracy, zostaw natychmiast te bzdury, pomyślał Mahmud, słuchając, jak Farid z zapalem wyjaśnia swój zamysł publikacji opowiadań i uratowania ich od zapomnienia.

– Dlaczego nie opublikujesz ich jako serii artykułów w gazecie? Potrzebujemy takich historii.

Farid zareagował na te słowa szyderstwem:

– Do gazety? Z prasą jest tak, że dziś opublikujesz, a jutro wszyscy o tym zapomną. Dla mnie to tylko sposób na zarabianie. Ja tu mówię o książce.

– To najpierw opublikuj je w gazecie, a potem zrób z nich książkę.

– Nie, one muszą być od początku pomyślane jako książka.

– No to napisz je najpierw jako książkę, a potem opublikuj jako serię w gazecie.

Zaid Murszid i Adnan Anwar zanieśli się śmiechem, więc Farid odwrócił się do nich i krzyknął głośno:

– Ten człowiek sprzedał duszę gazecie. A niech szlag trafi całą tę redakcję.

Zapał Mahmuda do kontynuowania rozmowy opadł zupełnie. Miejsce było zaciemnione, wypełnione dymem papierosowym. Roilo się tu od młodych ludzi i świecących łysiną mężczyzn z brzuchami i wąsami. Niektórzy pochodzili, jak się później dowiedział, spoza Bagdadu, być może nawet z odległych miast i prowincji. Atmosferą lokal przypominał jakąś nielegalną spelunę. Wchodziło się tutaj przez niewielką restaurację nieco oddaloną od placu Andalus i służącą tylko jako

przykrywka. Pomimo przygnębiającego wnętrza było to ulubione miejsce Farida i jego przyjaciół.

Wyszli wszyscy czterej, choć nikt się porządnie nie upił. Byli zdegustowani napojem gazowanym, który zamówił sobie Mahmud. Szli leniwym krokiem w stronę placu – stamtąd Farid miał autobus do swojego wynajmowanego mieszkania w Karradzie, a Zaid Murszid i Adnan Anwar jechali w stronę Bramy Wschodniej.

Był już późny wieczór i noc nadciągała szybko. Zatrzymali się na placu Andalus naprzeciwko hotelu Sadir Novotel. Patrzyli w lewo, skąd miały nadjechać ich autobusy. Farid miał przejść na drugą stronę ulicy, ale zamiast tego wciąż rozprawiał o swojej nienapisanej jeszcze książce. Gdyby od razu skierował się w tamtą stronę, najpewniej wyszedłby na spotkanie śmierci. W tym właśnie miejscu pomarańczowa śmieciarka wyładowana kilogramami dynamitu wykonała nagły skręt i uderzyła w bramę hotelu, co skończyło się wybuchem, jakiego ta czwórka dziennikarzy nigdy wcześniej nie oglądała.

Farid odtworzył sobie w głowie jakże prawdopodobny alternatywny scenariusz. Co by było, gdyby bez ociągania się przeszedł na drugą stronę ulicy, w miejsce oddalone o może dziesięć metrów od żelaznej bramy hotelu, gdzie zwykle wsiada do autobusu?

W chwili wybuchu wszyscy upadli na ziemię.

Podmuch pyłu i żwiru zmiotł ich w tył. Przez chwilę zdawało im się, że znaleźli się w centrum eksplozji, i minęło kilka minut, nim wróciła im świadomość. Spojrzeli na miejsce zdarzenia i odruchowo wszyscy czterej pobiegli w przeciwną stronę. Na asfalcie w pobliżu pasa zieleni zobaczyli leżące nieruchomo ciało mężczyzny. Zbliżyli się do niego, Mahmud dotknął go ręką. Ciało poruszyło się. Postawili je na nogi i wówczas Mahmud rozpoznał tego człowieka. To Hadi, sprzedawca staroci. Kłamca Hadi, jak nazywali go goście kawiarni Aziza Egipcjanina. Spojrzał na nich przerażonym wzrokiem, potem odsunął ich ręce i ruszył biegiem przed siebie, nie zważając na ich wołania. Krzyczeli, że może być ranny.

Nic więcej nie widzieli, nie wyglądało na to, że są jeszcze jakieś inne ofiary. Kierowca naładowanej materiałami wybuchowymi ciężarówki wyparował – tak sobie

mówili, obserwując pracowników hotelu, którzy wybiegli na dziedziniec. Usłyszeli wycie zbliżających się wozów policyjnych, więc postanowili oddalić się w stronę Bramy Wschodniej.

Gdy dotarli do placu Nasr, Zaid Murszid i Adnan Anwar wsiedli w autobus do Bramy Wschodniej, a Farid wybrał taksówkę. Był wzburzony, umysł miał niespokojny. Stan upojenia, w jakim opuścił sekretną knajpę, ustąpił całkowicie.

– Mogłeś już nie żyć... ale ty musiałeś jeszcze pogadać... Wygląda na to, że twoje dziwne opowieści uratowały ci życie, przyjacielu.

Mahmud powiedział to tonem Saidiego, z długimi przerwami między pełnymi dramaturgii zdaniem. Farid wybałuszył oczy, zdumiony, może dlatego, że wciąż był w szoku, a może dopiero teraz, gdy Mahmud wypowiedział to na głos, zdał sobie sprawę z tego, co mogło się stać.

Farid odjechał, a Mahmud poczuł, że ma w sobie tyle energii, że resztę drogi do hotelu Uruba może przejść pieszo. Wyjął papierosa i włożył go do ust, nie odpalając. Był dziwnie spokojny pomimo tragedii, jaka wydarzyła się na jego oczach. Nie zastanawiał się zbyt długo nad tą ewidentną sprzecznością. Powtarzał sobie po cichu jedno zdanie. W końcu ogarnął go taki zapał, że wyjął i włączył swój cyfrowy dyktafon.

– Bądź pozytywny, bądź pozytywną energią, a przeżyjesz. Bądź pozytywny, bądź pozytywną energią, a przeżyjesz.

Powtarzał te słowa jak opętany, aż w końcu się zorientował, że bateria w dyktafonie się wyczerpała.

[3] Fairuz – popularna libańska piosenkarka, znana w całym świecie arabskim.

[4] Husajn ibn Ali – wnuk Mahometa, syn jego córki Fatimy i Alego, zginął w walkach pod Karbalą. Jego śmierć uważana jest za męczeńską, w szczególności przez szyitów, którzy obchodzą pamiątkę tego wydarzenia podczas swojego święta Aszura. Uznają oni Husajna za trzeciego z imamów islamu szyickiego.

[5] Antara ibn Szaddad – słynny arabski poeta z okresu przedmuzułmańskiego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ciało

1

Zawołała do niego:

– Wstawaj, Danielu. Wstawaj, Dani. Chodź tu, synku.

Podniósł się natychmiast. Przyszedł rozkaz, o którym poprzedniej nocy na cmentarzu mówił chłopiec ze srebrnymi bransoletami. Swoim wołaniem staruszka ożywiła ten dziwny twór złożony z kawałków ciał różnych ludzi połączonych w jedną całość oraz z duszy strażnika hotelowego, który stracił własne ciało. Uratowała go od anonimowości, nadając mu imię: Daniel.

„Daniel” spojrzał w jej kierunku i zobaczył ją stojącą w wyłomie po zawalonym pokoju na drugim piętrze. Strzępy siwych włosów wyłazące spod czarnej chustki luźno okalającej drobną głowę powiewały na wietrze. Miała na sobie czarną kurtkę z postrzępionymi rękawami owiniętą szczelnie wokół talii. U jej stóp stał popielaty, liniejący kot i gapił się na niego wielkimi, przerażonymi oczami, pomiaukując bezdźwięcznie, jakby rozmawiał sam ze sobą. Zbliżała się szósta rano, było zimno, z zewnątrz dochodziły ciche głosy, codzienny rozgardiasz jeszcze się nie zaczął. Kłamca Hadi spał wciąż w swoim pokoju, cierpiąc z powodu bólu w całym ciele. Miał nie obudzić się do południa.

„Daniel” wspiął się po stercie cegieł jak po schodach, aż dotarł na dach zawalonego pokoju. Potem wszedł za staruszką i jej kotem do wnętrza domu.

W salonie przysunęła mu grzejnik, a sama zniknęła, by po chwili pojawić się

z pogniecioną białą koszulą, starą zieloną bluzą i džinsami; wszystko mocno pachniało naftaliną.

Wyjęła te ubrania ze skrzyni swojego syna Daniela, która przez te wszystkie lata ciągle stała w jego pokoju. Rzuciła mu ubrania, prosząc, by je założył. Spojrzała na niego ostatni raz i wyszła, zostawiając go samego. Nie pytała o nic; w końcu obiecała swojemu świętemu, że nie będzie zadawać zbyt wielu pytań. Mimo że przez cały ten czas nie założyła okularów, pozwalając im huśtać się na szyi, to jednak wiedziała, że ten mężczyzna nie bardzo przypomina jej syna Daniela. Nieważne, niewielu wraca takimi samymi, jakimi byli przed odejściem. Znała tyle opowieści, które mogłyby wyjaśnić zmiany w jego wyglądzie. Tyle historii kobiet doświadczonych wpływem czasu, zdruzgotanych faktem, że rysy, które tak dobrze pamiętały, zniknęły i nigdy już nie wrócą. Wierzyła, że to, co się dzieje, to cud. Cuda są zmienne. Planowała zdjąć obraz świętego ze ściany i postawić gdzieś w kącie. Umieścić go w którymś z nieodkurzanych pokoi na drugim piętrze, zapomnieć całkowicie o istnieniu świętego, ignorować jego obecność w tym domu. Pozostawić go, by śledził swoimi pięknymi oczami drobinki kurzu przedostające się do środka przez pęknięcia w szybach okien wychodzących na ulicę. Chciała, by poczuł żal, że ignorował ją przez te wszystkie lata. Czekwała na jakiś znak, że to koniec jej rozpacz. Że Bóg wraz ze swoimi świętymi na obrazach wysłuchali już wystarczająco dużo zawodzenia swojej wiernej owieczki, że dość już jej udręki.

Pozwoliła obcemu, nagiemu mężczyźnie gapić się samotnie na ściany i meble. Wstał, by przyjrzeć się obrazom: jeden przedstawiał pięćdziesięcioletniego mężczyznę z czarnymi wąsami, ubranego w zachodni garnitur. Na drugim był młody, gładko ogolony chłopak o gęstych włosach, z bokobrodami. Patrzył sennie gdzieś daleko poza obiektyw aparatu. „Daniel” zbliżył się do zdjęcia. Bez wątpienia było zrobione dwadzieścia lat temu. W szybie jego oprawy dostrzegł odbicie swojej twarzy. Zdumiało go ono przez chwilę, bo widział się po raz pierwszy. Dotknął ręką szwów na twarzy i szyi. Wydawał się brzydki. Dlaczego staruszka nie była przerażona jego brzydotą? Zwrócił oczy w stronę innego obrazu, przedstawiającego świętego wojownika na grzbiecie białego konia, z włócznią wycelowaną w gardło smoka. Przyjrzał się mu uważnie. Twarz świętego była gładka i piękna, jak u wszystkich

świętych na obrazach religijnych. Staruszka przygotowywała w głębi domu coś na śniadanie. Słyszał, jak dzwoniły naczynia, gdy się krzątała. Założył powoli przyniesiony strój. Okazało się, że pasuje idealnie. Znów spojrzął na swoje odbicie w szklanej oprawie zdjęcia Daniela Tadrosa Mosze. Zauważył, mimo że zdjęcie było czarno-białe, że tamten miał na sobie dokładnie to samo ubranie. Białą koszulę z szerokim kołnierzykiem wywiniętym nieco do góry i bluzę z dekoltem w serek. Wydawało się, nie licząc tych niewprawnych szwów na twarzy i szyi, że całkiem go przypomina. O to właśnie musiało chodzić staruszce. Biorąc pod uwagę jej słaby wzrok, można przypuszczać, że gdy wejdzie do pokoju, zobaczy tylko to, co pragnie zobaczyć. Ponownie zwrócił oczy w stronę obrazu świętego męczennika, kontemplował go w świetle dnia wpadającym do pokoju przez okno. Jego uwagę przyciągnęła wprawa, z jaką namalowane zostały fałdy jaskrawoczerwonej peleryny, która trzepotała za nim z tyłu. Był to wspaniały wizerunek przystojnego mężczyzny o delikatnych wargach, które teraz zaczynały się poruszać:

– Musisz być ostrożny. – Jego usta naprawdę się ruszały. – To stara kobieta dotknięta tragedią. Jeśli ją skrzywdzisz lub zasmucisz... Przysięgam, że zatopię włócznię w twoim gardle.

2

Daniel, albo jego nowa wersja, spał na kanapie w salonie. Staruszka okryła go grubym kocem i zostawiła w spokoju, by zająć się swoimi codziennymi obowiązkami, co zazwyczaj oznaczało sprzątanie tego, co już wcześniej posprzątała, ścieranie kurzu z mebli, obrazów i zdjęć, zmiatanie dziedzińca. Te sprawy zajmowały jej połowę dnia.

Kot znów uciekł na dach, stamtąd obserwował podwórko przed walącym się domem Hadiego, sprzedawcy staroci. Zobaczył go, jak zakłopotany mierzwi sobie włosy i rozgląda się na wszystkie strony, próbując wymyślić, gdzie mogły się podziać zwłoki, które stworzył. Może spodziewał się znaleźć je wiszące na ścianie albo

latające po błękitnym tego dnia niebie?

Hadi wyszedł z domu, mężnie znosząc ból w kościach i głowie. Zaczął obserwować ludzi na ulicy, wchodzących do domów i z nich wychodzących. Oczekiwał jakiegoś znaku, czegoś podejrzanego. Przecież nie mógł po prostu zacząć zagadywać sąsiadów: „Przepraszam, nie przechodziły tędy nagie zwłoki mężczyzny?”.

Był kłamcą, wszyscy to powtarzali. Nawet gdyby powiedział, że jadł na śniadanie jajka, potrzebowałyby dwóch naocznych świadków na potwierdzenie swoich słów. A co dopiero gdyby chodziło o chodzące zwłoki poskładane z ciał ofiar wybuchów.

Wyciągnął szyję, by spojrzeć na dach Umm Daniel i dachy sąsiednich domów. Przyszło mu do głowy, że ktoś mógł zaciągnąć tam zwłoki, ale niczego nie dostrzegł. Pootwierał skrzynie i kontenery stojące na podwórku. Szukał na ulicach, zatrzymał się u starego fryzjera Abu Zajduna, który siedział wyczerpany na białym ogrodowym krześle przed swoim zakładem. Hadi wątpił, by ten człowiek zobaczył kogokolwiek, nawet gdyby Jak-mu-tam przeszedł mu przed nosem. Stał po chwili z innymi ludźmi, żeby poplotkować. Właściciel magła Dwaj Bracia powiedział mu, że tego ranka policja zaczęła wchodzić do domów w poszukiwaniu uzbrojonych grup zajmujących się handlem kobietami za granicami Iraku. Od jednego z pracowników piekarni dowiedział się, że w którymś z hoteli w dzielnicy zatrzymali się terroryści przyjeżdżający z dalekich prowincji, policja chce ich znaleźć, więc przeszukują wszystkie hotele jeden po drugim. Usłyszał też, że dwie młode prostytutki, z którymi dawniej sypiał, wyjechały rankiem do Syrii, żeby pracować w tamtejszych domach uciechy. Widać praca tutaj przestała przynosić takie korzyści jak dawniej. Hadi dowiedział się też wielu innych rzeczy. Pół dnia spędził, nasłuchując, jednak nie usłyszał niczego o swoich zaginionych w tajemniczych okolicznościach zwłokach.

3

Umm Salim ucieszyła się, widząc Umm Daniel u rzeźnika. Zobaczyła, że kupuje

ćwierć kilo wołowiny i kilogram dobrze oczyszczonych baranich flaków, a potem kieruje się do pobliskiego warzywniaka. Miała na głowie czerwoną chustę w białe kwiaty, jak młoda dziewczyna. Porzuciła wdowie nakrycie głowy, a z nim smutek. Ciekawe: co jej się stało?

Kobiety dokończyły zakupy razem i wróciły powolnym krokiem na swoją ulicę. Umm Salim opowiadała, co wydarzyło się wczorajszego ranka, jak gigantyczny wybuch sprawił, że popękały ściany w wielu domach. Umm Daniel powiedziała jej natomiast, że w tym czasie była w kościele. Słyszała w oddali odgłos eksplozji, ale w drodze powrotnej niczego nie zauważyła. To zdaniem Umm Salim wyjaśniało całe zdarzenie i tylko umacniało ją w przekonaniu, że Umm Daniel obdarzona jest bożym błogosławieństwem.

Gdy zapytała ją o zwracającą uwagę czerwoną chustkę, Umm Daniel odpowiedziała spokojnie, patrząc na ulicę przed sobą:

- Skończył się mój smutek. Bóg wreszcie wysłuchał moich błagań.
- Chwała Bogu! Co to za nowe wieści?

Teraz już Eliszeba zaczęła bombardować swoją drogą sąsiadkę opowieściami o powrocie syna. Odkryła przed nią tajemnicę nagłego dziwnego wydarzenia. Umm Salim słuchała w milczeniu, zdumiona. Co ta kobieta plecie?

Dotarły na miejsce. Przed odejściem do swojego domu, oddalonego zaledwie o kilka kroków, Umm Salim zapytała:

- Jest teraz w domu?
- Tak, śpi, jest wykończony.

Umm Salim zacisnęła usta i przez chwilę wyglądała, jakby intensywnie nad czymś myślała. Jednak nie zdecydowała się wejść z Eliszebą do środka, żeby się naocznie przekonać – błąd, którego później pożałuje. Jej głowę zaprzętał teraz obiad, który musiała przygotować dla swojego milczącego męża. Abu Salim całe dni spędzał, siedząc na wychodzącym na ulicę balkonie na drugim piętrze, czytał stare gazety i czasem jakieś książki. Poza tym Umm Salim nie wzięła słów Eliszeby na serio. Sprawa była zbyt poważna, żeby ją tak po prostu ogłosić w kilku słowach. Wpadnie do niej później, może po południu, i dowie się czegoś więcej.

Los jednak zechce, że niczego więcej się nie dowie. Po południu jej syn zdradzi wreszcie imię kobiety, którą zamierza poślubić. Nie będzie więc dane Umm Salim zobaczyć syna staruszki Eliszeby, który powrócił z wojny zakończonej przed dwudziestoma laty. Niedługo później Umm Salim dołączy do drużyny przekonanych o demencji sąsiadki. W ten sposób Eliszeba straci ostatniego ze swoich wiernych sojuszników.

4

Hadi wrócił do domu. Obejrzał dokładnie posadzkę podwórka w poszukiwaniu oderwanych części ciała. Jeszcze niedawno trzymał je w rękach, kroił i zszywał w całość, by stworzyć z nich jedno ciało. Teraz niczego nie znalazł. Wczorajsze ulewne deszcze wszystko wyczyściły. Spędził przedpołudnie, leżąc na łóżku i obserwując dach trawiony przez wilgoć. Potem zaczął wpatrywać się w ścianę naprzeciwko, gdzie wisiał Werset Tronu przyczepiony przez jego zmarłego przyjaciela Nahima Abdakiego. Oto jeden z rogów kartonowej tablicy poluzował się od wilgoci. Gdyby ktoś ją teraz pociągnął, z pewnością bez trudu byłby ją w stanie oderwać. Hadi pomyślał, że taki obrót spraw mu odpowiada. Chciał pozbyć się ciała, a ono samo zniknęło, oszczędzając mu trudu angażowania się w kolejną paskudną misję: krojenia go i roznoszenia kawałków po śmietnikach na różnych ulicach i w zaułkach dzielnicy.

Po południu poszedł do kawiarni Aziza Egipcjanina, ale wyszedł, gdy zorientował się, że roi się w niej od gości, a jego przyjaciel nie ma czasu na rozmowę. Skierował się do staruszka Amiriego, by raz jeszcze spróbować przekonać go do sprzedaży mebli z jego starego domu. Znów wrócił do punktu wyjścia w próbach negocjacji. Po raz dziesiąty z kolei musiał wysłuchać historii produkcji starego gramofonu i dowiedzieć się, gdzie został zakupiony. Tak samo było z każdym meblem i bibelotem, przed którym się zatrzymywali. Co by się stało, gdyby ten elegancki, gładko ogolony staruszek zdał sobie sprawę, że stoi przed nim przestępca, który

nocami zabawia się fragmentami ludzkich zwłok? Poprowadziłby go po chodniku do samych drzwi, które następnie zatrzasnąłby za nim na do widzenia. Potem, opowiadając swoją historię, Hadi wyliczy te wszystkie szczegóły jeszcze niejednym razem. Uwielbiał szczegóły. One jego zdaniem nadawały opowieściom spójność i czyniły je ekscytującymi. Zrelacjonuje ten trudny dzień, a jego słuchacze uznają, że jest to najlepsza z historii, jakie wymyślił. Siedząc w kawiarni, pochłonięty opowieścią bez reszty, będzie powtarzał ją wciąż od nowa ku uciechu słuchających, a może po to, by przekonać siebie samego, że to tylko wytwór jego bujnej wyobraźni, a nie prawdziwe zdarzenia.

5

Eliszeba była zajęta przyrządzaniem potrawy nazywanej *keszke*. Zmieszała ziarna pszenicy z kaszą bulgur, dodała ciecierzycę i przyprawy, mięso pokroiła w kostkę. Znała się dobrze na tradycyjnej kuchni, choć normalnie nie miała okazji do popisów kulinarnych – w końcu kotu nie robiło to różnicy. Ale dziś sprawy miały się inaczej. Dziś gotowała na cześć wyjątkowego gościa i wypełniała dawną przysięgę. Dzwoniąc łyżką o garnek, powtarzała sobie:

– Błogosławieństwo i pokój pochodzą od Pana naszego Jezusa Chrystusa, który ukochał nas, zanim my Go ukochaliśmy.

Przyjęła wiele zwyczajów panujących wśród mieszkańców dzielnicy, dlatego teraz wierzyła, że wypełnia przysięgę, mimo że ojciec Jozjasz poprawiał ją, mówiąc:

– Nie stawiamy Bogu warunków jak muzułmanie: „Boże, jeśli zrobisz to, to ja zrobię to...”.

Z całą pewnością rozumiała go dobrze, ale sama nie widziała nic złego w stawianiu Bogu warunków, tak jak robiły to Umm Salim i inne muzułmanki z sąsiedztwa. Nie postrzegała Pana w taki sposób, jak ojciec Jozjasz. Dla niej Bóg nie był despotycznym władcą „na wysokości”. Był po prostu starym przyjacielem, którego przyjaźni nie tak łatwo się pozbyć.

Wyjątkowy gość nie zjadł nic z tego, co przed nim postawiła. Ona sama zjadła odrobinę, za to kot rozprawił się z całym pozostałym mięsem, a potem jeszcze wylizał talerze. Nie przeszkadzało jej, że mężczyzna nawet nie tknął jedzenia. Może był jak goście Abrahama, a może po prostu nie był głodny. Nie chciała go wystraszyć swoimi pytaniami, bała się, że ucieknie. Resztę wieczoru spędziła na przerywanym monologu wygłaszanym do swojego milczącego gościa. Jakby rozmawiała sama z sobą albo ze swoim kotem, albo próbowała znów nawiązać dialog z obrazem świętego zawieszonym na ścianie w pokoju gościnnym. Nic szczególnego nie wydarzyło się w tym czasie. Sprzedawca gazu zatrzymał się przed jej drzwiami i wymienił zużyta butlę, zaniósł nową w głąb korytarza, żeby ulżyć staruszce. Amerykańskie samoloty przeleciały nisko nad jej domem, wprawiając cały budynek w drżenie. Ich przenikliwy ryk wypełnił powietrze i wystraszył ptaki Abd ar-Razzaqa, sąsiada z za rogu, które uleciały, zostawiając za sobą chmurę piór. Umm Salim nie wpadła jej odwiedzić, nie zrobiła tego również żadna inna kobieta z sąsiedztwa, nawet Diana, ta ładna dziewczyna z ulicy obok, którą matka, Weronika Munib, czasami przysyłała w odwiedziny do staruszki, żeby sprawdzić, czy jej czegoś nie trzeba.

Eliszeba wciąż rozmawiała z duchem swojego syna, który wreszcie przybrał ludzką postać. Otwierała przed nim po kolei wszystkie szufladki swojej duszy i wyciągała to, co kryło się w środku. Zdrzemnęła się na kanapie naprzeciwko tej, na której siedział ten dziwny, milczący mężczyzna. Kiedy się obudziła, zastała go siedzącego dokładnie w tym samym miejscu, wpatrującego się w gasnące światło za oknem wychodzącym na ulicę. Opowiedziała mu o swoim konflikcie z mężem, Tadrossem, który zgodził się na pochowanie pustej trumny syna. Tadros, urzędnik niskiego szczebla w przedsiębiorstwie transportu publicznego, poszedł z kilkoma bliskimi, przyjaciółmi i znajomymi na cmentarz przy kościele we wschodniej części stolicy i razem pochowali pustą trumnę, złożony w niej kilka ubrań oraz kawałki roztrzaskanej gitary. Pomodlili się za jego duszę. Na grobie postawili tablicę z napisem po arabsku i syriacku: „Tu leży Daniel”. I wrócili.

Nie mogła iść z nimi, bo serce jej mówiło, że jej syn żyje. Nie mógł umrzeć w ten sposób. Nie uznawała jego śmierci ani pustego grobu. Nie poszła na cmentarz do chwili, gdy umarł sam Tadros i odbył się jego pogrzeb, a potem pochówek obok ich

syna. Serce jej pękało, gdy patrzyła na wapienną tablicę z wyrytym imieniem Daniela. Ale mimo upływu lat dalej nie akceptowała jego śmierci.

W tym okresie rodzina Ninusa Malko wprowadziła się do jednego z pokoi na drugim piętrze jej domu. Opuścili swoje wynajmowane mieszkanie, również w dzielnicy Batawin. Ich pojawienie się zaowocowało późniejszym małżeństwem młodszej córki Eliszeby, Matyldy, z bratem Ninusa. Eliszeba zaprzyjaźniła się z Ninusem Malko i jego żoną do tego stopnia, że byli jej w stanie zastąpić utraconych jednego po drugim bliskich. Bo oto obydwie córki postanowiły ją opuścić, po tym jak już straciła syna i męża. Nowa rodzina z łatwością uwierzyła w spodziewany powrót Daniela. Wielu ludzi uznano za zaginionych i z całą pewnością niektórzy z nich wracali. Takie rzeczy zdarzały się cały czas. Nawet jeden z braci Ninusa wrócił pewnego dnia z wieloletniego uwięzienia w Iranie. Mówiono o szoku, jaki spowodowało jego przejście na szyizm dwunastu imamów[6]. Co gorsza, mężczyzna trwał w nowej wierze jeszcze przez kilka lat, zanim zaczął stopniowo powracać do dawnego wyznania. A może tylko udawał, że to robi, żeby położyć kres problemom, jakie przy tej okazji wynikły. Po drugiej wojnie w Zatoce powróciło wielu więźniów, a w połowie lat dziewięćdziesiątych, po nałożeniu przez zagranicę ciężkich sankcji gospodarczych na kraj, mężowie Hildy i Matyldy postanowili wyemigrować. Obydwie córki odmówiły wyjazdu bez matki. Ale matka była uparta jak osioł. Ich konflikt trwał rok, w tym czasie problemy narosły i sytuacja się skomplikowała. Eliszeba wciąż była nieugięta. Udało jej się przekonać córki, że przyleci do nich, kiedy już urządzią sobie życie na miejscu i gdy całkiem straci nadzieję na powrót Daniela. Tylko że nigdy nie straciła nadziei. Dla córek obecność rodziny Ninusa w domu matki stanowiła pocieszenie. Jednakże w przeddzień ogłoszenia ostatniej wojny żona Ninusa oskarżyła Eliszebę o uprawianie czarnej magii i zły wpływ na jej dzieci. Staruszka miała zaczarować jej najmłodszego syna, tak że w szóstym roku życia wciąż nie wypowiedział ani jednego słowa. Bała się jej, czuła się nieswojo, gdy wchodziła do pokoju i zastawała ją na rozmowie z obrazami lub licznymi kotami, które harcowały po domu i którym nie pozwalała robić krzywdy. Po raz kolejny próbowała wytłumaczyć mężowi, że Eliszeba rozmawia z kotami, a te jej odpowiadają. Któregoś dnia zasugerowała nawet, że te koty to tak naprawdę dusze ludzkie, które starucha

przemieniła, korzystając ze swoich szatańskich mocy. Ninus nie wierzył w te brednie, ale jednocześnie nie potrafił znieść niezadowolenia żony z mieszkania w tym domu i jej pragnienia wyprowadzki. Gdy powodów nabierało się wystarczająco dużo, zabrał swoją małą rodzinę i wynieśli się do Ankawy w Irbilu. Było to tuż po wkroczeniu wojsk amerykańskich do Bagdadu. Nie poinformował Hildy ani Matyldy o swojej decyzji. Eliszeba także nie protestowała, jakby sprawa jej nie dotyczyła; wydawała się wręcz zadowolona. Córki doznały szoku na wieść, że matka została sama w pustym domu, w mieście nękanym wojną, w którym nagle otworzyły się wszystkie bramy piekieł i zło zaczęło wychodzić na powierzchnię ziemi, jak to sobie wyobrażały. W tym czasie dzwoniły każdej niedzieli na telefon Thuraya dostępny w kościele Świętego Abdisza, a ojciec Jozjasz uspokajał je za każdym razem, gdy staruszka z tego czy innego powodu się nie pojawiła. Rozmowa telefoniczna nigdy nie trwała dłużej niż minutę, bo ojciec Jozjasz sprawiedliwie dysponował dostępnym czasem, a chętnych było wielu. Zdarzało się, że w połowie tej minuty pomiędzy Eliszebą a jedną z córek wybuchała kłótnia, która sięgała zenitu akurat pod koniec, kiedy ojciec Jozjasz zabierał telefon z rąk staruszki. Córki chciały wrócić do Bagdadu i zabrać matkę bez względu na jej protesty, zawsze jednak kończyło się tylko na słowach. Tak naprawdę brakowało im siły woli, żeby to zrobić. Staruszka kończyła przerwana kłótnię w swojej głowie albo czasem łapała jedną z kobiet w kościele i kontynuowała przemowę, w której kategorycznie odmawiała opuszczenia domu i wyjazdu w miejsce, o którym nic nie wiedziała. Ojciec Jozjasz ją wspierał, bo widział w tym swój religijny obowiązek. Nie byłoby dobrze, gdyby wszyscy wyjechali. W poprzednich stuleciach Asyryjczykom nie było przecież łatwiej. A pozostali i wciąż tu są. Nie można myśleć tylko o sobie. Tak czasami mówił podczas kazania.

Córki dalej groziły, że przyjadą, by zmusić staruszkę do sprzedaży domu i wyjazdu z nimi. Nigdy jednak słowa nie przerodziły się w czyn. Na początku tego roku ojciec Jozjasz poprosił staruszkę, by udzieliła gościny rodzinie Sanchiro, która uciekła przed czystką etniczną w dzielnicy Dora na południu miasta. Rodzina zajęła ten sam pokój, w którym mieszkali wcześniej bliscy Ninusa. Zostali tylko na kilka tygodni, po czym udali się dalej, do Syrii, by tam ubiegać się o możliwość emigracji

do Europy. Po wyjeździe rodziny Sanchiro zniknęły trzy koty Eliszeby. Potem znalazła rozdęte ciało czwartego na dachu domu. Podejrzewała, że dostał odłamkiem albo zjadł gdzieś zatrute mięso.

Mówiła tak przez pół godziny o swoich kotach i o tym, jak Nabo został z nią jako jedyny. Potem nagle przypomniał się jej Abu Zajdun, członek partii, który posłał jej syna na wojnę. Zajmował się tropieniem mężczyzn uchylających się od służby wojskowej, a Daniel był jednym z nich. Odmówił stawienia się przed komisją poborową, żeby odbyć szkolenie w obozie. Chciał iść na studia muzyczne, lubił grać na gitarze. Nie grał dobrze, ale trzymał instrument w szafie w gotowości. Gdy Abu Zajdun złapał go za kołnierz i doprowadził do oddziału na szkolenie w koszarach, a potem na front, z którego już nie wrócił, partyjny stał się wrogiem numer jeden. Potem przyniesiono trumnę Daniela, w której złożono jedynie parę ubrań i rzeczy osobistych. Tadros roztrzaskał gitarę syna ze smutku. Nie chciał jej niszczyć, w końcu była to pamiątka po jego zmarłym dziecku, ale stracił panowanie nad sobą, z rozpaczą wszystko mu się pomieszało. Kawałki gitary złożono w dostojnej trumnie, na którą Tadros kupił czerwone drewno tekowe. I tak została spuszczone do grobu. Roztrzaskana gitara w pustej trumnie. Dom, który stracił ducha swojego jedyne go syna. Wróg chodzący spokojnie po ulicach, korzystający ze swojej władzy – i nikogo, kto by się mu sprzeciwił. Eliszeba wołała do Abu Zajduna i rzucała klątwami, ilekroć spotykała go na ulicy. Tak było przez długi czas, aż w końcu mężczyzna zaczął unikać nawet przypadkowych z nią spotkań. Przestał przechadzać się po ulicy Siódmej ze strachu, że któregoś dnia staruszka wyskoczy na niego z nienacką, by znów terroryzować go przekleństwami. Kilka kobiet z dzielnicy zaprzysięgło, że zabiją w ofierze barana, kiedy ten zły do szpiku kości mężczyzna umrze. Umm Daniel także złożyła przysięgę, lecz nigdy o niej nie powiedziała ojcu Jozjaszowi w obawie przed skarceniem. Zachowała ją dla siebie, ale teraz wyjawiała ją przed swoim milczącym gościem, otwierając się po raz pierwszy.

Zapadła noc i staruszka skończyła pierwszą część swojej zawiłej historii, tylko po to, by od razu przejść do następnej. Zapanowała całkowita ciemność. Eliszeba wiele razy powtarzała swojemu słuchaczowi, że wiedziała, że ten któregoś dnia powróci. Niektórzy znajomi jej nie wierzyli – ani Antonetta, ani Marta, ani też żona jej brata

Joarisha. Dziś wszyscy oni albo nie żyli, albo wyjechali. Wyjęła stary album, żeby w świetle lampionu pokazać mu jego zdjęcia z dzieciństwa. Na jednym stał na podwyższeniu w kościele, ubrany w elegancki strój. Na innym był z kolegami ze szkoły. Gdzie indziej w barze albo restauracji. Stał w sportowym stroju z nogą opartą na piłce jak słynny piłkarz Ali Kazim. Wszyscy chłopcy chcieli mieć zdjęcie, na którym stali z prawą nogą na piłce, obejmując się nawzajem w pasie i uśmiechając. Gdyby nie przyjęli tej pozy, zdjęcie byłoby do niczego. Na innej fotografii stał wśród kolegów ze swojej drużyny piłkarskiej, wszyscy złączeni ramionami. Zdjęcie było wypłowiałe, pokrywały je plamy od wilgoci. Przyglądał mu się długo, a kiedy skończył obracać je w dłoniach, wstał nagle. Wyszedł rozejrzeć się po innych pokojach. Ogarnęła go nagła ciekawość. Staruszka pozostała w salonie, kontemplując w świetle lampki nocnej obraz świętego zastygłego w bezruchu, który nie wyglądał, jakby tej nocy zamierzał się poruszyć, żeby z nią o czymkolwiek porozmawiać. Do jej uszu doszły dzwonienie i odgłos spadających naczyń. Musiał się na czymś potknąć w ciemności. Później usłyszała, jak wspina się na dach. Zniknął na kilka minut, a potem wrócił, niosąc coś w dłoniach. Schował szybko przedmiot w kieszeni spodni i otworzył wreszcie usta, by przemówić po raz pierwszy. Jego głos był ochrypły, jakby od urodzenia go nie używał. Z trudem wydobywał słowa. Powiedział, że musi iść. Chciała zapytać dokąd; przecież dopiero wrócił, dlaczego chce ją zostawić? Gdy ktoś wychodzi przez te drzwi, już nie wraca. Dosłownie, jakby za nimi była przepaść. Chciała za nim krzyknąć. Spokojnie ujęła rękaw zielonej bluzy. Poczuła, że ramię pod nią jest suche jak gałąź obumarłego drzewa. Przyjrzała się jego twarzy z bliska, ale w mroku niczego nie dostrzegła. Odwrócił wzrok, by spojrzeć w dal. Kot przeszedł między nimi, ocierając się o jego spodnie i mrużąc cicho.

– Nie martw się, wrócę – powiedział oschle.

Uwolnił rękę z jej uścisku i skierował się w stronę wyjścia. Usłyszała odgłos ciężkich kroków na posadzce, a potem w korytarzu prowadzącym do drzwi. Usłyszała, jak je otwiera i spokojnie zamyka za sobą. Cisza znów zapanowała w tym wielkim, przygnębiającym domu. Staruszka poczuła, że musi się czegoś napić, a potem ogarnęła ją senność, jakiej jeszcze nie doświadczyła. Siadła na kanapie naprzeciw obrazu Świętego Jerzego Męczennika, a rozpacz znów zaczęła naciskać na jej pierś.

Chciała porozmawiać ze swoim powiernikiem, pogawędzić, ale nie znalazła w sobie siły. Spojrzała na niego i dostrzegła, że metalowa zbroja przez chwilę zaczęła lśnić nowym blaskiem, jakby wypolerowana niewidzialną ręką wewnątrz obrazu. Blask przygasł i rozmowa była skończona. Eliszeba nie miała nic do powiedzenia. Przez następne kilka dni w ogóle nie będzie nic mówić. Mrugając, patrzyła na plamki światła azurowego lampionu migające na fałdach obrazu. Stary kocur leżał zwinięty w kłębek, grzejąc się u jej stóp.

[6] Szyizm dwunastu imamów – główny odłam szyizmu, przyjmujący koncepcję dwunastu imamów, następców Proroka, z których pierwszym był jego zięć Ali, ostatnim zaś ma być obecny na ziemi w ukryciu Mahdi.

Dziwne wypadk

1

Przyjechały dwa policyjne wozy i zamknęły ulicę Pierwszą z obydwu stron. Wysiadło z nich czterech uzbrojonych funkcjonariuszy, a z nimi Amerykanin z żandarmerii. Kilku ciekawskich wypchnęli za samochody. Ulica od rana była praktycznie pusta. Większość ludzi wolała po cichu zerkać zza ażurowych okiennic wychodzących na ulicę starych wykuszy, które sprawiały wrażenie, jakby zaraz miały się osunąć na ziemię razem ze stojącymi w nich gapiami. Panowała cisza, tylko jeden z policjantów z aparatem w ręku pstrykał zdjęcie za zdjęciem.

Chwilę potem na miejscu pojawił się zdyszany agent nieruchomości Faradź; jego broda drżała przy każdym stawianym przezeń kroku. Niósł pod pachą małą skórzaną torbę, która zawsze towarzyszyła mu podczas spotkań z urzędnikami. Amerykanin natychmiast zaczął go przepytować w sprawie domu – kto w nim mieszkał i czy Faradź wie, co się tu wydarzyło. Ubrany w policyjny strój tłumacz objaśniał słowo po słowie, patrząc oskarżająco na Faradza, który wydawał się zszokowany tym, co widzi. Pomimo pozycji, jaką zbudował sobie w dzielnicy, bał się Amerykanów. Wiedział, że mają dużą swobodę działania, nikt ich nie rozliczał z tego, co robili. Mogli go stąd wykopać, jeśli mieliby taką ochotę. Faradź otworzył wyschnięte usta i wyjaśnił, że jest właścicielem tego domu. Ściślej rzecz ujmując, wynajął go od państwa piętnaście lat temu i regularnie opłaca czynsz. Mówiąc to, drżącą ręką pośpiesznie wyciągał z teczki papiery i machał nimi przed policjantami.

Amerykanin pozwolił mu mówić, a sam odwrócił wzrok. Stanął przed ciałami czterech żebraków, zastygłych w pozycji siedzącej w głębi ulicy. Potem odwrócił się, by jeszcze raz zapytać Faradża, czy ich znał. Agent nieruchomości skinął głową na tak i czuł, jak krew zastyga mu w żyłach. Co za koszmarny początek dnia! Kto zabił tych biednych żebraków? Czy spadł na nich boski wyrok akurat w chwili, gdy tak siedzieli?

A siedzieli w kwadracie, każdy z nich miał ręce zaciśnięte na szyi drugiego, jak na jakimś obrazie albo w sztuce teatralnej. Ubrania mieli brudne i znoszone, głowy zwisały im do przodu. Gdyby Hazim Abud sfotografował ich w tej pozie, zdjęcie na pewno dostałoby jakąś międzynarodową nagrodę.

Przybyło ciekawskich na obydwu krańcach ulicy. Tchórzliwe głowy zaczęły się ostrożnie wyłaniać zza ażurowych okiennic. Pojawili się nowi naoczni świadkowie, co wcale nie dziwiło Amerykanina. Pomachał ręką policjantom, by pośpieszyli się z załatwianiem formalności. Wzięli numer telefonu Faradża i nakazali mu, by pojawił się na posterunku policji przy ulicy Sa'adun, jeśli tylko dowie się czegoś więcej na temat zbrodni bądź spotka naocznych świadków zajścia. Faradž wziął głęboki oddech i zaczął gładzić gęstą brodę. Potem wyjął sznur modlitewny, zebrał się na odwagę, by podejść do ciał żebraków, i zaczął im się przyglądać z niesmakiem.

Policjanci założyli białe gumowe rękawiczki i zabrali się do rozplątywania rąk zaciśniętych na szyjach. Szybko zanieśli zwłoki do wozu i odjechali.

Nagle ulica wypełniła się ludźmi, którzy otoczyli Faradża, wypytując go o sprawę. Odegnął ich, komuś oberwało się długim czarnym sznurem do modlitwy. Ruszył przed siebie.

Ponad tym wszystkim, w zdewastowanym starym domu naprzeciw budynku, w którym mieszkali czterej żebracy, przy drewnianym oknie wychodzącym bezpośrednio na miejsce, gdzie przed chwilą leżały zwłoki, stał jeszcze jeden stary żebrak. Obserwował całą scenę, nie ujawniając swojej obecności. Był tutaj poprzedniej nocy, gdy doszło do zbrodni. Pił samotnie. Po południu zdążył już opróżnić połowę butelki araku, gdy doszły go odgłosy walki w ciemnym zaułku. Na początku je zignorował, uznał, że to zwykła pijacka awantura pomiędzy żebrakami

wracającymi nad ranem do swoich zawszonych siedzib. Zaczęli się nawzajem przeklinać, bo nagle przypomnieli sobie o swoim nędznym losie i przyszło im do głowy, że sedno problemu tkwi zapewne w tym oto człowieku, który nagle przed nimi stanął. Prawdopodobnie nie był to nikt inny, jak tylko kolejny kolega po fachu.

Awantura trwała, głosy stawały się bardziej donośne – przekleństwa zmieszane z odgłosami zadyszki, pojękiwaniem i pełnym bólu krzykiem. W końcu stary pijak wychylił głowę na zewnątrz, niczego jednak nie zobaczył. Chwilę potem w świetle samochodu, który akurat skręcał w tym miejscu, zdołał dojrzeć pięć cieni trzymających się nawzajem rękami i obracających się w tym splocie.

Wieczorem tego samego dnia, gdy znaleziono ciała, żebrak został doprowadzony do biura Faradża. Zaraz zaczął snuć opowieść, a znaczenie jego słów bardzo szybko dotarło do agenta nieruchomości, który dostrzegł w całej sprawie szansę, by jeszcze bardziej rozszerzyć swoje wpływy. Żebrak zdołał już do tego momentu wytrzeźwieć, choć prawdę mówiąc, nigdy nie trzeźwiał do końca. Poleganie na jego słowach byłoby kompletnie nierozsądne, ale nie szkodziło się doinformować.

Agent nieruchomości przeklął pijaka, a z nim wszystkich innych pijaków, prosząc Boga, by oczyścił kraj z tej ohydy. Miał za złe rządowi, że boi się Amerykanów i nie chce wprowadzić prawa szariatu, żeby uwolnić się od tej plagi. Żebrak patrzył na niego oczami przerażonej myszy, która nie widzi drogi ucieczki. Faradż zaś powtarzał swoje groźby.

Żebrak powtórzył mu dokładnie tę samą historię, którą już ledwo godzinę po odjeździe policji puścił w obieg po dzielnicy. Wśród tej piątki był człowiek o paskudnej twarzy i szerokich ustach.

– Było ich czterech!

– Nie, pięciu. Każdy z tych czterech usiłował chwycić tamtego piątego za szyję, ale zamiast tego za każdym razem łapał szyję kogoś ze swoich towarzyszy.

– Co to za bzdury, na Boga.

Faradż pił spokojnie herbatę, patrząc pogardliwie na starego żebraka. W tym samym czasie jeszcze jeden człowiek popijał herbatę. Był to generał Surur Muhammad Madżid, dyrektor generalny Wydziału Inwigilacji i Ścigania. Do jego

biura właśnie wszedł jeden z asystentów i położył przed nim teczkę z aktami sprawy czterech żebraków. Surur odłożył płytką filiżankę na spodek. Wziął dokumenty i przejrzał je pobieżnie, żeby upewnić się, że sprawa podlega pod jego wydział. Raport podsumowywał sprawę następująco: czterej żebracy zginęli wskutek wzajemnego uduszenia się.

2

Mahmud wsiadł razem z Alim Bahirem Saidim do jego czarnego mercedesa. Czasem to robił, Saidi nie pozostawiał mu specjalnego wyboru. Wystarczyło, że zawołał go po imieniu w redakcji, a zaraz zjawiał się w drzwiach biura z czarną skórzaną torbą w ręku, gotowy do wyjazdu.

– Mamy coś do załatwienia. Chcę, żebyś pojechał ze mną.

Saidi zwykle rzucał coś w tym stylu, a Mahmud wręcz umierał z niecierpliwości, by dowiedzieć się, o co chodzi. Saidi uwielbiał takie zagadki. Rzucał je jak przynętę, a inni się na nią łapali. Nie ujawniał wszystkiego w jednym zdaniu, sączył informacje kropelka po kropelce. I oto nagle Mahmud wjeżdżał razem z Saidim na przykład do Zielonej Strefy. Poddawali się dokładnej kontroli, wchodzili do windy razem z osobistościami z pierwszych stron gazet. Kiedyś spotkali ministra planowania, Mahmud zobaczył wtedy, jak żartują sobie z Saidim. Aha, czyli byli przyjaciółmi. Wiele kobiet podawało mu rękę – tłumaczki, działaczki, dziennikarki, inne mniej strojne i mniej urodziwe pracownice parlamentu. Ale gdy Mahmud patrzył na swoje odbicie we wszechobecnych tutaj lustrach, nie widział kompletnie nic. Był tylko Saidi i krąg jego znajomości.

– Dokąd jedziemy? – spytał Mahmud, wchodząc do samochodu Saidiego. Dzień powoli zbliżał się ku końcowi, niebo stopniowo przyodziewało się w czerń. Będzie musiał zrezygnować ze spotkania z Hazimem Abudem, który rano zaprosił go na wystawę fotografii kilku swoich kolegów z agencji w galerii Dialog w dzielnicy Wazirijja. Może pójdzie jutro.

– Spotkamy się ze starym przyjacielem. Może uda nam się uzyskać od niego kilka informacji.

– Na jaki temat?

– Pracuję nad nim od jakiegoś czasu. Na świecie dzieją się rzeczy, o których nie mamy pojęcia. O co chodzi z tym całym chaosem w państwie? Potrzebujemy każdego rodzaju informacji, by skompromitować Amerykanów i rząd.

Mahmud nic nie rozumiał. Wydawało mu się, że jego szef jest po stronie rządu i Amerykanów. Dlaczego chce ich skompromitować? Nie miał odwagi, by pytać dalej. Dowie się, gdy dotrą do tego starego przyjaciela, jak go określił Saidi. Wjechali do Karrady. Zatonęli w korku spowodowanym przez amerykański patrol. Hummery przemieszczały się powoli, a siedzący na nich żołnierze trzymali broń wycelowaną w stronę samochodów jadących z tyłu, więc kierowcy woleli trzymać się od nich na odległość przynajmniej dziesięciu metrów. Saidi włączył dyktafon i popłynęła z niego piosenka Whitney Houston. Zdawał się nie przejmować sytuacją. W ogóle rzadko przejmował się czymkolwiek. Wierzył w przyszłość, jak mówił o nim Farid Szawwaf. Ale Farid Szawwaf mówił to z pewnego rodzaju drwiną. Dla niego Saidi był człowiekiem, który doskonale wiedział, że będzie mu w życiu tylko lepiej i lepiej, i nie miało to nic wspólnego z sytuacją w państwie. Mahmud przyjmował słowa przyjaciela z pewnym zakłopotaniem. Wolał nie zastanawiać się zbyt długo nad Saidim, jego stosunkiem do sytuacji w kraju i takimi sprawami. Wymagało to zbyt wielkiego wysiłku umysłowego i skupienia. Musiałby się najpierw uwolnić od innych problemów. A nie czuł, że może sobie teraz na to pozwolić, choć może tylko oszukiwał samego siebie. Wiedział, że Farid jest z natury złośliwy i nie tak łatwo zrobić na nim wrażenie. W każdym dostrzegał coś złego. Nie okazał nawet najmniejszej wdzięczności Mahmudowi za jego starania, by pozostał w redakcji, a nie został wyrzucony jak Zaid Murszid, Adnan Anwar i Majsja – chuda dziewczyna, która gorzko lamentowała nad decyzją szefa.

Samochód Saidiego dotarł do żelaznej bramy pomiędzy ogromnymi betonowymi ścianami – Mahmud nie widział takiej na żadnej z ulic Bagdadu. Zapadła noc. Saidi kluczył po dzielnicy Dżadirijja, żeby uniknąć korków, tak że kiedy dotarli na miejsce,

Mahmud nie miał pojęcia, gdzie się znajdują. Bramy rozwarły się i wjechali na długą, pustą aleję obsadzoną z obydwu stron gęstym szpalerem eukaliptusów. Im bardziej się w nią zagłębiali, tym bardziej gęstniała cisza, oddalał się zgiełk ulicy, a policyjne syreny nikły w oddali.

W końcu skręcili w boczną uliczkę. Mahmud dojrzał wozy policyjne zaparkowane obok amerykańskiego hummera i kilku cywilnych samochodów. Osoba w policyjnym mundurze wskazała im, gdzie mają zaparkować. Wysiedli i weszli do dwupiętrowego budynku w towarzystwie człowieka w cywilnym ubraniu. Saidi zwrócił się w stronę Mahmuda i powiedział, uśmiechnięty jak zawsze:

– Bracie, mam nadzieję, że nie masz na wieczór żadnych planów? Zjemy dziś razem kolację.

Weszli do okazałego biura i Mahmud poczuł zapach jabłkowego odświeżacza powietrza. Niski jasnoskóry mężczyzna z lśniąco łysiną wstał zza biurka i żując coś cały czas, uściskał Saidiego. Śmiali się razem chwilę. Potem podał Mahmudowi rękę na powitanie i wszyscy zasiedli na wygodnych kanapach stojących obok biurka. Mahmud dowiedział się, że jest to generał Surur Muhammad Madzid, szef Wydziału Inwigilacji i Ścigania. Inwigilacji czego? Ścigania kogo? Mahmud spodziewał się, że dowie się tego podczas spotkania.

Wizyta, która zdaniem Saidiego miała być krótka, trwała dwie godziny, albo i dłużej. Przewijały się w niej różne wątki, czasem oczy rozmówców aż łzawiły od śmiechu. Mahmud też się śmiał, nie widział w tym problemu. Nie miał w planach nic poza powrotem do ponurego hotelu w Batawin. Ale chciało mu się palić. Nie podejrzewał, żeby ten elegancki mężczyzna, którego biuro przesiąkło jabłkowym zapachem, lubił palaczy. Nawet Saidi nie zapalił przy nim papierosa.

Mahmud zrozumiał z tego spotkania, że generał Surur jest starym przyjacielem Saidiego. Chodzili razem do gimnazjum, choć potem nie widzieli się przez lata. I oto spotykali się teraz na nowo w tym miejscu i być może z tą samą misją zwaną „służbą nowemu Irakowi”.

Generał Surur służył jako podpułkownik w wywiadzie wojskowym byłego reżimu. Ominęły go czystki, w których pozbywano się ze sceny politycznej byłych członków

partii Baas, a nawet otrzymał awans na strategiczną pozycję, o której starano się zbyt wiele nie mówić. Odpowiadał za jednostkę zbierającą szczególne informacje, którą utworzyli i jak na razie nadzorowali Amerykanie. Misją jednostki było śledzenie wszelkich nietypowych zbrodni oraz narosłych wokół nich legend i mitów, a także dotarcie do przyczyn tych wydarzeń. Jeszcze ważniejszym zadaniem było przewidywanie zbrodni, które miały się dopiero wydarzyć: wybuchów samochodów pułapek, morderstw dokonywanych na politykach i ważnych osobistościach. W ciągu ostatnich dwóch lat generał Surur bardzo się w ten sposób zasłużył państwu. Wszystko działało się w sposób niejawny. Dostarczane przez niego informacje były wykorzystywane pośrednio i nigdy jako ich źródła nie wskazywano Wydziału Inwigilacji i Ścigania, dążąc do zachowania tajnego statusu i bezpieczeństwa jego pracowników.

Mahmud nie miał pojęcia, dlaczego Saidi chciał, żeby dowiedział się tych wszystkich szczegółów. Dlaczego ufa mu do tego stopnia, że chce, by mu towarzyszył w jego niejasnych poczynaniach? Nie był to pierwszy raz i raczej nie będzie ostatni. W ciągu dwóch minionych miesięcy nieustannie jeździli w różne miejsca czarnym mercedesem Saidiego. Mahmud wiedział – i sądził, że Saidi wie to również – że celem zamachów nie są tylko czołowe osobistości. Każdy człowiek noszący elegancki garnitur i jeżdżący, jak jego szef, luksusowym samochodem powinien czuć się zagrożony. Jest pewne, że któregoś dnia zginie i on. I jest też bardzo możliwe, że razem z nim zginie każdy, kto będzie mu wtedy towarzyszył. Bardzo prawdopodobne również, że szybko skończy się historia Mahmuda Sawadiego i jego marzenia o karierze zawodowej.

Zatem: czy Saidi był głupcem czy może bohaterem? Nie zdawał sobie sprawy z tego, co się wokół niego dzieje, czy może odważnie podejmował wyzwania? O samym sobie Mahmud wolał sądzić, że jest głupcem. Przynajmniej myślał tak w głębi duszy, niekoniecznie wyrażał to na głos. Różne zwroty akcji, które mu się do tej pory w życiu przytrafiały, były spowodowane błędami, a nie rozważnym planowaniem. Sam jego przyjazd do Bagdadu był wynikiem kompletnej głupoty, jakiej dopuścił się w Al-Amarze, swoim rodzinnym mieście.

Muskularnej budowy chłopak postawił na stoliku przed nimi tacę z płytkami

filiżankami herbaty. Wytrąciło to Mahmuda z zamyślenia. Generał Surur wciąż wymigiwał się od podania Saidiemu jakichkolwiek informacji nadających się do opublikowania.

– Mamy analityków: parapsychologów, astrologów, specjalistów od przywoływania dusz i rozmawiania z dżinami, wróżbitów.

– Naprawdę wierzysz w te rzeczy?

– To moja praca. Nie masz pojęcia, na jakie historie trafiamy. Celem jest większa kontrola. Zdobycie informacji o źródłach przemocy i nienawiści. Wszystko, co może zapobiec wojnie domowej.

– Wojnie domowej?

– Żyjemy w samym środku wojny informacyjnej. Domowej wojny informacyjnej. Niektórzy z moich wróżbitów mówią o możliwości rozpętania się regularnej wojny w ciągu sześciu, siedmiu miesięcy.

Serce Mahmuda waliło, gdy słuchał tej rozmowy. W jego głowie kotłowało się jak w tyglu. Usiłował pojąć coś z tego strumienia informacji, ale nie był w stanie. Siedział sztywno i w milczeniu ścisnął szklane ucho filiżanki, ale nie pił. Miał wrażenie, że cały przemienił się w wielkie nasłuchujące ucho.

– Mam kupić tę drukarnię, o której ci wspominałem? Pomoże mi to rozszerzyć moją działalność?

Gdy Saidi zadał to pytanie, generał wstał, by wyłączyć telefony komórkowe, które rozdzwoniły się wszystkie naraz. Spojrzał na Saidiego z daleka ponad okularami i odpowiedział:

– Nie sądzę. Zostaw na razie tę sprawę.

Saidi nie skomentował tego w żaden sposób. Wrócił znów do rozmowy o informacjach, które mogłyby być dla niego przydatne. Generał wziął z biurka plik papierów i potrząsnął nimi, mówiąc:

– To akta sprawy czterech żebraków, którzy zginęli przez uduszenie kilka dni temu w Batawin. Zadusili jeden drugiego. To wiadomość. Ktoś próbuje nam coś przekazać. Na razie niewiele wiemy. Może można by się dowiedzieć czegoś więcej, kontaktując się z posterunkiem policji przy Sa'adun.

Saidi zerknął na Mahmuda, jakby chciał mu powiedzieć: „Ty się tym zajmiesz”. Potem spojrzał znów na swojego przyjaciela, który dalej stał przy biurku, zamiast usiąść na kanapie razem z gośćmi. Saidi zapytał go o inne podobne historie, ale generał powtórzył, że nie może na ich temat rozmawiać. Zamilkł na chwilę, a potem stanął znów pośrodku pokoju i powiedział:

– Dochodzą nas słuchy o przestępcach, którzy nie giną od kul. Takie doniesienia pojawiły się już nieraz w różnych częściach Bagdadu. Pociski przechodzą przez głowę takiego zbrodniarza albo przez jego ciało, a on dalej maszeruje lub rzuca się do ucieczki, nie zostawiając po sobie nawet kropli krwi. Pracujemy nad ujednoczeniem tych informacji, bo mam przeczucie, że nie są wysrane z palca.

Pochylił się nad biurkiem i nacisnął przycisk dzwonka. Zanim muskularny chłopak znów się pojawił, by spełnić rozkaz generała, ten spojrzał jeszcze raz na swojego starego przyjaciela i uśmiechnął się, jakby dopiero teraz dotarły do niego możliwe konsekwencje rozpowszechniania tych informacji.

– Przyjechałeś w sprawie drukarni... Jeśli masz w planach śledztwo dziennikarskie, kto ci uwierzy?

– Przyjechałem się z tobą zobaczyć, przyjacielu. Co tam drukarnia, co tam przestępcy, mam powyżej uszu tych spraw.

Zaśmiali się obydwaj, a Mahmud zdał sobie sprawę, że śmieje się razem z nimi.

3

Wieczorem, leżąc na łóżku w hotelu Uruba, Mahmud wyjął dyktafon, żeby zrelacjonować swoje uwagi:

– Ciekawa sprawa. Saidi drwił z dziwnych obowiązków swojego przyjaciela, z dżinów i przepowiedni, a jednak poprosił go o radę w kwestii kupna drukarni. Przecież to oczywiste, że odpowiedź, jaką dostał, była wróżbą. Nie zakwestionował jej. Wziął słowa generała za pewnik. To oczywiste, że dostaje więcej takich informacji i w ten sposób może się bezpiecznie poruszać po Bagdadzie. Nie boi się pokazywać

publicznie nie dlatego, że jest odważny, ani dlatego, że jest bezmyślny. On po prostu wie, że nie umrze. Rozmawiali o wojnie domowej jak o filmie, który chcieliby zobaczyć w kinie. Śmiali się. To znaczy, że sprawy nie mają się aż tak źle. Jeśli będę się trzymał blisko Saidiego, mam zagwarantowane bezpieczeństwo. Saidi jest islamistą, a jego przyjaciel to były członek partii Baas. Ale Saidi to islamista niepraktykujący, jego poglądy bardzo się zmieniły, kiedy był na emigracji. Generał to też niepraktykujący członek partii. Ich relacje były ciepłe, w końcu to przyjaciele od lat, wydawali się sobie bliscy. Ale dlaczego Saidi drwił z niego, kiedy wracaliśmy? Drwił z jabłkowego zapachu wydobywającego się co chwila z małych dyfuzorów zawieszonych na ścianie. Mówił, że byli członkowie partii Baas uwielbiają zapach jabłek, bo „tak samo pachniały bomby chemiczne zrzucone na Halabdzę, ha, ha, ha, ha, ha”.

Ile zła jest w tym opisie, o Boże. Ale... dlaczego chciał, żebym był świadkiem tego wszystkiego? Zapytałem Abu Anmara o czterech żebraków i potwierdził całą historię. Wszyscy w dzielnicy już nią żyją. Wśród mieszkańców zapanowała atmosfera strachu i niepewnego wyczekiwania. Człowiek, który zabił tych ludzi, sławnych z powodu swojej śmierci, a nie życia, następnie zaplótł ręce każdego z nich wokół szyi drugiego. Skomplikowana i dziwna zabawa.

– Są takie miejsca na ciele: na ramionach, plecach i kręgosłupie, że jak wbijesz w nie igły do akupunktury, to mięśnie spinają się, a całe ciało nagle drętwieje. Może to właśnie przydarzyło się czterem wariatom.

– Żebrakom...

– Tak, żebrakom, znaki drogowe i taksówki będą za nimi tęsknić, ha, ha, ha...

Tak wyraził się Saidi, zanim zatrzymał samochód przy wjeździe na ulicę Siódmą, gdzie zawsze wysadzał swojego pracownika. Gdy Mahmud zapytał go, czy ma zbadać temat, odpowiedział mu:

– Są ważniejsze sprawy, zapomnij o tych głupotach.

Mahmud opuścił samochód i szedł przed siebie. Czuł ucisk w żołądku, kiedy przypominał sobie wydarzenia, których był świadkiem, w szczególności przy kolacji. Generał przygotował wspaniałą ucztę na cześć swoich gości. Na stole było pełno

wszystkiego, brakowało jedynie alkoholu. Mahmud zrozumiał, że generał nie znieśie choćby jednej rysy na swoim wizerunku w oczach przedstawicieli partii rządzącej. Jego sytuacja była dość niepewna – tak jak on szpiegował obywateli, byli też tacy, którzy szpiegowali jego. Ktoś mógł przekazywać informacje władzom, które miały z nim problem z powodu jego przeszłości i współpracy z byłym reżimem. Ale musieli go tolerować ze względu na jego kompetencje, a także poparcie Amerykanów, którzy chronili go przed kaprysami i zapędami rządu.

Dwaj przyjaciele poruszyli wszystkie aktualne problemy w państwie i wydawało się, że znają sposoby, których nie znał nikt u władzy. Wyśmiewali głupotę i wąskie horyzonty nowych rządzących. Rozwiązania były przecież na wyciągnięcie ręki. Każdy problem można było załatwić w pół godziny, przynajmniej teoretycznie, gdyby tylko mieć administrację naprawdę oddaną sprawie.

Ale mamy teraz dwa fronty, mówił do siebie Mahmud, Amerykanie i rząd z jednej strony, a z drugiej zwalczające ich różnego rodzaju bojówki i terroryści. Kto występuje przeciw rządowi i Amerykanom, może być nazwany tylko w jeden sposób.

Mahmud po raz kolejny włączył dyktafon i zaczął nową relację:

– Ale czyż ci dwaj przyjaciele nie współpracują, w ten czy inny sposób, z Amerykanami? Dlaczego grali przede mną takich patriotów? O co tu chodzi? Muszę następnym razem odmówić Saidiemu tych wycieczek, które tylko przyprawiają mnie o zawrót głowy. Moja praca kończy się o trzeciej albo czwartej po południu. I o tej godzinie ma też się kończyć moja relacja z Saidim. Jestem jego pracownikiem, nie towarzyszem życia.

Rankiem włożył ostatnie czyste ubranie. Resztę spakował do worka, by zabrać do pobliskiego magla Dwaj Bracia. Zszedł do recepcji. Zaskoczył go tam widok Hazima Abuda, siedzącego z Abu Anmarem i Luqmanem – jedynym Algierczykiem w całym Iraku, mieszkającym od zamierzchłych czasów w hotelu Uruba. Luqman tak dobrze znał dialekt iracki, że nie dało się łatwo rozpoznać, że nie jest stąd. We trzech zebrali się przy stole i jedli śniadanie złożone z maślanych placków z tradycyjnym kremem śmietanowym *giamar*, pili mocną herbatę i gawędzili, podczas gdy Weronika, pulchna pracownica hotelu, razem ze swoim nastoletnim synem jak co tydzień biegała

pomiędzy pokojami ze ścierką i wiadrem wody. Przychodzili sprzątać tylko raz w tygodniu, albo nawet rzadziej, zależnie od tego, jak sobie życzył Abu Anmar.

Czy Hazim spędził tę noc w hotelu? Mahmud przywitał się, a oni zaprosili go, żeby zjadł z nimi śniadanie. Przystał na to i przyjął filiżankę gorącej herbaty. Przypomniały mu się niektóre wydarzenia wczorajszej nocy, więc wziął spory łyk, jakby starając się odegnać niewygodne wspomnienia.

Zwrócił się do Hazima, żeby go zapytać, gdzie spędził noc, kiedy wrócił do hotelu i jak się udała wczorajsza wystawa fotografii, ale usłyszał, że Abu Anmar mówi do niego:

– Panie Mahmudzie, radziłbym być ostrożnym, gdy wychodzi się nocą. Policja patroluje dzielnicę. Rano zabito tu człowieka.

4

Ofiarą był nie kto inny, tylko fryzjer Abu Zajdun, wychudzony starzec o kościstej budowie. Znaleźli go śpiącego na białym plastikowym krześle przed jego zakładem fryzjerskim, który już lata temu, zanim jeszcze stracił władzę w nogach, zostawił synowi. Jeśli spojrzano się na niego z daleka, wydawało się, że śpi. Ale zza mostka, tuż poniżej szyi, sterczała mu rączka stalowych nożyczek. Była to jedna z par używanych w zakładzie. Ktoś dostał się do środka, gdy akurat syn wyszedł na chwilę, by napić się herbaty ze stoiska na rogu ulicy Targowej, chwycił nożyczki i zatopił je głęboko nad obojczykiem niczego nieświadomego, pogrążonego w letargu starca.

Niektórzy spodziewali się od dawna, że taki będzie jego koniec. Wiadomo było, że Abu Zajdun nie umrze śmiercią naturalną we własnym łóżku. Boska sprawiedliwość by na to nie pozwoliła. Synowie mieli zwyczaj wynosić go z domu na białym plastikowym krześle, które stawiali przed zakładem. Zostawiali go tam i odchodzili bez pożegnania, bez dobrego słowa. Abu Zajdun śledził mętным wzrokiem ludzi przechodzących ulicą, odpowiadał znajomym na ich powitania, zdarzało się, że podnosił rękę, by pozdrowić jakąś duszę przechodzącą obok niego. Czasem syn

pracujący w zakładzie słyszał, jak ojciec wita się z kimś, ale gdy wyglądał przez okno, by zobaczyć z kim, nikogo nie było.

Późniejszy raport mówił, że Abu Zajdun zmarł w wyniku zawału. Być może zabójca się spóźnił, zaatakował go, gdy ten już był martwy. Synowie chętnie zaakceptują taką interpretację wydarzeń; nie będą mieć siły, by szukać zemsty.

– Biedny. Wystarczyło jedno pchnięcie, by wyprawić go w podróż na spotkanie z Najwyższym – skomentował śmierć Abu Zajduna Faradž. Można było wyczuć sarkazm, gdy z uśmiechem na twarzy przeciągał sylaby ostatniego słowa. W ciągu ostatnich lat ludzie rozprawiali o Abu Zajdunie, o tym, jak przyczynił się do wysłania na front wielu młodych ludzi. Był aktywnym działaczem różnych organizacji funkcjonujących w ramach partii Baas. Z oddaniem i cierpliwością tropił wszystkich uchylających się od służby wojskowej albo ociągających się ze zgłoszeniem do poboru, prawdopodobnie brał też udział w nalotach na domy. Wielu go nienawdziło i nie brakowało mu wrogów, dlatego nikt nie wiedział, kto stoi za tą zbrodnią. Bez wątplenia nie był to przypadek. Kilku ludzi wysiliło się, by powiedzieć parę dobrych słów o Abu Zajdunie podczas uroczystości żałobnych. O tym, jak pomagał ludziom, jak służył potrzebującym. Przypomniano też, że jego rola zapalonego i okrutnego członka partii trwała tak naprawdę tylko kilka lat na początku wojny iracko-irańskiej. Tak chcieli go pamiętać. Śmierć, jak mówią, dodaje martwemu godności, a żywych wprawia w poczucie winy, by łatwiej było przebaczyć.

Ale jedna osoba nie miała zamiaru szukać usprawiedliwienia dla Abu Zajduna ani też dawać mu darmo przebaczenia za to, co zrobił z jej życiem. Jaki jest pożytek ze sprawiedliwości, która przychodzi po czasie? Sprawiedliwość potrzebna jest tu i teraz. Później przyjdzie bolesna zemsta – wieczna męka z rąk sprawiedliwego Pana, męka, która nigdy się nie skończy. To będzie zemsta. Jeśli zaś chodzi o sprawiedliwość, to musi się ona dokonać tu, na ziemi, przy świadkach. Tak właśnie czuła Umm Daniel, słuchając relacji swojej przyjaciółki Umm Salim, która wstrząśnięta opowiadała o zabójstwie starego nikczemnika. Umm Salim sama była jedną z tych kobiet, które przysięgły zabić w ofierze barana przed drzwiami swego domu, jeśli Bóg zemści się na Abu Zajdunie. Jednak już o tym zapomniała. W końcu minęło dwadzieścia lat od czasu, jak jej starszy syn Salim został zabity na wojnie. Ale Umm Daniel nie

zapomniała. Umm Salim miała jeszcze troje innych dzieci, dom tętniący życiem, a staruszka Eliszeba tylko oskubanego kocura, zdjęcia i stare meble. Gdy dowiedziała się o zabójstwie Abu Zajduna, podziękowała w duszy Bogu i od razu przypomniała jej się uroczysta przysięga, jaką złożyła. Zapali dwadzieścia różanych świec na ołtarzu Maryi Dziewicy w pobliskim kościele ormiańskim. Dwadzieścia świec, po jednej za każdy rok życia jej syna, którego Abu Zajdun zabrał jej siłą. Nie odejdzie od ołtarza, dopóki dwadzieścia płomieni nie zniknie wśród roztopionego wosku. To dopiero ugasi ogień gniewu płonący w jej sercu. Wtedy dopiero dojrzy sprawiedliwość Boga, a On dopiero wówczas zasłuży na jej podziękowanie.

Ojciec Jozjasz na pewno chciałby, by prosiła Boga o wybaczenie dla Abu Zajduna. Tak się nie stanie, ojciec Jozjasz o niczym się nie dowie. Bóg, Święty Jerzy, kocur Nabo i duch jej syna powiedzą jej, że to, co robi, jest słuszne. Że ma pełne prawo szukać sprawiedliwości. To tylko wzmocni jej wiarę i doda jej udręczonej duszy energii potrzebnej, by dalej żyć.

5

Dwóch młodych chłopaków siedziało z Hadim na jego ulubionej ławce w kawiarni Aziza Egipcjanina. Tędy, o gładkich wąsach, obydwaj ubrani w różowe koszule i czarne lniane spodnie, jakby byli członkami jakiegoś klubu czy drużyny. Włosy gładko przycięte, baki wyrównane do ucha. Śmiali się dużo i opowiadali dowcipy. Zdążyli już wypić po cztery filiżanki herbaty, odkąd przybyli tu rano i usiedli przy Hadim. Jeden położył dyktafon na środku drewnianego stołu. W pewnym momencie spojrzeli na towarzysza i powiedzieli jednocześnie:

- Opowiedz nam historię zwłok.
- Historię Jak-mu-tam – poprawił ich Hadi.

Tak nazwał istotę, którą stworzył – w końcu nie były to zwykłe zwłoki. Zwłoki należą do konkretnego człowieka, a w tym przypadku było inaczej. Mógł jak zwykle opowiedzieć całą historię ze szczegółami, ale szybkie spojrzenie na dyktafon leżący

na stole wzbudziło w nim niepokój. Atmosfera w dzielnicy była w ostatnich dniach niepewna. Aziz wrócił z kolejną filiżanką herbaty, postawił ją przed Hadim i puścił mu oko, co ten natychmiast zrozumiał. Ci dwaj nie podobali się Azizowi. Byli tajniakami albo pracowali dla wywiadu wojskowego czy jakiejś innej agencji bezpieczeństwa. Jest oczywiste, że to spotkanie zakończy się aresztowaniem Hadiego.

– Jak-mu-tam umarł, świeć Panie nad jego duszą.

– Ja to umarł? Nie, opowiedz od początku. Jak powstały zwłoki?

– Jak-mu-tam.

– Niech ci będzie, Jak-mu-tam. Napij się i opowiedz nam tę historię, my stawiamy.

– Przecież mówię wam, że umarł – powiedział Hadi, po czym wstał prędko. Krzyknął do Aziza, żeby wlał przyniesioną przed chwilą herbatę z powrotem do imbryka. Wyszedł z kawiarni, zostawiając dwóch wesołych młodzieńców w zdumieniu. Spróbowali szczęścia z Azizem, lecz też nabrał wody w usta. Jeszcze przez pół godziny rozmawiali ze sobą szeptem, ale już porzucili swoje szerokie uśmiechy. Dali Azizowi pięć tysięcy dinarów – dużo więcej, niż kosztowała herbata – po czym wyszli.

Okolo południa Hadi wrócił do kawiarni. Usiadł na swoim miejscu. Za chwilę z pobliskiej restauracji Alego Sajjida przysłano mu tacę z ryżem i zupą fasolową. Jadł, a gdy Aziz Egipcjanin skończył sprzątać filiżanki i talerze za ladą kawiarni, usiadł naprzeciw niego z poważną miną.

– Co się z tobą dzieje? Zapomnij o tych bzdurnych opowieściach.

– Ale co się stało?

– Co się stało?! Szukają człowieka, który zabił czterech żebraków, Abu Zajduna i jednego oficera, którego znaleźli uduszonego w pokoju dziwek, w domu Umm Raghad.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Ta twoja opowieść wpakuje cię w kłopoty. Jak Amerykanie cię dopadną, to wiesz, gdzie cię zabiorą? Bóg jeden wie, o co cię mogą oskarżyć.

Nagle serce Hadiego zaczęło bić mocniej, mimo to postanowił dokończyć obiad. Podjął w duchu decyzję, nic nie mówiąc swojemu przyjacielowi, że już nigdy więcej

nie piśnie ani słowa o Jak-mu-tam. Aziz opowiedział mu, co mówił pijany żebrak na temat mordercy czterech innych żebraków: paskudny, usta zniekształcone od rany. Przekazał mu też słowa Umm Raghad i jej dziewczyn o człowieku, który wdarł się do nich po ciemku i udusił oficera śpiącego w łóżku jednej z nich. Jego ciało było lepkie, jakby był wysmarowany krwią albo sokiem pomidorowym. Gdy wskoczył na dach, kilku chłopaków wystrzeliło do niego z karabinów. Dziś wszyscy chodzą uzbrojeni. Wystrzelili w jego stronę serię pocisków, a te po prostu przechodziły przez jego ciało. Nie zwolnił biegu, skakał zwinnie pomiędzy dachami, aż zniknął im z oczu. Umm Salim twierdzi, że gdy siedziała na ławce przed domem, widziała na własne oczy dziwnie zbudowanego mężczyznę w wypłowiałej wojskowej kurtce. Naciągnął nakrycie głowy tak, żeby patrząc z daleka, nie dało się dostrzec żadnego szczegółu jego twarzy. Nadchodził od strony zakładu fryzjerskiego Abu Zajduna, wpatrzony w ziemię. Nigdy wcześniej jej oczy nie widziały nic brzydszego. Nie mieściło jej się w głowie, żeby Bóg stworzył taką twarz. Już od samego patrzenia człowieka ogarniały przygnębienie i strach. Opowiadała tak o tym przybyszu każdemu, kogo napotkała, twierdząc, że to on zabił starego Abu Zajduna. W końcu któregoś dnia synowie Abu Zajduna pojawili się u niej – grozili jej na oczach męża i dzieci i nakazali, żeby skończyła z tymi opowieściami. Ich ojciec zmarł na zawał.

– Twoja historia zaczyna się robić przerażająca, uważaj lepiej na siebie – zakończył Aziz.

Podniósł się, żeby przyjąć zamówienie od kilku starszków, którzy właśnie weszli do kawiarni. Hadi siedział dalej na swoim miejscu, gapiąc się przez szybę kawiarni na samochody i przechodniów na ulicy Targowej. Wyjął z kieszeni papierosa, odpalił i zaciągnął się. Palił tak przez pół godziny. Była to chyba najdłuższa chwila nieprzerwanego milczenia w całym jego życiu. Na moment zapomniał o sprawach związanych z pracą, którymi normalnie zajmował się popołudniami. Skupił się całkowicie na ziarenku strachu, które powoli zaczynało w nim kiełkować. Kłamstwa mogą stać się prawdą. Przypomniał mu się sen sprzed wielu lat. Przewinał go w pamięci, jednocześnie przetrawiając na nowo słowa Aziza. Nabrał pewności, że przyjaciel o czymś wie. W końcu, pomijając krew czy też sos pomidorowy, cała reszta opisu tych wszystkich zbrodniarzy bardzo mu coś przypominała: usta wykrzywione

przez ranę przebiegającą wzdłuż obydwu szczęk, ogólny wygląd paskudny, szwy przecinające czoło i policzki, wielki nos.

Wszedł z kawiarni, pożegnawszy Aziza. To prawdziwy przyjaciel. Cała reszta miała Hadiego za prostaka. Gdyby zniknął, nikomu nie byłoby żal. A trzeba powiedzieć, że w ostatnich czasach wielu zniknęło bez żadnego wyjaśnienia. Hadi tego nie chciał, chciał żyć. Kupować nieużywane od dawna sprzęty, odnawiać je i sprzedawać ponownie, nie myśląc o gromadzeniu majątku ani o rozwijaniu biznesu – wolał trzymać się z dala od tej gorączki. Najważniejsze były dla niego pieniądze, które miał w kieszeni, nic więcej. Żeby wystarczyło mu na spędzenie nocy z kobietą, gdy zechce, i na alkohol. Żeby mógł jeść i pić to, czego zapragnie. Żeby zasypiał i budził się bez strażnika nad głową i bez odpowiedzialności.

Poszedł na targowisko Hardż przy Bramie Wschodniej, gdzie sprzedawano starocie. Oddał w komis jednemu handlarzowi kilka odbiorników radiowych i magnetofonów marki National. Handlarz odmówił kupienia ich wszystkich naraz, ale zgodził się wystawić je na straganie i przekazywać Hadiemu pieniądze za każdy sprzedany sprzęt, a jeśli nie uda mu się któregoś sprzedać, odda mu go, kiedy tylko sobie tego zażyczy.

Przed zachodem słońca Hadi wrócił do dzielnicy, gdzie przestraszyły go grupy patrzących podejrzliwie na każdego amerykańskich żołnierzy, którzy patrolowali ulice w mundurach i hełmach, z karabinami skrzyżowanymi na piersiach. Dostrzegł Faradza w długiej szarej szacie, z czarnym sznurem modlitewnym w ręku, jak rozmawiał z jednym z tłumaczy. Mając w pamięci strzelaninę z ostatniej nocy, nabrał pewności, że to rutynowe przeczesywanie dzielnicy w poszukiwaniu broni. Szedł blisko muru, starając się z całych sił nie napotkać wzroku żadnego z żołnierzy. Wszedł do domu i docisnął z trudem jedno z odrzwi, żeby je szczelnie zamknąć. Nasłuchiwał w oczekiwaniu, aż zapukają do jego domu, żeby przeprowadzić kontrolę. Może otworzą drzwi kopniakiem jak w telewizyjnych reportażach? Trwał tak niespokojnie długie minuty, aż upewnił się, że żołnierze opuścili ulicę. Zajął się renowacją małych drewnianych stołów. Wbił kilka gwoździ, potem polakierował meble i wystawił je na dziedziniec do wyschnięcia. O zachodzie słońca wszedł z domu i poszedł do Edwarda Paulusa – sprzedawcy alkoholu, który zamknął swój lokal przy ogrodzie

Umma z powodu granatu ręcznego, który ktoś podrzucił mu pewnego razu nad ranem. Granat wybuchł i spowodował pożar lokalu, więc właściciel przeniósł swój biznes – jedyny, na którym się znał – do domu. Hadi kupił od Paulusa pół butelki araku, następnie udał się do sklepu znajdującego się obok po trochę białego sera, oliwki i parę innych rzeczy, po czym wrócił do domu. Przez długie nocne godziny pił powoli i spokojnie, siedząc na łóżku, postawiwszy butelkę araku, kieliszek i tacę zakąsek na wysokim żelaznym stoliku. Słuchał cichego trzeszczenia radia w ciemności, którą rozjaśniało jedynie słabe światło okadzonej latarenki. Swoim zwyczajem uniósł kieliszek, jakby znajdował się właśnie w tętniącym życiem barze, i wzniósł toast za niewidzialnych towarzyszy biesiady. Za duchy ludzi, którzy odeszli, i za tych, których nigdy nie spotkał. Wznosił toasty za przedmioty porozrzucane w jego pokoju, pomiędzy którymi grasowały szczury. Wychylił ostatni kieliszek i usłyszał jakieś dziwne dźwięki dochodzące od strony drzwi. Wyciągnął szyję i zobaczył, że drzwi się ruszają. Otworzyły się na oścież i wyłoniła się zza nich ocieniona sylwetka wysokiego mężczyzny. Krew zastygła Hadiemu w żyłach, gdy zobaczył, że postać zbliża się do niego. Gdy światło latarenki padło na twarz gościa, ukazały się w pełni jej rysy. Twarz zaorana szwami, wielki nos, usta jakby przecięte w połowie.

Arak i Krwawa Mary

1

W pierwszych godzinach poranka jeden z pomocników Faradża przyszedł mu powiedzieć, że jacyś ludzie kręcą się po dzielnicy i malują sprayem niebieskie znaki na jego domach. Byli to członkowie organizacji zajmującej się ochroną zabytków w Bagdadzie. Towarzyszyli im przedstawiciele służb bezpieczeństwa stolicy i rady prowincji. Faradž zaniepokoił się, więc zabrał swoją skórzaną aktówkę pełną ważnych dokumentów i ruszył im na spotkanie razem z grupą młodych ludzi z dzielnicy, którzy pomagali mu czasem w załatwianiu różnych spraw. Spotkali tamtych przed domem Umm Daniel. Pukali, ale nikt nie odpowiadał ani nie otwierał drzwi. Z pobliskiego domu wyszła do nich Umm Salim i powiedziała, że Eliszemy nie ma, poszła do kościoła się pomodlić. Jeden z młodych wstrząsnął w dłoni puszkę ze sprayem i namalował niebieski znak X na ścianie domu. Potem skierowali się w stronę domu Hadiego i tam również narysowali znak X, ale tym razem na czarno. Znaczyło to, że dom nie nadaje się do renowacji i można go wyburzyć. Wreszcie Faradž pojął co nieco z tego, co mówili. Z całą pewnością planowali przejęcie jego domów i tych, które zgodnie z literą prawa, na podstawie ważnych umów wydzierżawił od państwa. Powiedzieli mu, że to tylko rutynowe działania w celach statystycznych, służące określeniu liczby zabytkowych domów, w szczególności takich, które posiadają wykusze z ażurowymi okiennicami. Ale Faradž, który położył rękę na czterech czy pięciu takich domach, uznał, że chodzi o wydarcie mu budynków podstępem, stracił

więc resztki panowania nad sobą i wdał się w utarczkę z pracownikami służb. Jeden z nich podniósł wysoko palec i pogroził Faradżowi, mówiąc, że utrudnia działania pracowników rządowych w ramach oficjalnej misji. Kilku sąsiadów wtrąciło się do sprawy, odciągając Faradża na bok. Ludzie z organizacji i pracownicy rządowi poczuli się zagrożeni, więc prędko odjechali. Później Faradż dowiędzie się, że niektórzy z nich pojawiali się jeszcze w dzielnicy pojedynczo, zaczęli też odwiedzać staruszkę Eliszabę, żeby ją przekonać do sprzedaży domu państwu z zastrzeżeniem, że może pozostać w nim tak długo, jak Bóg pozwoli jej żyć, bez ponoszenia żadnych opłat. Państwo przejmie władzę nad domem automatycznie po jej śmierci lub wyprowadzce.

Co, jeśli przyjmie tę propozycję? Dla Faradża, agenta nieruchomości, byłaby to tragedia. Jednak, jak się wydaje, staruszka swoim zwyczajem odmówiła im. Powiedziała, że nie może dysponować domem pod nieobecność syna. Gdy tak słuchali, ogarniała ich coraz większa konsternacja, czuli, że dalsza rozmowa byłaby stratą czasu. W końcu zajmowali się wieloma podobnymi domami w różnych częściach starego Bagdadu. Zanotowali tylko kilka uwag na temat budynku i jego właścicielki. Być może jedynie zapisali sobie termin kolejnej próby uzyskania od niej szczegółowych informacji. W przeciwieństwie do ludzi z towarzystwa ochrony zabytków Faradż doskonale wiedział, co staruszka ma na myśli. Ale jeszcze nie miał na to żadnych dowodów. Czy to w kolejce do piekarni, czy to u mleczarza kobieta opowiadała o potrawach, jakie przyrządza dla swojego syna, który powrócił. To samo mówiła na dziedzińcu domu Umm Salim, gdzie wraz z sąsiadkami spędzała czas na tłuczeniu młotkiem orzechów i picciu gorącej herbaty. W pierwszej chwili kobiety się zasmuciły, bo uznały, że biedna stara Eliszaba w dziwnej czerwonej chuście na głowie kompletnie już straciła rozum. Jednak pewnej nocy, tuż po zmroku, ktoś zobaczył młodego człowieka wychodzącego z jej domu.

Kiedy wieść się rozeszła, kilku młodych chłopaków zaczęło ukrywać się za rogiem. Może gość wyjdzie jeszcze któreś nocy. Jednak nic takiego się nie wydarzyło. Minął tydzień i zapomnieli o całej sprawie. Potem całkiem przez przypadek zobaczyli mężczyznę wychodzącego przez drzwi i zamykającego je za sobą. Próbowali za nim biec, ale on biegł szybciej, aż w końcu zniknął im z oczu.

Umm Salim powiedziała swoim sąsiadkom, że jej mąż zna całą prawdę. Siedzi

całymi dniami przy oknie balkonowym na drugim piętrze, czyta stare gazety, a od czasu do czasu zerka, by sprawdzić, co się dzieje w okolicy, śledzi wchodzących do domów i z nich wychodzących; to jego jedyna rozrywka. Jej mąż zapewnia, że ten gość to nie tylko zwykły złodziej, przestępca, który omamił staruszkę, wmówił jej, że jest jej synem. On używa jej domu jako kryjówki. Usłyszawszy to, pewna młoda dziewczyna, bywalczyni tych babskich spotkań, krzyknęła, że za tym wszystkim stoi Faradz, agent nieruchomości. Umm Salim otworzyła usta ze zdziwienia, choć wiedziała, że Faradz wyrzucił tę kobietę i jej dzieci z domu, który od niego wynajmowała, po tym jak nie zapłacili wyższego czynszu. Teraz dziewczyna rzucała jadowite komentarze o Faradzu, twierdziła, że jest odpowiedzialny za całe zło w dzielnicy. Ale czy właśnie tak nie było? Przecież wyrzucił ją w najciemniejszą noc, nie miał litości dla niej i jej małych dzieci. Przy kolejnych spotkaniach w domu Umm Salim rozwinęła swoją teorię i jeszcze mocniej się jej uczepiła.

Jakiś czas później ta gderliwa sąsiadka, upewniwszy się najpierw, że kobiety zapomniały o jej poprzednich wywodach, stwierdziła, że młody mężczyzna, który wspiął się po niskiej ścianie domu Hadiego i skoczył w przestrzeń pomiędzy dwoma zwalonymi pokojami na drugim piętrze do domu staruszki Eliszeby, miał plan ją zaskoczyć i udusić śpiącą w łóżku. Nikt nie będzie dochodził powodu śmierci starej kobiety. Po prostu Bóg zabrał jej duszę, gdy spała – tak powiedzą i o wszystkim zapomną. Jej zdaniem mężczyzna zszedł po schodach i zastał Eliszebę siedzącą z lampą naftową w wychodzącym na ulicę dużym pokoju gościnnym, w którym od kilku dekad nic nie zmieniano. Zobaczył, jak się modli, rozmawiając ze Świętym Jerzym. Jej słowa trafiły do jego serca, choć nie rozumiał jej języka. Mówiła po syriacku do wielkiego obrazu zawieszzonego na ścianie. Mężczyzna odniósł wrażenie, że ktoś jej na te słowa odpowiada. Zbliżył się do drzwi, nadstawił ucha i upewnił się, że słyszy rozmowę dwóch osób. Spojrzał na pokój oświetlony tylko słabym blaskiem lampy naftowej, ale nie zobaczył nikogo prócz staruszki zaciskającej dłoń na metalowym krzyżu różańca. Zbliżyła go do ust, by złożyć na nim pocałunek. Odwróciła głowę i ujrzała intruza stojącego tuż przed nią. Wychudzony kot otarł się o jego nogi, łasił się tak chwilę, aż w końcu odszedł i usiadł u stóp staruszki. Młody przestępca stał w osłupieniu, nie wiedząc, co robić. Jakby przyspiliło go to jej czułe,

matczyne spojrzenie. Powiedziała: „Chodź, mój chłopcze”. Więc przyszedł do niej posłusznie, poddając się rozkazom jak dziecko. Potem padł w jej objęcia, szlochając.

Oczywiście ani Umm Salim, ani żadna z kobiet nie uwierzyła w tę historię, ale zawołały jednym głosem: „Niech będzie błogosławiony Prorok Muhammad i jego ród!”. Historia przyprawiła je o gęsią skórkę. Ta kobieta potrafiła trafić w samo serce. Nie miało znaczenia, że opowieść jest zmyślona – ważne, że była ekscytująca. Przecież spędzały tu, na dziedzińcu domu Umm Salim, znaczną część dnia po to właśnie, by uciec myślami od dzielnicy Batawin i jej nudnej codzienności. Po to, by odpłynąć do innego świata. Ta kobieta, która tak zaprzysięgła się przeciw Faradzowi, stanęła na wysokości zadania w pełnym znaczeniu tego słowa. Były jej za to wdzięczne.

– Bądź przeklęty, Faradzu, idź do diabła! – krzyknęła Umm Salim, a inne kobiety powtórzyły za nią to przekleństwo, a potem jeszcze dodały od siebie wiele innych złorzeczeń. Dało to młodej kobiecie poczucie wewnętrznego spokoju. Nagle okazało się, że już wcale tak bardzo nie nienawidzi agenta nieruchomości Faradza.

2

Było ciepło, więc Eliszeba zrezygnowała z ciemnej bluzy, którą zwykle nosiła. Założyła lekki, jednolity ciemnoniebieski kostium, na głowie zaś wciąż miała czerwoną chustę w czarne kwiaty, która stała się ostatnio symbolem jej przemiany. W zeszłym tygodniu nie brała udziału w modlitwie. Wolą iść do kościoła Świętego Qardagha w Akad al-Asurijjin przy Szejch Omar i spełnić kilka spóźnionych „islamskich” przysięg. Nałożyła garść henny na metalową kołatkę u wielkich drewnianych drzwi w anglikańskim kościele Świętego Jerzego przy Bramie Wschodniej. Podlała kwiaty w małym ogródku przy syryjskim kościele ortodoksyjnym. Podjęła się różnych skomplikowanych misji, których wypełnienie zajęło jej cały tydzień. Położyła garść henny na ścianę opuszczonej synagogi, podobnie uczyniła z drzwiami meczetu Orfali – jedyne meczetu w Batawin, przy

ulicy Sa'adun.

Zapaliła indyjskie kadzidło przed ołtarzem Marii Dziewicy w kościele Świętego Abdisza, nim zjawił się tam ojciec Jozjasz. W ten to sposób dopełniła wszystkich złożonych obietnic. W ubiegłym tygodniu młodsza córka Eliszeby dwukrotnie dzwoniła do ojca Jozjasza na telefon komórkowy. Miał zamiar posłać do staruszki starego diakona Nadira Szamoniego, gdyby i tej niedzieli się nie pojawiła w kościele.

Nim jeszcze rozpoczął mszę, podszedł do niej, żeby przekazać, że córki o nią pytały i że Matyllda zadzwoni ponownie dziś w południe. Na twarzy Eliszeby pojawił się szeroki uśmiech. Podziękowała ojcu. Uczestniczyła w nabożeństwie, jej usta poruszały się, gdy bezgłośnie odmawiała swoją ulubioną modlitwę: „Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”, ale jej umysł był zajęty spóźnioną o trzy tygodnie rozmową.

Po mszy pomogła rozkładać na szerokich stołach w sali ceremonialnej jedzenie, które przyniosły parafianki. Zjadła razem z innymi, a gdy skończyli, pożegnano ojca Jozjasza, młodych diakonów, sprzątaczkę i policjantów w rządowych samochodach stojących przed bramą kościoła dla ochrony. Wszyscy wyszli, ale Eliszeba została, czekając na rozmowę z córką. Nagle ogarnęło ją uczucie podobne do rozpacz, gdy zdała sobie sprawę z ciszy, jaka zapanowała dookoła niej. Dwa czy trzy razy telefon się odezwał, ale dzwonił ktoś z domu ojca Jozjasza, dzwonili księża i przyjaciele. W końcu nadeszło połączenie, na które czekała staruszka. Ojciec Jozjasz usłyszał po drugiej stronie łączy znajomy głos, uśmiechnął się i podał telefon Eliszebie.

– Hilda była chora... nie chcieliśmy ci o tym mówić... Chora psychicznie, była w szpitalu, ale teraz jest lepiej.

– Wrócił Daniel, Matylldo. Wrócił mój synek.

– Tak naprawdę Hilda ma żal. Mówi, że już nigdy się do ciebie nie odezwie. Nie ma jej tutaj przy mnie. Nie słyszy, co mówię. Właściwie to będzie zła, kiedy się dowie, że zadzwoniłam.

– On jest teraz ze mną. Nie chce wyjść, spotkać się z ludźmi. Wychodzi tylko nocą, po dachu. Znika na kilka dni, ale potem wraca.

– Dobrze się czujesz? Próbuję się do ciebie dodzwonić sto razy na dzień i nic

z tego. Myślałam, że zwariuję. Czasem, gdy dzwonię, odpowiadają mi jakieś obce osoby. O co chodzi?

– U mnie wszystko dobrze. Jak się mają Hilda i dzieci? Jak twoje pociechy, urosły? Daj mi je do telefonu.

– Hilda jest w szpitalu, ale już lepiej. Jej starszy syn jest bardzo podobny do Daniela. Chce w tym roku iść na medycynę.

– Daniel, moje oczko w głowie. Mój kochany chłopak, moje słoneczko.

– Wysłałyśmy ci pięćset dolarów. Sama przekazałam je do biura wymiany walut Ijada Hadidiego w Karradzie. Na nazwisko ojca Jozjasza, odbierze je i ci przekaże. Czy czegoś ci trzeba?

– Potrzeba mi, żebyście wróciły i wypełniły dom życiem.

– Nie wrócimy. To ty powinnaś przyjechać, będzie ci tu lepiej. – Matyldzie po chwili przyszło do głowy, żeby odwołać się do uczuć religijnych matki: – Tutaj, w Melbourne jest asyryjski kościół pod wezwaniem Świętego Jerzego. Czy to nie ma dla ciebie znaczenia? Wspomniałam o tobie tutejszemu proboszczowi, ojcu Antoniemu Michałowi, chętnie cię przyjmie.

– Nie pojedę, zostanę tutaj z moim synem Danielem.

– Powiedz temu Danielowi, że córki cię potrzebują, na pewno zrozumie.

– To ty zrozum, Matyldo.

– Cały kraj wokół ciebie stoi w ogniu, Boże! Dobrze, od teraz nie będę się tym przejmować, nie będę płakać! Zabijasz nas! Uwielbiasz nas dręczyć.

– No to nie dręcz się już więcej i nie smuć. Nie dzwoń, póki się nie uspokoisz.

– Jak to mam nie dzwonić?

Staruszka oddała telefon ojcu Jozjaszowi. Stopy jej zdrętwiały od stania w miejscu. Zawsze prowadziła te rozmowy na stojąco. Czowała załazek gniewu buzujący w piersi. Słuchała rozmowy ojca Jozjasza, który właśnie otrzymywał od Matyldy instrukcje co do odbioru przelewu i potrzeb materialnych staruszki. Córka pytała też o rentę, którą Eliszeba otrzymywała raz na trzy miesiące, i o wsparcie dla potrzebujących zarejestrowanych w kościele. Skarżyła się, że jej sytuacja finansowa nie jest najlepsza, ale że przygotowują się do przyjazdu, żeby zabrać matkę, zanim

sprawy całkiem się skomplikują.

– Jeśli będzie trzeba, zabierzemy ją siłą. Nie ma prawa tak długo nas torturować.

Ojciec Jozjasz odpowiadał jej uprzejmie i próbował ją trochę uspokoić. Nie był w stanie wesprzeć jej w tych zamiarach. Obowiązek religijny zakazywał mu zachęcania wiernych do wyjazdu, ale nikogo przed tym nie powstrzymywał. Zazwyczaj uwierzytelniał wyciągi z ksiąg kościelnych – świadectwa ślubu, urodzenia i tym podobne, których potrzebowali przed wyjazdem, by ułatwić im procedury związane z przystąpieniem do nowych parafii na emigracji, gdziekolwiek by to było.

Rozmowa się skończyła. Staruszka nie wyglądała na zadowoloną. Ojciec Jozjasz towarzyszył jej do drzwi kościoła i zaproponował, że któryś diakon zawiezie ją samochodem do domu, ale odmówiła. Wystarczyło, że wsiądzie do autobusu na początku ulicy i bez przesiadania się dojedzie do Bramy Wschodniej. Nim odeszła, odwróciła się w stronę ojca Jozjasza, zdjęła wielkie okulary i powiedziała z determinacją, aż błyszczały jej oczy, że nie życzy sobie już więcej żadnych rozmów telefonicznych. Nie będzie odpowiadać na telefony córek ani też sama nie będzie chciała do nich dzwonić. Ojciec Jozjasz roześmiał się i próbował poklepać ją po chudym ramieniu, ale ona dodała stanowczo, że jeśli kapłan nie uszanuje jej prośby, to od przyszłego tygodnia zacznie chodzić do kościoła Świętego Qardagha przy Szejjch Omar. A tutaj nigdy więcej już nie przyjdzie.

3

Nagle zrobiło się ciepło – Mahmud Sawadi poczuł to, przewracając się w łóżku w swoim pokoju w hotelu Uruba, tonącym w ciemności z powodu trwającej już od kilku godzin przerwy w dostawie prądu. Zgadywał, że zbliżające się lato będzie upalne. Co Abu Anmar zamierza w kwestii klimatyzacji? Chyba zależy mu, żeby i latem ktoś mieszkał w jego wiekowym hotelu?

Wiedział, że niektóre hotele w Batawin, na ulicy Sa'adun i w Karradzie, w szczególności te, które mają stałych klientów, zaczęły się już przygotowywać na

letnie temperatury. Ich właściciele zakupili agregaty prądotwórcze produkowane na zamówienie w niektórych warsztatach. Urządzenie takie było połączeniem silnika samochodu marki Kia z głowicą generatora i dzięki temu było znacznie tańsze od podobnych agregatów importowanych z zagranicy. Zapewniało hotelowi wystarczającą ilość energii, w szczególności w nocy. Ale Abu Anmar nie należał do tego typu właścicieli. Nie zainteresował się tematem, bo i tak nie miał pieniędzy na agregat, a co dopiero na benzynę do niego. Zostało mu już tylko czterech klientów. Opłata za noc równała się dziesięciu dolarom, co łącznie nie dawało dużej sumy. Ale ostatecznie była to sprawa Abu Anmara. Mahmuda zaś obchodziło tylko to, jak przetrwać nadchodzące lato. Jak wielu innych doświadczył w poprzednich sezonach upalnych nocy, niepozwalających spać, torturujących ciało, a za dnia powodujących destrukcyjne lenistwo. Niepotrzebne mu teraz takie utrudnienia, kiedy akurat potroił wysiłki, żeby wzmocnić swoją pozycję w gazecie i dalej pracować na zaufanie redaktora naczelnego.

Oprócz wykonywania obowiązków redakcyjnych i nadzoru nad składem często zmuszony był jeździć z Saidim po całym mieście, a pod nieobecność szefa miał siedzieć w jego biurze, by odbierać telefony z drukarni i od reklamodawców. Jeden z telefonów Saidiego zawsze leżał w biurze podłączony do ładowarki. Kiedy dzwonił, nikt oprócz Mahmuda nie miał odwagi odebrać. Czasem Mahmud nosił go przy sobie, poruszając się po redakcji, i podłączał do ładowarki przed zakończeniem pracy. Raz odebrał połączenie od wysoko postawionego parlamentarzysty, który oskarżał redakcję o publikację, jak twierdził, sfabrykowanego raportu na temat utworzenia przez niego zbrojnej grupy odpowiedzialnej za zlikwidowanie kilku jego politycznych rywali. Mahmud wystraszył się i zaczął przeproszać, tłumacząc jednocześnie, że redaktora naczelnego nie ma w tej chwili w biurze i że opublikowany raport cytował Agence France Presse.

– Przecież jesteście po naszej stronie, dlaczego nas oczerniacie? – ciągnął polityk, a Mahmud jeszcze wylewniej przeproszał, przeklinając w duchu okoliczności, które sprawiły, że znalazł się w tej krępującej sytuacji. Uznał, że zadzwoni do Saidiego i o wszystkim mu opowie. Ale Saidi odniósł się do sprawy chłodno i polecił Mahmudowi nie przejmować się tym zbytnio.

Innym razem odebrał połączenie z nieznanego numeru. W miejscu nazwiska dzwoniącego na ekranie telefonu wyświetliła się liczba 666, a wiedział z amerykańskich filmów, że ta liczba oznacza Bestię z biblijnej wizji Daniela. Czego chce Bestia? Czyżby gazeta tym razem opublikowała jakiś materiał oczerniający bestie?

– Halo?...

Po drugiej stronie odezwała się Nawwal Wazir. Chyba nie zorientowała się, że nie rozmawia z Alim Bahirem Saidim. Mówiła bez skrępowania, poirytowanym głosem. Rzucała w Mahmuda słowami jak piorunami. Wylewała wszelkie swoje żale, a Mahmud słuchał z niesmakiem, bojąc się odezwać, żeby nie zdradzić swojej tożsamości.

– Dlaczego nie odpowiadasz? – zapytała Nawwal Wazir podniesionym głosem, a Mahmud ze wstydu wolał się rozłączyć. Co, jeśli ta sprawa nie spodoba się Saidiemu? Dlaczego zostawia tu swój telefon? Czemu nie ma jednego telefonu tylko do spraw redakcyjnych? Nawwal Wazir pomyśli sobie, że to Saidi rzucił słuchawką. Wygląda na to, że się nie dogadują. Chyba naprawdę była jego *fuck buddy*, jak to któregoś dnia określił Farid Szawwaf.

Mahmud poczuł nagły smutek, gdy wyobraził sobie jej delikatne ciało w objęciach Saidiego. Na pewno spał z nią dziesiątki razy. Seks z taką kobietą jest wart każdego wysiłku. Uff...

Skończył pracę w południe, gdy Farid Szawwaf i reszta dziennikarzy opuścili budynek redakcji. Służący przyniósł mu obiad z pobliskiej restauracji. Ogarnęło go odrętwiające zmęczenie. Zimne powietrze klimatyzatora smagało jego twarz i poczuł się senny. Nie miał ochoty wychodzić do kawiarni na spotkanie z przyjaciółmi ani wracać do hotelu Uruba i jego pozbawionej życia atmosfery. Poza tym zapach przegniłych od wilgoci ścian przy takich temperaturach był jeszcze bardziej uporczywy. Mahmud położył się na czerwonej skórzanej kanapie w biurze Saidiego i zamknął oczy, próbując zasnąć. Usiłował wymazać z głowy wszystko i się odprężyć, wyobrażając sobie Nawwal Wazir wchodzącą do redakcji. Jest gorąco, więc zrzuca z siebie ubranie, potem kładzie się obok niego na łóżku i obejmuje go swoim

delikatnym, pulchnym ramieniem.

4

O zachodzie słońca obudził go Saidi. Kilka razy próbował się do niego dodzwonić. Służącego, który mieszkał niedaleko redakcji, nie było. Miał w zwyczaju wychodzić w ciągu dnia kilkakrotnie, potem wracał, żeby się upewnić, że wszyscy wyszli, dopiero wtedy wyłączał agregat prądotwórczy i zamykał wszystkie wejścia.

Saidi był czymś bardzo podekscytowany, więc nie kontynuowali tematu nieodebranych połączeń. Mahmudowi przypomniały się wydarzenia tego dnia, w tym niespodziewany telefon Nawwal Wazir, ale odegnał z myśli jej obraz i śledził dalej ruchy Saidiego krzątającego się po biurze. Ten zajrzał do kilku szuflad w swoim biurku, wyjął jakieś papiery, włożył je do torby i powiedział Mahmudowi, że dziś udało mu się sfinalizować świetny interes.

– Generał Surur miał rację.

Nie wyjaśnił, w którym momencie swojego wyводу Surur miał rację ani jakiego tematu to dotyczyło. Potem zniknął na kilka minut w toalecie, co Mahmud wykorzystał, by się dobrać i odzyskać odrobinę energii. Czuł, że wszystkie mięśnie mu osłabły, bolało go całe ciało. Umył twarz przy umywalce, poprawił włosy i ubranie. Saidi wyszedł z toalety i powiedział mu, że mają coś razem do załatwienia, a potem pójdą świętować.

Odjechał z szefem jego eleganckim samochodem, instruując w pośpiechu starego służącego, by zamknął redakcję. Najpierw udali się do biura nieruchomości w Karradzie. Saidi negocjował z jego właścicielem cenę kawałka ziemi z widokiem na Tygrys – wyglądało na to, że planuje zakup. Wizyta w biurze trwała długo, zdążyli wypić cztery herbaty. W trakcie niekończących się negocjacji Mahmud śledził wydarzenia na ekranie telewizora. Wyszli dopiero z nastaniem nocy. Mahmud był głodny, nie wiedział, co Saidi ma w planach i o jakim świętowaniu mówił. Ruszyli czarnym mercedesem w mrok, kierując się do Arasat. Wjechali w ulicę Abu Nuwasa,

gdzie oczom Mahmuda ukazały się jasne latarnie, a za murem raz po raz wyłaniała się rzeka, w której migotały refleksy światła lamp stojących na drugim brzegu. Spodziewał się, że wraz z Saidim zmierzają na kolację do jakiegoś luksusowego lokalu z astronomicznymi cenami. Zdziwił się więc, gdy weszli do wysokiego budynku, chronionego przez straż rozstawioną przed wejściem i na końcu długiego korytarza. Dali się przeszukać, a potem usłyszeli dźwięki popularnych piosenek i dobiegający się z za niektórych drzwi charakterystyczny zapach – mieszankę alkoholu, słodkiego dymu fajki wodnej i papierosów. Saidi zarezerwował stolik blisko parkietu w sali głównej – jak zawsze telefonicznie. Nie liczył się z wydatkami. Pieniądze to klucz do wszystkiego, to cudowna lampa – myślał sobie Mahmud, siedząc wśród zgiełku sali. Hałas był okropny, ale Saidi nie widział w tym problemu. Pochylił się w stronę swojego młodego towarzysza, żeby się upewnić, że ten słyszy, co do niego mówi. Mahmud niczego nie usłyszał, ale i tak skinął głową na znak, że rozumie. Saidi już więcej nie ponawiał próby nawiązania rozmowy; z uśmiechem patrzył na występujący na scenie zespół. Nic nie mąciło jego spokoju. Mahmud nie potrafił ukryć przed samym sobą uczucia zazdrości względem tego mężczyzny.

Chciał powiedzieć mu o telefonie Nawwal Wazir. Chciał go zapytać o różne sprawy związane z gazetą, dziennikarzami, reklamodawcami. Ale było zbyt głośno, by mogli się usłyszeć. Nie chciał też mącić jego radości sprawami dnia codziennego.

Kelner postawił przed nimi dwa kieliszki krwistoczerwonego napoju. Saidi upił łyk, po czym pochylił się do Mahmuda, krzycząc mu do ucha:

– Krwawa Mary.

Tak, Krwawa Mary. Pyszna, świetna, doskonała. Co za rozkosz. W jakich jeszcze uciechach pławi się ten mężczyzna? Bez wątpienia to szczęśliwy człowiek... Czyli teraz Nawwal Wazir jest szatanem? Z pewnością zamienił ją na jakąś inną. Taki ktoś jak Saidi nie może być sam, wiadomo. Wspaniale, cudownie.

Znów pojawił się kelner, tym razem niosąc butelkę ciemnej whisky, nowe kieliszki i wiaderko wypełnione lodem. Zza niego wyłonił się kolejny kelner z talerzem zakąsek. Pierwszy wprawnie otworzył butelkę i nalał whisky do obu kieliszków. Nachylił się delikatnie, by usłyszeć, co Saidi ma mu do powiedzenia, potem

uśmiechnął się i odszedł.

Pili dalej, zespół nagle przestał grać, więc dało się usłyszeć inne dźwięki: stukanie kieliszków, głosy ludzi, rozmowy prowadzone szeptem przy sąsiednich stolikach. Wreszcie też mogli porozmawiać. Czy naprawdę takie miejsca są w Bagdadzie?

Farid Szawwaf ostrzegał Mahmuda przed zbytnią uniżonością względem Saidiego. „Nie bądź jego podnóżkiem”. To zdanie niemal wisiało w powietrzu, choć Farid nigdy nie wypowiedział go na głos. Bał się je wypowiedzieć – sprawiłby koledze przykrość. Ale Mahmud i tak zawsze był w stanie je wyczuć pomiędzy słowami starego przyjaciela. Nie był niczym podnóżkiem. Nie zabiegał o względy szefa, przeciwnie – to Saidi wszędzie go ze sobą ciągnął. To on go potrzebował. Pytanie tylko: do czego?

Do tej pory zapoznał go z połową rządu, wieloma oficerami i zagranicznymi dyplomatami. Wśród nich były również podejrzane postacie, o których nigdy w życiu nie słyszał, jak generał Surur Madżid. Obarczył go potwornymi tajemnicami. Jaki miał w tym wszystkim cel? Co ostatecznie będzie miał z tego wszystkiego? Mahmud nie miał odwagi zadać tych pytań. Wierzył, że odpowiedzi na nie tak czy siak kiedyś nadejdą.

Wreszcie zdobył się na odwagę, by zapytać:

– Co to znaczy, że generał Surur miał rację?

Saidi wydawał się pogrążony w myślach, jakby starał się przypomnieć sobie cokolwiek z wydarzeń mających związek z pytaniem Mahmuda. Potem nagle szeroko się uśmiechnął.

– Chodzi o drukarnię. To byłaby tragedia. Pojawiły się maszyny nowej generacji, niemieckiej produkcji. Większość ludzi pracujących w tym biznesie wyczekuje momentu, aż sytuacja się ustabilizuje, a nie pogorszy. Wtedy będą mogli działać. Nie zapominaj, że w tym roku czekają nas bezprecedensowe wybory. Będzie dużo pracy przy promocji, plakatach, całej kampanii.

– A więc zamierzasz kupić nowszą maszynę drukarską czy porzuciłeś na razie temat?

– Nie, kupiłem dom przy placu Andalus. To ten dzisiejszy interes. Umieblowany dom od starego Amirliego.

Mahmud nabrał pewności, że może pytać, o co chce, skoro szef tak spokojnie odpowiada na jego pytania – choć może to tylko z powodu jego dzisiejszego dobrego nastroju, whisky i Krwawej Mary. Chciałby mieć odwagę zapytać go o sprawy prywatne. Na przykład o Nawwal Wazir. Ale grupa muzyczna wznowiła nagle swój głośny występ – zegrali numer, który oryginalnie wykonywał Hussein Naama, tylko w nieco szybszym rytmie. Mahmud zbliżył kieliszek do ust i wziął duży łyk, potem zabrał się do przekąsek, od czasu do czasu zerkając na Saidiego. Czuł, że naprawdę lubi tego człowieka i chce kiedyś być taki jak on.

„Musisz zrozumieć, Farid, nie chcę być jego sługusem, ja chcę być jak on!” – tak powie swojemu staremu przyjacielowi, gdy go następnym razem spotka. Nie trzeba mu jego rad, które mu tylko mieszają w głowie.

Wciąż pił spokojnie, gdy nagle zdał sobie sprawę, że Saidi patrzy na niego dziwnym wzrokiem. Uśmiechał się znad kieliszka; wydawało się, jakby chciał coś powiedzieć, i to coś bardzo konkretnego.

– Tak bardzo chciałbym być na twoim miejscu. Gdyby istniała siła, która pozwoliłaby nam zamienić się miejscami. Ale dla nas już za późno, ha, ha, ha.

Mahmud aż otworzył usta ze zdziwienia. Te słowa były jak dotknięcie czarodziejskiej różdżki, dzięki której spełniało się jego największe marzenie. Chciałby mieć odwagę, by odpowiedzieć Saidiemu:

– Ja też chciałbym zmienić się w ciebie. Chciałbym zamienić się z tobą miejscami. Nie widzę w moim życiu sensu innego, niż zostać kimś takim jak ty, stać się któregoś dnia kolejnym Alim Bahirem Saidim.

5

Hadi poczuł złość i rozczarowanie, gdy dowiedział się, że staruszek Abd al-Wadud Amirli sprzedał swój dom z całym umeblowaniem. I że wyjedzie do Moskwy w ciągu najbliższych dwóch tygodni, by poślubić swoją drogą przyjaciółkę, którą poznał wiele dekad temu, gdy jeszcze studiował w Rosji chemię.

Nie powinno do tego dojść. Tyle czasu i wysiłku poświęcił, by przekonać staruszka do sprzedaży jego rozpadających się antyków – tych wszystkich pamiątek, z którymi mężczyzna tak bardzo był związany. A teraz nagle ten ogłasza, że pozbył się wszystkiego: swojej pamięci, swoich mebli i domu po to, by zafundować sobie na koniec życia spóźniony miesiąc miodowy.

Nie, to nie powinno było się wydarzyć. Hadi pilnie potrzebował pieniędzy, by zaspokoić swoje skromne potrzeby. Ostatnie dni spędził w ciągu alkoholowym, od czasu tamtej ciemnej nocy, gdy odwiedził go przerażający gość, choć zdążył już na chwilę oszukać samego siebie, że ten człowiek jest tworem jego wyobraźni, a nie rąk.

Znów ruszył w drogę; minął plac Andalus, a odcinek przed hotelem Sadir Novotel pokonał powoli. Przypomniała mu się noc, gdy wybuch wyrzucił go w powietrze, i żałował, że wtedy nie zginął.

Długo siedział na krawężniku, paląc papierosa. Zakładał, że zawsze może się tu gdzieś kryć samochód pułapka albo jakaś domowej roboty bomba, gotowa wybuchnąć w każdej chwili. Zakładał też, że szanse na śmierć ma większe, jeśli będzie siedział na krawężniku. Został więc tak do zmroku, pogrążony w rozmyślaniach o tym, że dziesiątki takich prowizorycznych bomb wybuchają albo są rozbijane każdego dnia. Nie ma dnia bez przynajmniej jednego samochodu pułapki. Dlaczego więc w wiadomościach widzi nieustannie, jak umierają inni, a sam pozostaje żywy? On też musi kiedyś trafić do wiadomości. Taki właśnie czeka go los, dobrze o tym wie.

Gdy wrócił do dzielnicy, dowiedział się od Aziza Egipcjanina, że Abu Anmar, właściciel hotelu Uruba, chce go widzieć. Poszedł więc i zastał go w recepcji, z wielkim brzuchem, siedzącego w długiej szacie i tradycyjnej białej chuście na głowie przewiązanej czarną obręczą. Przed sobą trzymał gruby tom, czytał. Zdjął okulary, zamknął książkę i podał Hadiemu rękę na powitanie.

Hadi nie przypominał sobie, żeby często spotykał się z Azizem w ostatnich latach, ale widywał go w dzielnicy i czasem wpadali na siebie przypadkiem. Raz czy dwa wdał się z nim w pogawędkę.

Słyszał też o nim kilka plotek – najważniejszą dla Hadiego była ta o jego związku z Weroniką Munib, Ormianką, która raz w tygodniu sprząta u niego w hotelu.

Niektórzy twierdzili nawet, że jej nastoletni syn Andrzej, który pomagał przy sprzątaniu, jest tak naprawdę synem Abu Anmara.

Hadi nie zamierzał upewniać się, czy to prawda – w końcu wiedział, że plotki rozłazą się jak robaki po ścianie.

Abu Anmar powiedział mu, że planuje sprzedaż mebli z kilku pokoi, bo przygotowuje się do renowacji hotelu. Ma nadzieję znaleźć kupca na łóżka, stoły, wyposażenie łazienek, lustra, szafy i inne przedmioty. Krew napłynęła Hadiemu do twarzy, gdy tego słuchał. Starał się zebrać w głowie wszystkie rzeczy, które trzeba przedyskutować przy okazji takiej transakcji. Powiedział, że jest gotów podjąć negocjacje. Abu Anmar pomyślał, że rundka po pokojach pomoże Hadiemu się zorientować i dokładniej oszacować wartość przedmiotów.

Jednak rundka okazała się dla Hadiego rozczarowująca. Pokoje, które zajmowali Mahmud Sawadi, stary Algierczyk Luqman i dwaj inni lokatorzy, okazały się najlepsze w całym hotelu. Meble w nich wciąż nadawały się do użytku. Cała reszta to były stare graty, niektóre zjedzone przez korniki, innymi zajęła się wilgoć. Mimo to Hadi nie zmienił zdania i zapewnił Abu Anmara, że znajdzie kupca na jego meble. Usiedli razem. Wtedy Hadi zauważył mały drewniany stolik ukryty za ladą recepcji. Stały na nim pełna butelka araku, kieliszek i talerz ogórków. Wyglądało na to, że Abu Anmar lubił się napić. Hadi nie czuł się na siłach, by pić tego wieczoru – jego ciało miało już dość alkoholu, o czym dobitnie świadczył zapach, jaki wokół siebie roztaczał. Już samo zwleczenie się z łóżka popołudniem, żeby odwiedzić staruszkę Amiriego, było wyzwaniem. Stawiał kroki z trudem. Zazwyczaj musiało minąć trochę czasu, by alkohol wyparował mu z głowy. Ale cóż miał począć w tej chwili? Ogarnęło go takie pragnienie, gdy patrzył na tę wspaniałą butelkę, tak dostojnie i niewzruszenie stojącą na małym drewnianym stoliku.

Abu Anmar kontynuował swój wywód o wymianie mebli hotelowych i nawet mu do głowy nie przyszło, by zaproponować gościowi kieliszek. Hadi nie był z rodzaju ludzi, których Abu Anmar lubił. Właściciel hotelu może i zakładał okulary do czytania, ale ślepy nie był. Widział od razu, że ten sprzedawca staroci to człowiek nie zrównoważony i niespełna rozumu. Gdyby któregoś dnia okazało się, że jest

złodziejem albo mordercą, wcale by się nie zdziwił. Takie rzeczy widać. Wszystko można wyczytać z wyglądu człowieka i jego zachowania. Wezwał tu dziś Hadięgo w sprawach biznesowych i nic więcej.

Abu Anmar skończył mówić, ale Hadi nie miał ochoty wychodzić. I nagle wydał się właścicielowi hotelu bardzo dziwny. Sytuacja zrobiłaby się niezręczna, ale w tej chwili nadszedł Mahmud Sawadi. Był pijany, ale ze wszystkich sił starał się tego po sobie nie pokazać. Poczł uderzenie powietrza z wiatraka zawieszzonego pod sufitem i od razu przypomniała mu się ponura atmosfera, przed którą przez cały dzień uciekał. Wypił trochę za dużo na spotkaniu z Saidim, więc pragnął teraz jedynie iść prosto do łóżka. Jego umysł nie był w stanie na niczym się skoncentrować, nie obchodziły go wilgoć, brak klimatyzacji, nieprzyjemny zapach w pokoju.

Podniósł rękę na powitanie i wtem na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech – dostrzegł znanego gawędziarza. Usiadł razem z nim w recepcji i zapytał, co słycać, poklepując go po udzie. Nie było jeszcze późno, Saidi zakończył oblewanie sukcesu dość wcześnie – być może bał się, że ogłoszą godzinę policyjną. Podrzucił Mahmuda na ulicę Siódmą i szybko odjechał.

Mahmud nie zwracał uwagi na poważny wyraz twarzy Abu Anmara. Najwyraźniej właścicielowi hotelu nie podobał się pomysł, że Hadi zostanie u niego dłużej, niż to konieczne. Chciał powrócić do nieśpiesznego popijania alkoholu przy lekturze dzieł o astrologii i przepowiedniach, które uwielbiał. Jako że Mahmud kontynuował rozmowę z Hadim, Abu Anmar rozsiadł się za ladą recepcji. Potem całkiem spokojnie, ignorując towarzyszy, nalał sobie araku, dorzucił kostkę lodu i zaczął sącyć napój. Przy wcześniejszych okazjach zapraszał Mahmuda i fotografa Hazima, żeby napili się z nim; lubił z nimi gawędzić. Ale dziś sprawy miały się inaczej.

Mahmud był porządnie wstawiony, czuł ucisk w żołądku. Chwilę wcześniej, idąc ulicą w stronę hotelu, postanowił, że spróbuje zwymiotować do toalety, jeśli to uczucie nie ustąpi. Być może uznał, że dobrze mu zrobi, gdy posiedzi chwilę, pogada, zajmie głowę czymś innym. Przyjrzał się bacznie Hadiemu. Jako że nic nie wzbudziło jego niepokoju, zagadnął go w sprawie dziwacznej historyjki. Tej o zwłokach, które własnoręcznie pozszywał. Abu Anmar podniósł nieznacznie głowę znad książki

i spojrzął na Mahmuda ponad okularami z pewnym zdziwieniem, ale i zaciekawieniem.

Do dziś Hadi był związany obietnicą, którą złożył samemu sobie, gdy Aziz Egipcjanin nakazał mu milczenie i nieopowiadanie tej historii w obecności żadnej żywej istoty. Potem odkrył, że nie jest zmyślona. Wtedy opowiadanie jej przestało go bawić. W szczególności po tym, jak los sam dopisał jej ciąg dalszy.

Nikt oprócz Aziza nie wiedział, że Jak-mu-tam, bo tak Hadi go nazywał, wrócił do niego pewnej nocy, stanął przed nim żywy i o własnych siłach. Miał misję do wypełnienia. Sprawa nie była ani trochę zabawna. Na świecie dzieją się dziwne rzeczy, a Hadi, sprzedawca staroci, był tylko i wyłącznie narzędziem. Tak jak para prostych, niewykształconych ludzi, która może wydać na świat proroka, zbawiciela albo tyrana. Wówczas tych dwoje nie jest odpowiedzialnych za kataklizm, który potem przychodzi. Oni są tylko pośrednikami w sprawie większej i bardziej znaczącej od nich. Więc co Hadi miał powiedzieć teraz temu dziennikarzowi, którego głowa chwiała się od ilości spożytego alkoholu? Chłopak nieporadnie próbował to ukryć, podpierając głowę ręką złożoną w pięść, albo zmieniał pozycję za każdym razem, gdy zaczynał tracić równowagę.

Dla Mahmuda sprawa nie była do końca poważna, ale opowieść Hadiego przeszła jego wyobrażenia. Oczekiwał luźnej pogawędki z gatunku tych, do których Hadi przyzwyczyił swoich słuchaczy. Zabawnej historyjki za darmo, po której pójdzie do swojego pokoju, padnie na łóżko i prześpi całą noc jak dziecko.

– Opowiem ci, jak to się wszystko skończyło. Tylko tobie. Ale pod dwoma warunkami.

W oczach sprzedawcy staroci płonęło szaleństwo. Mahmud dostrzegał je w nim od samego początku, dlatego teraz poczuł narastającą ekscytację i zaciekawienie. Abu Anmar porzucił czytanie i też zaczął nasłuchiwać.

– Jakimi?

Hadi, starając się wyglądać poważnie, pogłaskał swoje wąsy i gęstą brodę, nim odpowiedział.

– Musisz w zamian powierzyć mi jakiś swój sekret i... drugie zadanie... postawisz

mi obiad i butelkę araku.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tajemnice

1

Pierwsze raporty, jakie przygotowała grupa astrologów w biurze generała Surura Muhammada Madżida, pracująca intensywnie od poprzedniego wieczoru, mówiły o duchach gromadzących się na moście Imamów na rzece Tygrys, łączącym dzielnice Kazimijja i Azamijja. Surur zaczął podejrzewać, że ci wróżbici i astrologowie nie odróżniają zjaw i duchów od normalnych ludzi, którzy w ostatnim czasie wyruszyli tłumnie z różnych stron Bagdadu, kierując się do dzielnicy Kazimijja na obchody związane ze śmiercią ich imama Musy Kazima.

Ostateczny raport od Wielkiego Astrologa przyszedł około południa w różowej kopercie; określono w nim przybliżoną liczbę „duchów”. Miało ich być około tysiąca. Surur, czytając go, jednocześnie śledził w telewizji doniesienia z ostatniej chwili o dziesiątkach ludzi zabitych na moście Imamów z powodu plotki o zamachowcu samobójcy idącym wraz z innymi w procesji. Wybuchła panika, wiele osób stratowało tłum, część utonęła po tym, jak rzuciły się do wody.

Surura ogarnęła wściekłość, że nie był w stanie zrobić nic, by zapobiec tej tragedii. Potem przypomniał sobie coś, co jeszcze wzmogło jego przygnębienie. Zawsze dostarczał odpowiednim organom cennych informacji, ale rzadko robiono z nich użytek. Pomijano je albo ignorowano celowo. Donosił o wielu przestępcach. Z wielkim wysiłkiem udawało mu się ustalić miejsca, w których się ukrywali, a mimo to nigdy żadnego z nich nie zatrzymano, a nawet jeśli coś w ich sprawie zrobiono, rola

Wydziału Inwigilacji i Ścigania oraz jego szefa była całkowicie pomijana. W telewizji zawsze musiał pojawić się oficer Sił Obrony Narodowej albo ktoś z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na tle swoich podwładnych, jakby to on był jedynym autorem sukcesu operacji. Ani słowa o Wydziale Inwigilacji i Ścigania, ani słowa o wysiłkach podejmowanych przez grupę zadaniową, na której czele stał człowiek poważny i surowy, generał brygady Surur Muhammad Madzid. Miał też podejrzenia co do Amerykanów. Wykorzystywali go do tworzenia mapy strategicznej posunięć zarówno wrogów i oponentów, jak i sprzymierzeńców, by móc używać tych informacji w sposób, jaki im odpowiadał. Który, można by dodać, nie zawsze zgadzał się z tym, jak Surur rozumiał „korzyści”. Większość nocy w tygodniu spędzał w biurze. Miał niewielki pokój, a raczej kabinę, na zapleczu swojego luksusowego biura. Mieściły się tam tylko łóżko i szafa na ubrania. Miał tu wszystko, czego potrzeba do życia, oprócz kobiecego ciała, ale o tym za często nie myślał. Skupiał się na swoim dążeniu do sukcesu. Chciał stać się człowiekiem niezastąpionym, którego nie będą mogli się pozbyć. Czekał na swój wielki moment, jakiś spektakularny awans. Tym wielkim momentem mogłoby być na przykład ujęcie niebezpiecznego przestępcy. Pracował nad tym od dwóch miesięcy. Grupa zadaniowa pod jego przewodnictwem, złożona z astrologów i analityków, usiłowała ujednoczyć informacje na temat serii dziwnych zabójstw w Bagdadzie. Wątki prowadziły prawdopodobnie do tej samej osoby. We wszystkich przypadkach ofiara była jedna. Zazwyczaj śmierć następowała przez uduszenie. Rysopisy winnego, sporządzone na podstawie zeznań naocznych świadków, były ze sobą niemal zgodne.

Generał doszedł więc do wniosku, że za wszystkimi tymi przestępstwami stoi ten sam człowiek. Prawie każdego dnia zdarzało się morderstwo lub dwa, co z upływem dni i miesięcy dało masę ofiar. Później, w przeddzień wydarzeń z duchami w roli głównej na moście Imamów, Wielki Astrolog przyszedł do generała z radosną wiadomością. Udało mu się ustalić imię przestępcy. Podporządkował sobie dziny i duchy, wykorzystał też tajemną wiedzę Babilończyków, astrologię oraz nauki Sabejczyków[7] i mandejczyków[8], żeby dotrzeć do aury imienia otaczającej ciało zbrodniarza.

– Brzmi ono „Ten, który nie ma imienia”.

Wielki Astrolog podniósł rękę w przesadnie patetycznym geście, który zresztą wkomponowywał się w cały jego wygląd: długa biała broda ze szpiczastą końcówką, kapelusz czarnoksiężnika i zwiewna szata rodem z kreskówki.

– Co to ma znaczyć: Ten, który nie ma imienia? To jak ma na imię?

– „Ten, który nie ma imienia”.

Wielki Astrolog cofnął się kilka kroków i odwrócił z zamiarem opuszczenia biura generała. Zwierzchnik nie zatrzymał go, by żądać wyjaśnień, bo takie dziwne zachowanie było tu, w Wydziale, rzeczą normalną. Surur nauczył się daleko idącej elastyczności w tolerowaniu dziwactw astrologów – w końcu byli jego podstawowym źródłem informacji. Pograżył się w myślach. Bał się, że „Ten, który nie ma imienia” jutro może stać się tym, który nie ma tożsamości... tym, który nie ma ciała, tym, którego nie można aresztować i umieścić w celi.

Ale na razie mógł zignorować sprawę przestępcy. Tragedia na moście Imamów była ogromna. Musiał przygotować raport na temat ustaleń wydziału na wypadek, gdyby zażądali tego Amerykanie albo rząd. Po południu zebrał grupę współpracujących z nim oficerów, by omówić sprawę. Jeden z nich wspomniał o ważnej informacji, którą otrzymał zaledwie dwie godziny wcześniej. Otóż owe duchy, które unosiły się nad mostem Imamów, były tak naprawdę duszami zamieszkującymi ludzkie ciała. Przebywały uśpione w ciałach zupełnie niezdających sobie z tego sprawy ludzi, którzy nosili je w sobie przez cały czas. Mogły tam być bardzo długo – dusze śpią i jest tak, jakby ich w ogóle nie było. Ale mogą też się zbudzić, uwolnić, opuścić ciało, a to szczególnie z jednego powodu – strachu. Dusze takie mają swoją nazwę, znaną dobrze astrologom: „refleksy strachu”.

Grupa skończyła przygotowywanie raportu. Zaczęto spisywać szczegóły obserwacji i śledztwa, analizy, rekomendacje. Wyszło tego pięć stron. Zamknięto je w różowej kopercie i dostarczono generałowi. Surur nie był pewien, czy rząd albo Amerykanie zażądają od niego tego raportu, ale i tak zadbał o jego sporządzenie – musiał być w końcu przygotowany w każdej chwili i na każdą niespodziankę.

Astrologowie wrócili do części mieszkalnej w siedzibie wydziału. Po ukończeniu oficjalnych czynności część oficerów opuściła budynek, strażnicy porzuchodzili się do

swoich budek. Generał wyłączył telewizor i poszedł do kabiny, w której sypiał, uruchomił klimatyzację i położył się na łóżku. Zamknął oczy na minutę, w trakcie której słyszał tylko świst klimatyzatora. Myśli kłębiły mu się w głowie. Nie wiedział, skąd wzięło się u niego poczucie, że to, co do tej pory krążyło w jego umyśle, teraz krąży gdzieś pod sufitem. A wśród tych myśli jest duch, refleks jego własnego strachu. Refleks, który nie ma imienia. Jego imię to „Bezimienny”. Generał żył w strachu, że pewnego dnia obudzi się rano i zobaczy przed sobą swoją dymisję podpisaną przez premiera. W strachu, że Amerykanie któregoś dnia odetną się od jego wydziału i zostawią go na pastwę partii rządzącej. Był w nim jeszcze inny, głębszy strach. Skoro do walki przeciwko swoim licznym wrogom zaprzął dżiny, duchy, zjawy, astrologów i wróżbitów, nie minie wiele czasu, aż jego wrogowie podporządkują sobie te same siły przeciwko niemu. Możliwe było nawet, że wszystkie lęki w jego sercu to właśnie wynik wysiłków z ich strony.

Wyciągnął rękę w bezwiednym ruchu, by chwycić za kark „refleks” swojego strachu. Otworzył szeroko oczy, ale pomiędzy ręką a sufitem nie zobaczył niczego.

2

Mahmud powiedział, że kocha kobietę swojego szefa i chce iść z nią do łóżka, ale Hadiemu to wyznanie nie wydało się ani trochę zawstydzające.

– Opowiedziałem ci o mojej najbardziej przerażającej tajemnicy. Opowiedziałem ci, co zrobił Jak-mu-tam. Gdyby te wieści dotarły do policji, byłby ze mną koniec. Chcę, żebyś w zamian wyjawiał mi jakąś prawdziwą tajemnicę.

Mahmud długo milczał, a jego wzrok wędrował po ruinach domu, w którym mieszkał sprzedawca staroci. Przypomniawszy sobie kilka sytuacji z przeszłości i postanowił wyznać:

– Powiem ci zatem, że nie sędzę, by moja rodzina to byli prawdziwi Arabowie. Nie jesteśmy Arabami ani nawet muzułmanami.

– Tylko kim?

– Myślę, że mój pradziadek albo prapradziadek był Sabejczykiem. Przeszedł na islam, bo zakochał się w muzułmance, został przyjęty do jej plemienia i ożenił się z nią. Mój ojciec spisał te wszystkie rzeczy w swoim pamiętniku, który jednak po jego śmierci moja matka i bracia spalili.

– I jaki w tym problem?

– Ogromny! Nie jesteśmy prawdziwymi Arabami.

– Opowiadałem w kawiarni, że mój dziadek był wysokiego stopnia wojskowym w armii osmańskiej, a teraz już sam nie wiem, czy to była prawda czy tylko mój wymysł.

– A ta historia, którą mi teraz opowiedziałeś, to prawda czy kolejne kłamstwo?

– Nawet tak nie myśl, smuci mnie to.

– No to daj mi jakiś dowód, że mówisz prawdę, wtedy ci uwierzę.

– Czego konkretnie chcesz?

– Weź mnie na spotkanie z tym Jak-mu-tam.

– Nie, to niemożliwe. Mógłby cię zabić.

– Ukryję się gdzieś pomiędzy gratami w twoim domu i będę patrzył ukradkiem.

– Problem w tym, że nie wiem, kiedy może się zjawić i czy w ogóle jeszcze kiedyś przyjdzie.

– No to znajdź inny sposób, bo wydaje mi się, że próbujesz się wymigać.

– Przysięgam, że nie. Powiedz tylko, czego chcesz, a ja to zrobię.

– Zrób mu zdjęcie! Dam ci aparat, a ty go sfotografujesz.

– Nie ma szans, wtedy na pewno mnie zabije.

Mahmud mruknął z niezadowoleniem i wstał z drewnianego krzesła, które Hadi postawił mu na środku podwórka swojego walącego się domu, bo w pokoju temperatura była nie do zniesienia. Dziennikarz nie spodziewał się, że rozmowa pomiędzy nim a Hadim zajdzie aż tak daleko. Kiedy spotkał go przypadkiem poprzedniego wieczoru w recepcji hotelu Uruba, był w zupełnie innym nastroju. Przed rozstaniem u drzwi hotelu dał Hadiemu dziesięć tysięcy dinarów na obiad i butelkę araku. Umówili się na następny dzień, by opowiedzieć sobie swoje mroczne tajemnice. Mahmud powiedział to z widocznym rozbawieniem, a potem siedział

jeszcze jakiś kwadrans z Abu Anmarem w recepcji. We właścicielu hotelu nagle zbudziła się jego zwyczajowa gościnność i zaprosił przyjaciela na kieliszek araku. Ten jednak odmówił grzecznie, bo jeśli chodzi o picie, to już przynajmniej godzinę wcześniej osiągnął z Alim Bahirem swoją górną granicę.

Dziś, w całym tym chaosie, jaki zapanował po śmierci dziesiątków ludzi na moście Imamów, Mahmud zapomniał o całym świecie. Redaktor naczelny zostawił mu na głowie wydanie całego najbliższego numeru i wyjechał rankiem do Irbilu wraz z polityczno-ekonomiczną delegacją w jakiejś sprawie związanej z ropą naftową czy czymś podobnym. Powiedział, że polega na nim i ma do niego pełne zaufanie. Wszystko będzie dobrze, zostawia mu całkowitą swobodę działania na każdym polu.

Ulice były praktycznie nieprzejezdne z powodu wzmocnienia ochrony pielgrzymek religijnych przybywających do dzielnicy Kazimijja, więc drogę do budynku redakcji pokonał pieszo. Nikt oprócz starego służącego nie pojawił się w pracy. Mahmud zauważył, że jeden z telefonów Saidiego jest jak zwykle podłączony do ładowarki. Włączył go i zobaczył czternaście nieodebranych połączeń, połowa od użytkownika o nazwie 666.

Co by było, gdyby teraz do niej zadzwonił? Powiedziała by, że to on odebrał ostatnie połączenie i że wie, na czym polega jej relacja z Saidim. I że wcale nie jest od niego gorszy. Niech zapomni o tym mężczyźnie. On już dawno zapomniał. Ten człowiek lubi rozkosze. Jeśli chcesz, możesz spróbować szczęścia po raz drugi czy trzeci z kimś innym. Spróbuj szczęścia ze mną, szatańska kobieto.

Walczył ze sobą, czy nie oddzwonić choćby po to, by usłyszeć jej głos. Tym bardziej że nie widział jej od dobrych dziesięciu dni. W końcu zdecydował, że lepiej będzie poczekać, aż sama zadzwoni. Dzwoniła już siedem razy, na pewno skończy się na co najmniej dziesięciu. Odbierze i ujawni się przed nią.

Nie miał zbyt wiele pracy. Służący chciał mu zrobić kawy lub herbaty, ale Mahmud odmówił, poprosił tylko, by zamknął drzwi, gdy obydwoj będą wychodzić. Zabrał swoje rzeczy z biurka Saidiego i spojrzął jeszcze raz na telefon leżący na stoliku. Poczł pragnienie zrobienia czegoś głupiego. Jakieś niegroźnej głupoty. Tylko usłyszy głos Nawwal Wazir. Nikomu nie powie. Nikt się nie dowie. Wziął telefon,

wyszukał w kontaktach właściwą pozycję i w końcu wybrał 666. Krew pulsowała mu w żyłach, gdy słyszał sygnał po drugiej stronie. Serce zabiło mu szybciej. Sygnał trwał kilka sekund, nim udało się nawiązać połączenie:

– Halo?... Halo...

To była ona, jej falujący, pociągający głos, który tak go dręczył. Ale Mahmud nie zdołał wydobyć z siebie słowa. Nie był w stanie wprawić w drgania swojej krtani i poruszyć ustami. Nie potrafił poruszyć choćby powieką. Sparaliżowany, śledził rozwój wydarzeń, których się kompletnie nie spodziewał.

– Halo?... Bahir, ktoś korzysta z twojego telefonu w biurze.

– Nie wiem... Daj mi telefon. Halo?... Halo... To ty, Abu Dżuni?

Przerwał połączenie. Wyłączył telefon zupełnie. Uderzył nim o stół redaktora naczelnego, jakby poraził go prąd.

A więc ona jest tam z nim. To ponoć konferencja polityczno-ekonomiczna, a przecież ona jest reżyserką filmową. Może pojechała złapać kilka realistycznych ujęć do swojego filmu, o którym tyle mówi. Może to film o polityce, pieniądzu i ropie naftowej. A może o ucieczce od atmosfery religijnych obrzędów Bagdadu, przez które życie zastyga w bezruchu. Może planowała dodać kilka scen łóżkowych do tego swojego wielkiego dzieła.

Odwrócił się i zobaczył, że stary służący Abu Dżuni go obserwuje. A może czekał tylko, aż Mahmud skończy swoje sprawy, żeby mogli wyjść razem i zamknąć drzwi redakcji.

Przez całą godzinę milczał. Wrócił do hotelu pieszo. Zjadł coś szybko w ulicznej knajpie. Pomyślał, żeby zadzwonić do swojego przyjaciela Farida Szawwafa i niby przypadkiem napomknąć o Nawwal Wazir, wiedział jednak, że zrobiłby z siebie pośmiewisko. No to zadzwoni do innego przyjaciela – fotografa Hazima Abuda. Ten z kolei nie zostawi na nim suchej nitki. Powie, że niczego się nie nauczył. Że wciąż jest w tym samym miejscu, z którego już dawno powinien był ruszyć do przodu. „W całej sprawie chodzi tylko i wyłącznie o twojego penisa. Musisz mu znaleźć na stałe jakiś otwór” – powtórzy po raz kolejny to paskudne określenie, żeby go zszokować i umniejszyć emocjonalny aspekt jego zainteresowania Nawwal.

Mahmud dotarł do kawiarni Aziza Egipcjanina i spotkał tam Hadiego, który przypomniał mu o wczorajszej umowie. Zamówił herbatę i poddał się wyimaginowanej opowieści szaleńca w nadziei, że pomoże mu to zapomnieć o wszystkim innym. Hadi opowiadał cicho, od czasu do czasu przerywając, by rozejrzeć się wokół. Nie zachowywał się jak stary bazarz. Mówił, jakby wyjawiał jakąś tajemnicę. Potem, gdy dalsze opowiadanie stało się dla niego kłopotliwe, poprosił Mahmuda, żeby przenieśli się do jego domu, gdzie będzie mógł kontynuować w spokoju.

Gdy skończył relacjonowanie najnowszych wydarzeń, w których Jak-mu-tam grał główną rolę, Mahmud jeszcze przez pół minuty próbował otrząsnąć się z oszołomienia i przetrawić to, co usłyszał. Historia była przerażająca. Ten stary wariat nie byłby w stanie sam czegoś takiego wymyślić. Szczegóły były za bardzo skomplikowane jak na umysł tego prostego człowieka. Hadi wyrwał go z zamyślenia:

– Teraz ty! Powiedz mi swoją straszną tajemnicę!

3

Odkrył przed nim prawdziwą tajemnicę. Nikomu wcześniej, nawet bliskiemu przyjacielowi Hazimowi nie opowiedział o rozterkach, jakie targały nim w związku z jego pochodzeniem. Nie miał okazji, by poruszyć z nim ten temat, a może po prostu brakowało mu odwagi. Tak czy owak, była to prawdziwa tajemnica, którą nosił głęboko w sobie. Nie pamiętał nawet, kiedy ostatni raz wspomniano ten temat w jego rodzinnym domu w prowincji Majsan. Był więc szczery ze sprzedawcą staroci, mimo że tamten zdawał się kompletnie nie doceniać wagi jego wyznania.

Przez resztę dnia Mahmud rozmyślał tylko o tym, co usłyszał od Hadiego. Postanowił sobie, że jak tylko dotrze do pokoju hotelowego, nagra całą opowieść ze wszystkimi szczegółami na dyktafon, żeby jej nie zapomnieć. Wierzył, że emocje mają wpływ na ludzką pamięć. Gdyby umknęło mu uczucie towarzyszące danemu zdarzeniu, to tak jakby utracił jego fragment. Dlatego musiał utrwalić to, co wydawało

mu się w tej chwili ważne, póki uczucia towarzyszące opowieści były silne.

Wszystkie swoje relacje rejestrował w pamięci dyktafonu marki Panasonic, który kupił jakieś pół roku wcześniej przy Bramie Wschodniej. Nagrywał swoje obawy i uwagi, które według niego mogły się przydać w przyszłości. Dyktafon wydawał mu się kolejnym etapem ewolucji szkolnych zeszytów, w których jego ojciec Rijad Sawadi spisywał swoje wspomnienia. Do dnia śmierci zdążył zapełnić ich dwadzieścia siedem, każdy po sto kartek. Mahmudowi udało się przeczytać kilka stron, gdy z rzadka miał po temu okazję, zanim jego matka nie dokonała niewybaczalnej zbrodni – wrzuciła je wszystkie do pieca, podlała naftą i podpaliła. Upiekła na nich dwadzieścia siedem placków chlebowych, pilnując, by pięknie się przyrumieniły w ogniu gorących wyznań ojca. A ten spisywał wszystko. Rejestrował nagą prawdę, eleganckim czarnym piórem, stylem podobnym do tego w książkach do nauki tradycyjnego arabskiego pisma *ruka*. Opisywał swoje sesje masturbacji, choć był już po ślubie. Pisał o kobietach, z którymi chciał uprawiać seks – czasem były to starsze kobiety z dzielnicy. W wyznaniach z dzienników nie przypominał kompletnie osoby, którą znali jego bliscy i mieszkańcy dzielnicy Dżidajda w Al-Amarze. Był człowiekiem poważanym i cieszył się szacunkiem. Ale być może nie do końca podobał mu się ten wizerunek. Być może był w stanie wpisać się w ten narzucony mu schemat tylko dzięki magii codziennych pamiętnikowych zwierzeń.

Bracia Mahmuda po przeczytaniu pamiętników byli zszokowani i głęboko zawstydzeni. Mahmud podsłuchiwał, gdy mówili coś o rodowodzie i zmianie religii, nie był jednak pewien, o czym mówili. A gdy w piecu matki ostygły popioły dwudziestu siedmiu pamiętników, temat został zamknięty i zniknął z ich codziennych rozmów. Mimo to Mahmud czasem przypominał sobie strzępy informacji i próbował z nich ułożyć prawdziwą historię, pogrzebaną na zawsze, bo nie istniał już sposób, by ją potwierdzić. Jedną z takich spraw było samo nazwisko Sawadi, które wymyślił ojciec, nauczyciel arabskiego, ignorując zupełnie zwyczajowo używane nazwisko plemienne. Doszło do tego, że wielu mówiło o ich domu, że mieszka w nim „ród Sawadich”. Jednak śmierć ojca okazała się również śmiercią wymyślonego nazwiska, bo bracia wrócili od razu do rodowego, z którego byli dumni. Mahmud, oburzony tą okrutną próbą wymazania pamięci ojca, zachował nazwisko Sawadi i zdecydował, że pod nim

chce być znany w swoich dziennikarskich dokonaniach.

4

Mahmud wstał z krzesła, które Hadi postawił mu na dziedzińcu swojego walącego się domu. Podniósł wzrok ku niebu, na którym znać już było zbliżający się zachód słońca. Wziął głęboki oddech i powiedział Hadiemu, że nie uwierzy w tę bajkę, dopóki nie dostanie dowodu, że ten Jak-mu-tam naprawdę istnieje.

Pogrzebał w kieszeni, wyjął z niej cyfrowy dyktafon, dał go Hadiemu i powiedział, żeby przeprowadził wywiad z Jak -mu-tam. Niech włączy nagrywanie i zapyta go, co robi, dokąd chodzi, gdzie mieszka.

Zbliżył się do Hadiego i poprosił, by przyjrzał się urządzeniu. Objął mu, jak je włączyć, jak wyłączyć. Stał nad nim dobre pięć minut, pilnując, by towarzysz obeznał się z dyktafonem, nagrał swój głos na próbę i odsłuchał go. To dało mu pewność, że gawędziarz zrozumiał dobrze wszystkie kroki.

– Pilnuj baterii, szybko się wyczerpują.

Powiedziawszy to, wyszedł. Nie był do końca pewien tego, co właśnie uczynił. Przecież ten sprzedawca staroci z całą pewnością jutro z rana przehandluje jego dyktafon. Może to dlatego, że miał taki męczący dzień, a może przez tę dziwną opowieść, kusilo go, by poznać kolejne szczegóły. Co, jeśli Hadi naprawdę dostarczy mu dowodu na istnienie tej tajemniczej postaci? Czy wtedy mu uwierzy?

Szedł w stronę hotelu Uruba, rozmyślał o Saidim i jego szatańskiej kobiecie, o swoich przyjaciółach i o zmarłym przed dziesięcioma laty ojcu. Gdy dotarł do hotelu, zobaczył na chodniku mały agregat prądotwórczy, przyniesiony najwyraźniej przez Abu Anmara. Prądu wystarczyło, by zaopatrzyć w klimatyzację i światło cztery aktualnie zajęte pokoje, recepcję oraz pokój, w którym mieszkał sam Abu Anmar.

Mahmud wspiął się po schodach do swojego pokoju i zaległ na łóżku na całą godzinę. Stopy bolały go od chodzenia. Zamknął oczy, kierując twarz w stronę szybko się obracającego sufitowego wiatraka. Na powierzchnię jego pamięci natychmiast

wypłynął obraz ojca siedzącego w długiej tradycyjnej szacie w pokoju gościnnym ich domu. Na skrzyżowanych nogach miał drewnianą tablicę, a na niej rozłożony zeszyt szkolny. Siedział długo i notował w milczeniu.

Gdy Mahmud otworzył oczy, zapadł już zupełny zmrok; nie wiedział, ile mogło minąć czasu. Wyszedł do pobliskiej restauracji, żeby zjeść kolację. Gdy wrócił, zastał Algierczyka Luqmana siedzącego w recepcji razem z jeszcze innym stałym lokatorem. Byli tam też Abu Anmar i Andrzej – nastolatek, który razem ze swoją matką raz w tygodniu sprzątał w hotelu. Zebrani śledzili wydarzenia na ekranie telewizora, a z zewnątrz dochodził szmer agregatu. Mahmud przywitał się i usiadł, żeby też popatrzeć. I oto czekało go zdziwienie, gdyż na ekranie telewizora zobaczył swojego przyjaciela Farida Szawwafa w szarym garniturze, czarnej koszuli i czerwonym krawacie. Tak eleganckiego Mahmud jeszcze go nie widział.

Abu Anmar podniósł swoją masywną rękę, by przywołać chłopaka, który natychmiast się przy nim pojawił. Posłał go na ulicę, żeby przyniósł ze stoiska cztery filiżanki herbaty.

Wszyscy śledzili program w telewizji ze smutkiem. Wydarzyła się wielka tragedia, największa, jaka dotąd wstrząsnęła Irakiem, jak mówił Abu Anmar. Około tysiąca osób utonęło lub zostało zdeptanych i nikt nie wiedział, kto właściwie zawinił. Na ekranie pojawił się rzecznik rządu ze swoim zwykłym uśmiechem; mówił o tym, jak to udało się udaremnić próbę zamachu bombowego z udziałem zamachowca samobójcy na moście Imamów. Przestępca musiał ratować się ucieczką.

– Gdyby doszło do wybuchu, mielibyśmy dziś tysiące ofiar.

Nagle, gdy tak mówił, donośne, przeciągłe trąbnięcie zadudniło echem w recepcji hotelu i na zewnątrz. Na ten dźwięk wszyscy osłupieli ze zdziwienia, nim zdali sobie sprawę, że to odgłos klaksonu ciężarówki przejeżdżającej właśnie ulicą Targową przez Batawin. Kierowca próbował przepłoszyć z drogi jakieś dziecko.

Prowadzący program po krótkiej wypowiedzi rzecznika prasowego rządu powrócił do swoich gości w studiu. Bardzo elegancki Farid Szawwaf natychmiast zaczął objaśniać swój punkt widzenia:

– Jak powiedziałem wcześniej, odpowiedzialność za tę tragedię ponosi rząd. To

politycy zdecydowali, by ułożyć betonowe blokady na moście, zamiast ustawić punkty kontrolne przed nim i za nim, co zapobiegłoby jego nadmiernemu zatłoczeniu.

Gospodarz programu uniósł dłoń, by przerwać Faridowi i dać dojść do głosu drugiemu z zaproszonych gości – mężczyźnie w podeszłym wieku, łysemu, z rzadką białą brodą. Jemu gospodarz zadał dokładnie to samo pytanie: Kto jest odpowiedzialny za tę zbrodnię? Starzec miał inną teorię:

– Z pewnością komórki Al-Kaidy i zwolennicy byłego reżimu. Nawet jeśli faktycznie nie dokonali tego czynu bezpośrednio, i tak ponoszą za niego odpowiedzialność ze względu na liczne zbrodnie, do których się przyznawali. Dziś wystarczy wymówić ich nazwę, by wywołać popłoch i panikę.

Gospodarz programu przerwał mu, by zapytać:

– Są tacy, którzy uważają, że odpowiedzialność ponosi ten, kto rozpuścił plotkę o obecności zamachowca samobójcy na moście. Powinien był zdawać sobie sprawę z konsekwencji takiego czynu...

– Nie, nie sądzę, że to on ponosi odpowiedzialność. Zresztą nikt nie wie, kto pierwszy podał tę informację. Dało się ją wyczuć w powietrzu. Być może ta osoba, przekonana o obecności zamachowca, z dobrego serca chciała ostrzec przed nim innych.

Gospodarz odwrócił się znów do Farida.

– Sądzę, że wszyscy są w ten czy inny sposób odpowiedzialni za to, co się wydarzyło. Powiem więcej, wszystkie tragedie i wszystkie niebezpieczeństwa, z jakimi się zmagamy, mają jedno źródło i jest nim strach. Ci prości ludzie na moście zginęli z powodu własnego strachu przed śmiercią. Każdego dnia umieramy ze strachu przed śmiercią. Dzielnice, które chronią członków Al-Kaidy i udzielają im wsparcia, robią to ze strachu przed innymi grupami, które z kolei mobilizują się i tworzą swoje bojówki dla ochrony przed Al-Kaidą. Machina śmierci przeciwko innej maszynie śmierci, a wszystko to ze strachu. Dlatego doświadczymy jeszcze więcej przypadków śmierci spowodowanych strachem. Rząd i siły okupacyjne powinny rozprawić się w pierwszej kolejności ze strachem. To strach należy aresztować, jeśli ma się skończyć ta śmiertelna seria.

Generał Surur też śledził program w telewizji. Zrobiły na nim wrażenie szary garnitur i czarna koszula z czerwonym krawatem, które miał na sobie Farid Szawwaf. Prawdziwie imponujący strój. Może powinien wysłać kogoś z asystentów, żeby kupił mu podobny komplet? Wątpił jednak, by nadarzyła mu się okazja założenia czegoś takiego – siedział tu w końcu samotnie przez większość dni w tygodniu, jak jakiś więzień.

Przejrzał wszystkie irackie kanały i zauważył, że wciąż pokazują prawie wyłącznie wydarzenia na moście Imamów. Wszędzie rzucano oskarżenia, a jemu jakiś wewnętrzny głos mówił, że oni wszyscy się mylą. Prawdziwy zbrodniarz wciąż jest na wolności i należy go dorwać. Być może ujmie go tej właśnie nocy.

Upił łyk herbaty ze stojącej przed nim filiżanki. Usłyszał ciche pukanie do drzwi – do biura weszło dwóch tęgich młodzieńców o rzadkich włosach, obaj ubrani w różowe koszule i czarne lniane spodnie. Zasalutowali i stanęli przed nim na baczność. Wziął jeszcze jeden łyk herbaty, a potem odezwał się z największą stanowczością, gdyż tej nocy miało nadejść jego pięć minut. Wezwał tutaj tych dwóch nie z jakiejś konieczności, ale po to, by dać sobie poczucie kontroli nad sytuacją. Rozmowa była więc pozbawiona treści:

– Pójdziecie?

– Tak, generale.

– Tylko bez żadnych wpadek, zachowujcie się normalnie. Aresztujcie go i wracajcie tak szybko, jak się da. Bądźcie twardzi. No dalej, idźcie z Bogiem!

– Tak jest.

Znów zasalutowali energicznie i śpiesznie odeszli.

Generał wrócił do swojej filiżanki herbaty, która zdążyła ostygnąć. Wyciągnął rękę ku plikowi dokumentów na biurku i zaczął je na nowo przeglądać. Zawierały przepowiednie zespołu astrologów i wróżbitów zatrudnionych w Wydziale Inwigilacji i Ścigania. Przyniesiono mu je kwadrans wcześniej. Sprawa wymagała szybkiego przygotowania jego ludzi do aresztowania niebezpiecznego przestępcy – „Tego, który

nie ma imienia”, jak wyraził się jak zwykle oszczędny w słowach Wielki Astrolog.

Dzisiejszą noc Surur spędzi w biurze, czekając na powrót swoich ludzi z pościgu w nadziei, że to będzie koniec historii. Koniec ciągłego bólu głowy, niepokoju i stresu. Urośnie w oczach Amerykanów i rządzących, o których wiedział, że patrzą na niego podejrzliwie i z wielką ostrożnością. Może dostanie awans? Może zdoła wyjść z cienia i trwającej od dwóch lat anonimowości, może wreszcie stanie w świetle reflektorów?

Ciekawe, jak będzie wyglądał ten zbrodniarz? – myślał sobie generał, przechadzając się po swoim wielkim biurze. Jak może wyglądać mężczyzna, którego ciało przeszywają pociski, nie powodując śmierci ani nawet krwawienia? Jak brzydka, jak szpetna może być jego twarz? Myślał też, w jaki sposób ten człowiek zostanie złapany, skoro nie lęka się śmierci ani wystrzałów z broni palnej. Czy ma jakieś nadprzyrodzone moce? Co, jeśli zacznie zionąć ogniem i spali jego ludzi na popiół? Albo ucieknie przed pościgiem, unosząc się na niewidzialnych skrzydłach? Albo nagle rozplynie się w powietrzu, jakby go w ogóle nie było?

Surur wiedział, że na te wszystkie pytania uzyska odpowiedź za dwie, trzy godziny.

[7] Sabejczycy – wymieniony w Koranie lud o niejasnym pochodzeniu, zaliczany do tzw. Ludów Księgi, a więc wyznający religię objawioną, utożsamianą współcześnie z mandeizmem.

[8] Mandejczycy – grupa religijna zamieszkująca głównie tereny Iraku, posługująca się językiem mandejskim (jednym z dialektów aramejskich); jej przedstawiciele utożsamiani są z koranicznymi Sabejczykami.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nagrania

1

Mahmud otworzył przesuwne drzwi balkonowe w swoim pokoju na drugim piętrze hotelu Dilszad. Fala upału uderzyła go w twarz. Dostrzegł drgania powietrza ponad rozpalonym asfaltem ulicy Sa'adun. Ostre promienie słońca raziły oczy, odbijając się od szyb i blaszanych dachów przejeżdżających samochodów. Czuł, że już samo patrzenie z góry na to, co upał robi z ulicą, osłabia jego pragnienie wyjścia tego dnia z hotelu.

Wreszcie udało mu się opuścić hotel Uruba i przenieść się, za namową i podkuszaniem Saidiego, do hotelu Dilszad. Szefowi, zdaje się, zależało, żeby jego pracownik mieszkał w przyzwoitych warunkach. Mógł być dzięki temu lepiej przygotowany do misji, jakie go czekały.

Zasunął szerokie szklane drzwi, co sprawiło, że ucichł nieco zgiełk ulicy i warkot samochodów. Podniósł ze stolika pilot do klimatyzacji i ustawił temperaturę na dwadzieścia cztery stopnie. Usiadł na drewnianym krześle, opierając łokcie na stoliku w kolorze kawy, zbliżył do ust swój dyktafon, dokładnie tak, jak to wielokrotnie widział w amerykańskich filmach, i nacisnął przycisk nagrywania. Chciał powtórzyć sobie wszystkie szczegóły wydarzeń ostatnich dwóch dni, zwłaszcza dziwnej rozmowy z Hadim, sprzedawcą staroci.

Hadi wydawał się gotów, żeby odpowiedzieć na każde pytanie. Zależało mu, by Mahmud uwierzył, że mówi prawdę. Nie był w swoim zwykłym nastroju, do którego

przyzwyczajaił słuchaczy. Zwykle gdy opowiadał podobne historie, był zrelaksowany i wesoły, mimo że w głębi serca zdawał sobie sprawę, że nikt mu nie wierzy. Właśnie to ich niedowierzanie dawało mu największą satysfakcję. Tym razem, opowiadając Mahmudowi sekretne szczegóły historii człowieka bez imienia, nie czuł się komfortowo – raczej jak ktoś, komu powierzono niełatwy do spełnienia obowiązek, albo posłaniec z trudną misją. Jak-mu-tam odwiedził Hadię dokładnie tej samej nocy, kiedy w dzielnicy Batawin doszło do zabójstw. Zaraz po tym, jak Aziz ostrzegł go, by skończył z opowiadaniem na lewo i prawo o zwłokach, które pozszywał własnymi rękami. Zdaniem Aziza w świetle nowych wydarzeń jego opowieść przestała być zabawna, przeciwnie – zaczęła wzbudzać podejrzenia. Hadi dopijał już ostatni kieliszek araku, gdy Jak-mu-tam zjawił się w drzwiach jego pokoju. Stał przed nim w odległości nie większej niż pół metra. Hadi poczuł, że ma przed sobą coś, co do tej pory zdawało mu się tylko koszmarem sennym. Ale skoro ten koszmar ucieleśnił się tutaj, na jego oczach, z całą pewnością nie miał dobrych intencji. Przyszedł go zabić.

Już pierwsze zdanie, jakie wypowiedział Jak-mu-tam, było zgodne z przewidywaniami Hadię. Faktycznie odwiedził go tej nocy z zamiarem morderstwa.

– Przyczyniłeś się do śmierci strażnika hotelowego Hasiba Muhammada Dżafara. Gdybyś nie przechodził tamtego dnia przed głównym wejściem hotelu, strażnik nie zbliżyłby się do żelaznej bramy. Prawdopodobnie pozostałby przy swojej drewnianej kabinie i z tej odległości wystrzelił do kierowcy śmieciarki. Być może w wyniku wybuchu odniósłby kilka ran albo podmuch zmiotłby go gdzieś daleko i skończyłoby się na siniakach i zadrapaniach, ale z całą pewnością by nie zginął. Rankiem wróciłby do swojej żony i małej Zahry. Być może jedząc śniadanie z rodziną, przemyślałby sprawę, rzucił tę niebezpieczną robotę, zająłby się czymkolwiek innym, chociażby uliczną sprzedażą ziaren słonecznika w Sektorze 44.

Jak-mu-tam powiedział to wszystko, jasno wyrażając zamiar misji, z jaką się tu tej nocy zjawił. Hadi zebrał się na odwagę, żeby z nim dyskutować. Próbował się bronić. W końcu, w pewnym sensie, był jakby jego ojcem. To on sprowadził go na ten świat. Czyż nie tak było?

– Jesteś tylko pośrednikiem, Hadi. Ileż to głupich ojców i matek wydało na świat geniuszy i ludzi wybitnych, którzy zapisali się w historii. To nie zasługa rodziców, ale okoliczności, sytuacji i innych rzeczy, leżących poza ich kontrolą. Jesteś tylko narzędziem. Przezroczystą rękawicą chirurgiczną, którą przywdziała niewidzialna ręka losu poruszająca figurami na szachownicy życia.

No proszę, cóż za krasomówstwo! Wszystkie okropieństwa, jakich Hadi się dopuścił, jakich nie podjąłby się nikt o zdrowych zmysłach, uczyniły go zaledwie narzędziem. Wyłożoną betonowymi płytami ulicą, po której przejechał śpiesznie samochód przeznaczenia, a którą teraz musi za sobą zniszczyć.

Dyskusja trwała kilka minut. Już samo to dało Hadiemu do myślenia. Być może Jak-mu-tam nie jest aż tak pewny, co zamierza zrobić. Gdyby koniecznie zależało mu na zabiciu Hadiego, po co by z nim w ogóle rozmawiał? Wszedłby po prostu do pokoju i tak, jak to zrobił z czterema żebrakami, zacisnąłby na jego szyi swoje mocarne dłonie, a Hadi szybko wyzionąłby ducha. Bezwładne ciało rzuciłby na brudne łóżko. Tak by go zostawił i wyszedł. Może po miesiącu ktoś znalazłby zwłoki, bo przecież od śmierci Nahima Abdakiego nikt Hadiego nie odwiedzał. Nikt go specjalnie nie lubił, więc i nikt by za nim nie tęsknił.

Jak-mu-tam spojrział na werset Koranu wiszący na przeciwległej ścianie. Musiał działać, robić cokolwiek, inaczej jego umysł nie umiał pracować. Musiał dokończyć sprawę, z powodu której się tu znalazł. Przyglądał się wersetowi i odklejonej krawędzi kartonu. W końcu zrobił kilka kroków do przodu, podszedł do wersetu i pociągnął za tę zwisającą krawędź, a wtedy odkleiła się całość wraz z zaschniętą pastą, która trzymała karton. Werset poddał się temu ruchowi z lekkością, jakby od dawna czekał na jakąś rękę, która pomoże mu opuścić ścianę. Hadi nie pamiętał, jak i kiedy Nahim Abdaki zawiesił tutaj ten cytat, ale wisiał tu, odkąd zajęli ten pokój. Jak-mu-tam odrzucił werset na bok, a w ścianie ukazała się ciemna wyrwa wysokości pół metra i szerokości około trzydziestu centymetrów. Czym była, Hadi miał się dowiedzieć dopiero rankiem następnego dnia. Czas płynął powoli, wypełniony niezręczną obecnością Bezimiennego. Ale Hadiemu przyszło do głowy, że jego wytwór nie jest jeszcze do końca pewien, jaką misję ma tej nocy do spełnienia. Jak-mu-tam zwrócił

głowę ku Hadiemu i przyznał, że jest zakłopotany. Dusza Hasiba Muhammada Dżafara domagała się zemsty, musiał więc zabić tego, który przyczynił się do jego śmierci.

– Przecież to sudański samobójca spowodował jego śmierć! – powiedział Hadi z pewnością siebie, próbując wykorzystać zakłopotanie gościa.

– Tak, ale on nie żyje. Jak mam zabić kogoś, kto już jest martwy?

– A zarząd hotelu? Ochrona?

– Tak, może... Muszę znaleźć prawdziwego mordercę Hasiba Muhammada Dżafara, żeby jego dusza zaznała ukojenia, a męki się skończyły.

Jak-mu-tam przysunął sobie drewnianą skrzynkę, na której następnie usiadł.

2

Mahmud złapał ostatni numer gazety „Haqīqā” i przeczytał cotygodniową kolumnę redaktora naczelnego:

Są prawa, których człowiek nie zna, które nie działają w konkretnym czasie, jak prawa fizyki – na podstawie których wiatr porusza cząsteczkami powietrza, a deszcz spada w dół, odłamki skał toczą się ku podnóżu góry – czy inne prawa, które z racji swojej powtarzalności dają się człowiekowi obserwować, opisywać, precyzyjnie definiować. Są prawa, które działają tylko w pewnych okolicznościach. Gdy coś dzieje się zgodnie z nimi, człowiek dziwi się, mówi: to niewyobrażalne, to jakaś bajka, albo jeszcze lepiej – cud. Taki człowiek nie powie, że prawa rządzące tą sytuacją są mu obce. Człowiek jest z natury zarozumiały, nie przyznaje się do niewiedzy.

Mahmud uznał, że ten fragment mógłby streszczać teorię tego Jak-mu-tam na temat jego własnego pochodzenia. Jednak Hadi wydawał się obstawać przy bardziej fantastycznej wizji. Jego zdaniem Jak-mu-tam stworzony był z fragmentów ciał ofiar

oraz duszy innej ofiary. Nazwany został imieniem jeszcze kolejnej ofiary. Był czystą esencją ofiar domagających się pomszczenia, żeby mogli wreszcie zaznać spokoju. Został stworzony, by dokonać zemsty.

Jak-mu-tam opowiedział o nocy, podczas której poznał czterech pijanych żebraków; próbował z całych sił uniknąć spotkania z nimi, ale byli agresywni, napierali prosto na niego z zamiarem mordy. Jego paskudna twarz była dla nich impulsem do ataku. Nic o nim nie wiedzieli, zadziałała uśpiona moc nienawiści, rozbudzona nagle przez okoliczności. Walka trwała pół godziny – okładali go pięściami, próbowali chwycić za szyję, by go udusić. Ale w ciemności jeden z nich złapał za szyję swojego towarzysza i wykończył go, ściskając wściekle. Zauważył po chwili, że inny z żebraków zrobił dokładnie to samo. Było więc teraz dwóch żebraków, którzy stali się ofiarami bezmyślnego czynu, i dwóch żebraków-morderców. Dlatego Jak-mu-tam udusił tych dwóch, by pomścić dwóch poprzednich. I również dlatego, że planowali to samo zrobić z nim. I jeszcze dlatego, że jakkolwiek sprawy by się miały, i tak cała czwórka razem wzięta nie zdołałaby go zabić. Zatem planowali samobójstwo. I być może w tym stwierdzeniu zawiera się cała prawda na temat wydarzeń tamtej dziwnej nocy. Żebracy nie wiedzieli tylko, jak to zrobić, dopóki nie napotkali w ciemnym zaułku człowieka bez imienia ubranego w stary strój Daniela.

Daniel, albo Jak-mu-tam, jedynie dopomógł im zrobić ten jeden krok w kierunku śmierci, której słodyczy kosztowali już tak wiele razy, wchodząc w stan głębokiego upojenia alkoholowego, podobnie jak tamtej nocy.

Zginęli, bo tego chcieli. To wyjaśnia dziwną pozycję, w jakiej się znajdowali, gdy następnego ranka znaleźli ich sąsiedzi. Siedzący w kwadracie, każdy z rękami zaciśniętymi na szyi innego.

Mahmud nagrał to wszystko za pomocą dyktafonu, mając świadomość, że poprawia wyrażenia Hadiego, który z kolei przekazywał słowa Bezimiennego. Wiedział też, że dodaje swoje osobiste interpretacje. Nim wrócił do relacjonowania dziwnych szczegółów narracji, wtrącił:

– Trudno będzie kogoś przekonać do tych nedorzeczności, ale z drugiej strony za

każdą zbrodnią stoi przecież systemowa niedorzeczność.

Tej nocy Jak-mu-tam planował coś zupełnie innego niż awanturę z przypadkowymi ludźmi. Nie miał wątpliwości, że uszedłby cało z każdej próby pozbawienia go życia, ale nie chodziło mu o demonstrację siły; nie robił niczego na pokaz. Nie starał się też nikogo wystraszyć. Miał swoją szlachetną misję i uważał za konieczne wypełnienie jej w możliwie najmniej skomplikowany sposób. Dlatego po historii z czterema żebrakami i jeszcze jednej wpadce z udziałem samochodu policyjnego, która mu się przypadkiem zdarzyła niedaleko pomnika Wolności, postanowił działać w ukryciu i w miarę możliwości unikać spotkań z kimkolwiek.

Teraz siedział na odwróconej drewnianej skrzynce w pokoju Hadiego, sprzedawcy staroci. Wiedział, że jego historia rozeszła się po tej i innych dzielnicach. Plotka przedstawiająca go jako zbrodniarza, choć wcale nim nie był. Abu Zajduna zabił, by pomścić Daniela Tadrosa. Tego oficera w domu publicznym zabił, bo spowodował śmierć osoby, której palce przyszyte przez Hadiego stanowiły teraz część jego ciała. Zamierzał doprowadzić tę misję do końca.

– Jakiego końca? Kiedy to się skończy? – zapytał Mahmud.

Hadi milczał przez chwilę, a potem odpowiedział:

– Kiedy zabije ich wszystkich. Wszystkich zbrodniarzy, którzy przeciw niemu zawinili.

– A co będzie potem?

– Rozpadnie się, wróci do swojego pierwotnego stanu. Rozłoży się. Umrze.

Hadi również znajdował się na tej liście. Ale jego twór nie miał nieskończenie dużo czasu, musiał działać szybko. Mógłby teraz wstać, przydusić Hadiego siedzącego na łóżku, sprawić, żeby wymiotował na poduszkę cały wypity arak. Ale brakowało mu zdecydowania. Hadi wyczuł to swoim lisim zmysłem i natychmiast wykorzystał:

– Zostaw mnie sobie na koniec... Przecież ja i tak nie chcę żyć. Czym jest moje życie? Czym ja jestem i czym jest moje życie? Jestem nikim. Nie ma różnicy, czy będę żył, czy nie. Jestem nikim. Zabij mnie, ale na końcu. Będę tym ostatnim.

Jak-mu-tam milczał, spoglądając na Hadiego z głębi ciemnych oczodołów, i samo jego milczenie dało Hadiemu pewność, że tej nocy jeszcze nie umrze.

3

Następnego dnia po tych odwiedzinach Hadi spotkał się z Mahmudem. Powiedział mu, że Jak-mu-tam ma teraz jego dyktafon. Mahmudowi odruchowo przebiegł przez głowę obraz Hadiego sprzedającego dyktafon na targowisku Hardż przy Bramie Wschodniej. Jednak po upływie dziesięciu dni Hadi obalił jego teorię, zwracając mu sprzęt. Więc nie był ani kłamcą, ani złodziejem. Mahmud włączył dyktafon i zauważył, że karta pamięci jest pełna.

Hadi siedział jak zwykle na podwórku przed swoim pokojem. Wyniósł łóżko na zewnątrz i położył się na nim, patrząc na nieliczne gwiazdy porozsiewane po nocnym niebie. W tej właśnie chwili, blisko północy, kiedy Mahmud próbował zasnąć pomimo terkotu wentylatora pod sufitem w swoim przygnębiającym pokoju w hotelu Uruba, niebo zapłonęło od pocisków.

Nie było to niczym dziwnym ani wyjątkowym, ale tym razem pociski wydawały się nadchodzić z jakiegoś nieodległego miejsca. Hadi poczuł niepokój. Przecież któryś mógł spaść na niego z nieba i zabić go, gdy tak leżał na dziedzińcu.

Strzelanina była niewybaczalnym błędem grupy do zadań specjalnych Wydziału Inwigilacji i Ścigania pod dowództwem dwóch młodych oficerów w różowych koszulach. Generał Surur uczulił ich wcześniej, żeby nie zwracali na siebie uwagi. Oni jednak, w towarzystwie jednego z astrologów zatrudnionych w wydziale, zdołali ustalić miejsce pobytu niebezpiecznego przestępcy i je okrążyć, zbliżając się powoli, aż napotkali go w jednej z ciemnych ulic. Nie zdołali go ująć, a że zapomnieli kompletnie o tym, że nie da się go zastrzelić, otworzyli ogień i rzucili się za nim w pościg, podczas gdy on wspinał się po ścianach i przeskakiwał pomiędzy dachami. W końcu jeden z młodych oficerów zdołał przeciąć mu drogę i chwycić fragment jego ubrania. Szamotali się przez krótką chwilę – młody oficer liczył, że jego drużyna zjawi się szybko, żeby pomóc mu zakuć groźnego bandytę w kajdanki. Jak-mu-tam miał jednak wyraźną przewagę: zacisnął obydwie dłonie na szyi oficera tak, że oczy prawie wyszły mu z orbit. Potem, gdy dostrzegł zbliżający się pościg, uderzył głową oficera o ścianę i porzucił go. Ten chwiał się przez chwilę na nogach, a potem padł jak

martwy na ziemię. Jak-mu-tam zniknął ścigającym z oczu.

Minęło pół godziny i dzielnica się uspokoiła; ucichły głosy wystrzałów i wszelkie inne dźwięki. Hadi wyszedł ze swojego gorącego, zatechłego pokoju z zamiarem ponownego położenia się na dziedzińcu. Tyle że na jego łóżku już ktoś siedział. Oczekiwał go jego nowy przyjaciel Jak-mu-tam.

Hadiemu przemknęło przez myśl, że Jak-mu-tam zakończył swoją misję i że pozostało mu tylko zemścić się na nim. Ale on zaczął od poinformowania go, że dzielnica jest otoczona przez policję i grupy służb wywiadowczych. Zatrzyma się u niego na chwilę, dopóki nie upewni się, że sobie poszli.

Zwierzył się, że codziennie odkrywa coś nowego o sobie. Zauważył na przykład, że kawałki ciała, z których jest pozszywany, same odpadają, jeśli nie dokona zemsty w imieniu ich właściciela w określonym czasie. Odkrył również i to, że jeśli jednak pomści właściciela tego czy innego fragmentu swojego ciała, ten i tak odpadnie, jakby już nie był potrzebny.

Hadi nie potrzebował jego wyjaśnień, czuł bowiem wyraźnie zapach gnijącego ciała, gdy tak siedzieli obok siebie na łóżku. Powiedział, że jest gotów zapewnić mu wszelką pomoc, jakiej potrzebuje. Jak-mu-tam potrzebował tylko jednego – zamienników odpadających części. Potrzebne mu były ciała nowych ofiar. Hadi zaoferował pomoc, począwszy od następnego dnia, choć tak naprawdę w głowie układał mu się całkiem nowy plan. Im szybciej ciało Bezimiennego rozpadnie się samo, tym szybciej skończy się terror, jaki sieje wokół.

Jak-mu-tam zwrócił się do niego:

– To nie wszystko... Gorszą rzeczą jest opinia, którą o mnie rozpuszczają moi przeciwnicy. Oskarżają mnie o zbrodnie, nie rozumieją, że jestem jedynym sprawiedliwym w tym kraju.

W tej właśnie chwili Hadi przypomniał sobie o dyktafonie otrzymanym od Mahmuda. Wstał i zaproponował, żeby się razem napili, ale Jak-mu-tam odmówił. Hadi wszedł do ciemnego pokoju, zapalił lampę naftową, wyjął alkoholowy ekwipunek i nalał tylko sobie. Potem spojrzał na towarzysza i powiedział:

– Musisz spotkać się z jakimś dziennikarzem i wyjaśnić mu swoje stanowisko.

– Spotkać się z dziennikarzem? Czy nie powiedziałem ci właśnie, że nie chcę ściągać na siebie uwagi? A ty mi proponujesz pogawędkę z dziennikarzem...

– Już i tak ściągnąłeś na siebie uwagę. Teraz musisz obronić swoje stanowisko, żeby zyskać zwolenników, którzy pomogą ci dokończyć misję. Na razie wszyscy mają cię za wroga.

– Z kim miałbym przeprowadzić ten wywiad? Mam tak po prostu iść do telewizji? To jakiś absurd.

– Ja go z tobą przeprowadzę.

Mówiąc to, Hadi wyjął dyktafon. Spróbował go włączyć, ale zapomniał, jak się to robi. Jak-mu-tam wziął dyktafon i zaczął obracać nim w dłoniach, próbując go uruchomić. W tym czasie sprzedawca staroci usiłował znaleźć jakąś przyjemność w picciu ciepłego araku, bez lodu i bez zakąsek. Robił to właściwie tylko po to, żeby się czymś zająć. Wtem usłyszeli ponowne wystrzały, Jak-mu-tam wstał i spojrzał na Hadiego:

– Sam ze sobą przeprowadzę wywiad. Ale czy to coś da?

– Da!

Hadi patrzył, jak jego towarzysz oddala się, przeskakując zwinnie nad zawałonymi ścianami w stronę sąsiedniego domu Umm Daniel, i tam znika. Pojawiające się od czasu do czasu odgłosy wystrzałów zdawały się coraz bliższe, a po chwili słychać było szepty mężczyzn i stukot ich prędkich kroków na ulicy.

4

Rankiem następnego dnia dzielnicę otoczyły Siły Obrony Narodowej Iraku i Amerykanie z żandarmerii wojskowej. Mahmud nie był nawet w stanie wyjść poza ulicę. Nawrzeszczał na niego jeden z żołnierzy, Afroamerykanin. Gdy zbliżył się, żeby mu wyjaśnić, że jest dziennikarzem, tamten wyciągnął w jego stronę broń. Mahmud przestraszył się i wrócił do hotelu, gdzie spotkał Abu Anmara siedzącego z kilkoma innymi osobami w recepcji, rozmawiających o tym, co zaszło ostatniej nocy. Mówili

o zaciętym pościgu za bandytą widmem. Wkroczone siłą do kilku domów, otwierając drzwi kopniakami i wrywając zamki z zawiasów. Aresztowano jakichś podejrzanych mężczyzn w mroku rozświetlonym jedynie policyjnymi latarkami. Ale przestępca zdołał im umknąć. Musiał wciąż być gdzieś w dzielnicy, bo okrążenie przeprowadzono bardzo szybko – nie miałyby czasu na opuszczenie Batawin.

Mahmud zadzwonił do redaktora naczelnego i naszkicował mu pokrótce, co się dzieje wokół, usprawiedliwiając tym samym swoją nieobecność w redakcji. Saidi zlecił mu wyjście z hotelu i rozejrzenie się wokół, popytanie ludzi, może próbę ponownego zbliżenia się do funkcjonariuszy wojskowych i wypytania ich o cel tej całej operacji.

Mahmudowi nie spodobało się to polecenie, jednak mimo to wyszedł z hotelu. Informacje, które zdobył, nie miały wielkiej wartości. Jeden z oficerów służb wywiadowczych został przetransportowany do szpitala z powodu poważnej rany głowy, jaką odniósł w trakcie poszukiwań groźnego terrorysty, który tej nocy dostał się do dzielnicy.

Około południa poszukiwania i blokada się zakończyły. Mahmud na własne oczy mógł zobaczyć kilku młodych ludzi i kilku mężczyzn w średnim wieku z rękami zakutymi z tyłu w kajdanki, prowadzonych do wojskowych samochodów. Szybko zauważył, że zatrzymanych łączyła jedna cecha – wszyscy mieli paskudną aparycję. U niektórych widoczne były wady wrodzone, inni byli oszpeceni przez poparzenia od wybuchów. Jeszcze inni wydawali się chorzy psychicznie – ich twarze były spokojne, zrelaksowane, nie zdradzały odrobiny niepokoju.

Mahmud wrócił do swojego pokoju w hotelu Uruba. Popołudniem przestał działać sufitowy wentylator z powodu awarii agregatu prądotwórczego, który Abu Anmar kupił dla swoich czterech lokatorów. Naprawa trwała tak długo, że Mahmud zaczął się obawiać, że utonie we własnym pocie. Wyszedł z hotelu i skierował się w stronę kawiarni Aziza, który już na początku lata zamontował nad oknem wielki klimatyzator wsparty na żelaznej konstrukcji. Spotkał tam Hadięgo palącego fajkę wodną na swoim ulubionym miejscu pod oknem. Usiadł obok i też zamówił fajkę, a do tego filiżankę herbaty. Wydawało się, że Hadiemu wrócił jego zwykły radosny nastrój. Sprzedawca

staroci powiedział Mahmudowi, że to Jak-mu-tam był celem wczorajszej operacji policyjnej i że nie udało się go złapać. Mówił to z wyraźną pewnością siebie. Potem dodał, że przekonał przyjaciela do wywiadu.

– Przeprowadzi go sam ze sobą – powiedział Hadi, a wówczas Mahmud nabrał pewności, że właśnie stracił dyktafon wart sto dolarów. Ten człowiek to kłamca. Teraz, kiedy wrócił mu jego dawny dobry nastrój, znów wydał się Mahmudowi krętaczem i bajkopisarzem, jak opisywali go inni.

Ale po dziesięciu dniach Hadi zwrócił dyktafon. Mahmud spędził długie godziny na wielokrotnym odsłuchiwaniu nagrania. Ciekawość pchała go do analizy wypowiedzi osoby, której głos dobywał się z głośnika – to, co mówił, było bowiem szokujące i ekscytujące zarazem. Z nagrania wyłaniał się niemalże namacalny obraz mówiącego. Bez wątpienia był człowiekiem z krwi i kości, istniejącym tak realnie jak Mahmud, jak Hadi, jak Abu Anmar, jak wszyscy inni. Nie przypominał postaci z fantastycznych opowieści sprzedawcy staroci.

Mahmud wciąż słuchał, zanurzony w ekscytującej historii i w upalnej atmosferze hotelu Uruba. Następnego dnia Ali Bahir Saidi zwrócił uwagę na jego podkrążone oczy.

– Dużo pracujesz, a ja mam dla ciebie nowe wyzwania. Chcę, żebyś był przytomny. Porzuć tę swoją jaskinię!

I tak Saidi polecił mu przeniesienie się do hotelu Dilszad, którego front wychodził na ulicę Lekarzy. Kiedy Abu Anmar zobaczył go przed sobą stojącego z walizką, książkami i garstką rzeczy osobistych, z wyraźnym zamiarem opuszczenia hotelu, wydawało się, że doznał szoku, ale nic nie powiedział. Zachował się profesjonalnie. Zainkasował zaległe opłaty za noclegi i zamknął jego rachunek. Mahmud nie powiedział swojemu przyjacielowi Hazimowi o wyprowadzce, bo nie widział go co najmniej od tygodnia. Przyjaciel wyjeżdżał ciągle to tu, to tam, do różnych części kraju, żeby robić zdjęcia dla swojej agencji.

Saidi wysłuchał szczegółowej opowieści o przygodach Hadiego. Historia zainteresowała go do tego stopnia, że zaproponował Mahmudowi, żeby wyszli z biura, usiedli w ogrodzie na dziedzińcu redakcji i napili się herbaty przygotowanej przez

starego Abu Dżuniego. Saidi słuchał dalszej opowieści Mahmuda, obserwując bacznie nieliczne rośliny i drzewa rosnące w ogrodzie. W taki upał tylko podnosiły wilgotność powietrza.

– Powinieneś znaleźć chwilę w ciągu dnia na kontemplację roślinności i zieleni. To bardzo ważne dla zdrowia psychicznego i fizycznego.

Zaraz potem wyjaśnił, co ma na myśli:

– Przynajmniej zapomnisz nieco o szarości betonowych blokad, które co chwila napotykasz na ulicach.

Mahmuda zdziwił ten komentarz kompletnie nie na temat. Nie bardzo wiedział, czy ma kontynuować opowiadanie historii sprzedawcy staroci czy czekać, aż Saidi da mu jakiś znak, by wznowił opowieść. Przez pół minuty obydwaj milczeli, po czym Saidi zwrócił się do niego:

– Napisz mi o tym historię. Napisz raport albo wywiad z tym człowiekiem. Coś do przyszłego numeru.

Dwa dni później Mahmud wręczył Saidiemu artykuł zatytułowany *Legendy z irackiej ulicy*. Tekst natychmiast podbił serce naczelnego, który później, na etapie redagowania numeru, dobrał do niego zdjęcie przedstawiające Roberta De Niro w słynnym filmie *Frankenstein*. Nie spodobało się to Mahmudowi ani trochę, w szczególności gdy zobaczył, jak zmieniono tytuł jego artykułu.

– *Frankenstein w Bagdadzie*. – Na twarzy Saidiego pojawił się szeroki uśmiech.

Mahmud starał się pisać ostrożnie i bezstronnie, Saidi zaś swoim zadziornym tytułem dążył do przyciągnięcia uwagi. Co więcej, sam też napisał artykuł na ten temat i to do tego samego numeru.

Teraz najnowszy numer pisma spoczywał w rękach Mahmuda, który leżał na łóżku w pokoju na drugim piętrze hotelu Dilszad. Klimatyzacja smagała jego ciało zimnym powietrzem, podniósł więc trochę temperaturę za pomocą pilota, żeby się nie przeziębic. Usiłował cieszyć się wolnym dniem. Spojrzał na okładkę pisma, z której Robert De Niro patrzył ponuro na niewdzięczny świat. Zastanawiał się, jak Jak-mutam, jeśli naprawdę istnieje, odbierze ten artykuł. Czy uzna go za kolejne wypaczenie znaczenia jego posłannictwa? Co powie Hadi, sprzedawca staroci, jeśli wpadnie mu

w ręce ten numer czasopisma? Zwyyzywa Mahmuda czy go pochwali?

5

Kiedy tak Mahmud Sawadi polegiwał w łóżku, generał Surur Muhammad Madżid stał naprzeciwko klimatyzatora w swoim imponującym biurze w budynku Wydziału Inwigilacji i Ścigania, starając się zaczerpnąć tyle chłodnego powietrza, ile się dało. Wiedział, że to niezdrowe, ale czuł, że jego głowa jest rozgrzana do czerwoności. Pewnie skoczyło mu ciśnienie. Jego pracownicy taili przed nim złe wieści przez cały poranek i dopiero gdy obudził się ze swojej sjesty, przynieśli mu ostatni numer pisma „Haqıqıa”, którego redaktorem naczelnym był jego przyjaciel z dzieciństwa Ali Bahir Saidi.

Przeczytał artykuł Saidiego dwa razy. Poczuł, że autor zawarł w nim poufne informacje, które nigdy nie powinny były zostać ujawnione, chyba że za zgodą Wydziału Inwigilacji i Ścigania. Ale co ma począć z wolnością prasy, która nagle spadła na kraj jak jakaś klęska? Saidi popełnił błąd. Powinien skonsultować się z nim przed publikacją tego rodzaju informacji.

Grube policzki Surura zdrętwiały od chłodu klimatyzacji, a on wciąż czuł palący go od środka ogień. Rzucił gazetę na stolik, podniósł jeden ze swoich telefonów komórkowych i wybrał numer Saidiego. Po drugiej stronie usłyszał wesoły jak zawsze głos.

– W czym problem, stary?

– Czy ten dziennikarz, który dla ciebie pracuje, spotkał się na żywo z tym przestępcą?

– Nie sądzę. Rozmawiał z jednym z tutejszych mężczyzn, prostym chłopem, ale o bujnej wyobraźni. Sprawa jest prosta, mój przyjacielu, ten gość to zwykły kłamca.

– Tak... Być może to jest przestępca, którego szukamy. Jakiej był karnacji? Miał na ciele ślady po postrzałach albo blizny po szwach?

– Nie wiem, przyjacielu, przecież to tylko wyobraźnia ludowa.

- Nie, to nie jest tylko wyobraźnia. Czy ten dziennikarz jest teraz z tobą?
- Przecież dziś piątek, ty sam powinienes być w domu.
- Gdzie mieszka ten chłopak?

Generał zapisał sobie adres Mahmuda i rozłączył się. Nacisnął dzwonek, przywołując muskularnego chłopaka, który zasalutował przed nim i stanął na baczność.

- Wezwij mi tu Ihsana.

Po jakiejś minucie do pomieszczenia wszedł gruby, gładko ogolony chłopak z przerzedzonymi włosami, ubrany w różową koszulę i czarne lniane spodnie.

- Tu masz adres. Sprowadź mi tu natychmiast dziennikarza Mahmuda Rijada Muhammada Sawadięgo.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jak-mu-tam

1

- Halo... halo... test... test... test...
- Zaczęło się nagranie.
- Wiem... halo... test... test...
- Pamiętaj o baterii.
- Siedź cicho, dobrze? Halo... halo... tak?

Nie mam dużo czasu. Mogę zakończyć swój żywot, moje ciało może rozsypać się w każdej chwili, podczas przechadzki ulicą, nawet nim skończę misję, której się podjąłem. Jestem jak ten dyktafon, który jakiś nieznany mi dziennikarz dał mojemu ojcu – sprzedawcy staroci. Czas dla mnie jest jak ta bateria, nie mam go wiele, nie mam go wystarczająco.

Czy ten biedny sprzedawca staroci faktycznie jest moim ojcem? Jest tylko narzędziem mojego prawdziwego Ojca w Niebie, jak to mówi moja biedna matka Eliszeba. Strasznie mi jej żal. To tacy nieszczęśnicy, oni wszyscy. Ale ja jestem odpowiedzią na wołanie nieszczęśników. Jestem ich długo wyczekiwany wybawcą, jestem ich nadzieją. Poruszyłem wreszcie dźwignię, która zardzewiała od nieużywania. Dźwignię prawa, która nie zawsze działa. Zebrałem razem modlitwy ofiar i ich rodzin i to one stały się napędem tego mechanizmu, poruszyły głębię mroku i wydały mnie na świat. Jestem odpowiedzią na wołanie o zakończenie opresji i zemstę na oprawcach.

Z pomocą Boga w niebiosach zemszczę się na wszystkich zbrodniarzach. Wreszcie zaprowadzę na ziemi sprawiedliwość. Skrzywdzeni i cierpiący nie będą już musieli czekać na spóźniony sąd, po śmierci, w niebie.

Czy zdołam wypełnić moją misję? Nie wiem, ale przynajmniej postaram się dać lekcję zemsty. Zemsty niewinnych, pozostawionych bez wsparcia, ludzi, których dusze drżą, bo wypełnia je strach przed śmiercią.

Tak osobiście, głęboko w środku – nie zależy mi, żebyście mnie słuchali i poznawali. Nie przybyłem tu dla sławy. Nie chcę, by obraz mojej misji został wypaczony, dlatego żeby uniknąć niepotrzebnych problemów, czuję się zmuszony wydać to oświadczenie. Zrobili ze mnie przestępcę, zbrodniarza. Zrównali mnie w ten sposób z tymi, na których zamierzam się zemścić. To wielka niesprawiedliwość. Moralny i ludzki obowiązek nakazuje mi stanąć w swojej własnej obronie. Chcę zaprowadzić sprawiedliwość w tym świecie zniszczonym kompletnie przez chciwość szaleńców stojących u władzy i ich pragnienie przelewu krwi, które narasta, lecz nigdy nie zostanie zaspokojone.

Tak naprawdę nie oczekuję, że ktokolwiek stanie do walki po mojej stronie albo że będzie wymierzał karę w moim imieniu. Chcę jedynie, abyście pozwolili mi działać. Żebyście przestali się bać, gdy mnie spotkacie. Mówiąc to, zwracam się do osób dobrego serca, miłujących pokój. Proszę, abyście się za mnie modlili, abyście żywili w waszych sercach nadzieję, że zwyciężę, że zdołam wypełnić moją misję, nim minie dany mi czas i wszystko będzie stracone...

– Popatrz, bateria się wyczerpała...

– Czemu mi przerywasz? Co z tobą?

– Wyczerpała się bateria, mój panie.

– Okej, nie ma problemu. Idź zaraz i nie wracaj bez worka pełnego baterii!

2

Mieszkam obecnie w niedokończonym budynku niedaleko osiedla Asyryjczyków

w dzielnicy Dora na południu Bagdadu. Miejsce to, bardzo niespokojne, stało się jakiś czas temu polem nieustannej walki pomiędzy trzema stronami. Pierwszą są Siły Obrony Narodowej i wojsko amerykańskie, drugą bojówki sunnickie, a trzecią bojówki szyickie. Dom, w którym mieszkam, mógłbym nazwać ziemią niczyją, ponieważ on i inne budynki w promieniu kilometra nigdy nie były pod całkowitą kontrolą żadnej z trzech frakcji. To tu jest prawdziwy plac boju, dlatego też nikt tu nie mieszka. A że nikt tu nie mieszka, to miejsce idealne dla mnie.

Korzystam z systemu przejść złożonego z wyłomów w ścianach opuszczonych, częściowo zawałonych domów. Nimi wychodzę nocą na swoje misje i nimi wracam. Zawsze spodziewam się spotkania z uzbrojonymi ludźmi należącymi do jednego z trzech ugrupowań, o których wspomniałem. Wszyscy tak naprawdę poruszamy się w ramach skomplikowanej sieci dróg, poplątanej w ciągu dnia, a jeszcze bardziej nocą. Każdy z nas za wszelką cenę stara się w tym labiryncie uniknąć spotkania z innym, choć przecież na siebie polujemy.

W ciągu ostatnich miesięcy wokół mnie zgromadziła się grupa zwolenników; mieszkamy wszyscy razem. Najważniejszym z nich jest starzec o przydomku Magik. Mieszkał kiedyś w dzielnicy Abu Nuwas po drugiej stronie Batawin. Twierdzi, że za poprzedniego prezydenta należał do grona jego osobistych czarowników i rzucał uroki, żeby trzymać Amerykanów z dala od Bagdadu, żeby miasto nie dostało się w ich łapy. Niestety Amerykanie poza ciężkim sprzętem wojskowym najwyższej klasy posiadali również niezliczone wojsko dżinów, które zdołało pokonać znacznie mniejsze wojsko podporządkowanych mu duchów. Gdy go spotkałem, był w stanie depresji, bardzo cierpiał, nie dlatego, że jego reżim upadł, ale dlatego, że poległ w najważniejszym sprawdzianie swojego życia. Jego magia nie wydawała mu się już do niczego przydatna.

Jednakże jeden z dżinów, który zdołał przeżyć potworną masakrę, jaka dokonana się w czasie bitwy o bagdadzkie lotnisko, wciąż wokół niego krążył i odwiedzał go od czasu do czasu, by go pocieszać. To on mu powiedział, że została mu jeszcze jedna misja do spełnienia. Opisał mu mnie i to, jak wyglądam.

Dowiedziałem się od Magika, że został wyrzucony ze swojego mieszkania

z powodu oskarżeń, jakie ciążyły na nim za zbrodnie popełnione w czasach byłego reżimu. Dokądkolwiek się udawał, był śledzony. Nawet posłuszne mu dziny nie były w stanie mu pomóc. Obecnie prawie w ogóle nie wychodzi z naszej wspólnej siedziby w walącym się domu. Jego rolą jest rozplanowanie dla mnie bezpiecznych ścieżek poruszania się po dzielnicy Dora, gdy przemieszczam się do innych części Bagdadu i gdy wracam do naszej kryjówki. Spełnia to zadanie z żarliwością i oddaniem, bo wierzy, że uosabiam jego osobistą zemstę i odwet na ludziach, którzy go w życiu skrzywdzili.

Drugim najważniejszym spośród moich pomocników jest Sofista, jak sam siebie nazywa. Potrafi świetnie objaśniać idee, zachęcać do nich, upiększać je i czynić klarowniejszymi. Tak samo skutecznie rozprawia się z groźnymi koncepcjami, dlatego jest piekielnie niebezpieczny. Wielokrotnie korzystałem z jego pomocy, starając się zrozumieć swoją misję. Zwracam się do niego także wtedy, kiedy ogarniają mnie wątpliwości w kwestii tej czy innej akcji. Potrafi natchnąć innych spokojem, wzmocnić ich wiarę, a to dlatego, że sam w nic tak do końca nie wierzy. Kiedy spotkałem go pewnego wieczoru pijanego, siedzącego na krawężniku przy ulicy Sa'adun, powiedział mi, że mimo iż kompletnie nie szanuje wiary jako takiej, jest gotów mi uwierzyć, a to dlatego, że inni mi nie wierzą, że negują moje istnienie.

Trzecią najważniejszą dla mnie osobą jest ten, którego nazywam Wrogiem, ponieważ wciąż pracuje jako oficer służb zwalczania terroryzmu. Jest dla mnie żywym, namacalnym przykładem tego, jak wygląda mój wróg, jak myśli i jak się zachowuje. Ze względu na swoje stanowisko jest dla mnie świetnym źródłem informacji przydatnych w moich trudnych poczynaniach. Zwrócił się ku mnie ze względu na swoją surową moralność. Po dwóch latach służby w państwowym aparacie bezpieczeństwa doszedł do przekonania, że sprawiedliwość, której szukał, jest rozmieniana na drobne, zatraca się i ostatecznie nigdy nie wygrywa.

Teraz jest przy mnie i oddaje mi swoje cenne posługi, bo wierzy, że to jedyny sposób, żeby osiągnąć sprawiedliwość, której tak pragnie.

Są jeszcze trzy mniej znaczące postacie: Młody Szaleniec, Starszy Szaleniec i Najstarszy Szaleniec. Młody Szaleniec to ten, który mi przerywał na początku

nagrywania i którego posłałem po baterie do sklepu oddalonego o kilka kilometrów od naszej siedziby. Po drodze kilkakrotnie wpadł w krzyżowy ogień wystrzałów. Młody Szaleniec wierzy, że jestem ideałem obywatela, człowiekiem, jakiego państwo irackie nie miało od czasów króla Fajsala I[9]. Jako że jestem stworzony z fragmentów ciał pozyskanych od ludzi różnego pochodzenia etnicznego, plemiennego, różnych ras i grup społecznych, reprezentuję tę niemożliwą do osiągnięcia mieszankę, niespotykaną nigdy wcześniej. Jestem dla niego pierwszym obywatelem Iraku.

Starszy Szaleniec uważa mnie za potężne narzędzie zniszczenia, poprzedzające nadejście zbawiciela, które głoszą wszystkie religie na Ziemi. To ja mam zniszczyć ludzkość: błądzącą, zepsutą, niewierną. Pomagając mi w mojej misji, przyśpiesza nadejście oczekiwanego zbawcy.

Za to Najstarszy Szaleniec widzi we mnie właśnie owego zbawcę. Sądzi, że w ciągu nadchodzących dni zyska jakąś część mojej nieśmiertelności, że jego imię będzie wyryte obok mojego we wszystkich rejestrach opowiadających o tym przełomowym momencie w historii świata oraz historii tego kraju.

Gdy zapytałem Sofistę, co sądzi o Najstarszym Szaleniu, powiedział mi, że z racji swojego obłąkania jest jak *tabula rasa*, która może przyjąć mądrość przekraczającą i przenikającą wszelkie granice rozumu. Dlatego też, nie zdając sobie z tego sprawy, mówi językiem czystej prawdy.

3

Wychodzę nocą, godzinę lub dwie po zachodzie słońca. Przemykam wśród nieustającej wymiany ognia. Strzały padają z różnych stron. Idę długimi ulicami i jestem na nich jedyną żywą istotą, nie widać nawet wałęsających się psów ani kotów. Żadnego dźwięku poza odgłosem kroków słyszalnym tylko w krótkich przerwach pomiędzy salwami wystrzałów, które zwykle stają się częstsze, im bliżej do północy. Mam wszystko, czego mi trzeba. Kilka różnych dowodów tożsamości i innych świetnie spreparowanych dokumentów, niedających się odróżnić od prawdziwych.

Zdobył je dla mnie Wróg. Magik sporządził dla mnie dokładny plan przejść pomiędzy dzielnicami mieszkalnymi, ulicami i zaułkami. Pozwala mi to uniknąć niepotrzebnych spotkań z ludźmi. Im te spotkania są tym bardziej niepotrzebne.

Trzej Szaleńcy dostarczają mi kompletnego ubioru dostosowanego do dzielnicy, do której się udaję. Sofista robi mi makijaż, który ukrywa moje blizny, szwy i siniaki od uderzeń. Przed moim samotnym wyjściem daje mi lusterko, żebym mógł się przejrzeć i zobaczyć efekty jego pracy.

Jestem bliski zakończenia mojej misji. Został mi jeden człowiek należący do Al-Kaidy, przebywający w dzielnicy Abu Ghrajb na obrzeżach stolicy i jeden wenezuelski oficer – najemnik zajmujący się ochroną w Bagdadzie. Zemszczę się na tych dwóch i wszystko się skończy. Tyle że sprawy nie idą ku końcowi tak, jak się tego spodziewałem.

Jednej nocy wróciłem do domu z ciałem podziurawionym od kul. Były to zawzięta walka i wyczerpujący pościg – już myślałem, że nie uda mi się dorwać i udusić zbrodniarza, który zaopatrywał wiele grup przestępczych w materiały wybuchowe bez względu na ich orientację polityczną i ideologiczną. Handlował śmiercią w pełnym znaczeniu tego słowa. Mieszkał razem z kilkoma członkami gangów w jednym z domów w pobliżu targowiska Szordża, w centrum Bagdadu.

Trzej Szaleńcy wyjęli z mojego ciała mnóstwo pocisków. Magik i Sofista też pomogli w zszywaniu jego poszarpanych fragmentów. Jednak kawałek mięsa na ramieniu nie dał się umieścić z powrotem na swoim miejscu. Okazało się, że całkiem się rozłożył, jak u zwłok kilka dni po śmierci.

Następnego dnia, gdy wstawałem z łóżka, wiele fragmentów mojego ciała odpadło na podłogę; wokół unosił się intensywny, zgniły odór śmierci. Owinąłem się w szerokie prześcieradło i zacząłem się rozglądać za swoimi towarzyszami. Na prześcieradle w wielu miejscach pojawiły się plamy od wydzielin mojego gnijącego ciała. Wreszcie napotkałem ich na dachu. Stojąc w pewnej odległości, zapytałem:

– Co się dzieje? Czy to koniec?

Magik spojrział na mnie wyraźnie zasmucony. Reszta paliła papierosy i obserwowała przez dziury w ogrodzeniu dachu zamieszki na ulicach otaczających

budynek. Magik powiedział:

– Za każdym razem, gdy kogoś zabijasz, jego konto automatycznie się zamyka. Inaczej rzecz ujmując, ten, kto domagał się zemsty, zostaje pomszczony, a jego część obecna w twoim ciele zaczyna się psuć. Wydaje się, że masz na swoją misję określony czas. Jeśli uda ci się pomścić wszystkie ofiary przed upływem tego czasu, twoje ciało przez chwilę jeszcze będzie się trzymało, ale potem rozłoży się – misja będzie skończona. Jeśli sprawa się opóźni, zostaną ci tylko części ciała należące do tych kilku niepomszczonych jeszcze ofiar.

– Co za brednie! – wtrącił Sofista, po czym rzucił papierosa na ziemię. – Nie umrze ani się nie rozłoży, nic z tych rzeczy. Kłamiesz, próbujesz nas nastraszyć. Zbawca nie umiera.

Mówiąc to, zwrócił się ku Najstarszemu Szaleńcowi, który bardziej niż inni był zainteresowany tematem. Ten odpowiedział prędko, podnosząc do nieba obie dłonie zaciśnięte w pięści, potrząsając nimi i powtarzając:

– Zbawca nie umiera.

Kłócili się tak, a reszta przyglądała się temu, co działo się na dole. Wyglądało na to, że jakieś dwie grupy zaraz zmierzą się ze sobą w biały dzień. Każdy śmiertelnik ryzykował wiele, pozostając na dachu i obserwując strzelaninę przez otwory w otaczającym go murze. Kule mogły nadlecieć z każdej strony. Jednak ciekawość wzięła górę, dlatego stali i patrzyli w oczekiwaniu na to, co się dalej wydarzy.

Rozłożyłem na dachu prześcieradło i położyłem się nago w słońcu. Z otworów w moim ciele, z ran i cięć, których szwy popękały, powoli wydobywał się lepki, jasny płyn. Potrzebowałem kompletnej rekonstrukcji. Zaskoczył mnie ten wniosek. Tak, potrzebowałem części zamiennych.

Z dołu doszły mnie odgłosy walki, która jak się spodziewano, właśnie się zaczęła. Ogłuszające salwy pocisków, przenikliwy krzyk ludzi. Poczulem, że zaraz się usmażę na tym słońcu, więc wstałem, obwiązałem się na nowo prześcieradłem i podszedłem do muru. Była to szybka rozgrywka pomiędzy dwoma uzbrojonymi grupami. Jedna z nich została rozbita i jej członkowie rozpierzchli się w różne strony, dwóch uciekających zostało złapanych. Wrogowie, popychając jeńców karabinami,

doprowadzili ich do na wpół zawalanej ściany podziurawionej obficie pociskami z karabinów maszynowych PKS. Jeden z pojmanych był poważnie ranny, jęczał, pewnie wzywał na pomoc człowieka albo Boga. Drugi szedł spokojnie z podniesioną głową, jak jakiś święty męczennik. Jakby wiedział, że jest ktoś, kto patrzy na to, co się z nim właśnie dzieje, że naoczni świadkowie przekażą to światu w pełnych podziwu słowach. Akcja nie trwała długo. Oprawcy popchnęli dwóch chłopaków ku ścianie, krzyknęli raz czy dwa: „Bóg jest wielki” i otworzyli ogień z karabinów. Mężczyźni natychmiast padli na ziemię. Egzekutorzy założyli karabiny na ramię jak robotnicy łopaty i oddalili się śpiesznie.

Spojrzałem na moich towarzyszy i zobaczyłem, że ich twarze przeorane były strachem. Wszystkich, oprócz Magika, który wybiegał, zdaje się, myślami o krok dalej:

– Mili panowie, jaka strata! – powiedział, patrząc na mnie wymownie, po czym dokończył swoją myśl: – Czyż nie są to ofiary?

– Nie mam pojęcia, zapytaj Sofistę – odparłem.

– Wszyscy są ofiarami, tak to widzę.

W ciągu kolejnych kilku godzin odpadły kciuk u mojej prawej ręki i trzy palce lewej. Mój nos zaczął spływać, w całym ciele dokonało się wiele zmian. Rozkładałem się. Poczułem, że ogarnia mnie słabość i przemożna potrzeba snu. Moich sześciu pomocników siedziało w sali umeblowanej sprzętami przejętymi z opuszczonych domów wokół naszego budynku. Rozmawiali z powagą i niepokojem o moim stanie.

Zgodnie z grafiką moja misja miała się zakończyć tej nocy. Miałem dorwać oficera Wenezuelczyka w jednym z hoteli w Karradzie. Miałem przyjąć wiele strzałów, nim uda mi się zacisnąć ręce na jego szyi, a potem uciec specjalnym samochodem sił bezpieczeństwa dostarczonym przez Wroga do dzielnicy Abu Ghrajb. Tam misja miała się zakończyć zabiciem członka Al-Kaidy. Potem miałem się rozpaść, opuścić ten wasz podły świat.

Ale z nastaniem nocy zapadłem w śpiączkę. Gdy się wybudziłem, zobaczyłem pochylonych nade mną Szaleńców, ubabranych krwią. Myli mnie. Znajdowaliśmy się w łazience w mieszkaniu na trzecim piętrze. Czułem, że coś tu się wydarzyło.

Cała szóstka po zażartej dyskusji podjęła ostateczną decyzję. Szaleńcy pod osłoną nocy przemknęli na plac, na którym w ciągu dnia dokonana się egzekucja. Wzięli ciało „świętego”, porzucając tego drugiego, płaczącego ze strachu. Zaciągnęli ciało do domu i w jednym z pokoi na parterze przygotowali dla mnie „części zamienne”. Wycięli to, czego potrzebowałem, spakowali do czarnego plastikowego worka i zostawili na miejscu, a resztę zwłok „świętego” odnieśli z powrotem, wyrzucili gdzieś daleko na hałdę pozostałą po jakimś domu zburzonym przez Amerykanów.

Najstarszy Szaleniec usunął zepsute części mojego ciała, a potem Młody i Starszy zajęli się przyszywaniem nowych. Następnie wszyscy razem zanieśli mnie do łazienki i tam obmyli z krwi i lepkiego osocza. Osuszyli mnie. Wróg dał mi ubranie oficera amerykańskich sił specjalnych i stosowne dokumenty. Potem Sofista zajął się moim makijażem. Nałożył grubą warstwę kobiecego pudru i podał mi lusterko. Spojrzałem w nie i nie poznałem własnej twarzy. Poruszyłem więc ustami, żeby się przekonać, czy naprawdę jest moja.

– Co się stało?

– Przywróciliśmy cię do życia – powiedział spokojnie Magik, siedzący wygodnie na kanapie w salonie, z rękami wyciągniętymi na oparciu i z zapalonym papierosem zwisającym z ust. To on był mózgiem całej tej operacji. Przekonał resztę, że ten „święty” to też ofiara, że jego dusza także domaga się pomsty. Nie było więc problemu, żeby użyć jego ciała na części zamienne w miejsce tych zepsutych, należących do już pomszczonych osób.

Stałem na nogi. Poczułem nową energię i wszechogarniający napływ emocji, jakbym zbudził się z jakiegoś intensywnego snu. Twarze wokół mnie nagle wydały mi się dziwne i zapomniałem, co miałem w planach od rana. Włożyłem letnią czapkę marines, po czym opuściłem budynek. Poszedłem na wschód, tam gdzie zniknęła uzbrojona grupa, która tego popołudnia dokonała przed naszym budynkiem egzekucji. Palce „świętego” same otwierały bramy i prowadziły mnie tam, dokąd powinienem iść. Spotkałem ich w końcu, siedzących na ziemi i pijących herbatę. Strażnicy rozstawieni na dachu sąsiedniego budynku nie dostrzegli mnie. Zdumieni się na mój widok i w mgnieniu oka wycelowali we mnie karabiny. Jednak byłem już na tyle

blisko, że mogłem złapać za lufy, wyrwać im broń z rąk, odrzucić ją na bok i kontynuować walkę na pięści i kopniaki. Usłyszałem kilka wystrzałów, z pobliskich pomieszczeń nadeszli kolejni ludzie. Zaczęli strzelać i krzyczeć. Pociski podziurawiły mi plecy, a ja dalej łapałem ich za szyje i łamałem karki jeden za drugim. Po godzinie z całej grupy został tylko jeden człowiek; siedział przerażony w kącie pokoju. Słabe światło latarni elektrycznej nie pozwalało mi zobaczyć dokładnie rysów jego twarzy, ale widziałem, że płacze. Zbliżyłem się do niego. Był jak wystraszona owca idąca bez walki pod nóż rzeźnika. Podszedłem jeszcze bliżej i zobaczyłem, że cały się trzęsie. Wiedział doskonale, że wróg, z którym tej nocy starła się jego grupa, nie jest zwykłym człowiekiem. Jest gniewem Boga. W końcu w bladym świetle latarni dojrzałem jego twarz i przerażone oczy. Miał poczucie grzechu. Poddał się mu. To ułatwiło mi sprawę, nim jeszcze go dotknąłem.

4

Zabiłem najemnego wenezuelskiego oficera prowadzącego agencję bezpieczeństwa, która przyciągała do siebie zamachowców samobójców i przez to przyczyniła się do śmierci wielu cywilów, w tym także stróża hotelu Sadir Novotel Hasiba Muhammada Dżafara. Zabiłem też członka Al-Kaidy mieszkającego w Abu Ghrajb, który spowodował potężny wybuch samochodu pułapki na placu Tajaran. Wybuch zostawił po sobie wiele ofiar, wśród których był właściciel nosa podniesionego przez Hadiego z chodnika. Nos ten posłużył kiedyś do dopełnienia konstrukcji mojej twarzy. Zabrało mi kilka tygodni przygotowanie operacji, obserwowanie ruchów wroga i przeniknięcie w sposób niezauważony w szeregi jego ugrupowań. Potrzeba na to czasu, ale mając silne argumenty, można zdobyć zaufanie każdego, nawet nieprzyjaciela.

Problem w tym, że lista ofiar domagających się pomsty wydłużała się z każdą nową częścią ciała, jaką dostawałem. Stare kawałki odpadały, a moi pomocnicy zamieniali je na nowe. Którejś nocy zdałem sobie sprawę, że jeśli będziemy dalej realizować ten plan, lista okaże się nieskończona.

Czas był moim wrogiem, nie pozwalał mi na dokończenie misji. Zacząłem żywić nadzieję, że mordy na ulicach się skończą, wyczerpie się zatem źródło nowych ofiar na części zamienne, więc i mój koniec nadejdzie – rozpląnę się w miejscu.

Ale mordercza orgia dopiero się zaczynała. Przynajmniej tyle dało się wywnioskować, obserwując sytuację z balkonów naszego budynku – pozbawionych okien, otwartych na ulicę. Zdarzało mi się, gdy wychodziłem, napotykać ciała ludzkie porzucone na ulicach niczym śmieci.

Oczywiście wraz ze wzrostem częstotliwości zabójstw nasz plan się rozrastał. Trzej Szaleńcy przynieśli dużo broni małego i średniego kalibru, a na dachu zamontowali karabiny maszynowe PKS wymierzone w cztery strony świata. Wejście do budynku przysypali śmieciami i zastawili blokami z betonu i workami z piaskiem – nie mam pojęcia, skąd je wzięli. Pracowali ciężko przez wiele dni. Potem znaleźli sobie jakichś młodych chłopaków, którzy zaczęli im w tym pomagać. Odkryłem, że nie wiadomo kiedy budynek zamienił się w wojskową fortecę w pełnym znaczeniu tego słowa. Poza różnymi rodzajami broni mieliśmy małe wojsko do ochrony.

Każdy z Szaleńców propagował swoją własną wizję mnie wśród otaczających go zwolenników, przez co udało im się pozyskać wielu rekrutów. Ci ludzie mieli dość sytuacji, którą oglądali wokół siebie każdego dnia, dlatego szukali wybawienia.

Młody Szaleniec i jego ludzie zajęli cały parter. Pochodzili oni z różnych dzielnic i tak jak on wierzyli, że jestem pierwszym obywatelem irackim. Potem dowiedziałem się, że zamiast imion Młody Szaleniec nadał im numery. Sam został numerem dwa, a reszta otrzymała numery od trójki w górę. Liczba rosła z każdym nowym dniem.

Starszy Szaleniec zajął kilka pokoi na pierwszym piętrze, gdzie mieszkał razem ze swoimi zwolennikami, którzy podobnie jak on wierzyli, że jestem czarną dziurą, która wszystko pochłonie, i aniołem śmierci Azraelem. Przyszedłem jako Boży posłannik, żeby z Jego błogosławieństwem połączyć całą ziemię.

Jeśli zaś chodzi o Najstarszego Szaleńca, to zajął dwa pozostałe mieszkania na pierwszym piętrze. Jego grupa zwolenników była mniej liczna niż dwie poprzednie. Dyktował im własną świętą księgę, w której głosił, że jestem obrazem Boga wcielonym na ziemi, a on sam jest „bramą” do Niego. Spoglądanie na moje oblicze

było im wzbronione, dlatego gdy schodziłem z pierwszego piętra i napotykałem ich w korytarzach lub na schodach, rzucali się na ziemię, by bić mi pokłony, i strwożeni zasłaniaли oczy rękami.

Magikowi nie podobały się te nowe zmiany; spodziewał się, że to wszystko źle się skończy. Zaczęliśmy bardziej zwracać na siebie uwagę.

– Jeśli zdarzy się bombardowanie, tobie pewnie nic nie będzie, ale z nas zostanie mielonka.

Mówiąc to, spojrział na Sofistę, szukając u niego potwierdzenia, ten jednak milczał ponuro. Po chwili, gdy Magik wyszedł do toalety, odezwał się do mnie, jakby zdradzał mi jakąś tajemnicę:

– Jest tylko zazdrosny. Chce mieć cię pod kontrolą. Chce tobą kierować. Proszę, nie przejmuj się jego gadaniem.

Sofista nie pałał sympatią do Magika. Odebrałem jego słowa jako próbę zbliżenia się do mnie i zajęcia miejsca, które aktualnie zajmował tamten. Nie podobała mu się nieznosząca sprzeciwu pewność siebie bijąca z wypowiedzi Magika, w szczególności gdy chodziło o mapę dróg, którymi się przemieszczałem, zazwyczaj precyzyjne nakreślonych i całkowicie bezpiecznych.

Wróg natomiast nie zawsze był obecny. Znikał zwykle na jakiś czas, a potem zjawiał się, przynosząc zawsze coś nowego. Raz podarował nam sprzęt bezprzewodowy, kilka telefonów komórkowych, ekran do monitorowania bezpieczeństwa oraz kamery, które rozmieścił na balkonach wszystkich pięter. Była to jego ostatnia wizyta i ostatnia przysługa, jaką mi wyświadczył. Potem już go nie zobaczyłem. Zadzwoił kilka dni później, wydawał się zaniepokojony. Powiedział, że go zdemaskowali. W wydziale rozpoczęło się śledztwo wewnętrzne, żeby odtworzyć jego ostatnie poczynania. Również Amerykanie się nim zainteresowali. Jest wielce prawdopodobne, że zostanie oskarżony o wspieranie ugrupowań terrorystycznych lub coś w tym stylu. Potem zniknął. Gdy próbowaliśmy się do niego dodzwonić, był poza zasięgiem.

Wiem, że sprawy nie idą po mojej myśli. Dlatego proszę o pomoc kogokolwiek, kto odsłucha to nagranie. Niech nie utrudnia mi działań, żebym mógł dokończyć sprawy i opuścić ten świat najszybciej, jak to możliwe. Już i tak jestem bardzo spóźniony. Wiem, że przede mną było wielu, którzy pojawili się tu, na świecie w różnych epokach. Realizowali swoje misje w trudnych czasach, kończyli je i odchodzili. Nie chcę, by ze mną było inaczej.

Byłem ostrożny w wyborze fragmentów ciał używanych do mojej rekonstrukcji. Pilnowałem, żeby moi pomocnicy nie przynieśli mi nic trefnego. Dla mnie oznacza to ciało zbrodniarza. Ale kto potrafi określić, ile w danym człowieku jest ze zbrodniarza? To pytanie zadał mi któregoś dnia Magik.

– W każdym z nas oprócz człowieka niewinnego kryje się również zbrodniarz. Ten, kto zostaje bestialsko i niewinnie zamordowany, może dziś być bez winy, ale dziesięć lat wcześniej mógł wyrzucić żonę na ulicę albo na przykład oddać matkę do domu starców. Albo rodzinie z chorym dzieckiem odciąć prąd i wodę za niepłacenie rachunków, przez co dziecko umarło. Tak to jest...

Mówiąc to, Magik palił fajkę wodną, którą sobie wcześniej przygotował. Sofista jak zwykle zareagował negatywnie na te słowa. Minęło pół dnia, poszedłem na dach upewnić się, że Amerykanie wycofali się z rejonu, tak bowiem głosiły nowe informacje. Zauważyłem wtedy, że Sofista idzie za mną krok w krok. Zatrzymał się przede mną i zaczął mówić z poważną miną:

– Proszę, żebyś nie wierzył słowom Magika. Mówi o sobie samym, on sam jest zbrodniarzem. To on zabił człowieka dziesięć lat temu, wyrzucił z domu swoją żonę i matkę, zabił niemowlę. Jest zbrodniarzem, dlatego nie wierz jego słowom.

Odwróciłem od niego wzrok i złapałem za teleskop, w który zaopatrzył mnie Wróg podczas swojej ostatniej wizyty. Zacząłem obserwować najdalsze krańce ulicy, gdzie zawsze skupiało się kilka amerykańskich czołgów typu Abrams. Zniknęły bez śladu, tak samo jak baraki i punkty kontrolne umieszczone wysoko na budynkach oraz patrole na bocznych ulicach. Naprawdę się wycofali, dokładnie tak, jak mi

powiedziano. Była to rzecz dziwna.

Zwróciłem się do Sofisty:

– Nie przejmuj się za bardzo tą sprawą. Wyrzuć temat Magika ze swojej głowy. Dla mnie i tak ostatnie słowo należy do ciebie. Przecież to za twoją namową wziąłem na ostatnią wyprawę pistolet, nie tak było?

– Tak.

– No to siedź cicho i już więcej o tym nie wspominaj.

Wróciłem do patrzenia przez teleskop, ale mój umysł był skupiony na czymś innym. Miałem silne podejrzenie, że do mojej ostatniej rekonstrukcji zostały użyte części ciała zbrodniarza. Być może bezwiednie wykorzystali zwłoki jednego z terrorystów. Dlatego miałem taki zły nastrój, czułem się skołowany, zdezorientowany. Obserwowałem ulice, zaułki i dachy domów, aż poczułem, że obraz w moich oczach staje się coraz bardziej zamglony. Jakby między mną a światem stanęła jasna, matowa ściana. Odłożyłem teleskop i zacząłem przecierać oczy. Poprosiłem Sofistę, by sprowadził mnie na dół.

Wzrok wrócił po godzinie. Wystraszyłem się, że moje oczy zaczynają się psuć, co oznaczałoby konieczność ich szybkiej wymiany. Problem w tym, że już nie ufałem moim pomocnikom w kwestii dostarczanych zwłok. Na ulicy przed naszym budynkiem roilo się od martwych ciał. Każdego wieczoru powstawały nowe stosy, ale wszyscy ci martwi ludzie, jak mi się zaczęło wydawać, byli zbrodniarzami zabijającymi się nawzajem.

Gdy wreszcie udało mi się porozmawiać z Magikiem na osobności, powiedział mi odważnie, że sądzi, iż połowa mojego ciała składa się z kawałków przestępców.

– Jak to?

Obserwowałem, jak stawia obok siebie fajkę wodną, a potem wciąga intensywnie powietrze z ustnika, by rozniecić żar. Wypuścił z ust kłęb dymu i zwrócił się do mnie drwiąco:

– Czy ciało „świętego” naprawdę było święte?

– O co ci chodzi?

– Skoro nosił broń, jest przestępcą.

Powiedziawszy to, wrócił spokojnie do palenia. Zauważyłem wtedy, że Sofista stał przy drzwiach i przysłuchiwał się naszej rozmowie. Miałem przygotować się do nowej wyprawy tej nocy, uznałem więc, że nie pozwolę na kolejną jałową dyskusję między nimi. Wstałem i zażądałem od Sofisty, by pomógł mi w przygotowaniach. Celem misji był lider jednej z bojówek mieszkający w biednej dzielnicy na wschodzie miasta. Sofista przyniósł mi ubranie przypominające to, które noszą tamtejsi bojówkarze, potem posadził mnie na krześle obok toaletki, jak aktora teatralnego, który właśnie ma wyjść na scenę, i zaczął robić mi makijaż dostosowany do mojej nowej osobowości. Ale nie zapomniał o tym, co przed chwilą usłyszał z mojej rozmowy z Magikiem – zaczął mówić, jednocześnie zajmując się moją twarzą:

– A więc przekonał cię, że teraz jesteś w połowie zbrodniarzem? Że połowa twojego ciała pochodzi od przestępców? Jutro powie ci, że w trzech czwartych, a w końcu któregoś dnia obudzisz się i okaże się, że cały jesteś zbrodniarzem. Ale przecież nie takim zwykłym, ty będziesz superzbrodniarzem, w końcu składasz się z całego ich pęku. Co?

Nie przestawał aż do mojego wyjścia. Zostawiłem go, nie odpowiedziawszy na jego pytania. Gotowało się w nim. Niestety moi dwaj pomocnicy stali się sobie wrogami.

W tym czasie i na krótko przedtem wokół naszego domu dokonały się istotne zmiany. Wydawało się, że przynajmniej część z przepowiedni Magika zaczęła się spełniać. Liczba zwolenników sprowadzonych przez trzech Szaleńców wzrosła tak bardzo, że nasz dom przestał ich mieścić. Tak wielka liczba ludzi potrzebowała też zaplecza logistycznego, jedzenia, picia, dachu nad głową. Nie mam pojęcia, jak sobie to zapewniali.

Po awanturze i krzykach pomiędzy Szaleńcami i ich zwolennikami trzech przywódcy doszli do wniosku, że trzeba przenieść się do stojących obok domów. Zostawili kilku strażników na parterze tego, w którym mieszkałem, a sami rozprzestrzenili się po sąsiednich budynkach. Tego wieczoru przestraszyła mnie grupa uzbrojonych mężczyzn, którzy oddali mi pokłon na ulicy, gdy obok nich przechodziłem. Wierzyli, że jestem obliczem Boga na ziemi, tak jak nauczał

Najstarszy Szaleniec, który zawinął sobie na głowie pomarańczowy turban, zapuścił brodę i został prorokiem całkiem nowej – zarówno w formie, jak i w treści – religii.

Sprawa ze zwolennikami Starszego Szaleńca miała się podobnie, choć ci byli jakby bledsi i mniej krzykliwi. Obydwie grupy oskarżały się wzajemnie o kłamstwa i szarlatanerię. Jeśli zaś chodzi o Obywateli Irackich – zwolenników Młodego Szaleńca, to ich liczba przekroczyła już sto pięćdziesiąt. Zaczęli myśleć o kandydowaniu w najbliższych wyborach.

Zabiłem lidera bojówkarzy i piętnastu ludzi, którzy go bronili. Za namową Sofisty do zrealizowania mojej misji użyłem pistoletu, bo moja metoda „śmierci nadchodzącej znikąd” przestała być skuteczna. Nafaszerowałem bojówkarza ołowiem, po czym porzuciłem wielkie ciało na podwórku domu. Jego matka, żona i siostry zbiegły się wokół, ubrane w czarne szaty, w rozpacz zaczęły uderzać się w piersi i okładać dłońmi po twarzach.

Żeby wrócić do Dory, skorzystałem z jednego z samochodów lidera bojówki. Zbliżając się do naszej siedziby, usłyszałem odgłos wystrzałów. Po wycofaniu się Amerykanów i irackiego wojska bojówki rozpoczęły walki o kontrolę nad tym kawałkiem miasta. Zostawiłem więc samochód i zacząłem przedzierać się przez wyrwy w murach, posiłkując się planem, w który zaopatrzył mnie Magik. Wtedy właśnie powróciła mgła przykrywająca moje oczy i nagle przestałem widzieć cokolwiek. Stałem, wspierając się o ścianę, i spędziłem w tej pozycji kilka minut. Potarłem oczy i poczułem, że moje prawe oko zaczęło przypominać pastę. Gdy próbowałem je wyjąć, zauważyłem, że przesuwa się z łatwością, aż w końcu wyślizgało w całości w mojej dłoni. Wyrzuciłem je. Bałem się, że to samo stanie się z lewym, a wtedy całkowicie stracę wzrok. Usiadłem przy ścianie i nasłuchiwałem odgłosów strzelaniny. Dochodziły zewsząd. Bałem się, że przesiedzę tu tak całą noc, nie wiedząc, co się wokół mnie dzieje, ale po kilku ciężkich minutach moje lewe oko znów zaczęło reagować na światło. Spojrzałem przez wielką dziurę w murze pozostawioną przez jakąś bombę. Ulica wyglądała pusto i ponuro. Wstałem i wyszedłem z budynku, rozglądając się po ulicy. Dojrzałem jakąś czarną postać nadchodzącą z drugiej strony. Wpatrywałem się w nią, aż jej rysy stały się dla mnie wyraźniejsze. Był to mężczyzna. Z którejś strony nagle padła wiązka światła, prosto

na jego twarz, i pozwoliła mi lepiej mu się przyjrzeć. Mógł mieć sześćdziesiąt lat, był gruby, z dużym brzuchem, w koszuli z krótkim rękawem. Miał do tego płócienne spodnie, a w obydwu rękach czarne worki z zakupami. W jednym było pieczywo, w drugim owoce, jak dowiedziałem się później. Jego obecność w tym miejscu była podejrzana. Pewnie pomylił drogę. Skąd przychodził, dokąd szedł? Śledziłem go wzrokiem i zobaczyłem, że skręca w boczną ulicę, w stronę budynku, gdzie mieliśmy kryjówkę. Z tego miejsca odgłosy toczącej się gdzieś zawziętej strzelaniny wydawały się jeszcze głośniejsze. Może bojówkarze otoczyli baraki, które Trzej Szaleńcy zaadaptowali na siedziby?

Szedłem dalej za mężczyzną, zachowując bezpieczną odległość, żeby się nie zorientował. Zacząłem odtwarzać sobie w głowie słowa Magika o tym, że każdy z ludzi jest w jakiejś części przestępcą. Przypomniał mi się też ostry sprzeciw Sofisty wobec tych tez. Nie zapomniałem ani na moment, że mogę stracić wzrok w każdej chwili, nawet zanim jeszcze znajdę się w pobliżu domu.

Co dwa–trzy kroki grubas zatrzymywał się i rozglądał przerażony dookoła. Widać było, że płacze ze strachu, choć bez łez. Jacy diabli cię tu przynieśli, człowieku? – chciałem podejść i zapytać. Ale w tym momencie atakowały mnie zupełnie inne obawy i mąciły mi umysł. Raz jeszcze mężczyzna zatrzymał się, wsłuchując w pisk pocisków niszczących sąsiedni budynek. Zastygł w miejscu, a ja zorientowałem się, że też stoję w bezruchu dwadzieścia metrów za nim. Gdyby w tamtej chwili się odwrócił, na pewno by mnie dostrzegł. Moje lewe oko znów zaszło mgłą – poczułem, że to koniec, że zaraz rozmięknie wewnątrz mojej głowy jak ciasto drożdżowe. Dlatego wyjąłem pistolet i wycelowałem w tego niewinnego starca. Z całą pewnością był człowiekiem niewinnym. Nie jak ci, których zwłoki znoszą mi Trzej Szaleńcy, żeby wciąż rekonstruować moje ciało.

Strzeliłem tylko raz, w chwili gdy cały obraz zniknął mi już przed oczu. Po wystrzale nie usłyszałem już nic. Ucichła także wymiana ognia w oddali. Nie słychać było kroków, płaczu, niczyjego oddechu. Oślepiłem, więc szedłem do przodu ostrożnie, aż poczułem, że mój but w coś uderzył. Pochyliłem się i dotknąłem ciała przestraszonego starca. Kula trafiła dokładnie w czaszkę. Wystraszony spodziewał się, że śmierć może nadejść znad budynków albo z drugiego końca ulicy. A śmierć

zaskoczyła go od tyłu.

Wyjąłem scyzoryk i od razu zabrałem się do roboty. Co teraz powie Magik? Moje nowe oczy pochodzą od niewinnej ofiary. Jutro procent zbrodniarza we mnie będzie mniejszy. Ale jak mu to wyjaśnię? Na kim szukać odwetu za tę ofiarę?

Sofista stwierdzi, że wykonałem w stu procentach plan Magika, stałem się zbrodniarzem mordującym niewinnych, jak sobie tego życzył. „Zmusił cię to tego za pomocą swoich dżinów, które potrafią wpłynąć na twój proces myślenia” – tak powie Sofista. Magik natomiast odrzeknie mi ze spokojem, wyjaśniając, że po prostu reaguję na bodźce wysyłane mi przez części ciała zbrodniarzy, których w sobie noszę. Żeby wybrnąć z tego błędnego koła, muszę pozbyć się tych wszystkich złych części. Inaczej mój konflikt wewnętrzny będzie trwał: nie tylko moje myśli będą splątane, ale i kawałki ciała będą skłócone.

Udało mi się umieścić w oczodołach nowe oczy i zacząłem widzieć, co się wokół mnie dzieje. Zobaczyłem przy sobie ciało niewinnego starca i przyszła mi do głowy myśl, której się uczepiłem: że to on jest prawdą, której szukałem. Ten mężczyzna to owca, którą Bóg poprowadził w moją stronę. Jego imię to „niewinny, który umrze tej nocy”. I tak miał umrzeć za kilka minut, najdalej za pół godziny. Bez wątplenia dosięgłyby go kule walczących bojówkarzy. Gdyby tak się stało, jego ciało leżałoby gdzieś wśród innych i żaden z Trzech Szaleńców nie byłby w stanie odróżnić go od zwykłych zbrodniarzy.

W takim razie tylko przyśpieszyłem jego śmierć. Właściwie już wcześniej był martwy. Każdy niewinny człowiek, który tej nocy znalazłby się w tej ponurej ulicy, spotkałby tu pewną śmierć.

Oczy należało jeszcze przyszyć i solidnie umocować. Zajmą się tym moi zwolennicy, gdy wrócę do siedziby. Ale do tego czasu muszę próbować nie patrzeć w dół, żeby oczy nie wypadły. Wziąłem okulary korekcyjne, które znalazłem w kieszeni na piersi mężczyzny, i założyłem je, by uchronić gałki przed wypadnięciem.

Obrałem drogę prowadzącą ku obwarowaniu z worków wypełnionych piaskiem, które Trzej Szaleńcy ustawili wokół zgrupowania budynków zajmowanych przez ich

oddziały. W mojej głowie wrzało od sprzecznych myśli, ale uparcie trzymałem się mojej nowej idei „przyspieszania śmierci”. Nie jestem mordercą, ja tylko zerwałem owoc śmierci, nim upadł na ziemię. Nic więcej.

Uspokoili się odgłosy walk, ale okazało się, że się myliłem. To nie bojówki starły się ze sobą pod nieobecność Amerykanów i irackiego wojska. Dzisiejszą wojnę wszczęli zwolennicy Trzech Szaleńców. To była ostatnia rzecz, jakiej bym się spodziewał. Było to też zniszczenie przepowiedni Magika, którą zaczął mnie straszyć zaraz po pojawieniu się pierwszej nowej osoby, nie licząc ścisłej szóstki. Co gorsza, nie dane mi było porozmawiać z Magikiem o jego spełniających się prorocत्वach. Nigdy już nie powiedział do mnie słowa. Leżał na stercie kamieni przed naszym budynkiem. Z bliska dostrzegłem kulę z pistoletu, która utknęła na środku jego czoła. W moim mieszkaniu na trzecim piętrze nie spotkałem nikogo. Wszędzie panował chaos, rzeczy leżały porozrzucane, wszystko wskazywało, że odbyła się tu jakaś walka. Brakowało szyb w oknach balkonu, pod którym leżały zwłoki Magika. Zgadywałem, że został zabity i zrzucony na ulicę. Przeczucie podpowiadało mi, że zrobił to Sofista, nikt inny. Ale gdzie był teraz?

Rankiem następnego dnia chciałem przeszukać miejsce, ale nie znalazłem nic poza ciałami porozrzucanymi w różnych miejscach – na asfalcie, na chodnikach. Kolejne leżały oparte o ściany domów albo przewieszane przez balkonowe poręcze, jeszcze inne splecione ze sobą u wejścia do mieszkań czy pokoi. Z mojej drużyny nie pozostał nikt oprócz Młodego Szaleńca, który całkiem postradał zmysły. Wziąłem go do swojego mieszkania na trzecim piętrze, żeby go o wszystko wypytać. Dowiedziałem się w ten sposób, że ci, którzy zdołali uratować się z rzezi, jaka się tu dokonała, uciekli i prawdopodobnie nie wrócą. Dwaj pozostali Szaleńcy zostali zabici. Magika zabił Sofista, po czym sam uciekł.

Młody Szaleniec był wyjątkowo blady i mówił powoli, jakby lada chwila miał stracić przytomność. Kiedy spojrzałem na niego moimi nowymi oczami niewinnego starca, zobaczyłem w nim zbrodniarza. Uratował się z krwawej łaźni tylko dlatego, że sam był bardziej krwiożerczy od innych.

– Zaraz wyczerpie się bateria, mój panie.

- Tak, wiem.
 - To nasza ostatnia bateria. Wykorzystaliśmy cały worek.
 - Wiem, już nie będę ich potrzebował. Skończyłem nagranie.
 - Skończyłeś nagranie? To co teraz zrobisz?
 - Tylko jedno, to...
 - Nie, mój panie... mój panie... jestem twoim sługą i niewolnikiem. Czemu chcesz to zrobić? Mój panie, jestem twoim niewolnikiem... jestem... twoim... nie...
 - Halo, halo... halo, halo... tak. Ech, mam mało czasu. Niech to szlag, zabieracie mój cenny czas!
-

[9] Fajsal ibn al-Husajn z rodu Haszymitów – król Syrii, a następnie w latach 1921–1933 Iraku, inspirowany ideą panarabizmu dążył do utworzenia zjednoczonego państwa arabskiego na Bliskim Wschodzie.

Śledztwo

1

Mahmud skończył odsłuchiwać nagranie po raz drugi czy trzeci. Niełatwo mu było opanować zdziwienie, jakie go ogarniało podczas słuchania tej historii, opowiedanej spokojnym, miękkim głosem. Otworzył laptop, który dostał od redaktora naczelnego. Postanowił w obawie przed utratą tej ekscytującej historii przekopiować dane z dyktafonu do pamięci komputera. Potem zrobił jeszcze jedną kopię, którą umieścił na pendrivie. Pendrive'a włożył do kieszeni spodni przewieszonych na krzesło obok i na nowo położył się na swoim wygodnym łóżku w pokoju na drugim piętrze hotelu Dilszad. Poddał się cichemu gwarowi dochodzącemu z zewnątrz, nasilającemu się wraz ze zbliżaniem się wieczoru i ustępującym powoli sierpniowym upałem.

Na nowo pograżył się w lenistwie i prawie już zasypiał, gdy zadzwonił hotelowy telefon. Podniósł słuchawkę i usłyszał w niej głos Hammu, grubasa, który pracował w recepcji hotelu w dzień i w nocy.

– Proszę pana, ktoś o pana pyta. Ma pan gości.

Ubrał się pośpiesznie i zszedł na dół po schodach wyścielonych ciemnozielonym dywanem. Idąc, zdał sobie sprawę, że burczy mu w brzuchu. Późno zjadł śniadanie i jeszcze nie pomyślał o obiedzie.

Na dole czekało na niego czterech mężczyzn w cywilnych ubraniach. Twarz jednego z nich wydała mu się znajoma, jakby go już kiedyś spotkał. Był to młody chłopak w zwracającej uwagę różowej koszuli i włosach obciętych tak krótko, że nie

dałoby się ich złapać palcami. Ten właśnie krótko ostrzyżony chłopak wziął go na bok i szepnął:

– Generał Surur chce cię widzieć natychmiast.

– Czemu? O co chodzi?

– Nie wiem. Mówi, że jesteście przyjaciółmi. Chce cię widzieć, teraz.

– Dobrze – powiedział Mahmud i spojrzał w stronę Hammu, który stał za ladą recepcji i przerzucał kanały w telewizji, niezainteresowany tym, co działo się wokół. Mahmud pomyślał, żeby zadzwonić do Saidiego i zapytać, co się dzieje, ale zorientował się, że zostawił telefon w pokoju. Tak samo zresztą jak dokumenty i pieniądze.

– Pójdę tylko po dowód i pieniądze.

– Nie ma potrzeby. Ani się obejrzysz, odstawimy cię z powrotem – powiedział chłopak w różowej koszuli zdecydowanym i nieznoszącym sprzeciwu tonem, który wzbudził niepokój Mahmuda. Będą z tego problemy. Jeśli nie pójdzie z nimi po dobroci, wyciągną go za fraki i upokorzą. Rzucił klucz z ciężkim miedzianym brelokiem oznaczonym numerem pokoju na ladę recepcji; dopiero wówczas grubas Hammu zwrócił na niego uwagę.

– Wychodzę – powiedział Mahmud przez zaciśnięte gardło, starając się sprawić, by pracownik hotelu dobrze zapamiętał tę chwilę, ale z twarzy Hammu nie dało się wyczytać, czy dotarł do niego jakikolwiek sygnał. Jakby go tam w ogóle nie było. Prawdopodobnie nie byłby w stanie niczego sobie przypomnieć z tej sceny w recepcji, gdyby Mahmudowi przydarzyło się jakieś nieszczęście i kazano by mu zeznawać.

Mahmud wsiadł z czterema mężczyznami do nowiutkiego samochodu marki GMC z przyciemnionymi szybami. Ruszyli tą samą drogą, którą wcześniej przemierzał z Saidim, udając się na tę przekłętą pierwszą wizytę u podejrzanego przyjaciela z dzieciństwa, zajmującego się dziwnymi sprawami. Słynna piosenka *Pomarańcza*^[10] dobiegała z odtwarzacza, co czyniło sytuację absurdalną i tylko potęgowało w Mahmudzie płataninę uczuć i obaw. Zwrócił uwagę na rządową rejestrację, ale to nie wystarczyło, by się uspokoić. Słyszał wielokrotnie o porwaniach z udziałem rządowych samochodów. Przyglądał się twarzom czterech mężczyzn, żeby rozeznąć

się w ich pochodzeniu społecznym. Nie był naiwny, wiedział, że takie sprawy mają dziś duże znaczenie, często na nich opiera się plan działania. I często od nich zależy los biednego porwanego człowieka, wziętego nie wiadomo dokąd. Magnetofon powtarzał ciągle *Pomarańczę*, jeden z czterech mężczyzn wystukiwał rytm piosenki dwoma palcami. W końcu samochód dotarł do budynku Wydziału Inwigilacji i Ścigania, w którym Mahmud był już wcześniej.

Znalazł się w biurze generała Surura. Sam zainteresowany siedział w okazałym fotelu z imponującym, a jednak niezapalonym cygarem w ustach, z nogami wyciągniętymi i skrzyżowanymi na stoliku. Mahmud poczuł charakterystyczny zapach jabłek. Generał wstał z miejsca i przywitał się z gościem, nie wyjmując cygara z ust. Zaprosił go do stolika. Wszedł chłopak o muskularnych ramionach, niosąc dwie filiżanki jasnej herbaty, postawił je przed nimi i wyszedł.

Generał zaczął od stwierdzenia, że choć lata temu rzucił palenie, tego dnia zatęsknił za cygarem. Kiedyś palił przesadnie dużo, aż lekarz mu zabronił. Ale w życiu nie wszystko idzie tak, jakbyśmy chcieli.

– Lepiej wdychać zapach tytoniu niż papierosowy dym, prawda? – zapytał generał, więc Mahmud przyznał mu rację, próbując jednocześnie nadażyć za zmiennością swoich emocji w ciągu ostatnich trzydziestu minut, odkąd opuścił hotel Dilszad, a *Pomarańcza* zaczęła wiercić mu dziurę w głowie. Miał oto przed sobą twarz generała Surura, najwyraźniej przyjaciela, wokół unosił się zapach jabłek, w ustach czuł smak jasnej herbaty z lekką nutą goryczki, napój spływał mu do pustego, burczącego brzucha.

Rozmowa, która nastąpiła po tym, jak wypili słabą herbatę, zaskoczyła, zakłopotała i raczej zaniepokoiła Mahmuda. Okazało się, że generał Surur wcale nie jest jego przyjacielem. To przedstawiciel władzy. Fakt, że był przyjacielem z dzieciństwa Saidiego, nie miał najmniejszego znaczenia. Mahmud zrozumiał, czemu Saidi tak się z niego naśmiewał. Znał dobrze tego człowieka i jemu podobnych. Tacy jak on nie stronili od brutalności w różnych jej odmianach dla dobra władzy, której byli posłuszni. Niezależnie od tego, czy władzę tę reprezentowali Saddam, czy Amerykanie, czy nowy rząd. Generał Surur służył wszystkim tym stronom po kolei.

Mahmud mógł zapytać go wprost, jakich informacji sobie życzy, w końcu nie był jakimś przestępcą, nie był też wrogiem ani samego generała Surura, ani władzy, ani żadnego systemu, jaki generał mógł reprezentować. Ale ten najwyraźniej chciał go przestraszyć. Chciał w nim osłabić pewność siebie, żeby łatwiej było mu wydusić z niego informacje. Władza stosowała metodę „wstrząsania umysłem” przesłuchiwanego, tak żeby informacje wylatywały z niego w sposób zupełnie bezładny i niekontrolowany. Te paskudne metody bardziej nadawały się do przesłuchań przestępców, a nie osoby zatrudnionej u przyjaciela z dzieciństwa, który przybył tu jako gość i z którym się wcześniej piło herbatę. Prawdziwą herbatę, słodką i ciemną, a nie lurę, jaką podano mu przed chwilą, na początku tego podejrzanego spotkania.

Generał powiedział mu:

– To nie jest herbata. To napar ziołowy z goryczela, zwanego inaczej byczym językiem, ptasim językiem, świńskim językiem i jeszcze jakimiś innymi językami. Ja zaś mówię o nim „ten, który rozwiązuje języki”, bo kto się go napije, opowiada bez ogródek i niczego nie zataja. Jak widzisz, wypiliśmy go razem z tobą, a to dlatego, że w obecnej sytuacji nasza przyjaźń jest dla mnie nieco kłopotliwa. Muszę jakoś sobie poradzić z tym problemem, żeby właściwie spełnić mój służbowy obowiązek, moje zadanie. Muszę właściwie sformułować konieczne pytania.

Mahmud słuchał tego zdumiony. Co ten człowiek bredzi? Czy sądzi, że naprawdę są przyjaciółmi? Jaki byczy język? Jakie skrywane tajemnice? I w końcu – czego dosypał do tej ohydnej herbaty?

2

Jednak kilka tajemnic udało się generałowi odkryć. Zasięgnął informacji u swoich źródeł i dowiedział się o Mahmudzie kilku rzeczy. Nawet udało mu się uzyskać numer sprawy sądowej zarejestrowanej przeciwko niemu przed mniej więcej rokiem w rejonowej komendzie policji w miasteczku Al-Amara, którą wniósł pewien

wpływowy człowiek w tamtej części kraju.

Mahmud był zdziwiony, czuł, że ta wizyta i to przesłuchanie stają się coraz bardziej podejrzane. Ale generał wydawał się nie znać więcej szczegółów ubarwiających jego tajemnicę skrywaną skrętnie przed wszystkimi z wyjątkiem jednego przyjaciela, fotografa Hazima Abuda.

W pozwie złożonym na policji Mahmud został oskarżony o podżeganie do zamordowania pewnego obywatela miasta. Wszystko z powodu artykułu, który napisał do gazety „Sada al-Ahwar”, w której wówczas pracował. Tyle wiedział generał Surur. Mahmud nie życzyłby sobie, żeby ten elegancki oficer dowiedział się czegokolwiek więcej na ten temat, dlatego starał się za wszelką cenę oprzeć wpływowi spożytego przed chwilą naparu „rozwiązującego języki”.

Generał nie zagłębiał się przesadnie w historię pozwu. W końcu rzecz działa się przed rokiem i nie wszczęto wobec Mahmuda żadnego postępowania. Odwrócił się i zza pleców, z wierzchu sterty różnych papierów podniósł ostatni numer pisma „Haqīqa”. Pokazał go Mahmudowi, a ten poruszył ustami, jakby mówił: „A więc o to chodzi... Całe to poprzednie gadanie to jakieś bzdury, które miały tylko osłabić czujność oskarżonego. Jesteś oskarżonym, mój drogi, a teraz odpowiesz mi na kilka pytań”.

– Co to za dziwaczna historia?

– Co z nią nie tak?

– Co to za typ, który ci ją opowiedział?

– Jeden taki miejscowy sprzedawca staroci. Historia jest zmyślona, ale spodobała się redaktorowi, więc kazał mi ją spisać.

– Zmyślona, tak? – zawołał generał i zaczął niedbale przerzucać strony pisma, kierując do Mahmuda dalsze pytania. Ten odpowiadał na nie spokojnie i zgodnie z prawdą. Generał nie zamierzał odkrywać przed „oskarżonym” tajników swojego warsztatu. Nie zdradził więc, że Jak-mu- -tam – osoba, którą Mahmud nazywał w swoim artykule Frankensteinem – istnieje naprawdę i wcale nie jest zmyślona. Nie wspomniał, że poświęcił znaczną część ostatnich miesięcy na złapanie go. Że jego życie osobiste i przyszłość zawodowa zależą od tego dziwnego, okrytego mrokiem

tajemnicy mężczyzny. Że dąży do rozerwania na strzępy otaczającej go sekretnej aury. Że poprzysiągł sobie złapanie go własnymi rękami. Pokaże go w telewizji, żeby świat zobaczył wreszcie, że to najzwyczajniejszy w świecie człowiek, podły i nikczemny, który stworzył wokół siebie legendę, by straszyć ludzi i siać wśród nich popłoch. I tyle, nic więcej.

– Czy ten sprzedawca staroci mieszka w naszej dzielnicy?

– Tak, przy ulicy Siódmej w Batawin. Mieszka w zawalonym domu, o którym mówią Żydowska Ruina, od razu poznasz...

– Tak, tak.

Mahmud dalej mówił spokojnie; widział, że w tej rozmowie nie chodzi o niego, ale o kogoś innego. Żeby pozyskać na nowo sympatię generała i wzbudzić jego zaufanie, sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z nich dyktafon. Podał go generałowi, mówiąc:

– Tu znajdziesz wszystkie nagrania Bezimiennego.

Generał zawołał muskularnego chłopaka, który mu usługiwał, i zlecił mu skopiowanie zawartości dyktafonu. Chłopak zniknął na dziesięć minut i wrócił, wręczając urządzenie generałowi. Ten przez chwilę bawił się nim, kręcąc w powietrzu kółka dopiętym do niego sznurkiem zawiązanym w warkocz. Nagle na jego twarzy pojawiło się coś w stylu znudzenia, jakby stracił zainteresowanie.

Nie rzekł nic, co dawałoby odpowiedź na jakiegokolwiek z pytań, które chodziły teraz Mahmudowi po głowie. To on był od zadawania pytań. Sprawa wciąż więc pozostawała dla Mahmuda niejasna. Powoli przestawało go obchodzić, po co generałowi wiadomości na temat Bezimiennego, nie obchodził go też los sprzedawcy staroci, którego właśnie wydał. Chciał tylko jak najszybciej wydostać się z tego eleganckiego i lśniącego czystością biura. Generał zmienił temat na działalność gazety, ogólną sytuację na ulicach i tak dalej, najwidoczniej pragnąc przywrócić przyjacielską atmosferę, którą rujnował przez ostatnie pół godziny. Nie udało mu się to jednak.

To człowiek przebiegły i nie ma możliwości, bym kiedyś znów mu zaufał, myślał Mahmud. Miał szczerą nadzieję, że ich spotkanie, które spowodowało, że rozbolał go

pusty żołądek, będzie ostatnim w życiu.

Generał wstał nagle, podniósł cygaro z popielniczki i rolując je między palcami, włożył sobie do ust. Odchylił się do tyłu i wyjął z szuflad biurka srebrną zapalniczkę. Rozpalenie tytoniu zajęło mu chwilę, pociągał intensywnie, aż zaczerwieniła się końcówka cygara, a z ust wydostała mu się gęsta chmura dymu. Przeszedł parę kroków, by znaleźć się w pobliżu Mahmuda. Ten odebrał to jako znak zakończenia spotkania, więc wstał i wtedy po raz pierwszy zobaczył, że jest wyższy od generała. Przyjrzał się też jego oczom, zmrużonym teraz od dymu. Miały jasny kolor, dodawały mu urody. Przeszli razem do drzwi, po czym generał odezwał się, wzdychając i jednocześnie wypuszczając kłęb dymu.

– Miałem w życiu dużo szczęścia, gdy byłem palaczem. Jak rzuciłem, wszystko się popsuło. Teraz popalam tylko od czasu do czasu, tylko dlatego, że wiem, że to przynosi mi szczęście.

Ot, czułe wyznanie pomiędzy dwoma bliskimi przyjaciółmi. Albo takie wrażenie chciał zrobić generał na swoim gościu – oskarżonym. Może zastanawiał się, ile z tego spotkania Mahmud przekaze jego przyjacielowi z dzieciństwa, Saidiemu?

Generał wreszcie przestał wymachiwać nieszczęsnym dyktafonem. Oddał go właścicielowi i jeszcze zanim pozwolił mu wyjść, rzekł:

– A tak w ogóle... żartowałem... Nie ma czegoś takiego, jak „ten, który rozwiązuje języki”. To była zwykła słaba herbata z odrobiną leku zapobiegającego zawałom serca. Zawały czasem zdarzają się przesłuchiwanym. Chronimy ich w ten sposób, a zarazem siebie przed posądzeniem o mordowanie oskarżonych.

Zaśmiali się, jakby naprawdę byli przyjaciółmi. Mahmud wyszedł, a czterech mężczyzn już na niego czekało. W drodze powrotnej odkrył, że drogi spowił już gęsty mrok. Zaczął bezwiednie powtarzać w głowie całą rozmowę z generałem. Zatrzymał się na ostatnich słowach, w których tamten oświadczył, że faktycznie traktował Mahmuda jak oskarżonego. Jeśli chodzi o historyjkę z lekiem przeciwwzawałowym dodawanym do herbaty, to bez najmniejszych wątpliwości był to kolejny przejaw jego czarnego humoru.

3

Tym, co pozostało mu z tego okropnego, ale i pełnego wrażeń dnia, było uczucie przygnębienia, powodujące ucisk w klatce piersiowej. Przypomniano mu sprawę pozwu, który wniósł przeciwko niemu pewien przestępca. Mahmud nazywał go w myślach Modliszką ze względu na jego wyjątkowy wzrost.

Modliszka był bratem pewnego rzezimieszka, szefa niewielkiego gangu, który terroryzował lokalną społeczność, aż w końcu go aresztowano. Wielu przyjęło tę wiadomość z radością, między innymi Mahmud, który szybko opublikował w swojej ówczesnej gazecie „Sada al-Ahwar” artykuł. Podkreślał w nim konieczność wymierzenia temu przestępcy sprawiedliwości. Filozofował na temat istnienia trzech rodzajów sprawiedliwości: sprawiedliwości prawa, sprawiedliwości niebios i sprawiedliwości ulicy. I tego, że prędzej czy później jedna z tych trzech zadziała.

Publikacją tego artykułu pod własnym nazwiskiem Mahmud zdobył sobie punkty za odwagę, a nawet zuchwalstwo. Zaczął przejawiać cechy prawdziwego dziennikarza, pracującego w służbie ogółu, oświecającego lud. Nigdy wcześniej nie ośmielił się krytykować żadnego żywego przestępcy przebywającego na wolności. Aż tak głupi nie był, wiedział, że wówczas któregoś dnia w jakiejś ciemnej uliczce napotka wycelowany w swoją stronę pistolet i dźwięk naciskanego spustu. W tym wypadku miał pewność, że sprawiedliwość prawa już zrobiła swoje, więc ujawnił swoją tożsamość. Jednak po dwóch czy trzech dniach przestępcę zwolniono z aresztu i zaraz znów jeździł po ulicach swoim pick-upem z grupą uzbrojonych kolegów, świętując wolność. Mahmud był w szoku. Minął zaledwie jeden dzień i dwóch zamaskowanych mężczyzn na motocyklu przejechało pod domem przestępcy, gdy ten akurat gdzieś wychodził; jeden prowadził, drugi celował mu w czoło z karabinu. Padł strzał i tamten osunął się martwy wśród otaczających go przyjaciół, a dwaj zamaskowani rzucili się do ucieczki.

Mahmud ucieszył się z takiego obrotu sprawy i prędko napisał drugi artykuł, w którym potwierdził działanie trzech rodzajów sprawiedliwości. Tym razem sprawiedliwość ulicy musiała zadziałać. Nalegał na publikację artykułu, ale redaktor

naczelnym, znany w społeczności człowiek o lewicowych poglądach, podał go na strzępy i wezwał Mahmuda do siebie:

– Te twoje bzdurne teorie, na nic mi one. Ja szukam reklamodawców, chcę, żeby gazeta się rozwijała, a ty mi tu odgrywasz Tarzana.

Mahmudem wstrząsnęła wściekłość, zaczął obrzucać szefa wyzwiskami, zagroził nawet, że odejdzie z gazety, ale redaktor nie zmienił stanowiska. Po kilku dniach do Mahmuda dotarła wiadomość, która sprawiła, że natychmiast porzucił pracę i nie wyszedł z domu przez kilka kolejnych miesięcy. Modliszka przejął po swoim bracie przywództwo w gangu. Na pogrzebie jeden z członków grupy wręczył mu wycinek gazety zawierający artykuł Mahmuda Sawadiego.

Zdesperowana rodzina zabitego szukała jakiegokolwiek wątku prowadzącego do mordercy. W ostateczności w ramach zemsty można było oskarżyć dziennikarza o podżeganie do morderstwa. Przecież naprawdę wzywał ludzi, by sięgnęli po broń i zabili dobrego człowieka, który chronił miasto przed złodziejami w czasach chaosu i bezprawia, gdy nie było ani aparatu państwowego, ani policji, ani wojska.

Na początku nie wiedzieli, co to za Sawadi, ale nie zajęło im długo ani odkrycie jego rodzowego nazwiska, ani sprawdzenie, gdzie mieszka, kim są jego bracia i wujowie. Sprawa szybko stała się częścią plemiennych dysput, pojawiły się żądania okupu krwi^[11]. Modliszka wydał kilka ostrzeżeń, żeby podgrzać atmosferę i zastraszyć przeciwników. Ale sprawa konfliktu rozwiązała się na korzyść Mahmuda i jego rodziny. Mahmud złożył swoim braciom i wujom przysięgę, że porzuci całkowicie pracę w prasie, przynajmniej w ich prowincji. Jednak sprawa się na tym nie skończyła, bo niektórzy przyjaciele przekazywali Sawadiemu pogrożki Modliszki, mówili, że zawsze nosi w kieszeni wycinek z jego artykułem, a w kawiarniach rozpowiada o trzech rodzajach sprawiedliwości. Wyciąga z kieszeni mocno już pomięty kawałek gazety i cytuje fragmenty o sprawiedliwości prawa, niebios i ulicy. Skoro w jego przypadku zawiodła sprawiedliwość prawa, reprezentowana przez plemienne prawo zwyczajowe, to on sam osobiście zaprowadzi sprawiedliwość boską.

Po jakimś czasie do Mahmuda dotarły za pośrednictwem przyjaciół kolejne oskarżenia Modliszki, tym razem o to, że jest zwolennikiem partii Baas i że jego

ojciec – nauczyciel języka arabskiego – był niewiernym. Mahmud ukrywał się samotnie w domu i nie wyściubiał nosa za drzwi ze strachu przed tym, co jeszcze wymyśli ten szaleniec. Aż któregoś dnia zadzwonił jego przyjaciel Farid Szawwaf, informując o wolnej posadzie w bagdadzkiej gazecie „Hadaf”. Po naradzie z braćmi uznali wspólnie, że to idealne wyjście. Żyli tu w napięciu, nie wiedząc, co może się wydarzyć. Być może wyjazd Mahmuda z prowincji Majsan pomoże wszystkim uporać się ze strachem, rozwiązać problemy na spokojnie i załagodzi obsesję Modliszki na punkcie ich rodziny.

Teraz wszystkie te niechciane wspomnienia wróciły do Mahmuda i bardzo osłabiły jego poczucie własnej wartości. Przypominały mu, że popełnił w życiu kilka poważnych głupot. Tu, w Bagdadzie, przynajmniej do wczoraj, kiedy to generał Surur przeprowadził z nim to nieprzyjemne przesłuchanie, czuł, że odzyskuje pewność siebie, i wierzył, że rośnie w siłę, w szczególności dzięki Alemu Bahirowi Saidiemu, który otwierał przed nim coraz to nowsze drzwi.

Udał się do pobliskiej restauracji i zjadł królewskie śniadanie – pół talerza kremu śmietanowego z pieczywem i filiżanką ciemnej, słodkiej herbaty. Włożył do telefonu nową kartę SIM i zadzwonił do swojego najstarszego brata Abdullaha. W ciągu ostatnich miesięcy dzwonił dość rzadko, głównie żeby zapytać o zdrowie matki, i absolutnie nigdy nie nawiązywał do Modliszki, jakby między nim a braćmi istniała niepisana umowa o unikaniu tego tematu. Mahmud miał cichą nadzieję, że trzy rodzaje sprawiedliwości już dawno zrobiły porządek z Modliszką. Przecież nie do pomyślenia było, żeby przestępca taki jak on wciąż był żywy i wciąż pozostawał na wolności.

Usłyszał po drugiej stronie głos brata. Rozmawiali przez kilka minut, powiedział mu, że przeleje dziś część swojej wypłaty do biura walut na głównym targowisku Al-Amary. Chwilę jeszcze plotkowali, a nim zakończył rozmowę, zamilkł i przez moment zbierał się na odwagę, by wreszcie zapytać brata o Modliszkę.

- Co z nim, gdzie jest teraz?
- Ten typ ma niebywałe szczęście.
- Co masz na myśli?

– Chodzi cały wystrojony, zaczął nosić garnitur i krawat, nagle zrobił się z niego wielki polityk.

– Co ty mówisz? Nikt go nie zabił? Nie trafił za kratki? A te wszystkie przestępstwa, które popełnił?

– Jakie przestępstwa? Spróbuj teraz powiedzieć o nim coś złego! Mówię ci, tragedia. Czort jeden wie, skąd to się wzięło.

– No ale zapomniał już o tej sprawie brata, prawda?

– Coś ty, chce mu wybudować pomnik. Lepiej uważaj.

– Tęsknię za matką, chciałbym was odwiedzić. Masz coś przeciwko?

– Nie przyjeżdżaj! Nie pokazuj się tu. Na Boga, zostań, gdzie jesteś, jeśli nie chcesz, żeby osiągnął cię któryś z trzech rodzajów sprawiedliwości. Człowieku, ten typ nie zapomina. Na okrągło powtarza twoją teorię, wszędzie, nawet w radiu. To teraz jego dewiza.

4

Saidi słuchał z rozbawieniem opowieści Mahmuda o tym, co zdarzyło się poprzedniego dnia w biurze generała Surura, a kiedy doszedł do kwestii słabej herbaty, redaktor wybuchł śmiechem. Jak zwykle wszystko go bawiło. Nie było tragedii zdolnej zepsuć mu nastrój. Siedział oto przed nim, elegancki jak zwykle, gładko ogolony i pachnący jakimiś drogimi perfumami, przy swoim wielkim biurku, jakby gotowy na nagranie do programu telewizyjnego.

Wszedł Farid Szawwaf, niosąc projekt stron z informacjami politycznymi, za które był odpowiedzialny w gazecie. Położył je przed Saidim, ale on zlecił, żeby oddał je Mahmudowi. Farid dostrzegł zmianę, jaka dokonana się w jego przyjacielu, ale mimo to nie chciał traktować go jak zwierzchnika. Albo przynajmniej unikał momentów konfrontacji. Rozłożył przed Mahmudem strony i czekał w milczeniu na opinię. Mahmud uznał, że projekt jest dobry. Z trudem przyszło mu wypowiedzenie tych słów. On też nie chciał, żeby przyjaciel uznał, że się wywyższa. Po Faridzie przyszli

inni pracownicy, potem stary służący z dwoma kubkami nescafé. Gdy wszyscy wyszli, w biurze zapanowało nieco krępujące milczenie. Saidi wstał, podszedł do okna i lekko odsunął zasłonę. Zaczął wpatrywać się w ulicę, a potem zwrócił się do Mahmuda:

– Generał Surur to jedna z tych osób, z którymi musisz nauczyć się obchodzić.

Mahmud milczał w oczekiwaniu na jakieś wyjaśnienie, bo nie miał najmniejszego zamiaru spotykać się z tym człowiekiem ponownie. W przyszłości zrobi, co w jego mocy, by uniknąć podobnej sytuacji.

– Niestety tacy jak on są wśród nas i musimy umieć z nimi odpowiednio postępować. Przywyknąć do nich, zaakceptować ich obecność.

Znów zajrzał za zasłonę, jakby spodziewał się tam kogoś zobaczyć. Jeszcze chwilę tam stał, po czym usiadł na kanapie naprzeciw Mahmuda. Wziął swój kubek z nescafé i zaczął pić. Cieszył się gorzkim smakiem kawy połączonym ze słodyczą mleka. Spojrzał na Mahmuda i w końcu oświadczył:

– Tak naprawdę generał Surur nie śledzi „dziwnych zbrodni”; zatrudniają go władze tymczasowej koalicji amerykańskiej jako dowódcę szwadronu śmierci.

– Szwadronu śmierci??

– Tak, od roku lub dłużej pracuje u boku amerykańskiego ambasadora nad zaprowadzaniem „równowagi sił” na ulicach pomiędzy bojówkami sunnickimi i szyickimi. W przyszłości, gdy przyjdzie do budowania nowego ustroju w Iraku, ma się ona przełożyć na „równowagę sił” przy stole negocjacji. Wojsko irackie nie chce lub nie potrafi powstrzymać przemocy na ulicach, dlatego konieczne jest przynajmniej jej kontrolowanie. Bez Surura operacje polityczne nie miałyby szans powodzenia.

– To czemu nie powiesz o tym swoim przyjacielom politykom?

– Przecież oni wszyscy o tym doskonale wiedzą, choć żaden nie ma ewidentnego dowodu. Albo patrzą na Wydział Inwigilacji i Ścigania, którym kieruje generał, tak jak się patrzy na zapisaną kartkę. Każdy widzi to, co uzna za słuszne zobaczyć z punktu widzenia własnych interesów, i nie próbuje nawet spojrzeć z innych stron.

– Czy taka podłość w ogóle pasuje do tego człowieka? Wydaje się całkiem miły.

– Przecież przed chwilą był surowy i perfidny. Jakim cudem nagle stał się miły?

– Chodzi mi o to, że nie wygląda na zbrodniarza, przynajmniej takiego, jakim go

właśnie przedstawiłeś. Dowódca szwadronu śmierci. Trudno w to uwierzyć.

– W każdym razie najlepszym sposobem, żeby trzymać się z dala od kłopotów, jest być blisko niego. Staram się mu przypochlebić, żeby nie stawał na drodze moich politycznych ambicji, żeby któregoś dnia jeden z tych jego krótko ostrzyżonych grubasów nie wpakował mi kulki w tył głowy na rozkaz Amerykanów.

– Boże, to przerażające.

– Póki jest naszym przyjacielem, nie mamy powodu do obaw. Czy nie mówiłeś, że plotkował z tobą o szkodliwości palenia i żartowaliście sobie razem? Nie bój się go, to poczciwy człowiek.

– Kiedy chwilę temu powiedziałem, że wygląda mi na miłego, oburzyłeś się.

– Nie martw się... Miły, poczciwy, zabawny... Zabawna to jest ta historia z herbatą... ha, ha, ha.

Saidi wciąż się śmiał, więc i Mahmud się uśmiechnął pomimo ucisku niepokoju w żołądku. W jego głowie wyrósł obraz potężnego i tajemniczego wroga; bał się go. Wróg, którego pozostawił tam, w Al-Amarze, teraz był tutaj i stawał się silniejszy. Pomimo że ufał Saidiemu, nie potrafił do końca uwierzyć jego słowom. Może specjalnie sięgał do jego najgłębszych obaw, żeby się z niego naśmiewać? Może celowo wprowadza go w stan niepewności, żeby go pobudzić, stymulować do rozwoju? Może chce przed nim postawić jakiś rodzaj wyzwania, by obudzić śpiące w nim moce, albo stosuje jeszcze jakiś inny elegancki wybieg?

Po kilku minutach Abu Dżuni zapukał do drzwi i dał znać naczelnemu, że ma gościa. Do biura weszła szczupła dziewczyna o ufarbowanych na czarno włosach, ubrana w dżinsy i obwieszona świecidełkami. Pokój wypełnił jej dziwny zapach. Nie była to Nawwal Wazir. Była młodsza, głośniejsza, bardziej energiczna.

Podąła Saidiemu rękę i pocałowali się w obydwie policzki. Saidi nie palił się, by przedstawić ją Mahmudowi, ale ona i tak się z nim przywitała, podając mu drobną, delikatną dłoń, i jego również ochoczo pocałowała. Nie wydawało się, że zamierza usiąść. Mieli spotkanie, więc Saidi wziął swoją skórzaną torbę i wyszli razem. Spojrzał raz jeszcze na Mahmuda, poinstruował go co do spraw dotyczących gazety, a potem uśmiechnięty pomachał na pożegnanie.

– Bądź bohaterem, przyjacielu, dobra?

5

Po tygodniu Saidi wyjechał do Bejrutu, prawdopodobnie w towarzystwie chudej brunetki albo jakiejś innej chudej. Zostawił Mahmuda tonącego w morzu szczegółów związanych z redakcją czterdziestu pięciu stron numeru gazety oraz niekończącą się serią mniejszych i większych spraw administracyjnych: podpisywaniem pokwitowań, wypłatą wynagrodzeń dla pracowników, spotkaniami z ludźmi pojawiającymi się z nienacka o dziewiątej rano w tej czy innej sprawie i pytającymi o Saidiego. Odbierał połączenia przychodzące na telefon komórkowy ciągle podłączony do ładowarki. Numery i imiona zapisane skrótowo, po angielsku, czasem tylko dwie lub trzy litery – na przykład „TJ” oznaczało Taliba Jahję, dyrektora drukarni Asnam, w której przygotowywano gazetę. Była to ta sama drukarnia, którą Saidi kiedyś chciał przejąć. „See” to dziewczyna, którą Saidi nazywał Hadździ, Mahmud nie miał pojęcia, jakie łączyły ich relacje. Było też wielu doktorów: „Doktor Adnan”, „Doktor Sabir”, „Doktor Fawzi” – wszyscy pracowali w parlamencie albo zarządzali biurami parlamentarzystów, albo też byli rzecznikami ugrupowań politycznych. „SM”, chyba najprostszy do rozszyfrowania skrót, oznaczał Surura Madżida. Dzwonił czasem, a Mahmud zaczął podejrzewać, że ich relacja ma jeszcze jakiś inny wymiar, o którym Saidi do tej pory nie wspominał. Łączyły ich sprawy handlowe i wspólne interesy finansowe. Całe to wcześniejsze gadanie o astrologach i wróżbitach to tylko kamuflaż, przykrywka. Nic więcej.

Jednak te wszystkie sprawy nie miały wpływu na to, jak Mahmud postrzegał swojego szefa. Na wszystko potrafił znaleźć usprawiedliwienie. Był nim zafascynowany, widział w nim prawdziwego supermana, nawet bez nadprzyrodzonych mocy, a jedynie ze zwykłymi ludzkimi umiejętnościami. Zawsze potrafił znaleźć mu wymówkę pomimo nawarstwiania się kolejnych niewygodnych faktów. Zdaniem Mahmuda Saidi robił te wszystkie rzeczy, żeby się chronić. Nikt nie

wiedział, czy on sam tworzył iluzje na swój temat, czy tylko bezwiednie wpisywał się w już gotowe schematy. Ale przecież każdemu czasem się to zdarza.

Mahmud też funkcjonował w kręgu iluzji i urojeń. Nabrał wielu cech swojego mentora i mistrza: przytył, golił się teraz codziennie. Nosił garnitury, krawaty, do tego koszule w różnych kolorach. Nie przeszkadzało mu, że sam wcześniej nabijał się z Faridem Szawwafem i Adnanem Anwarem z ludzi noszących garnitury. Widział, że coraz bardziej zacieśnia relacje z politykami, urzędnikami państwowymi, a także członkami lokalnych bojówek, którym zdarzało się nagle wyskoczyć z samochodu na środku ulicy i z pełną elegancją wyciągnąć tego czy innego człowieka z domu albo lokalu, żeby go sponiewierać lub zabrać Bóg wie dokąd. Ale przecież wszystko w życiu się zmienia i jeśli komuś nigdy wcześniej nie było dane nosić garnituru, nie wie, jakie z tego płyną korzyści.

Farid Szawwaf naśmiewał się ze zmian, jakie zaszły w starym przyjacielu. Jego zdaniem Mahmud zaczął powoli przechodzić na stronę wroga. Zaczął przypominać ludzi bez uczuć, którzy przedkładali zarobek nad sumienie. Gdy Mahmud śmiał się z tych teorii, Farid odpowiadał mu tonem mędrca:

– Stałeś się do nich podobny, próbujesz być jak oni. Pamiętaj, kto założył raz koronę, choćby na próbę, kiedyś będzie szukał królestwa.

Mahmud nie zatrzymał się długo nad tą myślą, bo prawda była taka, że już żył w królestwie, nie potrzebował nawet żadnej korony. Ogólna sytuacja w państwie miała się ku gorszemu. Konfliktom polityków spierających się na ekranach telewizorów odpowiadała realnie tocząca się na ulicach wojna na samochody pułapki, morderstwa, bomby domowej roboty, uprowadzenia aut wraz z ich pasażerami. Nocą ulica zamieniała się w dżunglę, w której tętniła przemoc. Inteligencja i środowiska medialne zadawały sobie pytanie: Czy jesteśmy u progu wojny domowej? A może to, co dzieje się wokół, to już jakiś początkowy etap tej wojny? Albo może jesteśmy wręcz w samym jej środku? Może to jakiś nowy, nietypowy jej rodzaj? Ale życie trwa dalej, mówił sobie Mahmud. W końcu zarabiał dobrze. Co prawda, prawie wszystko wydawał, ale po to, żeby żyć wygodnie i czerpać radość ze swojej młodości, jak któregoś dnia doradził mu Saidi. Oprócz swoich starych, wiecznie narzekających

przyjaciół plotkarzy Mahmud miał teraz nowych – był wśród nich syn właściciela drukarni Asnam, który czasem zapraszał go na prywatne przyjęcia w różnych domach i mieszkaniach. Co więcej, do kontaktów z kobietami nie potrzebował już starego przyjaciela Hazima Abuda. Zauważył, że gruby Hammu, pracownik recepcji jego hotelu, nie stosował się ściśle do zaleceń regulaminu wywieszzonego w lobby. Był gotów zrobić wyjątek dla specjalnych gości – tych nieskąpiących napiwków. Dało się zarówno wnieść do pokoju alkohol, jak i cieszyć towarzystwem przyjaciół na górze, nie zaś – jak zapisano w regulaminie – w hotelowym lobby. Co więcej, w weekendy, gdy nie było właściciela hotelu, Hammu ułatwiał nawet niektórym gościom spotkania z przyjaciółkami w pokojach. To była tylko kwestia ceny. Kiedy Mahmud połapał się w tych sprawach i upewnił dwa razy, odważył się wreszcie na rozmowę z Hammu. Tamten odpowiedział mu ze swoją specyficzną, niewyrażającą żadnych emocji miną, że nie chce kłopotów. Była to oczywiście tylko zagrywka mająca odstraszyć amatorów. Wystarczył błysk czerwieni dwudziestopięciodinarowego banknotu, żeby całkiem zmienił ton, a twarz mu pojaśniała.

Wcześniejsze przygody Mahmuda z domem, do którego raz zaprowadził go Hazim Abud, były dość stresujące. Czuł się niepewnie, w szczególności teraz, gdy coraz częściej mówiło się o przypadkach wtargnięcia wojska do podejrzanych budynków w Batawin. Miał też przeczucie, że istnieje jakieś powiązanie między policją a właścicielami niektórych z tych przybytków, którego ostatecznym celem miałyby być szantażowanie klientów, a potem oskarżenia i uwikłanie w dziwne sprawy. Wiedział, że w ostatnich czasach aresztowań dokonywano na oślep. Nie odróżniano oskarżonego o zwykłą bójkę na ulicy od członka gangu porywaczy handlującego kobietami albo przedstawiciela zbrojnej grupy zarzynającej obywateli na ulicach nożami kuchennymi. Mahmud na szczęście mógł sobie pozwolić na uniknięcie tego rodzaju ryzyka.

Jego nowy przyjaciel, syn właściciela drukarni, dał mu numer agencji Raghaib, działającej w ścisłej tajemnicy i obsługującej tylko nieliczną grupę specjalnych klientów.

– Biorą dużą prowizję, ale „towar” mają pierwszej klasy – powiedział mu nowy przyjaciel.

Mahmud poddał się swojej próżności. Któregoś wieczoru zadzwonił telefon w jego pokoju i Hammu poinformował go, że oczekuje go „pewna pani”. Pani została z nim w jego pokoju aż do poranka. Tej nocy wszystko było idealne i nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek mogłoby być lepiej. Pomimo że na zewnątrz wszystko się waliło. Kraj staczał się w stronę wojny domowej, która – jak to powiedział generał Surur tamtego niezapomnianego wieczoru – miała przyjść za parę miesięcy. Pomimo zmęczenia i poczucia zagrożenia towarzyszącego mu na ulicy w drodze do pracy i z pracy. Pomimo że Modliszka szalał w Al-Amarze i nie pozwalał mu – nieważne, czy była to przesadna czy realna obawa – wrócić do rodziny. Pomimo mglistej przeszłości. Pomimo tego wszystkiego Mahmud zaryzykowałby stwierdzenie, że przeżywał właśnie swoją złotą epokę. Cieszył się dobrym zdrowiem, wciąż był u szczytu młodości. Pracował jako kierownik redakcji skromnej gazety, niezbijającej kokosów, ale dobrze prosperującej. Był zwierzchnikiem sześciu dziennikarzy w jego wieku, albo i starszych, trzech artystów i służącego. Pisał dobre artykuły i codziennie nagrywał na swoim dyktafonie wspomnienia, przynajmniej te ważniejsze, które mogły być dla niego istotne w przyszłości. Mieszkał w czystym, klimatyzowanym hotelu. Spędzał wieczory z kolegami lubiącymi rozrywki, zabawnymi, sypiącymi dowcipami, śpiewającymi pieśni. Pił z nimi najdroższe alkohole, jadł najlepsze jedzenie, a w każdy czwartek lub piątek aż do samego rana tulił w swoich objęciach ciało jakiejś pięknej, młodej dziewczyny.

Przypominał teraz swój ideał, Saidiego. Któregoś dnia, siedząc za jego biurkiem i rozmawiając z kolegami z pisma, zorientował się, że trzyma cygareto w identyczny sposób, jak robił to Saidi. Swoje wypowiedzi inkrustował obficie wyrażeniami w rodzaju „mój drogi”, „przyjacielu”, dokładnie tak, jak to robił redaktor naczelny, jakby dając do zrozumienia rozmówcy, że każdy jest mu drogi i każdy jest mu przyjacielem.

Ale jakiś głos w jego głowie mówił mu, że wcale nie jest podobny do Saidiego. Saidi posiadał fortunę, której nikt nie był w stanie dokładnie oszacować ani określić jej pochodzenia. Ta gazeta to tylko fasada, której tak naprawdę nie poświęcał wiele uwagi, bo nie należała do jego priorytetów. Mahmud za to był zależny od swoich zarobków u Saidiego. Jeśli to źródło dochodu miałoby się kiedyś skończyć, wszystko

posypałoby mu się na głowę.

Przed końcem dnia pracy w biurze Saidiego zadzwonił telefon, podłączony jak zwykle do ładowarki. Mahmud wziął go do ręki i zobaczył na wyświetlaczu, że dzwoni 666. Poczuł, jak obraz Nawwal Wazir wynurza się z głębi jego zatłoczonej myślami głowy i staje mu przed oczami.

– Halo...

– ...

– Halo... nie bądź gówniarzem, wiem, kim jesteś. Bahir pojechał do Bejrutu. Odezwij się!

[10] *Al-Burtuqala* (arab.).

[11] Okup krwi (arab. *dija*) – w islamskim prawie religijnym i prawie plemiennym materialne zadośćuczynienie osobie poszkodowanej lub rodzinie zmarłego wypłacane w sytuacji zranienia lub zabójstwa.

Na ulicy Siódmej

1

Abu Anmar stał na chodniku i patrzył na drugą stronę ulicy, a dokładniej na biuro nieruchomości Rasul, znajdujące się dokładnie vis-à-vis jego hotelu, i nagle ogarnęła go fala rozpaczy. Faradz zamieścił nad swoim biurem nową tablicę informacyjną z pleksi, co Abu Anmar odebrał jako oznakę, że biznes kwitnie. Z kolei tam gdzie stał Abu Anmar w swojej długiej, białej szacie, z filiżanką herbaty w ręku, sprawy miały się zupełnie odwrotnie. Abu Anmar nie mógł zrozumieć powolnego, acz nieuchronnego upadku swojego hotelu. Nie miał szczęścia do klientów, od ponad miesiąca mieszkały u niego na stałe już tylko dwie osoby. Jednym z nich był starzec, którego dochody skończyły się wiele lat temu, więc teraz pracował w hotelu jako służący w zamian za darmowy pobyt. Do tego ten Algierczyk, wiodący cichy, pustelniczy żywot, którego całym pożywieniem były posiłki dla ubogich w mauzoleum Abd al-Qadira Gilaniego, mieszczącym się w niedalekiej dzielnicy Bab asz-Szejch, gdzie regularnie brał udział w sufickich^[12] praktykach zikru^[13] i odmawianiu litanii nad grobem „świętego” każdego tygodnia. Hazim Abud pojawiał się już teraz bardzo rzadko, głównie by sfotografować osuwające się balkony i warstwy farby odchodzące całymi płatami ze ścian z powodu wilgoci. Ustawiał sobie kadry, stojąc na górnych piętrach, fotografował życie ulicy na dole, łapał szczególne ujęcia chaldejskich kobiet podążających w stronę kościoła Świętej Rodziny albo dzieci grających w piłkę już po ogłoszeniu godziny policyjnej. Czasem siadywał

z Abu Anmarem, pili herbatę i rozmawiali o aktualnej sytuacji w kraju oraz o tym, co każdy z nich miał w planach na najbliższe dni. Niestety, odkąd nadeszło lato, spotkania te się urwały. Ostatnim razem Abu Anmar powiedział Hazimowi wyraźnie podekscytowany, że pracuje nad renowacją hotelu i przywróceniem mu dawnej reputacji. Hazim nie pytał, skąd zamierza wziąć na to pieniądze. Wydawało się, że jego umysł zajmuje wiele spraw naraz. Ale przyjął z entuzjazmem tę wiadomość, która mogła przywrócić odrobinę radości życia staremu przyjacielowi.

Hazim zauważył, że z wielu pokoi zniknęły meble. Rozumiał, że ich sprzedaż to pierwszy krok, jaki wykonał właściciel wiekowego hotelu, którego ściany zjadła wilgoć, a meble przegniły od starości. Abu Anmar nie powiedział mu, ile zachodu kosztowały go negocjacje z Hadim, sprzedawcą staroci, by otrzymać rozsądną zapłatę za rozwalające się sprzęty, których w końcu udało mu się pozbyć. Bolała go głowa od rozmów z tym ohydny osobnikiem o ustach nieustannie skorych do plotek, kłamstw i urojeń. Ten przeklęty człowiek okazał się sprytnym negocjatorem sypiącym jak z rękawa argumentami przy ustalaniu ceny każdego mebla, jednego po drugim. Gdyby tylko miał jakąś alternatywę, natychmiast wykopałby go za drzwi hotelu, zamiast poddawać się posłusznie negocjacjom, które nie tylko były przykre, ale i godziły w jego poczucie godności. Dosłownie jakby jeden po drugim wyprzedawał kawałki swojej duszy.

Jednak Hazim nie wiedział, że Abu Anmar wcale nie planował przywracać hotelowi życia. Tak naprawdę nie stać go było nawet na renowację dywanu wyściełającego recepcję ani drewnianego stołu zżartego przez korniki, przy którym zwykle siedział. Nie miał pieniędzy na wymianę szyb chociażby w jednym oknie ani na naprawę uciążliwych zniszczeń w rurach doprowadzających wodę i w kanalizacji. Nie mógł sobie pozwolić na kupno butelki odświeżacza powietrza, żeby pozbyć się zapachu zgnilizny i pleśni wydobywającego się z zawilgoconych ścian. Ta mieszanka zapachów stała się już charakterystyczna dla jego hotelu, w szczególności przy upałach.

Pozbywał się mebli, by jakoś związać koniec z końcem. Żeby stać go było na jedzenie i nic więcej. Poczucie godności i wspomnienia hotelu z jego najlepszych czasów, wspaniałych klientów, prestiżu i dumy lat minionych nie pozwalały mu

odkryć choćby przed najbliższymi przyjaciółmi jego prawdziwej sytuacji finansowej. Spróbuje coś zrobić, żeby uratować hotel. Nie wie jeszcze co, ale gotów jest podjąć ryzyko, jeśli sprawa będzie tego wymagała. Musi się trzymać, nie będzie dla innych pośmiewiskiem. W szczególności dla tego przekłętego drania z rudą brodą i wąsami, który siedzi za swoim wypolerowanym biurkiem w klimatyzowanym biurze i od rana do wieczora spogląda na niego zza czystej szyby witryny po drugiej stronie ulicy.

2

Sprzedawca staroci wezwał młodego chłopaka z Bab Asz- -Szejch, który miał osła i drewniany wóz, żeby razem zabrali zniszczone meble z hotelu Abu Anmara. Krzesła były żelazne, z siedziskami z gąbki pokrytej czerwoną skórą. Nieźle na nich zarobił. Jeśli zaś chodzi o drewniane meble, to trudno mu było je sprzedać i na dziedzińcu jego domu wciąż jeszcze stało dziesięć szaf na ubrania, gdzie korniki dalej robiły swoją robotę. Należało je wyczyścić, na nowo polakierować, ogółem wymagały dużo pracy przed wystawieniem na sprzedaż na targu używanych mebli. To samo jeśli chodzi o ceramikę łazienkową i zmatowione lustra. Niektórzy naśmiewali się, mówiąc, że wyglądają, jakby pochodziły z czasów monarchii. Ale Hadiemu udało się je sprzedać. Powody, dla których niektórzy ludzie kupują takie graty, były dla niego niezrozumiałe. Gdyby Abu Anmar wiedział, ile Hadi ostatecznie zarobił na jego meblach, dostałby zawału, a już na pewno rzuciłby się na niego z pięściami.

Odkąd Jak-mu-tam przestał go odwiedzać, Hadi powoli wracał do siebie, aż w pewnym momencie nawet przesadził, jak powiedzieliby niektórzy. Zdaniem wielu był aż nadto sobą, jakby próbował wynagrodzić innym miesiące swojej nieobecności i wycofania z życia towarzyskiego. Dostrzegł to jego przyjaciel Aziz Egipcjanin i choć śmiał się z dowcipów Hadiego klauna, nie rozumiał, dlaczego nagle w jego opowieściach zaczęli się pojawiać politycy i postaci z pierwszych stron gazet.

Wrócił też otaczający go specyficzny zapach, który wyznaczał wokół rejon jego dominacji. Trudno było, szczególnie upalnym latem, znieść smród spoconego ciała

ludzkiego niemytego od kilku dni, zmieszany z silnym odorem alkoholu. Hadi nie miał z tym problemu. W dodatku jego osobista woń cechowała się jeszcze domieszką zapachu z nigdy niezamykających się ust. Ten, kto siedział w pewnej odległości od jego strefy zapachowej, której centrum stanowiła zazwyczaj jego ulubiona ławka pod oknem kawiarni, i dawał się wciągnąć urokowi opowieści, bogatych w barwne szczegóły, w pewnym momencie zauważał, że smród staje się jakby słabszy, mniej wyczuwalny, a potem prawie całkowicie znika.

Hadi, oparty plecami o ławkę, opowiadał całkiem nową historię o swoim spotkaniu z prezydentem, do którego doszło ubiegłej nocy w jednej z mniejszych uliczek w dzielnicy Dżadirijja. Prezydent przejeżdżał właśnie obok niego w swoim czarnym, opancerzonym mercedesie. Samochód zatrzymał się, wysiadł z niego kierowca w granatowym fraku i pośpieszył na drugą stronę, by otworzyć drzwi otyłemu mężczyźnie. Prezydent postawił prawą nogę na ziemi, ale reszta ciała jakby utknęła na tylnym siedzeniu, krzyknął więc do Hadiego, który ignorował do tej pory obecność auta i jak gdyby nigdy nic szedł dalej ze swoim płóciennym workiem wypełnionym puszkami po napojach gazowanych i piwie.

– Hadi... Hadi...

– Tak, panie prezydencie?

– Skończ ze swoimi opowieściami. Przestań o nas gadać. Podburzasz ludzi przeciwko nam, nie chcemy tu rewolucji.

– Cóż mogę powiedzieć, panie prezydencie. Róbcie swoją robotę jak należy, to nie będę musiał niczego opowiadać.

– Chodź ze mną, dogadajmy się. Już się dla nas robi kolacja w Zielonej Strefie.

– Nie, panie prezydencie, nie jestem głodny. Ale jeśli jest arak, to pojedę. Pan nie pije araku, prawda, panie prezydencie?

– Jak ci nie wstyd! Piję tylko wodę destylowaną. Skończ ze swoimi bajkami, Hadi.

Niektórzy śmiali się z tych mikroopowieści, którymi Hadi przetykał swoje historie. Inni milczeli, oburzeni lub skonsternowani. Było to bez znaczenia, Hadi miał to do siebie, że cieszyło go samo paplanie, nie oczekiwał reakcji. Każda rzecz, która przytrafiała mu się w ciągu dnia, trafiała do kosza z kompostem, gdzie już

fermentowały kolejne historie. Może historyjka z prezydentem zrodziła się z prozaicznej obserwacji widocznego gdzieś w oddali czarnego opancerzonego samochodu.

Zdarzało się, że ktoś siadał naprzeciwko niego, zamawiał mu filiżankę herbaty i pytał o jego bezimiennego przyjaciela. Wówczas opowiadał tę historię bez chwili zwłoki, dodając coraz to nowe szczegóły zmieniające bieg fabuły, do której zdążył przyzwyczaić swoich słuchaczy od końca ubiegłej wiosny.

Któregoś dnia ktoś położył mu przed nosem numer pisma „Haqīqā” ze zdjęciem zniekształconej twarzy Roberta De Niro na okładce. W środku na kilku stronach Hadi znalazł swoją historię, ale z wieloma nowymi szczegółami, których sam nie wymyślił. Jego imię nie było wymienione w artykule, ale Aziz Egipcjanin i kilku bywalców kawiarni, którzy znali autora, Mahmuda Sawadię, od razu domyślili się, że historia pochodziła bezpośrednio od Hadięgo. Oto wertował teraz strony gazety, a na jego pomarszczonej, wysuszonej twarzy nie widać było żadnej oznaki zdziwienia. Wyjaśnił słuchającym, że te szczegóły pochodzą od dziennikarza. Jednocześnie czuł się nieswojo, jakby ten dziennikarz go wykorzystał. Ostatnio spotkali się wtedy, kiedy oddał mu dyktafon. Sawadi obiecał mu, że potraktuje Bezimiennego sprawiedliwie i będzie działał w jego interesie. Ale potem zniknął zupełnie z dzielnicy. Po dwóch dniach Jak-mu-tam po raz ostatni odwiedził Hadięgo. Przyszedł do niego w środku nocy opowiedzieć o wojnie domowej wśród jego zwolenników i o tym, że Amerykanie na nowo otoczyli dzielnicę, w której mieszka. Próbowali go schwytać wielokrotnie z wykorzystaniem grupy do zadań specjalnych służb wywiadowczych Iraku. Od tego czasu był zmuszony przemieszczać się z jednej dzielnicy do drugiej, spędzając w jednym miejscu najwyżej dzień. Zaś co do historii, którą ten dziennikarz o nim napisał, to wcale a wcale nie przysłużyła się jego sprawie. Został w niej przedstawiony w taki sposób, jakby był tylko wytworem chorej wyobraźni Hadięgo, sprzedawcy staroci.

Szukał ludzi, którzy by mu uwierzyli i wsparli jego działania. Nie takich, którzy podporządkowują wiarę w niego swoim własnym pragnieniom i potrzebom, jak Trzej Szaleńcy. Ani takich, którzy przemieniają jego historię w bajkę, jak ten dziennikarz w swoim artykule. Hadi obiecał, że przekaże te słowa autorowi tekstu, gdy go spotka,

ale Jak- -mu-tam oznajmił, że to nie ma już dla niego znaczenia. Sprawy za bardzo się skomplikowały. Nic tu nie pomogą słowa jakiegoś nieznanego nikomu dziennikarza w morzu artykułów, gazet i innych publikacji, które codziennie robią z niego zbrodniarza i oskarżają o wszelkie nieszczęścia, jakie spadają na Irak.

– Ale nie zaszkodzi go postraszyć, żeby już więcej mnie nie obrażał. Mszczę się teraz również na tych, którzy psują mój wizerunek, a nie tylko na ludziach, którzy zawinili względem tych, z których jestem zrobiony – powiedział Hadiemu i była to ich ostatnia rozmowa.

Hadi nie zobaczył go już więcej. Tej nocy, gdy opowiadał swoją nową historyjkę o prezydencie, Jak-mu-tam zatarł się już nieco w jego pamięci. Hadi wiedział, że ten straszny przestępca, którego szukają Amerykanie i iracka policja, o którym ciągle słyhać w telewizji, to jego przyjaciel, ale wiedział też, że to powiązanie istnieje tylko w jego głowie, może ewentualnie jeszcze w głowie tego dziennikarza, Mahmuda Sawadiego.

Jeszcze jeden człowiek z całą pewnością zdawał sobie sprawę z tej relacji. Właśnie przechadzał się z ciemnym cygarem w ustach po swoim biurze, pogrążony w myślach o losach swojej posady i o tym, jakie kroki trzeba przedsięwziąć, żeby złapać groźnego przestępcę o imieniu „Jak- -mu-tam” albo „Ten, który nie ma imienia”, jak go nazywał wróżbita z brodą o szpiczastej końcówce.

Tą zatroskaną i zestresowaną osobą był generał Surur Muhammad Madżid, który wysłał właśnie swoich różowych oficerów razem z kilkoma asystentami do domu Hadiego, by przeprowadzić w jego sprawie dochodzenie i wydobyć z niego zeznania, choćby siłą, jeśli sprawa by tego wymagała. Generał Surur spodziewał się, że Hadi albo naprowadzi ich na trop tego groźnego mordercy i pomoże w jego ujęciu, albo sam nim zostanie – jak Clark Kent w *Supermanie*. Niebezpieczna, przerażająca postać w przebraniu zwykłego obywatela.

W chwili gdy dwaj różowi zmierzali czarnym samochodem marki GMC Yukon do domu sprzedawcy staroci, agent nieruchomości Faradz siedział za biurkiem w swoim biurze i obserwował przechodniów za oknem. Przyglądał się z uwagą drzwiom hotelu Uruba. Był zbyt leniwy, by wykonać te kilka kroków w stronę budynku stojącego naprzeciwko i złożyć jego właścicielowi ofertę.

Nie musiał zresztą tego robić – znał codzienne rytuały Abu Anmara i wiedział, że o tej godzinie zazwyczaj wychodził z hotelu. Zostawiał go bez opieki, szedł do domu Edwarda Paulusa, żeby nabyć zapas araku na najbliższą noc. Następnie kupował ser, oliwki, pieczywo i kilka lekkich zakąsek. Oprócz codziennej rutyny rywala Faradz znał również jego kiepską sytuację finansową. Nie na darmo miał na swoich usługach rzeszę pomocników – ludzie donosili mu o sprawach, które działy się wokół, i o wszystkich nowinach.

I oto Abu Anmar wyszedł ze swojego hotelu, obrócił swoje ogromne cielsko, żeby zamknąć drzwi, i szedł powoli po trzech schodkach, jakie dzieliły drzwi hotelu od chodnika. Poprawił kufiję opadającą mu na ramiona i ruszył przed siebie, wymachując muzulmańskim sznurem modlitewnym z wielkimi lśniącymi koralikami. Nim zrównał się z maglem Dwaj Bracia, czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia. Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z uśmiechniętym Faradzem i jego rudą brodą.

Zaniepokoiło go to nagłe zmniejszenie odległości między nim a jego zaciętym wrogiem. Zobaczył pierwszy raz z bliska dwa wielkie pieprzyki na twarzy Faradza. Jeden duży, nabrzmiały, pod lewą brwią, drugi nad cienkim wąsem.

– Idź, dokończ swoje sprawy, a jak będziesz wracał, przyjdź do mnie napić się herbaty – powiedział Faradz, kończąc szybko to nieprzyjemne, nagłe spotkanie.

– Jak Bóg da – odpowiedział Abu Anmar, wywijając jeszcze energiczniej różańcem, i skinął głową na potwierdzenie. Rozeszli się. Teraz Abu Anmar maszerował już szybciej, jakby chciał jak najprędzej oddalić się od miejsca zdarzenia i przywrócić właściwą odległość pomiędzy sobą a swoim przeciwnikiem. Faradz zaś wracał do swojego biura, pocierając ręką brodę, energiczny i odprężony.

A jaki miałby być? Rano uderzył jednego chudego chłopaka z niechlujną fryzurą i kozią bródką. Tak go walnął, że ten dwa razy obrócił się wokół własnej osi, nim

upadł na ziemię. Aż kilku innych wyjęło telefony komórkowe, żeby nagrać awanturę, która miała się zaraz wywiązać, ale prędko okazało się, że sprzeczka się zaczęła i zarazem skończyła tym jednym epickim strzałem w twarz. Chłopak należał do grupy obrońców zabytkowych domów. Robił zdjęcia na ulicy Siódmej i zajrzał do domu Umm Daniel, która zaprosiła go do środka i poczęstowała herbatą. Tak przynajmniej mówiła Umm Salim. Od razu znalazł się ktoś, kto popędził, by poinformować Faradża. Ten zerwał się na równe nogi i przybiegł, by zobaczyć, jak chłopak wychyla głowę, po czym wyciąga canona, żeby sfotografować ażurowe wykusze w domu Umm Salim. Zrobił dwa czy trzy zdjęcia, nim w oknie na drugim piętrze pojawił się Abu Salim i zaczął gapić się ze zdziwieniem na tego młodzieńca z kozią bródką. Chłopak zrobił jeszcze jedno zdjęcie, tym razem ze starcem, jakby jego obecność tylko podkreślała zabytkowy charakter domu. Zdjęć piątego i szóstego już nie zrobił. Spojrzał w lewo, bo poczuł czyjąś obecność za plecami. Zobaczył rozgniewaną twarz Faradża, którego natychmiast rozpoznał. Zaraz potem nastąpiło uderzenie, które sprawiło, że na kilka minut zapomniał, po co w ogóle się tam zjawił.

Sprawa, zdaniem Faradża, wyszła już poza etap słownych ostrzeżeń i pogrózek. Chudy chłopak też to wiedział, kiedy otoczyła go grupa nieznanym mu młodych ludzi – pomocników Faradża. Postawili go na nogi i poprosili o opuszczenie miejsca dla jego własnego dobra, bo kolejnym krokiem będzie kula w pierś. Popchnęli go, zachęcając do ucieczki. Kroczył szybko, spoglądając co jakiś czas za siebie; widział, jak machali mu, żeby oddalił się jeszcze bardziej. Część z nich próbowała uspokoić Faradża, żeby nie rzucił się za chłopakiem w pościg. Młody, widząc to, przyspieszył, aż zaczął biec i szybko zniknął za zakrętem, w ulicy Sa'adun. Dopiero wtedy chłopcy puścili Faradża, który otrzepał ubranie i poprawił nakrycie głowy. Odwrócił się i zobaczył Umm Daniel gapiącą się na niego przez uchylone drzwi. Była blada, o wynędzniałych rysach, bardziej przypominała ducha niż żywą kobietę. Faradž podniósł rękę i pogroził palcem kobiecie duchowi:

– Mogłabyś wreszcie zdechnąć i dać mi spokój. Jesteś nie do zdarcia!

Gdy Faradž dotarł z powrotem do swojego biura, echo uderzenia, jakie wymierzył biednemu chudzielcowi, wciąż jeszcze pobrzmiwało w zaułkach. Widział to wszystko Abu Salim stojący na balkonie z ażurowymi okiennicami na drugim piętrze

swojego domu. Widziało to wielu innych ludzi. W ciągu kilku godzin wieść obiegła całą dzielnicę. Gdy plotka o tym, co się stało, wróciła do autora całego tego zamieszania, pił właśnie ciemną herbatę z podwójnym cukrem i przerzucał kanały telewizyjne, poszukując serwisu informacyjnego. Może usłyszy coś o swoim dzisiejszym wyczynie, który z pewnością tylko zwiększy jego prestiż i posłuch wśród mieszkańców dzielnicy.

Niecałe pół godziny później Abu Anmar wrócił do hotelu, niosąc w ręku czarne siatki z zakupami. Może zapomniał o swoim spotkaniu z Faradżem, a może postanowił je zignorować. Faradż krzyknął na swojego młodego pracownika i posłał go do hotelu Uruba, żeby przypomnieli jego właścicielowi o umówionej wizycie.

Był to pierwszy i ostatni raz, gdy Abu Anmar przekroczył próg tego biura. Do tej pory nie miał pojęcia, jak jest wielkie i luksusowe. Trzy ogromne obrazy na ścianach, oprawione w grube drewniane ramy, zawierały wersety koraniczne wykute rylcem w miedzi. Do tego dwa wielkie rysunki oprawione w szkło przedstawiające Święty Meczet w Mekce i Meczet Proroka w Medynie. Dwa inne duże malowidła wisiały nad fotelami i wygodnymi kanapami, które razem z eleganckim biurkiem tworzyły otwarty kwadrat. Na podłodze błyszcząły polerowane płytki, a wszędzie pełno było bibelotów – poduszek, popielniczek z kolorowego szkła. Na ścianie po prawej wymalowano jaskrawozielone drzewo genealogiczne łączące Faradża i jego braci z jednym z ojców wojowników powstania w Iraku w latach dwudziestych. Z tyłu, za skórzanym fotelem Faradża, stał żelazny sejf w ołowianym kolorze oraz klimatyzator, z którego dobywały się mroźne podmuchy powietrza, smagając odsłonięte twarze i dłonie.

Abu Anmar był niespokojny. Falami ogarniały go sprzeczne uczucia: raz czuł przygnębienie z powodu luksusu, jak widział wokół, i bogactwa swojego przeciwnika, innym razem poddawał się niezaprzeczalnemu urokowi tego miejsca. Młody służący postawił filiżankę herbaty przed gościem i drugą przed Faradżem. Wciąż jeszcze mieszając napój, Faradż zaczął mówić bez owijania w bawełnę.

– Jesteś mi drogi, Abu Anmarze. Sam jesteś człowiekiem interesu i znasz swój fach. Nie będę ci więc opowiadał bajek, powiem wprost: proponuję współpracę.

– Słucham...

– Tak, tak... Zauważyłem, że twój hotel jest w coraz bardziej opłakanym stanie. Marnie to wygląda...

– Jak Bóg da, planuję go odnowić, wyremontować.

– Za co, Abu Anmarze? Skąd na to weźmiesz?

– Bóg jest hojny...

– Tak, Bóg jest hojny, wierzę w Boga... Rozmawiamy i nie ma co się wstydzić, mój bracie. Wiem przecież, że nie masz złamanego grosza. Traktuj mnie jak brata, nie krępuj się. Chciałbym, żebyśmy zostali współnikami, ty i ja. Wyremontuję hotel i na nowo umebluję. Zyskami podzielimy się po połowie. Co powiesz na to?

4

– Mówicie, że skąd jesteście?

– Z Generalnego Zarządu Ruchu Drogowego – odpowiedzieli uprzejmie różowi oficerowie. Usiedli obok niego na łóżku postawionym na dziedzińcu, gdy słońce już zachodziło. Naszli go w domu razem z trzema innymi ludźmi, bez zaproszenia, bez słowa wyjaśnienia. Samochód GMC Yukon zostawili u początku ulicy Targowej w Batawin, niedaleko kawiarni Aziza Egipcjanina.

– Od dwóch lat nie złamałem żadnego przepisu drogowego. Poza tym w ogóle nie mam samochodu.

– Zebrało ci się na żarty? – spytał jeden z różowych, patrząc surowo. To spojrzenie oraz gruby zwój bandaża na szyi sprawiały, że wyglądał komicznie, raczej nie budził strachu. Hadi nie wiedział, że to właśnie tego oficera Jak-mu-tam próbował pozbawić życia podczas pościgu tamtej pamiętnej nocy. Teraz, jak się zdawało, oficer próbował za pomocą swojego iskrzącego spojrzenia upewnić się co do tożsamości Hadiego – czy był tej samej wysokości i tej samej postury co ten potwór, który omal go nie wykończył. Złapał go za ramię, żeby wyczuć jego budowę. Wychudzone, wyraźnie kościste ramię nieco zamąciło w głowie oficerowi z bandażem na szyi.

Niemożliwe, żeby ten wynędzniały starzec był zdolny do tak szybkiego biegu i zaciętej walki wręcz. Choć nie był tego całkowicie pewien.

– Stałeś się bohaterem, przeciwnikiem Amerykanów, co?

– Jestem sprzedawcą staroci. Przyjrzyjcie się tym meblom.

Wskazał palcem dziesięć drewnianych szaf pochodzących z hotelu Uruba, ustawionych jedna przy drugiej wzdłuż ściany, których jeszcze nie zdążył naprawić i odmalować.

– Tak, mógłbyś otworzyć firmę: „usługi terrorystyczne, samochody pułapki, morderstwa z użyciem tłumika”.

– Tłumika?

– No dalej, udawaj.

Zostawili go i zajęli się przeszukiwaniem domu. Uderzył ich silny zapach zgnilizny, przez który nie odważyli się wejść w głąb pokoju. Przedmioty w domu Hadiego leżały jedne na drugich, była tam mała sterta puszek po piwie Heineken, różnego rodzaju obuwie, czajniczki z miedzi, czajniczki z aluminium, czajniczki z plastiku, drewniane stoły z powyłamowanymi nogami, ubrania, pierze gołębi, pierze kur, wypłowiałe i mocno cuchnące poszewki kołder, kuchenka gazowa, dwie butle z gazem, plastikowy kanister wypełniony benzyną, szafa pełna cebuli i czosnku, puste butle na mleko, puszki z rybami i fasolą. Pokój przypominał grobowiec, więc szybko go opuścili, otaczając na nowo łóżko Hadiego. Wznowili przesłuchanie w związku z przestępstwami, jakie popełniał na ulicach Bagdadu w różnych dzielnicach, a które przypisuje się wymyślonej postaci o nieznanym imieniu albo bez imienia.

Oficerów rozdrażnił widok gipsowej figury Matki Boskiej rozkładającej ręce w geście pokoju. Na jej opadającej do ziemi szacie widać było plamki zmatowiałej farby.

– Jesteś chrześcijaninem?

– Nie, muzułmaninem.

– To skąd u ciebie figurka Matki Boskiej?

– Nie wiem. W tym miejscu wisiał obraz z Wersetem Tronu, ale odpadł i odsłonił tę figurkę.

– Naprawdę, nieżył z ciebie bajkopisarz. Co zrobisz z tą figurą? – spytał zabandażowany, patrząc groźnie na Hadiego, ale ten zachowywał spokój. Od dawna czuł, że coś takiego nieuchronnie mu się przytrafi. Sam był sobie winien. Wszystko przez tę jego niezamykającą się buzię, przez kłamstwa wymyślane dla rozrywki gości kawiarni Aziza. Teraz dwóch oficerów z Zarządu Ruchu Drogowego przesłuchuje go w sprawie zbrodni, o których nie ma bladego pojęcia. Pytają go o fikcyjną postać ze zmyślonej opowieści, powtarzanej ku uciechu współbiesiadników, dla sławy i po to, żeby wszyscy go lubili.

– Jesteś przy zdrowych zmysłach? – Hadi poczuł nagły przypływ odwagi, więc kontynuował: – Jakie zwłoki? Co za Bezimienny? Wymyślacie jakiś dreszczowiec, żeby mnie nastraszyć, tylko z powodu wymyślonej historyjki opowiedanej w kawiarni?

– Nie pogrywaj sobie z nami, bo zabawię się z tobą po swojemu – zagroził mu zabandażowany, więc drugi z różowych złapał go za ramię, by go uspokoić, i przejął ster śledztwa.

Dalej krążyli wokół łóżka Hadiego, zadając mu pytania, aż zapadł zmrok i rysy wszystkich rozmyły się w ciemności. Głosy stały się ostrzejsze, niewidoczne ręce kilkakrotnie popchnęły go na łóżko. Potem jeden z nich uderzył go mocno w twarz. Hadi upadł i uderzył głową o jedną z niewielu niepotłuczonych kamiennych płyt, którymi wyłożona była posadzka. Zauważył, że to kurtuazyjne przesłuchanie, polegające dotychczas na pytaniach i odpowiedziach, weszło właśnie na zupełnie inne tory. Teraz przypominało to, co dzieje się we wszystkich komendach policji w Iraku, o czym Hadi słyszał już wielokrotnie. Po chwili dwie inne osoby podniosły go za ramiona i podtrzymały, podczas gdy zabandażowany zaczął okładać go pięściami po brzuchu. Ta jednostronna walka trwała jakieś dwie minuty. Hadi poczuł silny ból, a z nim przyszły mdłości i nagła potrzeba wymiotowania. Drugi z różowych był bardziej opanowany i próbował ostudzić gniew kolegi. A był to gniew z powodu porażki, jakiej doznawał właśnie tej ciemnej nocy w związku z umykającym mu przestępcą. Gdy ustało okładanie pięściami, Hadi wreszcie wymiotował warzywami i fasolą, które zjadł po południu, i dwiema puszkami heinekena, które wypił tuż przed pojawieniem się śledczych. Cuchnącą mieszanką ubrudził ubranie rozwścieczonego

oficera. Ten odskoczył kilka kroków, klnąc i złorzecząc. Dwaj ludzie widma, którzy trzymali Hadię w pozycji pionowej, puścili go, więc upadł na ziemię, nie przestając wymiotować.

Po kolejnej godzinie spędzonej w mroku rozświetlonym jedynie ognikami tłących się papierosów spokojniejszy z różowych doszedł do wniosku, że zbieracz staroci to naprawdę tylko stary kłamca, stetryczały i pozbawiony moralności. Istniało podejrzenie, że ukrywa prawdziwego przestępcę, ale doprowadzenie go na komendę policji albo do wydziału śledczego mogło jedynie zaszkodzić sprawie, nad którą pracują. Nie było w niej bowiem miejsca na kłamstwa, mity i bajki starca z demencją. Po przesłuchaniu na komendzie wypuszczą go albo wyślą Amerykanom, a wtedy utonie w jeziorze pełnym aresztowanych w najróżniejszych sprawach i oskarżeniach; w ten sposób zniknie końcówka nici prowadzącej do groźnego przestępcy – „Tęgo, który nie ma imienia”.

Zdecydowano więc szybko, że stary pijak zostanie na miejscu i nie będą go więcej odwiedzać, ale kilka osób będzie się mu bacznie przyglądać, żeby zobaczyć, kto go odwiedza i z kim się spotyka. Musi się na nowo poczuć bezpieczny, inaczej będzie uważał na to, co robi. Muszą jeszcze bardziej zatrzeć swoją tożsamość w umyśle tego człowieka, zdezorientować go.

Towarzysze dwóch oficerów śledczych odpalili mocne latarki i oświetlili pomieszczenie. Hadi leżał na plecach na podłodze. Wyglądał na nieświadomego. Nie wyglądał, jakby był w stanie się podnieść. Brzuch bolał go mocno, w głowie kręciło mu się od intensywności wymiotów, które przed chwilą go przetrzebiły.

Oficerowie na nowo przeszukali pokój. Znaleźli pieniądze, które Hadi zarobił na sprzedaży mebli Abu Anmara na targowisku Hardż, schowane w szklanym pojemniku po kawie w szufladzie stołu, pod stertą cebuli. Spokojny oficer schował je do kieszeni spodni, potem wybrał jeszcze kilka innych rzeczy na chybił trafił. Wziął stół z żelaza i drewna, inni też zabrali różne antyki: zniszczony szklany żyrandol, drewniany zegar ścienny z okienkiem i wielkim wahadłem. Jeden z pomocników odważył się i wszedł głębiej do pokoju Hadięgo. Znalazł tam zastawę stołową w kartonowym pudle; na talerzach namalowani byli król Ghazi I^[14] i król

Fajsal II[15], na innych Abd al-Karim Kasim[16], międzynarodowy dworzec kolejowy w Bagdadzie, jakieś scenki historyczne i krajobrazy. Pomocnik wyniósł pudło z poczuciem triumfu, a koledzy otworzyli przed nim drzwi.

Zachowali się jak zwyczajni złodzieje. Żeby jeszcze zwiększyć uczucie skołowania u Hadiego, spokojny oficer ostrzegł go:

– Ta figurka Matki Boskiej jest zabroniona. Rozumiesz? Masz ją rozwalić, teraz.

Skierował mocny strumień światła latarki na twarz Hadiego. Zobaczył, że jego usta poruszają się. Zbliżył się i powtórzył z naciskiem rozkaz. Usta Hadiego poruszyły się znowu:

– Nie jestem w stanie... nie mogę...

– Jak to nie jesteś w stanie? Czyli nie chcesz...

– Spójrz na mnie. Niech będzie przeklęty twój ojciec, nie mogę nawet wstać...

Rozwścieczony różowy wymierzył Hadiemu jeszcze jednego kopniaka w brzuch, po którym tamten stracił oddech. Jeden z pomocników wszedł głębiej do pokoju i lufą pistoletu kilka razy uderzył w posąg wyryty w zagłębieniu ściany. Odpadła głowa Matki Boskiej, ale poza tym figura stała dalej. Skierował więc na nią światło latarki, żeby zobaczyć efekt zniszczeń. Na widok Matki Boskiej dalej rozkładającej ręce w geście pokoju, ale już bez głowy, ogarnęły go strach i przerażenie. Poczul, że przesadzają w swoich próbach wywołania dezorientacji u podejrzanego.

Jednak ich główna misja nie kończyła się w tym miejscu. Rozgniewany oficer z bandażem wokół szyi chciał jeszcze przed wyjściem poddać Hadiemu ostatniemu testowi – temu samemu, który zastosował wobec jedenastu brzydali aresztowanych w Batawin. Ich zdaniem Hadi też był brzydalem, z rozchodzącą się na dwie strony brodą, wyłupiastymi oczami, złamanym w połowie nosem, którego końcówka zwisała ciężko nad drobnymi ustami.

Pomocnicy rozebrali Hadiego do naga i oświetlili latarkami w poszukiwaniu szwów lub choćby śladów cięcia i pozszywanych ran. Potem zabandażowany wyjął mały niklowany nożyk i nie pytając swojego kompana o zdanie, zanurzył go w obydwu ramionach Hadiego, potem jeszcze po bokach ciała i na udach. Hadi krzyknął z nagłego, przeszywającego bólu, ale oficer zakończył już swój test.

Począł, aż z ran, które właśnie spowodował, popłynęła krew. Hadi zwinął się w kłębek, a czarna, lepka maź poleła się na posadzkę. Wypływała przerywanymi falami, które potem ustały, a krew zakrzepła. Była czarna. Rozwścieczony oficer dotknął jej palcem, podczas gdy jego towarzysz ani drgnął, przygwożdżony do miejsca gwałtownym, wszechogarniającym uczuciem obrzydzenia. Dlaczego to robią? Czemu tną człowieka tylko po to, by uzyskać informacje?

Jakaś cicha nadzieja w głowie Hadiego, odzywająca się pomiędzy napływającymi jedna po drugiej falami bólu, mówiła mu, że sprawy potoczą się dokładnie tak, jak w amerykańskich filmach akcji. Nagle z któregoś dachu skoczy na nich mroczna postać jego mitycznego przyjaciela, z prędkością światła wymierzy wrogom kilka ciosów silnymi rękami i w ten sposób wybawi swojego kompana i stwórcę, swojego ojca staruszka. Ale tak się nie stało. Jeden z różowych wyjął krótkofalówkę i nawiązał kontakt z kierowcą czekającego na nich samochodu, rozkazując mu, żeby podjechał na ulicę. Po dwóch minutach wszyscy wyszli, zabierając ze sobą lupy z domu Hadiego. Rozgniewany zabandażowany czuł złość; miał poczucie, że misja, z jaką tu przybyli, nie została wykonana. Odwrócił się, nim doszedł do drzwi, jakby chciał jeszcze raz przyłożyć Hadiemu, lecz towarzysz wyprowadził go siłą.

– Uważaj, bo inaczej jeszcze się z tobą porachujemy – krzyknął, patrząc w mrok, w miejsce, gdzie powinno znajdować się teraz porzucone ciało Hadiego. Nie miał na myśli żadnej kolejnej groźby, po prostu targnął nim ostatni poryw gniewu.

5

Propozycja Faradża wprowadziła Abu Anmara w osłupienie i odebrała mu mowę. Czegoś takiego się nie spodziewał. Ale w drodze do swojego hotelu, która zajmowała dosłownie parę kroków, opanował się i zaczął widzieć sprawę bardziej klarownie. Był to najsprytniejszy, najbardziej przebiegły sposób, w jaki Faradz mógł wykończyć przeciwnika.

Faradz miał bardzo dokładny obraz wnętrza hotelu, co wprowadziło Abu Anmara

w zdumienie. Skąd mógł mieć takie informacje? Może od jakichś byłych gości albo grubej Ormianki Weroniki czy jej nastoletniego syna, którzy wcześniej sprząkali w hotelu? Niemożliwe, by Faradž ośmielił się wejść do budynku, gdy Abu Anmar robił zakupy w pobliskich sklepach. A nawet jeśli by to zrobił, nie miałby czasu, żeby się dokładnie rozejrzeć.

Od myślenia o tym wszystkim Abu Anmar dostał zawrotów głowy i to zanim jeszcze opróżnił pierwszy kieliszek araku podczas swojego zwyczajowego posiedzenia w recepcji. Poza tym wiedza Faradża o stanie hotelu nie była tutaj sprawą kluczową.

Złożył mu propozycję nie do odrzucenia. Zewnętrzna konstrukcja budynku była w porządku, należało się natomiast pozbyć wszystkiego, co było w środku, ściany pozbawić resztek tynku i położyć nowy, zrobić podłogi, naprawić instalację elektryczną, umeblować cały hotel, zaczynając od łazienek. Byliby wspólnikami. Abu Anmar byłby właścicielem cegieł i ścian hotelu, Faradž całej reszty. Udziały Faradża byłyby większe niż Abu Anmara, ale Abu Anmar zajmowałby się administracją i funkcjonowaniem hotelu. Jednak najbardziej oburzające było dla niego coś innego – zmiana nazwy hotelu z Uruba na Rasul.

Rozmowa dwóch mężczyzn trwała godzinę i skończyła się odmową ze strony Abu Anmara i jego powolnym, ciężkim powrotem do swojego hotelu. Pomimo upału pozamykał szczelnie okna, jakby chciał pomóc sobie wyrzucić z głowy obraz biura Faradża i mentalnie oddalić się od tego miejsca podczas swojego codziennego posiedzenia przy araku.

Pił powoli i spokojnie, przerzucając strony grubej książki o przepowiedniach końca świata. Śledził linijki tekstu, tak naprawdę ich nie czytając. Odpływał myślami daleko, odsłaniały się przed nim zachowane w pamięci obrazy z czasów jego próżnej młodości, gdy jako młody handlarz kursujący pomiędzy stolicą a Qalat Sukkar, miasteczkiem leżącym na brzegu rzeki Gharraf, na południu, wszedł w spółkę z pierwotnym właścicielem hotelu, a potem po jego śmierci odkupił wszystkie udziały wystawione na sprzedaż przez spadkobierców wspólnika. Poczul, że właśnie zatacza koło – koło swojego żywota. Zamknął księgę przepowiedni, gdy zorientował się, że

dotarł do najważniejszej, jaką mógłby kiedykolwiek napotkać. Ta przepowiednia nie dotyczyła świata ani ludzkości, ani planety, ani pojawienia się pierwszych wiernych, ani zderzenia spadających gwiazd, ani kultury Majów – dotyczyła jego obecności tu i teraz, odbicia jego twarzy w drzwiach hotelu. Dotyczyła jego życia, które powoli kończyło zataczać krąg i bliskie było powrotu do początku.

Jego odbicie w szybie drzwi zadrżało, a potem ktoś wszedł do środka. Był to jego przyjaciel Hazim Abud, z trudem łapiący oddech, z twarzą ociekającą potem i ciężką, jak się zdawało, torbą na materiały przerzuconą przez lewe ramię.

Abu Anmar podał mu rękę i uściskał go, a potem usiadł obok i zaczęli rozmawiać. Poczuł, że wraz z tą miłą niespodzianką powoli wydostaje się z depresji, w którą popadł po wizycie u agenta nieruchomości. Opowieści Hazima odciągnęły jego myśli daleko. Chłopak nieźle się natrudził, żeby znaleźć taksówkę, która by go tutaj przywiozła. W jego dzielnicy pewna zbrojna grupa zaczęła mu grozić, choć nie był pewien, na ile poważne były to groźby. Uznał, że lepiej będzie, jeśli najbliższą noc spędzi poza domem, może i kolejną, aż sprawy się wyklarują.

Zapytał o swój pokój, na co Abu Anmar odparł, że stoi tak, jak stał. Hazim zdążył już zauważyć, że hotel opustoszał z mebli. Abu Anmar wyznał przyjacielowi, przez co przechodził w ciągu ostatnich miesięcy, kończąc opowieść na propozycji, jaką dzisiejszego popołudnia złożył mu Faradz. Hazim przez chwilę milczał, po czym stwierdził, że istnieje możliwość zastawienia hotelu albo zaciągnięcia pożyczki od państwa na poczet renowacji i umeblowania go na nowo.

– Ale to oznacza długi... Kto mi zagwarantuje, że hotel będzie działał na tyle pręźnie, że będzie mnie stać na spłatę? A może w ten sposób wykopię sobie kolejny dół, a potem do niego wpadnę? Na koniec rząd zabierze mi hotel. Sprawy mają się coraz gorzej i gorzej.

– No to przyjmij ofertę Faradza.

– Nie, nie ma mowy. Nie będę pracownikiem u tego złodzieja i przestępcy. Nie pozwolę, żeby na stare lata mnie upokorzył. Byłem królem tej dzielnicy, gdy on wynajmował pomieszczenia prostytutkom i alfonsom... Ja byłem królem.

Powiedziawszy to, schylił się, by wyjąć z szuflady drewnianego biurka wielki

album fotograficzny. Przerzucał strony i pokazywał Hazimowi zdjęcia. Czarno-białe fotografie jego chudego i chyba wciąż młodego ojca w garniturze i krawacie. Stał razem z drużyną koszykówki z prowincji Majsan. Na innym siedział otoczony krótkowłosymi dziewczętami, członkiniami chóru z Mosulu. Wizerunki znanych dawniej osób, których jednak Hazim nie rozpoznawał – prawdopodobnie już nikt oprócz Abu Anmara ich nie pamiętał. Zdjęcie za zdjęciem. Mimo że niektóre miały oderwane rogi, a inne wyblakły, wciąż biło z nich życie i radość. Zdawało się, że Abu Anmar czerpie z nich energię do trwania.

– No to co zamierzasz zrobić? Chcesz tak żyć, aż skończą ci się wszystkie oszczędności?

– Nie... – odpowiedział Abu Anmar, dopijając resztkę z dna kieliszka. Potem napełnił drugi kieliszek i postawił go na drewnianym stoliku przed przyjacielem.

– Nie przyjmę propozycji tego drania, tylko przedstawię mu swoją własną. Sprzedam mu hotel.

[12] Sufizm – nurt mistyczny w islamie.

[13] Zikr – w islamie: wspomnianie Boga. W sufizmie przybiera formę recytacji imienia Boga i jest rodzajem modlitwy.

[14] Ghazi I – król Iraku w latach 1933–1939.

[15] Fajsal II – król Iraku w latach 1939–1958.

[16] Abd al-Karim Qasim – premier i „wódz” Iraku w latach 1958–1963. Przejął władzę w państwie w drodze zamachu stanu.

Żydowska Ruina

1

Umm Daniel jak zwykle siedziała w salonie w towarzystwie swojego kota, któremu pozostały już tylko resztki sierści. Chciała spędzić pół godziny na kontemplacji wizerunku młodego, przystojnego świętego; światło żółtej lampy naftowej tańczyło na fałdach obrazu, co pomagało jej wyobrazić sobie, że święty się porusza i rozmawia z nią. Zza grubych szkieł okularów obserwowała jego twarz, jednocześnie przysłuchując się krzykom i jękiem bólu dochodzącym zza ściany. Słyszała odgłosy uderzeń i kopniaków, które dwaj różowi oficerowie wymierzali Hadiemu, sprzedawcy staroci. Jej medytacja i krzyki cierpiącego wzywającego pomocy trwały kwadrans. Zamknęła oczy. Głos, który przenikał kilka grubych ścian, by dotrzeć do niej w jej pustelni, nagle ustał. Pogłaskała kota leżącego na jej kolanach, nie przejmując się, że na dłoni została sierść. Patrzyła na obraz i myślała o propozycji, jaką złożyła jej Umm Salim tego popołudnia – po tym, jak rozeszła się wieść o uderzeniu, które Faradž wymierzył biednemu chłopcu pracującemu dla organizacji ochrony zabytkowych domów w Bagdadzie.

Tego dnia miała wziąć udział w uroczystości na cześć Świętej Szamoni i jej siedmiorga dzieci, ale nie potrafiła znaleźć w sobie chęci – wolała zostać w domu. Odwiedziła ją Umm Salim, żeby jej powiedzieć, że Faradž to człowiek podły i zdolny do wszystkiego. Gotów sfalszować akt własności jej domu i wyrzucić ją na ulicę, jeśli tego zapragnie. Poza tym, czy ktoś kiedyś widział akt własności tego domu, który

Umm Daniel rzekomo posiada? Może nie ma żadnego dokumentu poświadczającego własność domu, w którym mieszka. Być może ta nieruchomość należy do któregoś z irackich Żydów, którzy wyemigrowali w latach pięćdziesiątych, a nie do Umm Daniel, ani nawet do Abu Daniela czy któregośkolwiek członka jej rozdarłej rodziny.

Po co jej to mówiła? Czyżby przeszła na stronę jej wrogów? Ale jednocześnie Umm Salim przedstawiła jej kuszącą propozycję: niech zamieszka w jednym z pokoi w jej domu. Przygotują jej pomieszczenie, w którym będzie mogła żyć, ciesząc się szacunkiem i godnością. Jeden z synów Umm Salim zajmie się przystosowaniem domu Umm Daniel i będzie wynajmował w nim pokoje, tak jak się robi w motelu. Pieniądze z wynajmu wrócą do Umm Daniel i dzięki nim będzie mogła wieść życie godne i znacznie przyjemniejsze niż teraz w tej pustelni. Cieszyć się towarzystwem ludzi, chaosem i rozgardiaszem dookoła. A jednocześnie zamknie Faradżowi drogę do podjęcia jakichkolwiek działań przeciwko niej, a przecież nikt nie jest w stanie przewidzieć, co może zrobić ten pozbawiony sumienia człowiek starej, słabej, żyjącej samotnie kobiecie. On i jemu podobni zobaczą, że staruszka ma wokół siebie ludzi gotowych jej bronić.

Ale to też mógł być sposób na przejęcie jej domu. Być może w tej grubej kobiecie obudziła się chciwość i sama dołączyła do stada ludzkich wilków. Być może Umm Salim działa w służbie Faradża, agenta nieruchomości.

Eliszeba nie odpowiedziała na propozycję. Jej ulubionym sposobem na unikanie niekomfortowych sytuacji było obwarowanie się milczeniem. Umm Salim uznała, że sąsiadka ma już problemy z głową i potrzebuje czasu, by to przemyśleć. Umm Daniel rozmyślała więc, wpatrując się w obraz świętego wiszący na ścianie i głaszcząc śpiącego na jej kolanach Nabo. Ale tak naprawdę nie zastanawiała się nad propozycją Umm Salim, tylko nad innymi sprawami. Jej sąsiadka i stara przyjaciółka myśli dokładnie tak, jak cała reszta. Dlaczego sądzi, że powinna pozbyć się domu? Dlaczego wszyscy uważają, że jej sytuacja jest nienaturalna i trzeba ją naprawić, w dodatku koniecznie poprzez sprzedaż domu? Świetnie radzi sobie sama w swojej pustelni. Emerytura, którą pobiera raz na trzy miesiące, razem z przelewami od córek i pomocą otrzymywaną z kościoła wystarczają spokojnie na jedzenie i picie. Nie potrzebuje nowych ubrań, najwyżej od czasu do czasu. Nie ma żadnych innych kosztownych

wymagań. Można spokojnie założyć, że do końca będzie wieść spokojny żywot, chyba że wydarzy się któryś z cudów, na jakie czeka.

Nawet ten chudy chłopak, który chciał kupić od niej dom dla państwa, on też niczego nie rozumiał. Nie dotarło do niego podczas pierwszej wizyty, że go nie sprzeda. Jak by się czuła, mieszkając w miejscu, które do niej nie należy, choć kiedyś było jej własnością? Nie zrozumiał też, że pieniądze, które mogłaby w ten sposób otrzymać, przekraczałyby znacznie jej potrzeby.

Przymknęła nieco oczy, jej głowa stała się ciężka. Nabo drzemał na jej kolanach. Być może i ona sama powoli zapadała w sen, siedząc na kanapie, gdy nagle usłyszała jakieś odgłosy na dziedzińcu domu i czyjeś ciężkie kroki na posadzce. Odwróciła się w stronę drzwi i zobaczyła stojącego w nich ducha swojego syna.

2

Czuł, że to koniec. Wiedział, że śmierć się zbliża, gdy czyjeś silne ręce podniosły go z potłuczonej posadzki, oblepionej warstwą krwi. Otworzył oczy, ale nikogo nie zobaczył. Było zupełnie ciemno, ręce spokojnie opuściły go w dół i położyły wygodnie na miękkim materacu pośrodku dziedzińca. Potem usłyszał brzęk naczyń i jakiś ruch wokół. Poczuł dotyk zwilżonej tkaniny, którą obmywano jego rany, potem tajemnicze ręce założyły mu koszulę i spodnie, porzucone na ziemi.

– Spokojnie, nie umrzesz. Ale należał ci się łomot.

Zaraz potem ten ktoś zniknął. Po chwili Hadi usłyszał dźwięki dochodzące od strony drzwi. Czuł odrętwienie i wydawało mu się, że zaraz zapadnie w śpiączkę albo zaśnie. Nagle na jego twarz padło światło kilku latarek. Jacyś ludzie zaczęli się kręcić wokół jego łóżka.

– Czego ode mnie chcecie, czego chcecie? – krzyknął automatycznie, bo był pewien, że to oficerowie śledczy wrócili, może tym razem, żeby z nim skończyć.

– Co oni mu zrobili! – wykrzyknął jeden z nich, a inni zaczęli odwracać Hadięgo, przyglądając się ranom. Pozostali krzatali się wokół, zapalając lampy naftowe, żeby

oświetlić pomieszczenie.

Abu Salim, schowany wiecznie za swoim ażurowym wykuszem, jako pierwszy zauważył ludzi wchodzących do domu sprzedawcy staroci, ale nie mógł wiedzieć, co wydarzyło się w środku. Obserwował miejsce z ukrycia, aż zobaczył samochód marki Yukon zatrzymujący się przed budynkiem; potem dostrzegł wychodzących śledczych niosących jakieś przedmioty. Wstał z miejsca i zobaczył, jak wsiadają do auta i odjeżdżają śpiesznie. Jeden z oficerów rzucił przez okno samochodu lampkę stołową z abażurem z kolorowego szkła; uderzyła o sąsiedni mur. Sprawa wyglądała niepokojąco, więc Abu Salim krzyknął na swoich synów i kilku młodych chłopaków z sąsiedztwa. Naparli na drzwi domu Hadiego, które jak się okazało, nie były zamknięte, i zobaczyli sąsiada w opłakanym stanie. Poznali od razu, że ktoś spuścił mu solidny łomot. Najmłodszy syn Abu Salima pobiegł do domu po bandaż, środki dezynfekujące, gazę i trochę leków. Handlował nimi na targowisku Szordża, dlatego też znał się na pierwszej pomocy. Powiedział Hadiemu, że rana na udzie wymaga szycia, ale on nie potrafi tego zrobić. Opatrzy ją tymczasowo, żeby wytrzymał do rana. Jutro musi się udać do przychodni, a do tego czasu ma leżeć spokojnie, żeby nie pogorszyć swojego stanu. Ułożyli materac wzdłuż jedynej ściany pokoju Hadiego, zanieśli go tam, postawili obok wodę, żeby nocą mógł się napić, i upewnili się, że wszystko z nim w porządku. Obchodzili się z nim ostrożnie i troskliwie, choć jednocześnie próbowali wypytać go o powody, dla których mu się oberwało. Kiedy odmówił odpowiedzi, wciąż nalegali. Dał więc pokaz swojej prawdziwej natury, obrzucając ich przekleństwami i każąc im się zamknąć. Nie był przygotowany na dwa przesłuchania tej samej nocy. Tak oto skończyły się ciepłe relacje pomiędzy sąsiadami. Odchodząc, zabrali swoje latarki i zostawili go w mroku, rozświetlonym jedynie nędzną osmoloną lampką naftową.

Hadi leżał i próbował przypomnieć sobie wszystko, co wydarzyło się po tym, jak upadł na podłogę. Wspomnienia mieszały mu się w głowie. Coraz wyraźniej docierało do niego, że jego gniew skierowany jest w stronę tego człowieka, który powiedział mu, że zasłużył sobie na łomot. Ale czy on naprawdę tam był czy stworzyła go wyobraźnia Hadiego? Kto przeniósł go z ziemi na łóżko? Czy sąsiedzi, którzy tu weszli, zobaczyli go nagiego?

Jeszcze inne pytania napływały mu do głowy. Zimna bryza powiała z pustej przestrzeni między wysokimi ścianami z cegły. Jeszcze większe odrętwienie ogarnęło jego ciało, przez co ból od ran nieco zelżał.

Przydały się leki, które dostał od syna Abu Salima. Dał mu dwie tabletki valium i jedną leku przeciwzapalnego. Nawodnili go trochę, opatrzyli rany na ramionach, po bokach ciała i na udach. Naprawdę wykonali dobrą robotę. Żałował, że okazał im tyle gniewu. Ale nie przestawali pytać. Czy ci oficerowie wrócą ponownie? Czemu nagle się zatrzymali, choć nie otrzymali odpowiedzi, po jakie tu przyszli? Dlaczego pocięli go w ten sposób? Dlaczego wynieśli z jego domu jakieś rzeczy? Kto ich na niego naprowadził? Czy to ten dziennikarz? A może któryś z klientów kawiarni Aziza?

Hadi nie wiedział jeszcze o zniknięciu oszczędności, które zarobił swoją ciężką pracą w zeszłym tygodniu. Ani o tym, że odłupano głowę ustawionej we wnęce figurze Matki Boskiej. Nie wiedział, że zniknął cenny zestaw talerzy i że zabrano najdroższe z rzeczy, jakie posiadał. Gdy się dowie, dostanie ataku gniewu, ale już nic nie będzie mógł zrobić.

Wydarzy się to po południu następnego dnia. Na razie walczył ze śladami śpiączki, w którą zapadł na chwilę; potem znów ogarnęło go odrętwienie, gdy tak leżał, patrząc na gwiazdy świecące blado na tle ciemnego nieba. Stracił energię w całym ciele, bolał go pusty żołądek, który podczas przesłuchania wyrzucił wszystko, co zawierał.

Całe to zmęczenie i osłabienie funkcji zarówno umysłowych, jak i cielesnych pozostawiło w Hadim zupełnie przeciwne uczucie – trzeźwości i przebudzenia. Jakby wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku godzin, zlało się w jedną całość, niby potężny policzek wymierzony mu prosto z niebios. Jakby jakaś niewidzialna ręka chciała wstrząsnąć jego ciałem i duszą, żeby wreszcie przejrzał na oczy. Jakby ktoś czekał i obserwował, jakie będą jego dalsze kroki nad przepaścią, w którą powoli zaczął się staczać.

Zacznie wszystko od nowa. Poczekaj cierpliwie, aż jego rany zagoją się całkowicie, a potem uda się do łaźni Sabundzi przy Szejch Omar. Spędzi trzy godziny w saunie parowej, siedząc sztywno jak posąg, potem ogoli twarz i głowę, kupi nowe,

eleganckie ubrania. Sprawia sobie skórzane buty. Porzuci tę przeklętą Żydowską Ruinę i wynajmie duży, przewiewny pokój w nowym motelu Faradża, a potem pomyśli o wynajęciu lokalu, gdzie będzie naprawiał i sprzedawał używane sprzęty. Przecież zna się na tym dobrze. Znajdzie sobie dobrą żonę, która go zaakceptuje, a pił będzie tylko raz w tygodniu. Wszystko to zrobi i będzie się trzymał postanowień, jeśli tylko tej nocy dane mu będzie zasnąć w spokoju, a rano obudzi się zdrów.

3

Obserwował wszystko z góry. Widział, jak dwaj różowi oficerowie zaczęli się koło niego kręcić, widział też Hadiego siedzącego na łóżku. Zanotował zmianę tonu w ich głosie. Widział pierwsze uderzenia i to jedno, które powaliło mężczyznę na ziemię. Widział wszystkie etapy tortur, ale nie ruszył się z miejsca aż do odejścia tej dziwnej grupy, której członkowie twierdzili, że są z drogówki, a mimo to rozwalili figurę Matki Boskiej, ukradli sprzedawcy staroci pieniądze i najcenniejsze rzeczy, jakie posiadał.

Zgadywał, że dotkliwe pobicie i rany zadane nożem w różnych miejscach mimo wszystko nie okażą się śmiertelne. Choć oficerowie mieli na celu zastraszenie Hadiego i próbę zmuszenia go do złożenia zeznań, o jakie im chodziło, to Jak-mu-tam postrzegał to, co się stało, jako rodzaj kary, na którą sprzedawca staroci zasłużył sobie swoimi grzechami. Tak myślał Jak-mu-tam, lądując na podwórku, by podnieść swojego stwórcę, położyć go na łóżku i założyć mu ubranie. A gdy usłyszał dochodzące od drzwi wejściowych głosy sąsiadów, wspiął się po kupie kamieni do domu Umm Daniel.

Zastał ją siedzącą jak zawsze w pokoju gościnnym, spoglądając tępo na obraz Świętego Jerzego. Zobaczyła go w otwartych drzwiach, ale wyraz jej twarzy się nie zmienił. Nie zadrżał jej nawet jeden mięsień. To tylko dowodziło jej demencji. Patrzyła na niego tak, jakby cały czas z nią przebywał i wyszedł tylko na chwilę do toalety.

Czuł się samotnie. Spośród jego znajomych zostało już tylko tych dwoje: leżący nieprzytomnie na łóżku sprzedawca staroci i szalona staruszka gadająca z duchami zmarłych i obrazami świętych. Mógł skoczyć na dwóch różowych oficerów i ich trzech pomocników i wszystkich rozgromić bez mrugnienia okiem, ale to by tylko skomplikowało sprawy Hadiego. Był przecież jeszcze kierowca ich samochodu. Zorientowałby się, że się spóźniają, i wszedł do środka, a wtedy zobaczyłby, co się stało. Nawet gdyby Jak-mu-tam ukrył ciała, nie rozwiązałoby to problemu. Hadi zostałby oskarżony o zabójstwo i ukrycie zwłok. Dlatego lepiej było przeczekać to brutalne najście i mieć nadzieję, że wątpliwości grupy co do tożsamości przestępcy, którego szukają, pozostaną nierozwiane. Jeśli Hadi zniesie cięcia nożem, nie przekazując śledczym żadnych informacji, to będzie znaczyło, że jest zdolny wytrzymać każde przesłuchanie, jakie może mu się zdarzyć w przyszłości.

To oczywiste, że nie będzie to ich ostatnia wizyta, jeszcze się u niego pojawią. Dlatego Jak-mu-tam najlepiej pomoże Hadiemu w powrocie do normalnego życia, jeśli już więcej nie będzie go odwiedzać. Lepiej, jeśli zniknie z jego życia. Tak naprawdę nie było żadnego powodu, dla którego miałby się u niego pojawiać. Nawet ta dzisiejsza wizyta nie miała żadnego sensu. Był zagubiony, wiedział, że jego misja naznaczona jest śmiercią – codziennie zabijał kolejne osoby. Stracił już rozeznanie w tożsamości tych, których pozbawiał życia, i tym, jaki cel ma ich śmierć. Fragmenty ciał niewinnych, z których początkowo był zrobiony, zostały zastąpione innymi – ciałami jego własnych ofiar, ciałami przestępców. Ostatniego dnia, jaki spędził w swojej siedzibie – świątyni w dzielnicy Dora – rozpoczęło się oblężenie tego miejsca przez amerykańskie siły zbrojne wsparte przez małe oddziały irackie. Z trudem udało mu się przed nimi uciec. Weszli do baraków urządzonych przez Trzech Szaleńców, znaleźli wiele poszlak mogących do niego prowadzić. Ale jego nie złapali. Wciąż się przemieszczał i ukrywał w różnych miejscach. Postanowił, że już nie będzie zabijał, skoro i tak nie wiedział, jaki jest tego cel. Pomyślał, że jeśli spóźni się z pomszczeniem osób, których części ciała nosi w sobie, i skończy się ich termin ważności – zepsują się, rozłożą w jego ciele – to w ten sposób jego problem się skończy: zniknie z tego świata, w którym pojawił się dziwnym zbiegiem okoliczności.

Jednak i tego nie był do końca pewien. Kto mu zagwarantuje, że jego szczególna

misja skończy się w ten sposób? Musi pozostać przy życiu, póki nie zrozumie, co powinien zrobić dalej. Jest wyjątkowym mordercą – nie da się go zabić zwykłymi sposobami, musi więc wykorzystać tę niezwykłą zdolność w służbie niewinnym, w służbie prawu, prawdzie i sprawiedliwości. Póki nie zyska pewności co do swoich kolejnych kroków, zajmie się tym, co potrzebne, by się utrzymać przy życiu. Będzie wybierał części zamienne do swojego ciała spośród tych, którzy i tak zasługują na śmierć. Nie jest to idealny wybór, ale najlepszy z obecnie możliwych.

Chciał powiedzieć Hadiemu o tym wszystkim, ale dla Hadiego w obecnej sytuacji sprawa była prosta – nie był gotów ani tej, ani kolejnych nocy na słuchanie czy współczucie, a już na pewno nie byłby w stanie udzielić mu rady, co powinien dalej robić.

Teraz Jak-mu-tam siedział i relacjonował staruszce co nieco ze swoich problemów. Słuchała, jednocześnie delikatnie głaszcząc śpiącego kota. Nie wydawało się, żeby była w stanie cokolwiek zrozumieć z jego skomplikowanego wywodu, ale potrafiła słuchać, a tego mu było teraz trzeba.

Powiedział jej, że czasem zdarza mu się spotkać któregoś ze swoich dawnych wojowników spośród tych, którym udało się ocaleć z bratobójczej walki, jaka się dokonała w ich barakach. Ich zachowanie wciąż zależało od tego, któremu z Szaleńców wcześniej podlegali – nie wyglądali, jakby zmienili swój stosunek do niego.

Pewnej nocy zobaczył Obywatela Numer 341 idącego ulicą w dzielnicy Wazirijja. To on sam przedstawił mu się jako Obywatel 341. Skłonił mu się i ucałował jego dłoń. Powiedział, że zna tylko swój własny numer i nie ma pojęcia, co przydarzyło się pozostałym – kto został zabity, a kto uszedł z życiem z potwornej rzezi, jaka dokonała się tamtej nocy. I że pomimo swojej głębokiej wiary i pragnienia przywrócenia dawnego systemu nie wie nawet, kim jest numer 342, a kim 340 ani od jakiej liczby mieliby zacząć liczenie w razie rekrutacji nowych członków, jakie numery pozostały niezajęte i ilu aktualnie jest czynnych Obywateli.

Innej nocy ciało Jak-mu-tam zaczęło intensywnie gnić. I znów przypadkiem napotkał jednego ze swoich wiernych. Ten przyprowadził go do swojego domu

w dzielnicy Fadil, omijając skutecznie ciekawskie spojrzenia sąsiadów. Gdy znaleźli się na dziedzińcu, jego czciciel udał się do kuchni i wrócił z wielkim nożem. Podał go swojemu panu, mówiąc, że poświęci się dla niego. Niech ten go zabije i weźmie jego ciało na części zamienne. Jak-mu-tam zaskoczyła ta propozycja, ale po chwili namysłu uznał, że to nie najgorszy pomysł, zwłaszcza że inne dostępne sposoby wymagały zbyt dużo wysiłku. Być może musiałyby zabić wiele osób, zanim udałoby mu się wymienić wszystkie psujące się fragmenty, bo taka operacja na pewno zajęłaby dużo czasu.

Podciął żyły na nadgarstkach swojego wiernego, żeby umierał powoli i żeby krwotok wprowadził go w śpiączkę, nim wyzionie ducha. Nie chciał zadawać mu ciosu w brzuch ani podcinać gardła. Tak zrobiłby wróg. Poza tym ten wierny, jak każdy inny człowiek w jego sytuacji, nie potrafiłby kontrolować siebie i zwierzęcych odruchów swojego ciała. Może zacząłby krzyczeć, a może instynktownie chciałby uciec już rozprzestrzeniającej się po jego ciele śmierci. Narobiłby hałasu, a tego Jak-mu-tam nie potrzebował.

Staruszka wciąż wpatrywała się w tego kogoś, kogo uważała za ducha swojego syna, zaginionego przed dwiema dekadami. Nic nie wskazywało na to, że zrozumiała, co opowiadał jej przerażający gość.

Zrobiło się późno i minęła pora, o której zwykle kładła się spać. Czowała, że gość może tak gadać do samego rana. Zdawało się, że ma dużo do powiedzenia i potrzebuje kogoś, kto by go wysłuchał, ale ona nie pojmowała, do czego dąży. Jeśli naprawdę jest jej synem, to musi zrozumieć, że ona walczy ze śmiercią. Wszyscy pragną jej śmierci, a ona uparcie trzyma się przy życiu. Nikomu nie doradzi niczego, co mogłoby w ten czy inny sposób przyczynić się do czyjejś śmierci.

– Może odpoczniesz, synu? Przygotować ci posłanie na dziedzińcu? – spytała, by położyć kres jego niekończącej się, wielowątkowej opowieści.

Jak-mu-tam poczuł, że staruszka próbuje wpisać własną historię w jego opowieść. W innych okolicznościach chętnie by na to przystał. Pragnąłby położyć się na jej niskim, bawełnianym posłaniu, patrzeć w niebo, liczyć gwiazdy tak długo, aż zaśnie. Ale takie życie nie było mu przeznaczone.

Zdjęła okulary i przetrła oczy. Wzięła przeciągły wdech, westchnęła głośno

i boleśnie. Gdy podniosła powieki, jej gadatliwego gościa już nie było. Spojrzała na obraz świętego wiszący przed nią. Unosił na nim swoją długą włócznię, gotów zatopić ją w gardle smoka wyrastającego z ziemi. Zapytała sama siebie, czemu nie zabił tego smoka już lata temu. Czemu tak zastygł w gotowości? Przecież to męczące, lepiej już zabić go jednym ciosem i odpocząć. Mieć wokół siebie przestrzeń wolną od potworów i przerażających smoków. Zdawało się, że obraz tylko potęguje jej napięcie. Dosłownie jakby wszystko trwało zatrzymane w połowie. Jak ona teraz – ani żywa, ani martwa.

– Torturujesz mnie – powiedziała mu, podnosząc kocura Nabo ze swoich kolan i odkładając go na kanapę obok siebie. Obudziło go to, ziewnął i przeciągnął się.

– Wcale nie zabiłeś tego smoka? Czyż nie tak, wojowniku? – zapytała i cierpliwie czekała na odpowiedź. Wstała, wciąż obserwując przystojną, milczącą twarz świętego.

– Wszystko ma swój kres, Eliszebo, po co się śpieszyć? – odpowiedział, nie poruszając wargami. Nic na obrazie się nie poruszyło, a mimo to głos świętego dźwięczał w jej uszach bardzo wyraźnie.

4

Hadi nie spał. Patrzył w błękitne niebo i nurkujące w nim ptaki. Słuchał stłumionych odgłosów radia, czyichś rozmów i klaksonów samochodowych. Przymknął na chwilę oczy, a gdy je otworzył, zobaczył cień amerykańskiego helikoptera przelatującego z przeraźliwym rykiem. Chciał się podnieść, ale nie znalazł w sobie siły; czuł, jakby jego głowa była z ołowiu, bał się ruszyć szyją w lewo albo w prawo. Leżał więc nieruchomo, wsłuchany w uliczny rumor, słabnący wraz z upływem kolejnych godzin poranka. W pewnym momencie dobiegł go dźwięk uderzenia, które zatrzęsło ziemią, i całe jego ciało sparaliżował strach. Był to wybuch samochodu pułapki w dzielnicy Sadrija oddalonej od Batawin o kilka kilometrów w stronę centrum. Tego jednak dowiedział się dopiero późnym popołudniem. Przewrócił się na bok i poczuł dotkliwy ból w lewym udzie. Wziął kilka wdechów, potem wsparł się na rękach i usadowił

stabilnie na łóżku; wtedy poczuł pulsowanie bólu w każdej części ciała. W ranach zadanych mu przez śledczych, w głowie i w żołądku. Chciał znów zasnąć, ale był zbyt głodny. Siedział tak, wciąż czując na sobie ciężar starości, o której sądził, że nigdy do niego nie przyjdzie. Usłyszał jakieś głosy przy drzwiach wejściowych. Zobaczył Aziza Egipcjanina i dwóch chłopaków wchodzących do środka. Aziz z trudem zamknął za sobą drzwi, popychając je z przekleństwami na ustach. Gdy się odwrócił, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Zbliżył się razem z tymi dwoma; niósł miskę kremu śmietanowego, pieczywo i herbatę w termosie.

– Zdrów! Chwała Bogu!

Mówiąc to, poklepał przyjaciela po ramieniu, wciąż się uśmiechając. To samo zrobili dwaj młodzi. Potem, po upływie niecałej godziny, pojawił się młody współpracownik Hadiego, umówiony z nim na spotkanie w sprawie sprzedaży reszty rzeczy ze starego hotelu. Zdumiał go widok sprzedawcy staroci w takim stanie. Zszokowany otworzył usta, kiedy go ujrzał całego obwiązanego bandażami. Aziz z kolei nie wydawał się zaskoczony – wiedział już wcześniej, co się stało, od klientów swojej kawiarni, oni też zapewnili go, że wszystko z Hadim w porządku. Aziz zostawił kawiarnię pod nadzorem swojego młodego pomocnika i przyszedł odwiedzić przyjaciela. Chciał też zapytać, kto go napadł. Odpowiedzi, które cedził Hadi, były niejasne i wprowadziły wszystkich w jeszcze większe zakłopotanie. O jakim Zarządzie Ruchu Drogowego i o jakim przestępcy mówił? Jaki to miało związek z jego pobiciem, z ranami na całym ciele? Po śniadaniu Hadi podniósł się za namową Aziza, żeby przeszukać swój dom. Wstrząsnęło nim odkrycie, że stracił oszczędności i wiele cennych przedmiotów. Na początku podejrzewał o kradzież osoby, które go poprzedniej nocy odwiedziły, by mu udzielić pomocy. Ale przypomniał sobie odgłosy stukania, które słyszał, próbując nie stracić przytomności, i doszedł do przekonania, że to śledczy go okradli. Potem zobaczył odłupaną głowę Matki Boskiej. Na jej widok wszyscy wpadli w osłupienie. Aziz zbliżył się do posągu z posępną miną.

– Przecież to Matka Zbawiciela... Czemu to zrobili? – zapytał z dezaprobatą w głosie, dotykając ręką potłuczonej figury. Rozkruszony gips posypał się i pęknięcie się pogłębiło. Wydawało się, że figura i kwadratowa gipsowa tablica, do której była przytwierdzona, mogą się rozpaść za najmniejszym dotknięciem. Aziz otrzepał dłoni

z gipsu, jakby nie chciał maczać palców w żadnym przypadkowym dziele zniszczenia. Spojrzał na przyjaciela, który siedział wśród sterty przedmiotów i przerzucał je, pochłonięty myślami i skołowany.

Hadi czuł się bezsilny, gdy przypomniał sobie, jaką sumę – która teraz zniknęła – zarobił na sprzedaży mebli z hotelu Uruba. Chciało mu się krzyczeć albo poddać się wreszcie rozpierającej go od środka potrzebie płaczu, ale wziął się w garść. Aziz doradził, żeby na nowo położył się do łóżka i postarał się zapomnieć o sprawie. zaproponował, że weźmie go na pogotowie, by ktoś zajął się jego ranami, ale Hadi odmówił.

Po godzinie zdołał się uspokoić i przełknął wreszcie swoją małą porażkę. Kazał młodemu pomocnikowi kupić rzeczy potrzebne do renowacji mebli: lakier, gwoździe, papier ścierny do wygładzenia drewna, szpachlówkę i jeszcze inne. Kazał mu wrócić jak najszybciej, żeby mogli się zabrać do odnawiania drewnianych szaf, zniszczonych przez korniki i uszkodzonych w kilku miejscach. Chciał je wystawić na sprzedaż najszybciej, jak to możliwe.

Gdy wszyscy poszli, Hadi przyjrzał się zniszczonej figurze Matki Boskiej i po raz kolejny ogarnęło go poczucie straty. Myślał wielokrotnie, żeby ją usunąć w całości, a potem sprzedać komuś z kościołów albo komuś zainteresowanemu podobnymi sakralnymi antykami. Dotknął palcem miejsca, z którego odpadła głowa, żeby usunąć odłamki. Zostały mu w dłoni. Zaczął oczyszczać figurę z pyłu, zdjął jej gipsową oprawę. Potem wyjął figurę z wnęki, a gdy próbował ustawić ją na ziemi, odpadła dolna część. Pozostały rozłożone szeroko ręce, zwoje szat i stopy, wszystko osobno. Hadi spojrzał na puste wgłębienie w ścianie i dostrzegł, że pozostawiony tam kopczyk pyłu coś przykrywa. Odgarnął więc powoli gips, odsłaniając coraz więcej i więcej. Pod spodem znajdował się ciemny, drewniany obraz wysokości siedemdziesięciu centymetrów i szerokości około trzydziestu. Przetarł go ręką i ujrzał rytą dłutem płaskorzeźbę w kształcie przypominającym drzewo. Przedstawiała wielki świecznik z napisami na górze i na dole w dziwnym języku. Hadi szybko się zorientował, że to żydowska pamiątka. W ciągu swojego życia widział wiele podobnych malunków na ścianach domów w Batawin. Od razu pomyślał, że to też da się sprzedać. Słyszał o ludziach, którzy skupują żydowskie pamiątki i przemycają je za granicę. Poczł

rodzaj strachu, przypomnieli mu się brutalni oficerowie, którzy go wczoraj skrzywdzili. Co, jeśli wciąż go obserwują albo znów napadną w domu, jak to zrobili wczoraj? Nie ma już siły na tego rodzaju potyczki. Jeśli go jeszcze raz pobiją, może tego nie przeżyć. Nie jest silnym człowiekiem, te wszystkie opowieści o jego upadkach z gór to były zwyczajne kłamstwa, które zmyślił, zachęcany przez gości kawiarni Aziza. Nawet historia o tym, jak wyleciał w powietrze, a potem spadł na ziemię po wybuchu przed hotelem Sadir Novotel, nie była dokładnie taka, jak w jego opowieści. Choć sam do końca nie rozumiał, dlaczego tak niewiele ucierpiał podczas tamtego upadku. Stał się stary i kruchy. Jeden cios w brzuch mógłby pozbawić go życia. Nie zasługiwał na taki los. Nie zrobił w życiu nic złego poza opowiadaniem kłamstw. I to nieszkodliwych – może poza największym kłamstwem, tym o jego bezimiennym przyjacielu. Tak, to kłamstwo. Lepiej, żeby od teraz tak na to patrzył. Za każdym razem, gdy przyznawał przed sobą, że to naprawdę mu się przydarzyło, pakował się w coraz większe kłopoty. To potworne kłamstwo stworzyła jego zwichrowana wyobraźnia w jakimś ciemnym momencie życia – musi o nim zapomnieć. Pamiętał o swoich postanowieniach z poprzedniej nocy, teraz się w nich umocnił i poprzysiągł sobie, że wszystko się zmieni.

Usłyszał jakiś ruch przy drzwiach; pewnie jego pomocnik wrócił z targu. Znalazł w kącie pokoju zwinięty w rulon dywanik, więc użył go, żeby zakryć dziurę w ścianie i ciemny drewniany obraz.

5

Diakon Nadir Szamoni z trudem dotarł do domu Umm Daniel. Amerykanie odcięli mu drogę przed placem Tajaran i od strony wejścia do ulicy Sa'adun z powodu wybuchu samochodu pułapki przy stacji paliw Gilani w pobliżu autostrady oraz eksplozji na targowisku w dzielnicy Sadrijja, w wyniku którego śmierć poniosły dziesiątki sprzedawców i ich klientów. Potem odkryto jeszcze jeden samochód pułapkę na rondzie pod pomnikiem Wolności, zmierzający w stronę Zielonej Strefy za mostem.

Nikt nie wiedział, co Amerykanie zrobili z tym autem i jego kierowcą. Zamieszanie było ogromne, ludzie biegali wkoło, być może uciekali przed wybuchem, którego miejsca nikt nie znał. A może byli tylko ciekawi, co się dzieje. Nad tłumem ciężko zapanować. Nie rozumie prostych słów, ale wierzy w kłamstwa i bajki. Tak myślał sobie Nadir Szamoni, obserwując, jak kolejne jednostki Sił Obrony Narodowej wkraczają do dzielnicy Batawin. Z tego, co usłyszał, parkując wzdłuż ulicy przed kościołem ormiańskim, ścigali jakichś poszukiwanych. Chciał wysiąść z samochodu, kiedy jeden z policjantów kazał mu odjechać. Już chciał zadzwonić do ojca Jozjasza i powiedzieć mu, że dzisiejsze sprawy trzeba odłożyć na inny dzień, a potem wrócić do Garaż al-Amana, gdzie znajdowały się kościół i jego dom, ale jakiś nagły przebłysk mądrości podpowiedział mu, że blokada Batawin może potrwać jeszcze wiele dni. Jeśli dziś się wycofa, jutro może być gorzej. Musi wypełnić swoją misję za wszelką cenę, zwłaszcza że już niedługo nie będzie musiał oglądać tych wszystkich nieprzyjemnych widoków. Zdecydował się opuścić Bagdad razem ze swoją rodziną. Już dawno powiedział o tym zamiarze ojcu Jozjaszowi, ale sprawa się odwlekała. Czuł skręt kiszek, gdy docierała do niego powaga tej decyzji. Zostawi dom, sąsiadów, całe tutejsze życie i pojedzie do Ankawy w mieście Irbil zgodnie z życzeniem jego córek i bliskich, którzy mieszkali tam od kilku lat. Decyzja o wyjeździe trwała w zawieszeniu i nic w tej sprawie nie postanowił, aż do poranka dwa dni temu. Zauważył któregoś dnia, że dziurka od klucza do drzwi jego domu została zalepiona czymś gęstym, jakby klejem do szkła czy metalu. Zdumiało go to odkrycie, ale jeszcze wtedy nie zrozumiał jego przesłania. Próbował naprawić drzwi i usunąć lepką substancję, ale nie udało mu się to, więc zmuszony był wymienić cały zamek. Nie minął tydzień, aż odkrył, że nowy zamek jest dokładnie tak samo zaklejony. Przekonał rodzinę, żeby się tym nie przejmowali. Ktoś grał z nimi w jakąś grę. Może jakieś dziecko albo nastolatek. Postanowił nie naprawiać już zamka. Wystarczyło nocą zamknąć drzwi od środka na zasuwę.

Dwa dni przed wizytą w dzielnicy Batawin odkrył, że drzwi kuchni wychodzące na ogród również są zapchane tą samą żywiczną, bardzo lepką substancją. Rozzłościł się, ale i zaniepokoił. Zwołał pilnie zebranie rodzinne, żeby dowiedzieć się wreszcie, kto sobie z nimi tak nieładnie pogrywa. Na początku jego podejrzenie padło na córki

i żonę. Ale jaki mogłyby mieć w tym cel? Szybko porzucił tę myśl, a jej miejsce zajęło poczucie strachu. Gdy spali, ktoś wspiął się po murze i wszedł do domu, by zapchać dziurkę od klucza czymś lepkiem. Sprawa wyglądała poważnie.

Wiedział, że podobne zdarzenia będą się powtarzać. Ktoś wziął się na ich dom i będzie dążył do tego, żeby ich z niego wypędzić. Wiele podobnych sytuacji zdarzyło się w okolicy w ciągu ostatnich trzech lat i nikt z tutejszych nie potrafił się przed nimi obronić. Nie istniała instytucja, do której można by się było zwrócić w tym chaosie, w jakim pogrążona była stolica. Bagdad z dnia na dzień stawał się coraz mniej bezpiecznym miejscem. Córki diakona narażone były na zaczepki na ulicach. Jakiś czas wcześniej pewnej rodzinie z parafii przydarzyła się przykra sytuacja: ojciec został porwany i wypuszczony z rąk porywaczy dopiero po opłaceniu dużego okupu.

Nadir Szamoni nie miał pieniędzy. Martwił się o swoje córki i rodzinę, czuł, że już długo nie wytrzyma tego napięcia. Zadzwoił do swoich braci i bliskich mieszkających w Ankawie, na przedmieściach Irbilu i powiedział im:

– To tymczasowe, przyjedziemy tylko na chwilę, do czasu aż sytuacja w Bagdadzie się uspokoi.

Powiedział to, żeby przed samym sobą usprawiedliwić tę decyzję. Nie brał pod uwagę możliwości, że nigdy tu nie powrócą. Nie sądził też, że ta opcja w miarę upływu dni i pogarszania się sytuacji zacznie się stawać realna.

Dotarł do domu Umm Daniel, swoją wołęgę zostawił na początku ulicy. Nie zamierzał mówić Eliszebie o wątpliwościach, jakie nim targały w związku z decyzją i wyjazdem zaplanowanym na nadchodzące dni. Podczas misji zleconej mu przez ojca Jozjasza diakon Nadir Szamoni obchodził się ze staruszką z większą niż zwykle czułością. Mówił sobie, że już więcej jej nie zobaczy. Chciał uczynić tę ostatnią wizytę u niej bardziej serdeczną. Znał tę kobietę od wielu dekad, znał jej męża i dzieci. Nie sądził, że tak smutno się to wszystko skończy. Nie umknęło mu zmęczenie malujące się na jej twarzy. Dostrzegł nowe zmarszczki wokół oczu zasłoniętych grubymi szklami. A może zauważył je teraz, bo od dawna nie siedział z nią tak blisko. Od około miesiąca nie pojawiała się w kościele.

Jej córki Hilda i Matylda wciąż dzwoniły, a ojciec Jozjasz ciągle zapewniał je, że

staruszka jest zdrowa i ma się dobrze. Ale one chciały usłyszeć jej głos. Wiedziały, że matka jest na nie zła, i chciały się z nią pogodzić. Diakon przekazał jej dokładnie te słowa wraz z prośbą ojca Jozjasza, żeby w najbliższą niedzielę pojawiła się w kościele i wzięła udział w mszy. Patrzyła na niego, marszcząc czoło, ale nic nie odpowiedziała.

– Matylda przyjedzie do ciebie. Powiedziała, że przyjedzie, żeby cię stąd zabrać.

– Nie zrobi tego, jest tchórzliwa.

– Zrobi. Płakała, rozmawiając z ojcem Jozjaszem.

– Nigdzie nie pojadę, nie zostawię swojego domu.

– Co ci z tego domu, Umm Daniel? Co ci z niego, gdy mieszkasz w nim samotnie, jak w jakiejś pustelni?

– Tu są moi znajomi, sąsiedzi. Moje życie jest w tym domu.

– Tak, ale powiedz, czy nie tęsknisz za córkami?

– One mają się dobrze. Czemu chcą, żebym porzuciła swój dom?

– Naprawdę, życie tutaj przestało być łatwe. Jaki jest pożytek z domu, skoro żyje się tak ciężko? Wszędzie tylko strach, śmierć, niepewność. Przestępcy dookoła. Idziesz ulicą, a wszyscy ci się przyglądają. Nawet we śnie przychodzą koszmary, człowiek boi się cały czas. Cały kraj zaczął przypominać tę Żydowską Ruinę obok.

– „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą”^[17].

– Tak...

Nadir Szamoni nie umiał znaleźć właściwej odpowiedzi na ten biblijny cytat, który nie wiadomo skąd tak nagle wzięła. Nie chciał się z nią sprzeczać o to, co jest sensowniejsze – pozostanie czy wyjazd. Za daleko się posunął, miał tylko przekazać staruszce słowa ojca Jozjasza, a wdał się w rozmowę, kierowany własnymi obawami i niepewnością.

– Przyjdź w najbliższą niedzielę. Zrób to dla mnie, Umm Daniel. Jeśli chcesz, żebym po ciebie przyjechał, przyjadę samochodem i zabiorę cię. Może być?

– Tak.

Do niedzieli pozostały jeszcze trzy dni. W tym czasie Nadir Szamoni był bardzo pochłonięty załatwianiem legitymacji szkolnych dla córek, co nie było łatwe, bo trwały letnie wakacje. Swój dom powierzył Faradžowi, żeby go sprzedał lub wynajął.

Zdążył już pozbyć się wielu mebli, a część zostawił w magazynie na drugim piętrze. Był tak zajęty dopracowywaniem wyjazdu, że nie poszedł nawet na niedzielną mszę. Razem z rodziną wyjechali w poniedziałek rano. Klucze, którymi nie dało się już otworzyć żadnych drzwi, zostawił u przyjaciela. Poprosił go, żeby w ciągu najbliższych dni wysłał rzeczy znajdujące się w magazynie samochodem transportowym do Irbilu.

Diakonowi wydawało się, że są to tylko tymczasowe środki zaradcze. Że niebawem skończy się chaos, unormuje sytuacja w państwie, a wtedy wróci. Może potrwa to rok, może trochę dłużej. Nie bał się śmierci. Nie mógł znieść myśli, że któraś z jego córek mogłaby zostać porwana albo że ktoś by ją skrzywdził.

Wyjechał, zapomniawszy o sprawie Eliszeby, a może po prostu ją zignorował. Sądził, że już więcej nie zobaczy staruszki. Jej wygląd podczas ostatniej wizyty utwierdził go w przekonaniu, że Umm Daniel kroczy powoli w stronę śmierci. Prawdopodobnie nie przeżyje kolejnego roku. I podobnie sądziła Eliszeba, że już więcej nie zobaczy diakona z tureckim wąsem. Obydwoje się mylili.

[17] Mt 10, 28. Cytat za Biblią Tysiąclecia.

Śledztwa i kontrole

1

Generał Surur śledził w swoim biurze na ekranie telewizora wypowiedź Farida Szawwafa na temat przestępcy X. Tak zaczęli go nazywać dziennikarze. Całą sprawę zmienili w widowisko. Denerwowało go to, ale nie potrafił porzucić swojego zwyczaju codziennego śledzenia programów politycznych, niezależnie jak bardzo było to dla niego przykre. Wiedział, że doniesienia o X pojawiają się praktycznie codziennie. Wyznaczono nagrodę dla człowieka, który udzieli informacji mogących doprowadzić do jego ujęcia. Generał jeszcze bardziej się złościł, widząc, że jego misja nie przyniosła do tej pory żadnych rezultatów. Gdyby teraz ujął tego złoczyńcę, byłoby to idealnym medialnym zwieńczeniem wszystkich wysiłków jego ostatnich lat. Aresztowałby sławnego przestępcę, gwiazdę telewizji. W ten sposób sam znalazłby się w samym centrum uwagi mediów.

– Oferują pieniądze, o których wiadomo, że nigdy nie zostaną wypłacone – powiedział jednemu ze swoich pomocników. Natychmiast poczuł, że wypowiedział właśnie zdanie podobne do tych, które płynęły z ust tego eleganckiego dziennikarza, noszącego garnitury, jakie generał sam pragnąłby kupować. Wiedział jednak, że nigdy by ich nie założył, przynajmniej dopóki siedzi tu, w swoim biurze w Wydziale Inwigilacji i Ścigania, ukryty przed światem.

Przyjrzał się swojej twarzy w małym lusterku, które wyjął z szuflady biurka. Obejrzał czarne kręgi pod oczami, opadające ze zmęczenia policzki. Potarł twarz

dłonią. Robił to obsesyjnie, zawsze gdy zostawał sam w biurze. Jego praca w ciągu ostatnich trzech lat toczyła się bez większych niespodzianek. Razem ze swoimi osobliwymi pomocnikami szkicował mapy przewidywanych wybuchów na ulicach Bagdadu. Zbierali plotki i analizowali je. Potajemnie świadczyli też politykom usługi doradcze w zakresie przedwyborczych sojuszy, udziału w spółkach handlowych, kupna ziemi należącej do skarbu państwa albo nieczynnych fabryk rządowych – pod szyldem prywatyzacji i otwierania możliwości inwestycyjnych. Denerwowało go, że niektórzy wpływowi politycy ignorowali jego wojskową rangę, dzwoniąc w środku nocy z prośbą o interpretację takiego czy innego snu. Tracił mnóstwo czasu na tego rodzaju nedorzeczności. Odpowiadał na te prośby, w milczeniu przełykając upokorzenie. Rzucał kubkiem herbaty, który przynosił mu umięśniony chłopak, rozbijając go o ścianę i plamiąc elegancki dywan wyścielający podłogę pośrodku biura. Oczywiście potem tego żałował. W czasach poprzedzających pojawienie się bezimiennego przestępcy odwiedzali go czasem prominentni politycy. Z racji nawалу pracy na ogół nie potrafił określić rangi odwiedzającego go działacza, chyba że na podstawie liczby ochroniarzy, którzy mu towarzyszyli, i ceny garnituru, który miał na sobie. Jeśli zaś chodzi o ich nazwiska, to plątały mu się kompletnie, nie licząc dziesięciu wysokich dygnitarzy, które utrwaliły w jego głowie ich liczne występy w telewizji.

Natura pytań polityków z początku wprawiała go w osłupienie, ale z czasem do nich przywykł. Pytali dużo i oczekiwali od niego odpowiedzi, jakby to on osobiście potrafił odczytywać przyszłość. Generał wiedział również, że często prawdziwy powód wizyty tego czy innego polityka ukryty był między słowami. „Kiedy i jak umrę?” – rzucone niby od niechcienia pojawiało się zazwyczaj na końcu listy innych irytujących pytań bez znaczenia. „Mam poprosić o opancerzony samochód czy go nie potrzebuję?” – zapytał go pewnego dnia przez telefon jeden z polityków. Wyjaśnił, że jego blok parlamentarny otrzymał zaledwie trzy takie wozy i nie wiedział, czy ma walczyć o przydzielenie mu jednego z nich.

Ktoś inny pewnie wykorzystałby te koneksje do własnych celów – żeby dostać awans, wspiąć się w hierarchii, uciec z tego więzienia, jakim był Wydział Inwigilacji i Ścigania. Ale generał Surur nie chciał się poniżyć. Poza tym pragnął pokazać swoją

wartość poprzez ciężką pracę, łapanie przestępców, a nie wróżbiarstwo i czytanie z fusów.

Ale wszystko zmieniło się wraz z pojawieniem się bezimiennego przestępcy, który od wiosny siał popłoch serią niewyjaśnionych, niezrozumiałych mordów. Ludność była przerażona, jego legenda jako człowieka niezwycięzonego urosła do takich rozmiarów, że trudno było jej zaprzeczyć czy wykazać jej absurdalność.

Generał przestał odbierać jakiegokolwiek telefony w sprawie wróżb i interpretacji snów. Nakazał swojemu sekretarzowi niełączenie tego rodzaju rozmów. Potem wyznał jednemu z amerykańskich oficerów, jak bardzo irytują go te pytania polityków.

Farid Szawwaf zniknął z ekranu telewizora i zaczął się serwis informacyjny. Wtedy któryś z oficerów siedzących akurat w biurze generała zaskoczył go pytaniem. Surur zastanawiał się, czemu sam nie pomyślał o tym wcześniej:

– Skoro kule go nie zabijają i jednocześnie wie, że go tropimy, co, jeżeli to on nas wytropi, dowie się, gdzie jest nasza siedziba, a potem przyjdzie tu, żeby zrobić z nami porządek?

2

To samo pytanie chodziło po głowie również Wielkiemu Astrologowi, gdy przekładał karty do gry w pokoju, który dzielił z Młodszy Astrologiem. Rozkładał je, a potem zbierał na nowo. Tasował jak wprawny pokerzysta. Następnie wybierał jedną kartę, kładł przed sobą i zastygał w bezruchu na kilka sekund, tak że nie poruszała się żadna rzęsa wokół jego oka. Wpatrywał się intensywnie w to, co miał przed sobą, jakby widział w tej karcie głęboką przepaść albo drzwi otwarte na niezmierną przestrzeń widoczną tylko dla niego.

Wiedział, że pewnego dnia czeka go konfrontacja z tym przestępcą. Pozna jego rysy, które na razie wydawały mu się zamglone i nieuchwytnie. Jedyne, czego chciał, to zobaczyć jego twarz. Wiedział, że ona wszystko mu powie.

Pogładził swoją długą, szpiczaste zakończoną brodę. Zamknął oczy, ale jak

zwykle nie udało mu się nic dostrzec w mroku spowijającym twarz, której obraz przywoływał. Biegnie teraz po dachach budynków w jakiejś ubogiej dzielnicy Bagdadu. Nie ma najmniejszego sensu informować o tym generała Surura, przestępca nie pozostanie tam długo. Nigdzie nie zostaje długo, nie śpi, cały czas porusza się z energią, jakiej nie posiada żaden człowiek.

Młodszy Astrolog obserwował z uwagą wystudiowane ruchy swojego mistrza. Zawsze tak robił. Obserwował go, gdy ten tasował karty i wybierał jedną, by przyjrzeć się położeniu przestępcy X – „Tego, który nie miał imienia”, jak nazywał go Wielki Astrolog. Mistrz nie musiał mu mówić, że pościg za tą dziwną istotą nie ma sensu. Młodszy Astrolog sam to wiedział.

Wielki Astrolog był poirytowany spokojem swojego ucznia. Wydawało się, że tamten całkowicie poddał się losowi i nie ma zamiaru podejmować jakichkolwiek działań.

– Jest bardzo możliwe, że wkroczy tutaj i nas wszystkich pozabija – powiedział Wielki Astrolog, przyglądając się swojemu leniwemu towarzyszowi.

– Jeśli tak ma się ostatecznie stać, to nie ma potrzeby nic robić. Co możemy zrobić, żeby go odstraszyć? Jesteśmy bogami?

– Jeśli potrafisz zobaczyć przyszłe wydarzenia, to jest to dar od Boga. W ten sposób On mówi ci, że jesteś zdolny naprawiać los. Jestem Bogiem i pokażę ci, co się teraz stanie, bo chcę, żebyś wiedział, że masz na to wpływ. Jeśli nic nie zrobisz, to spełni się to, co ci pokazałem. Jeśli zaczniesz działać, otrzymasz pozwolenie od Boga, by zmienić ten los.

– Tak, zawsze to powtarzasz.

Młodszy Astrolog zasugerował, że chciałby już zakończyć tę rozmowę. Nie chciał dłużej słuchać wykładów mistrza, który jak się zdawało, nie potrafił już nauczyć go niczego nowego. Wstał ze swojego fotela i przeciągnął się. Wziął swój woreczek piasku ze stołu i włożył go do kieszeni. Poszedł się położyć. Ostatnio ta sytuacja powtarzała się często. Mistrz i uczeń oddalali się od siebie, choć mistrz wciąż starał się dbać o tę relację. Uczeń jednak coraz częściej nie odpowiadał na jego pytania albo dawał mu irytująco niejasne odpowiedzi, czym zdradzał brak zainteresowania. Może

czuł się już na tyle wprawny w swoim fachu, że nie potrzebował nauczyciela? A może chciał mu dać do zrozumienia, że teraz i on jest mistrzem, a nie tylko jego pomocnikiem, jak dawniej?

3

Na drewnianym stole, przy którym siedział Wielki Astrolog, pozostało trochę drobnych, czerwonych ziarenek piasku. Starzec przetarł stolik ręką, a delikatne ziarenka zostały mu na palcach. Rzucił ostatecznie spojrzenie w stronę swojego ucznia, który udawał, że śpi, odwróciwszy głowę w stronę ściany, by nie narażać się na spojrzenia mistrza. Wyczuł atmosferę wrogości w pokoju. Ma go wziąć, wyciągnąć z łóżka, uderzyć nim o podłogę, żeby zaczął go szanować jak należy? Czy może na niego nawrzeszczyć? Co ma robić?

Wytarł palce o zwiewną szatę. Stwierdził, że jednak wyjdzie z pokoju, przejdzie się po korytarzach, zapali. Choć jest zimno, pójdzie do ogrodu, gdzie rosną wysokie drzewa. Musiał pooddychać świeżym powietrzem.

Gdy tylko mistrz wyszedł i trzasnęły za nim drzwi, Młodszy Astrolog odwrócił się i wstał z łóżka. Tej nocy miał misję do spełnienia.

Usiadł przy stoliku, oddalając w głowie obawę, że jego mistrz zmieni zdanie i wróci nagle do pokoju. Wyjął woreczek czerwonego piasku z kieszeni i rozsypał na stoliku przed sobą. Bawił się nim, formując na blacie szeroki okrąg. Potem zaczął go zgarniać rękami, aż utworzył kopczyk, w którym następnie zrobił dziurę. Podniósł garść piasku i zaczął nim rysować w środku cienką nić. Taka głupia dziecięca zabawa – jak kiedyś określił to pod nosem generał Surur, widząc Młodszego Astrologa bawiącego się swoim woreczkiem piasku. Ale mylił się w tej ocenie.

Ten piasek pochodził ze specjalnego miejsca na ziemi, z piaszczystej pustyni Ar-Rub al-Chali na Półwyspie Arabskim. Miał ogromną magiczną moc, z czego sprawę zdawali sobie tylko ci, którzy potrafili z tej mocy korzystać. Dla wszystkich innych był to tylko delikatny czerwony piasek z arabskiej pustyni, nic więcej. Zapas

Młodsze Astrologa zmniejszał się nieco z każdym nowym dniem, ziarenka rozsypywały się tu i tam. W jego łóżku było zawsze pełno czerwonych drobinek. Gdy ktoś wchodził do wspólnej toalety, od razu mógł rozpoznać, z której ubikacji korzystał Młodszy Astrolog po śladach piasku wokół. Był jak jedno z tych zwierząt, które śliną lub moczem zaznaczają swoje terytorium. Tego ranka Wielki Astrolog po przebudzeniu znalazł czerwone ziarenka w swoim łóżku. Nie był to przypadek. Pomyślał nawet, żeby wyrzucić Młodsze Astrologa z pokoju, żeby już nie mieć do czynienia z tymi jego tajemniczymi, samotnymi gierkami.

Wielki Astrolog poczuł chłód przeszywający go aż do kości. Rzucił niedopałek papierosa i ruszył do pokoju, żeby położyć się spać. W tym czasie Młodszy Astrolog kończył już swoją misję tej nocy. Próbował nawiązać kontakt z duchem bezimiennego przestępcy. W czasie gdy jego mistrza dręczyło pragnienie zobaczenia twarzy poszukiwanego, uczeń bardziej był zainteresowany jego duszą. W ciągu ostatnich tygodni zdołał nawiązać kontakt z rodziną Hasiba Muhammada Dżafara, ochroniarza hotelu Sadir Novotel, którego dusza po śmierci zajęła ciało skompletowane przez Hadiego, sprzedawcę staroci, leżące na podwórku jego domu.

Tej nocy udało mu się nawiązać kontakt z duszą tego przerażającego potwora. Poczuł pomiędzy nim a sobą rodzaj drgań przypominający wibracje telefonu komórkowego. Udało mu się w ten sposób coś mu przekazać, coś zasiać w jego umyśle, spowodować, że na chwilę się zatrzymał. Gdyby Wielki Astrolog był wtedy obecny w pokoju, mógłby w swoich kartach zobaczyć, jak „Ten, który nie ma imienia” nagle ustał w biegu. Stanął oto, opierając się o ścianę wysokiego budynku przy ciemnej ulicy, obok warsztatu samochodowego i spojrzał na opustoszałą szkołę średnią w którejś z dzielnic na południu stolicy.

Młodszy Astrolog czuł, że jest teraz potężniejszy od swojego mistrza. Ma nadprzyrodzone moce, którymi z nikim nie musi się dzielić.

Wielki Astrolog wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Spojrzał na łóżko ucznia i zobaczył, że ten wciąż śpi z twarzą zwróconą ku ścianie, tak jak go zostawił. Przeszedł obok drewnianego stolika i zauważył na nim ślady piasku. Był pewien, że stał go godzinę temu.

Jak-mu-tam nagle zatrzymał się pośrodku jakiejś bocznej uliczki. Odwrócił się, by spojrzeć w stronę, z której przyszedł. Główną ulicą przejeżdżało zaledwie kilka samochodów. Rozejrzał się wokół, jakby się przebudził z długiego zamyślenia. Nie mógł sobie przypomnieć, jak tu trafił. Nie wiedział też, dokąd zmierza ani gdzie spędzi noc.

Pojedyncze osoby, które napotykał w czasie swoich wędrówek, uciekały przed nim. Czasem rozpoznawał w nich dawnych uczniów i zwolenników – ci od razu rzucali mu się na pomoc. Lista w jego głowie wciąż była długa. Lista osób do zabicia. Ilekroć znikają z niej jakieś imiona, od razu pojawiały się nowe. Być może ich liczba podwajała się poza jego świadomością, co czyniło jego misję wieczną. Być może kiedyś obudzi się i odkryje, że w tym kraju nie pozostał już nikt do zabicia. Zbrodniarze i ofiary mieszały się mu bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Przestało go obchodzić, czyimi ciałami naprawia własne. Dopiero teraz zrozumiał ironię swojej sytuacji.

„Nie istnieją ludzie całkowicie niewinni ani całkowicie nikczemni” – to zdanie wyryło się w jego pamięci, choć już nie pamiętał, kto je tam zasiał. Przeszyło jego głowę jak pocisk, który nadszedł znikąd. Czuł, że właśnie to zdanie pomoże mu zakończyć tę trudną, najeżoną przeszkodami misję. Zatrzymał się pośrodku ulicy. Tym razem spojrzął w niebo. Czekał, aż nastanie koniec i jego ciało rozpadnie się na części. Pojedyncze szczątki ludzkie zebrane razem. To esencja jego misji i zarazem jej koniec. Każdy ze zbrodniarzy był jednocześnie w jakiś sposób ofiarą. Może nawet procentowo ofiary było w nim więcej niż zbrodniarza. Być może pod wpływem tych rozważań czasem zdarzało mu się usprawiedliwiać swoje decyzje twierdzeniem, że składa się z najbardziej niewinnych części zbrodniarzy.

„Nie istnieją ludzie całkowicie niewinni ani całkowicie nikczemni”.

Ta myśl znów przeszła jego głowę, znów się zatrzymał i wtem oświeciły go reflektory nadjeżdżającego samochodu. Krótka chwila wystarczyła kierowcy, żeby się zorientować, z kim ma do czynienia, więc czym prędzej zawrócił tam, skąd przybył.

Wielki Astrolog wszedł do biura generała otoczony grupą współpracowników, wśród których nie było jego ucznia. Generał jadł właśnie śniadanie na kanapie naprzeciwko swojego imponującego biurka. Astrolog natychmiast wręczył mu różową kopertę, zgodnie z przyjętymi procedurami. Generałowi nie przeszkadzały te niespodziewane najścia Wielkiego Astrologa. Znał specyfikę pracy swoich podwładnych – wiedział, że czasem liczą się minuty, a nawet sekundy. Każde opóźnienie spowodowane tym, że generał akurat spożywał posiłek, spał albo rozmawiał przez telefon z żoną, mogło ich przybliżyć do tragedii.

– W dniu dzisiejszym przed Ministerstwem Finansów dojdzie do wybuchu. Samochód nadjedzie autostradą, zatrzyma się nagle i eksploduje – powiedział Wielki Astrolog, zanim jeszcze generał zdążył otworzyć kopertę zawierającą dokładnie tę informację. Generał włożył do ust kawałek chleba namoczony w kremie śmietanowym, podszedł do telefonu, wykręcił jakiś numer i poczekał chwilę na zgłoszenie po drugiej stronie, a następnie poprosił rozmówcę o połączenie z wyższym rangą oficerem. Natychmiast przekazał informację o zawartości przepowiedni. Potem usiadł ponownie i kontynuował śniadanie. Dwa lata wcześniej, gdy Wielki Astrolog przychodził do niego z taką wiadomością, generałowi natychmiast podnosiło się ciśnienie, zaczynał działać w trybie pilnym – wydzwaniał do wszelkich dowódców, żeby upewnić się, że zrobią użytek z przekazanych im informacji. Potem przeżywał załamanie, gdy słyszał w telewizji, że jednak doszło do wybuchu, przed którym przestrzegał.

– Głupcy... Gdy słyszą o samochodzie pułapce, wolą zejść mu z drogi niż spróbować go rozbroić.

Dawniej miewał napady gniewu, w trakcie których powtarzał to zdanie. Teraz już się uspokoił. Zauważył ponadto, że zdarzają się różne inne wypadki i zamachy, których jego grupa zadaniowa nie potrafi wykryć.

– Tylko łagodźmy skutki aktualnej sytuacji, ale nie eliminujemy ich zupełnie. Jeśli chcą, żeby bezpieczeństwo państwa stało się faktem, niech dopuszczą nas do

władzy – powtarzał z nadmierną pewnością siebie i wiarą w umiejętności drużyny astrologów będących na jego rozkazach. Ale były to tylko rojenia.

Na znak Wielkiego Astrologa wszyscy wyszli, on sam zaś usiał naprzeciwko generała, gdy tamten pił spokojnie herbatę. Na twarzy starca malowało się zaniepokojenie, gdy próbował skupić uwagę generała na sprawie, którą zamierzał z nim omówić.

– Generale, czy przypominasz sobie, kiedy zaczęliśmy widywać widmo bezimiennego przestępcy?

– Znaczący... na początku tego roku... mniej więcej wiosną, początek kwietnia...

– Czy zastanawiałeś się, skąd się wziął ten potworny zbrodniarz?

– Czemu pytasz? Nie wiem... Gdyby nie plotki, które słyszę, i moje zaufanie do twoich słów, nawet nie uwierzyłbym w istnienie takiej istoty. W jakiej epoce żyjemy! Upiory... Demony... To przecież wytwory ludzkiego strachu, w które chcesz wierzyć.

Powiedział to poirytowanym tonem, czekając, aż Wielki Astrolog wreszcie wydusi z siebie, o co mu chodzi.

– Nie, mój panie. On istnieje. Masz prawo nie wierzyć, ale gdy go wreszcie z boską pomocą złapiemy, uwierzysz w moje słowa.

– Przyszedłeś tylko po to, żeby o tym podyskutować, czy masz mi coś do powiedzenia?

– Tak, mam. Myślę, że mieliśmy swój udział w kreowaniu tego potwora w ten czy inny sposób. Nim się pojawił, sprawy szły gładko. Ale teraz... Sądzę, że niektórzy z naszych mieli udział w jego tworzeniu...

Tymi słowami udało mu się ściągnąć na siebie całą uwagę generała, który zastygł z filiżanką w ręku.

– Co chcesz powiedzieć?

– Ktoś stworzył tę istotę, by powstrzymać zbrodnię, nim się wydarzy. Jaki jest pożytek z przepowiedni dotyczących zbrodni, kiedy można pozbyć się zbrodniarza, zanim nawet się nim stanie?

– Co chcesz powiedzieć?

Generał powtórzył swoje pytanie, a jego filiżanka wciąż trwała zawieszona w pół

drogi między ustami a spodkiem. Poczł rozdrażnienie. Nie był z tych, którzy wierzą we wszystko, co słyszą. Żeby zacząć ufać przepowiedniom swoich astrologów, musiał zdobyć się na niemały wysiłek. Teraz wracało jego dawne przekonanie, do którego doszedł we wczesnej młodości, co do idiotyczności tych wszystkich legend, w które inni ludzie wierzyli, a z których on się naśmiewał.

Nie uwierzy w słowa swojego astrologa, skoro ten nie ma żadnych dowodów na ich poparcie. O ile bez problemu przychodziło mu sprzedawać rządowi i Amerykanom bajki wyczytane w kartach do gry, piasku, lustrach, różańcach zrobionych z grochu, o tyle on sam niełatwo już kupował tego rodzaju bzdury.

Zagubiona dusza

1

Mahmud zobaczył, że trzyma jej dłoń w swojej dłoni, ich palce splątały się ze sobą. Ich dłonie były dokładnie tego samego rozmiaru, ale jej skóra była jaśniejsza niż jego. Poczuł, że uciskają sobie nawzajem palce z dokładnie taką samą siłą. Dłonie idealnie do siebie dopasowane. Stapiały się ze sobą, tworząc coś nowego, coś więcej niż parę złączonych rąk. To było jak przepływ energii dusz. Nie było w tym nic cielesnego. Samo ciało to nie wszystko. Szli powoli, krótkimi, leniwymi krokami. Przechodzili obok hotelu Sheraton niedaleko ulicy Abu Nuwasa. Było późne popołudnie. Nie czuli potrzeby rozmowy. Złączone dłonie zastępowały wszelkie słowa, jak przewód elektryczny przenosiły między ich duszami zaszyfrowane wiadomości bez konieczności poruszania ustami. Może spojrział na nią, czekając, aż odwzajemni spojrzenie. A może szedł spokojnie i powoli, patrząc przed siebie. Wszystko, co widział, było piękne, jakkolwiek stare i wypłowiałe; wszystko to było tylko plamą koloru w otaczającej ich niemierzonej świetlistej przestrzeni.

Nie słyszał żadnych głosów w tle. Ani klaksonów, ani syren policyjnych, ani amerykańskich hummerów. Świat wokół nich był lekki, mniej szary i mniej przygnębiający. A przyszłość nie wydawała się taka niepewna. Była w niej pewność czegoś dobrego. Choć jeszcze nie było jasne, co to takiego, ta pewność czyniła rzeczy lżejszymi i przyjemniejszymi. Zmieniała je w złoto niczym dotyk Midasa.

– Widziałaś kiedyś złote gówno? Sądzisz, że byłoby piękne jak złoto? A może to

po prostu kolejny rodzaj gówna?

Nie wiedział, dlaczego zadał jej to pytanie, ale gdy na nią spojrział, zobaczył, że stała się drzewem z popękana kora, jednym z wielu drzew eukaliptusowych przy ulicy Abu Nuwasa. Poczł też gorycz w gardle, zapach opon samochodów mknących po ulicy. Zobaczył, że to, co trzymał w dłoni, było tylko chusteczką moką od jego potu. Z niezrozumiałego powodu ściszał ją z całej siły.

Obudził się zlny potem. Poczł ogromny smutek. Spał długo, a teraz nie miał ochoty wstać z łóżka i iść do redakcji. Nie miał ochoty na nic. Chciał, żeby sen wrócił. Pragnął przywołać na nowo błogostan, w którym tkwił przed chwilą. Tuż potem nie był w stanie powiedzieć, czy naprawdę znów zasnął czy tylko śnił na jawie. Było już południe, gdy wreszcie stanął pod zimnym prysznicem. Zadzwoił do agencji Raghaib, która pośredniczyła w jego schadzkach z kobietami, i czekał, nie wychodząc z pokoju. Palił i gapił się przez okno hotelowe, śledząc ruch samochodów w dole, na ulicy Sa'adun. Przesiedział tak do zachodu słońca, kiedy pojawiła się Zejna. Było gorąco i wilgotno. Mimo że słońce zaszło, ziemia wciąż emitowała ciepło, które skumulowała w ciągu dnia. Dlatego pierwszą rzeczą, jaką Zejna zrobiła po pojawieniu się w pokoju Mahmuda w hotelu Dilszad, było pójście pod prysznic. Stanęła pod nim nago i spędziła tak kwadrans. Nawilżyła jej włosy spięte różową gumką. Spłynął krzykliwy makijaż, który wydał się Mahmudowi bardzo zmysłową i ponętą maską, gdy otwierał jej drzwi. Nie przejmowała się jego spojrzeniem, kiedy wyszła spod prysznic naga i pozbawiona wszelkich ozdób. Ze skórą chłodną i wilgotną. Była odprężona. Powtórzyła mu, jak poprzednim razem, że ma na imię Zejna, ale on nie zwracał na to uwagi. Wolał nazywać ją Nawwal Wazir. Zaśmiała się, mówiąc, że to imię jest chyba jeszcze starsze niż „dzień dobry”. I znów się zaśmiała, kładąc się na łóżku, rozkładając szeroko nogi i pozwalając mu patrzeć na swoje gładko ogolone łono. Pomyślał sobie, że porównanie, którego właśnie użyła, również jest staromodne, ale dobrze brzmiało w jej ustach. Gadając tak błogo i beztrosko, była jeszcze piękniejsza. Nie pragnął niczego więcej, jak tylko objąć ją i gładzić swoimi dłońmi całe jej czyste, nagie ciało. Powiedział sobie: Oto chwila, na którą czekałeś, chłopcze. Właśnie awansowałeś na kolejny poziom w grze komputerowej. Przeszedłeś poprzedni etap i oto wkraczasz w nowy. Po dzisiejszej nocy nic nie będzie już takie,

jak było.

Zejna, która stała się teraz Nawwal, poprosiła, by zgasił światło. Zdjął ubranie i położył się obok niej na łóżku. Chciała, by wyłączył również telewizor, którego blask rysował ruchome, świetlne kształty na przedmiotach w pokoju. Ale on wolał, żeby jak poprzednim razem, zatańczyła dla niego w rytm piosenek z Zatoki. Powiedziała, że jest zmęczona. Ale może zatańczyć na jego członku.

– Więc zatańcz, Nawwal.

Odpowiedziała mu, przyciągając go do siebie:

– Wciąż Nawwal?

Złapał ją za pulchne ramiona i przyciągnął bliżej. Zapomniał, że chciał, żeby tańczyła. Był podniecony, serce waliło mu jak oszalałe. Objął ją ramieniem, wzdychając raz po raz z ekscytacją. Wolną ręką wzięła pilot, który leżał porzucony na poduszce, i wyłączyła telewizor, a wtedy w pokoju zapanował mrok, dopiero po chwili okazało się, że nie jest zupełny. Słabe światło dochodziło z okna balkonowego. Gdy po raz pierwszy Mahmud ocknął się nieco z delirium cielesnych doznań, spojrzał na nią i zobaczył tylko świetlny zarys kobiecych kształtów; mogła to być każda kobieta na świecie. A mimo to nie przestała być tą jedyną – Nawwal Wazir, którą kochał, nie pragnąc niczego innego, jak tylko wziąć ją w ramiona. Teraz było mu to dane. W jego ramionach była Nawwal, mimo że powtarzała, że ma na imię Zejna.

Omiatał pocałunkami jej skąpane w mroku ciało, a ona się śmiała. Nie podobało mu się to. Od wczesnych godzin poranka dręczyło go napięcie wywołane myślami o Nawwal, pragnął je złagodzić. Zanurzył się w nią głębiej. Poddawał się coraz silniejszym falom rozkoszy. Jego towarzyszka zaczęła pojękiwać w nienaturalny sposób. Udawała przyjemność. Zgodnie z ich zwykłym planem czas już był na takie odgłosy. Poczul, że dziewczyna chce jak najszybciej zakończyć sprawę. Nie była z nim. Chciała tylko, żeby szybko zaczął szczytować i szybko skończył.

– Cicho! – krzyknął. Zacisnął jej dłoń na ustach i przywarł do niej od tyłu. Dusił ją. Nie podobało jej się to. Kiedy skończył, zeszła z łóżka, pomrukując z niezadowolenia. Usiadła nago przy zamkniętym oknie balkonowym i odpaliła papierosa. Zobaczył jej profil w delikatnym świetle. Była wściekła, a mimo to wciąż

piękna. Krzyknął do niej, więc odpowiedziała mu gniewnie:

– Znów ta Nawwal? Mówiłam ci, mam na imię Zejna... A ty ciągle z tą Nawwal...

Bardzo przypominała Nawwal, szczególnie w tym słabym świetle, które tworzyło przyjemną atmosferę w pokoju. Jak dotąd to z nią Mahmud najbardziej zbliżył się do Nawwal.

2

Wyjął papierosa i zapalił, gdy ona wciąż siedziała przy oknie balkonowym. Zaczął rozpamiętywać, co przytrafiło mu się poprzedniego dnia.

Rano ciekawość zaprowadziła go do kawiarni Aziza Egipcjanina. Chciał na chwilę przywrócić przyjemności swojego dawnego życia, przełamać rutynę codziennej pracy w gazecie. Wszedł do opustoszałej kawiarni i serdecznie przywitał Aziza. Spodziewał się zobaczyć tu Hadiego, sprzedawcę staroci, w jego stałym miejscu, ale go nie było. Aziz odpowiadał na pytania zdawkowo, postawił przed nim herbatę z twarzą niewyrażającą niczego.

– Jest teraz w domu?

– Nie idź tam, zostawcie go w spokoju, na Boga!

Aziz mówił poważnym tonem. Mahmud jeszcze go takiego nie widział. Zawsze dotąd był radosny. Kiedy kawiarnia trochę bardziej opustoszała, podszedł do niego. Wydawało się, że zmienił zdanie i jednak chciał rozmawiać. Zapytał Mahmuda o jego bezimiennego przyjaciela, o to, co się z nim stało. I czy naprawdę jest tym przestępcą, o którym opowiadają ludzie. Odpowiedział więc, że to wszystko bajki. Aziz zaczął opowiadać mu rzeczy, o których wcześniej nie wiedział, związane z Nahimem Abdakim, serdecznym przyjacielem Hadiego, jego współpracownikiem i towarzyszem, którego stracił na początku roku w potwornym wypadku. Hadi przeżył wiele tragedii, ale po pewnym czasie wszystkie je potrafił zmienić w zabawne historie.

– Ten cały Jak-mu-tam, o którym opowiada, to po prostu Nahim Abdaki, świeć

Panie nad jego duszą.

– Jak to? – zapytał Mahmud.

Aziz opowiedział mu, że Nahim zginął w wybuchu w dzielnicy Karrada na początku roku. Jako że mężczyzna nie miał wielu krewnych, jedynie żonę i dwie córeczki, to Hadiemu przyszło iść do kostnicy, żeby odebrać zwłoki. Wstrząsnął nim widok pomieszanych ciał różnych ludzi zabitych w wybuchu. Pracownik kostnicy powiedział mu, żeby poskładał sobie człowieka i zabrał ze sobą. Proszę, weź tę nogę, tamtą rękę i tak dalej. Wywołało to u Hadiego ogromny szok.

Zabrał ze sobą to, co wydawało mu się zwłokami Nahima, potem razem z wdową i kilkoma sąsiadami poszedł na cmentarz Muhammada Sakrana, tam je pogrzebali i wrócili. Ale w Hadim coś się zmieniło; zaczął zachowywać się jak szaleniec. Przestał rozmawiać z ludźmi, opowiadać swoje historie. Trwało to dwa tygodnie, po nich powrócił dawny Hadi – gawędziarz i komik. Wtedy też zaczęły się opowieści o Bezimiennym serwowane gościom kawiarni. Aziz i niektórzy słuchacze dobrze wiedzieli, skąd wzięła się ta historia. Wymazał Nahima i podstawił swojego bohatera w jego miejsce.

– A co z nagraniami? Dałem mu dyktafon, a on mi go zwrócił z nagraniami wyznań Bezimiennego.

– Hadi to krętacz. Może namówił kogoś, żeby zrobił z nim to nagranie. Ma wielu przyjaciół, o których nie mamy pojęcia.

– Nie, to nagranie jest mocne. Osoba, która mówi, jest inteligentna, a historia wielka i głęboka.

– Naprawdę nie wiem... Ale Hadi to szatan, możesz się po nim wszystkiego spodziewać.

Mahmud uwierzył w słowa Aziza, choć w jego wypowiedzi dużo było niejasności i pytań bez odpowiedzi. Wracając z kawiarni, zatrzymał się przy wjeździe na ulicę Siódmą i spojrzął z daleka na ścianę budynku nazywanego Żydowską Ruiną, w którym mieszkał Hadi. Przyszło mu do głowy, żeby sprzeciwić się woli Aziza, zapukać do drzwi Hadiego i zapytać go wprost o wszystkie ekscytujące szczegóły. Bał się jednak, że Hadi okaże się, jak twierdził właściciel kawiarni, sprytniejszy od niego,

przekona go, że Aziz zmyśla, i wciągnie na nowo w wir swoich niewiarygodnych historii. Mahmud nie miał dziś na to siły. I tak żył w ciągłym wirze, z którego nie umiał się wydostać.

3

Od wyjazdu Alego Bahira Saidiego minęło kilka dni, gdy do siedziby gazety „Haqīqā” przyszli mężczyźni z wystającymi brzuchami i grubymi popielatymi wąsami, żeby o niego zapytać. Mahmud przyjął ich zaniepokojony. Nie umiał określić, jakiego rodzaju relacje łączyły tych ludzi z redaktorem naczelnym ani jakie były ich intencje. Chcieli wziąć bejrucki numer telefonu Saidiego, ale Mahmud powiedział, że go nie zna. Urządzili mu małe przesłuchanie. Pytali o dom Saidiego, o jego bliskich, o współpracowników i tym podobne sprawy. Mahmud zaprzeczył, że wie cokolwiek na ich temat. Wizyta była raczej sztywne, mężczyźni nawet nie ruszyli herbaty, którą postawił przed nimi służący Abu Dżuni. Kiedy nie udało im się uzyskać żadnych oczekiwanych informacji, odeszli z kwaśnymi minami.

Po południu Mahmud kilkakrotnie próbował skontaktować się z Saidim. Niepokój zjadał go od środka. Dzwonił długo, ale nikt nie odbierał. Przy jednej z kolejnych prób redaktor w końcu podniósł słuchawkę. Był jak zwykle spokojny i w dobrym nastroju. Mahmud powiedział mu o niezapowiedzianej i niepokojącej wizycie, a Saidi pochwalił go za sposób, w jaki sobie poradził z przybyszami. Zalecił mu zdecydowaną postawę w stosunku do nich i im podobnych, choć nie sprecyzował, jakich konkretnie ludzi ma na myśli. Nie wyjaśnił, dlaczego tamci o niego pytali ani dlaczego ta sprawa wydawała się taka podejrzana. Poleciał mu zadzwonić do jego osobistej sekretarki i poprosić, żeby przychodziła do gazety i trzymała na dystans tego rodzaju gości.

– Ona wie, jak z nimi rozmawiać, a ty będziesz się mógł skupić na pracy.

Powiedziawszy to, Saidi rozłączył się prędko, pozostawiając go w niepewności. Mahmud nie znalazł w sobie śmiałości, żeby jeszcze raz zadzwonić i dopytać o nurtujące go kwestie.

Saidiemu słowa przychodziły łatwo, rzeczywistość była jednak nieco bardziej skomplikowana. Następnego dnia Mahmud zadzwonił do sekretarki, lecz ona powiedziała mu, że rezygnuje z pracy. Jej narzeczony uznał, że przemieszczanie się po ulicach Bagdadu jest niebezpieczne. Poza tym nie godził się, by pracowała w miejscu pełnym mężczyzn. Mahmud sam nie wiedział, co jej odpowiedzieć – wolał nie dyskutować.

Znalazł się w sytuacji podbramkowej, a nie był do tego przyzwyczajony. Budził się o ósmej rano, mył, golił, zakładał czyste, eleganckie ubranie, zgodnie z naukami swojego mistrza Saidiego. Wyjmował mały notesik z uwagami i przyglądał się swoim priorytetom na ten dzień. Dzwonił do Sultana, osobistego kierowcy, a zarazem krewnego Saidiego, i kazał mu po siebie przyjechać, żeby móc pozałatwiać sprawy związane z gazetą. I odtąd zaczynała się jedna wielka, niekończąca się rozmowa telefoniczna. Dzwonił z telefonu szefa wiecznie podłączonego do ładowarki, czy to w gabinecie, czy w samochodzie. Z drugiego telefonu, który Saidi zostawił w biurze, odbierał połączenia od najróżniejszych osób. Zwykle potem zabierał się do pisania albo redagowania artykułów lub też rozmawiał z pracownikami gazety, którzy w przeciwieństwie do Farida Szawwafa patrzyli na niego jak na szefa – kopię samego Saidiego. Być może również w nim widzieli człowieka szczęśliwego i wiecznie w dobrym humorze, takiego jak Saidi. Ale tak naprawdę Mahmud żył w wiecznym stresie i strachu przed kolejnymi niespodziankami. Jeszcze bardziej bał się rozczarować naczelnego. Czekał niecierpliwie na jego powrót, żeby móc znów stanąć w jego cieniu, powrócić do swojej roli człowieka numer dwa, wykonującego tylko polecenia.

Był zajęty, gdy Nawwal Wazir zadzwoniła po raz kolejny. Poznał, że to ona, po numerze 666 wyświetlającym się na ekranie telefonu. Odebrał, ale nikt mu nie odpowiedział. Usłyszał westchnienie po drugiej stronie, a może tylko mu się wydawało. Zaraz potem się rozłączyła.

Dwa dni po tym telefonie stary służący Abu Dżuni wszedł do biura Mahmuda i zaskoczył go wiadomością, że Nawwal Wazir oczekuje na przyjęcie. Przyjechała małym białym suzuki, przypominającym zabawkę. Zaparkowała tuż przy siedzibie gazety i weszła do środka. Zdjęła wielkie okulary przeciwsłoneczne i usiadła na

czerwonej skórzanej kanapie, jak to czyniła przy swoich poprzednich wizytach. Uśmiechnęła się do niego, a jemu od razu mocniej zabiło serce. Cała emanowała radością i energią. Wydała mu się po stokroć piękniejsza niż przed dwoma miesiącami. W końcu przemówiła:

– Twój zabawny kolega zostawił cię tutaj samego z rękami po łokcie w robocie, a sam pojechał się bawić za granicę, co?

– Pojechał do Bejrutu na konferencję o środkach przekazu i prawach człowieka.

– Tak, mnie też to powiedział. Teraz zobaczysz, jak z tobą pogrywa. On nie wróci... – Zgasiła papierosa w popielniczce i przez chwilę nic nie mówiła. Potem zaczęła na nowo: – Pojechał się zabawić, nie ma żadnej konferencji.

– Naprawdę? Nie miałem o tym pojęcia.

– Jesteś dobrym chłopakiem, Mahmudzie. Od razu, jak cię tylko zobaczyłam po raz pierwszy, pomyślałam, że jesteście z Saidim jak ogień i woda. Twój kolega to prawdziwy krętacz.

– Mój kolega czy twój? – odważył się wreszcie powiedzieć i zobaczył, że Nawwal się uśmiecha, a potem nawet cicho śmieje.

– Tak, mój kolega. Ale nie wyobrażaj sobie za wiele. Tylko pomaga mi w pracy nad filmem, który chcę nakręcić. Właściwie to on mi podrzucił pomysł na zarys fabuły.

Spojrzała na zegarek i zaczęła grzebać w swojej dziwnej owalnej torbie. Wyciągnęła z niej mały kluczyk. Przeprosiła grzecznie, wstała i udała się w stronę imponującego biurka Saidiego. Pochyliła się lekko nad dolną szufladę, która zawsze była zamknięta. Mahmud nie miał do niej klucza, więc nigdy nie sprawdził, co jest w środku. Otworzyła ją. Wyjęła jakieś dokumenty, małe pudełko, jakby etui na zegarek albo srebrne pióro, następnie papierową torebkę, jakiej używali w punktach fotograficznych przy Bramie Wschodniej. Zebrała to wszystko do plastikowej reklamówki z logiem papierosów Gitanes. Podniosła ją i zważyła w dłoni. Spojrzała na Mahmuda i zauważyła, że obserwuje jej podejrzone poczynania.

– Nie martw się, on wie o tym. Sam dał mi kluczyk. To moje rzeczy, scenariusz filmu i kilka innych drobiazków.

– Czemu je zabierasz? Co się stało?

– To koniec. Radzę ci, miej oczy dookoła głowy. Przypominasz mi mojego brata, który wyemigrował do Szwecji dziesięć lat temu. I mojego świętej pamięci męża.

– Co masz na myśli? Dlaczego mam mieć oczy dookoła głowy? Co mam robić?

Spojrzała w stronę zamkniętych drzwi, a potem znów na niego. Westchnęła przeciągle i powiedziała:

– Nie możemy tu rozmawiać.

Zrozumiał to jako propozycję, żeby wyjść gdzieś do kawiarni i pomówić w spokoju. Sam nie wiedział, dlaczego ni z tego, ni z owego wypalił, że jest zajęty, że ma ciężki dzień w redakcji. Obiecał, że zadzwoni i ustalą termin spotkania i rozmowy.

Tak naprawdę wszystko to wydawało mu się podejrzane i potrzebował czasu, żeby przetrwać i zrozumieć, co miała na myśli. Odprowadził ją do drzwi – zaskoczyła go czysta biel jej nowego samochodu. To była szanująca się, majątna kobieta, nie jakaś żebraczka czy prostytutka. Być może źle zrobił, odmawiając jej. Może powinien zostawić wszystkie sprawy do jutra i iść z nią, dokądkolwiek sobie zażyczy? Czyż nie marzył, żeby ją zobaczyć? Czy nie przywoływał jej twarzy i jej ciała w swoich niekończących się erotycznych fantazjach? Nawet sypiał z inną kobietą tylko dlatego, że była do niej podobna.

Zanim odjechała, zablokował jej drogę jak idiota. Mogła go rozjechać. Zatrzymała się gwałtownie. Podniósł rękę, dając jej znak, żeby poczekała kilka minut. Wbiegł do redakcji, zabrał swoją torbę pełną materiałów do pracy, powiedział coś Abu Dżuniemu i wyszedł pośpiesznie. Otworzył drzwi samochodu i usiadł obok niej. Gdy ruszyli, zaczął doznawać lekkiego wzwołu od drgań auta jadącego po nierównym asfalcie bocznej uliczki i od przenikliwego zapachu jej perfum, a w końcu od dźwięków piosenki Assali Nasri pobrzmiwającej w samochodowym odtwarzaczu.

Starał się nie patrzeć w stronę Nawwal. Pomimo pobudzenia sprawiał wrażenie spokojnego. Wystarczyło mu, że siedzi w tej chwili tak blisko niej. Jakby jego sen, z którego co rano budził się ze smutkiem, teraz zaczął się spełniać.

Nim wjechali w główną ulicę, minęli po drodze Sultana w jego samochodzie z napędem na cztery koła, który właśnie skręcał w boczną uliczkę. Nawwal

zatrzymała się, żeby zrobić mu miejsce. Przejechał obok, widocznie starając się dostrzec ich twarze za przednią szybą suzuki. Zauważył Mahmuda. Sprawiał wrażenie niezadowolonego, nie przywitał się nawet, zamiast tego dwukrotnie zatrąbił klaksonem tak, jak pozdrawiają się w trasie kierowcy ciężarówek albo autobusów.

4

Powiedziała, że Saidi to zły człowiek. To najpodlejszy z wszystkich ludzi, jakich w życiu spotkała. Poznała go przez wspólnych znajomych. Wcześniej czytała jego wydaną w Libanie książkę: *Warunki demokracji w państwach rentierskich*. Bardzo jej się spodobała. Przekonał ją, że może pomóc sfinansować jej pierwszy film dzięki swoim koneksjom w organizacjach związanych z ambasadą amerykańską w Bagdadzie. Organizacje te były gotowe wspierać inicjatywy kinematograficzne kobiet w świecie islamu. Razem opracowali ideę filmu, a Saidi zabrał się do pisania scenariusza. Jak zwykle w jego słowach dało się wyczuć filozoficzno-wizjonerski ton. Powiedział, że tematem będzie zło, które każdy z nas nosi w sobie, i to, jak głęboko ono w nas mieszka, choć udajemy, że z nim walczymy. Wszyscy jesteśmy w mniejszym lub większym stopniu nikczemnikami, zaś nasz wewnętrzny mrok jest najciemniejszym spośród wszystkich znanych człowiekowi rodzajów mroku. Wspólnie stworzymy tę czarną istotę, która teraz nas wszystkich zabija.

Nawwał powiedziała, że Saidi wykorzystał jej otwartość i wyzwoloną duszę, żeby zbliżyć się do niej, i to wiele razy. Chciał od niej tego, czego wszyscy mężczyźni chcą od kobiet. Odtrącała go wciąż, czując coraz wyraźniej, że wpakowała się w kłopoty, szczególnie po tym, jak założyła spółkę mającą na celu sfinansowanie filmu. W pewnym momencie uznała, że zabrnęła w ślepią uliczkę, wstrzymała więc projekt i ukrywała się przed Saidim – aż do teraz, kiedy wróciła, żeby zabrać swoje rzeczy z szuflady w jego biurku. Wtedy przyjrzała się dobrze Mahmudowi i poczuła, że być może jest nadzieja na realizację filmu z pomocą tak kompetentnego i ambitnego młodego człowieka jak on, o ile tylko się zgodzi.

– Czytam rzeczy, które publikujesz w gazecie. Mam prenumeratę, kolejne numery regularnie przychodzą do mojego biura. Wspaniale piszesz, będziesz wielkim dziennikarzem, Mahmudzie.

Oczy Mahmuda zabłysły, gdy to powiedziała. Poczł się dumny, jakby słuchał przepowiedni doświadczonej wróżki. Ale chciał odegrać rolę większą niż ta, w której widziała go Nawwal. Nauczył się od Saidiego kilku trików i nie przeszkadzało mu wcale, że przyjaciele oskarżali go o to, że stał się jego kopia. Ale żeby w pełni się z nim zrównać, pozostało mu otworzyć jeszcze jedne drzwi. Pozostało mu być z Nawwal Wazir w taki sposób, w jaki był z nią Saidi. Być może do niczego nie doszło, jak zapewniała. Wtedy okaże się nawet lepszy od niego, zostawi go w tyle.

– Zgadzam się. Dokończę scenariusz. Ale zrobię to tylko dla ciebie.

Na te słowa uśmiechnęła się, jakby powiedział jej komplement. Piła sok przez plastikową rurkę. Patrzyła przed siebie, w stronę okna kawiarni, skąd dochodziło światło dnia. Znajdowali się na szóstym piętrze eleganckiego hotelu przy ulicy Arasat. Mahmud nie wiedział, skąd wziął odwagę, by złapać jej rękę leżącą spokojnie na stoliku. Być może wydawało mu się, że dalej jest w środku wczorajszego snu. A może chciał się upewnić co do uczuć, których w nim doświadczył. Może dalej śni, może nigdy się nie obudził. Niezależnie od przyczyny czuł się wolny od strachu i udało mu się oddalić w myślach obawę, że zaraz otrzyma od swojej towarzyszk siarczysty policzek.

Przecucie go nie myliło, Nawwal nie zareagowała w żaden sposób. Wciąż patrzyła na światło dochodzące z okna, spokojnie piła sok z mango. Potem spojrzała na niego i powiedziała:

– Coś z tobą nie tak, Mahmudzie. Skupmy się na scenariuszu, proszę.

Nie cofnął ręki, przeciwnie – nieco mocniej ją ścisnął, co zmusiło ją do powolnego wycofania dłoni ze stołu.

– Mahmudzie, co z tobą? Godzinę temu opowiedziałam ci o Saidim i jego zagrywkach. Chyba nic nie zrozumiałeś?

– Nie, zrozumiałem. Przepraszam, ja tylko... myślę o tobie.

– Jak to myślisz o mnie? Masz tyle dziewcząt w redakcji, dziewcząt w twoim

wieku. Myśl o nich!

Jakiś głos w jego głowie mówił mu, że czegoś tu nie rozumie. Wszystko to można było powiedzieć w gazecie. Czy coś by się stało, gdyby jakiś pracownik usłyszał, że Nawwal bluzga na Saidiego? Mahmud wiele razy słyszał, jak jego koledzy z pracy wyśmiewali przesadną elegancję szefa. Sam pomyślał, żeby napisał scenariusz do filmu, wydał mu się trochę naciągany. Nawwal nie wyglądała na kobietę zdolną wyprodukować pełnometrażowy film. Ani jednym słowem nie wspomniała dotąd o kinie, zupełnie nie wyglądała jak reżyserka, raczej jak jakaś bizneswoman albo znudzona żona biznesmana. Jej zadbany wygląd wskazywał, że więcej czasu spędza przed lustrem niż na oglądaniu filmów i reżyserowaniu.

Saidiego długo nie było, z pewnością szukała kogoś do łóżka. Zastawiła sieci i złowiła Mahmuda, chciała zakosztować tego ciemnoskórego młodzieńca. Tak myślał Mahmud, odchylając się ponownie na oparciu krzesła i zachowując stosowny dystans pomiędzy sobą a Nawwal. Marzył w skrytości, żeby ten dystans stopniał, żeby wreszcie zespolił się choćby na chwilę z tą ponętą kobietą.

5

Mahmud siedział w barze w dzielnicy Zawija, sam nie wiedział, jak długo. Na zewnątrz zrobiło się ciemno. Pił, aż doszedł do stanu, w którym nie odróżniał już dnia od nocy. Rozpamiętywał szczegóły swojego spotkania z Nawwal Wazir i tego, jak żałośnie się skończyło. Rozmawiali całkiem poważnie o filmie i scenariuszu, a on przez cały czas zachowywał spokój. Zjedli razem obiad, śmiali się z różnych sytuacji, żartowali. Czuł, że mogłaby być jego przyjaciółką, bez względu na to, co sądziła o różnicy wieku pomiędzy nimi. Czuł, że ona pragnie go tak samo, jak on jej. Że jest nadzieja, że coś się między nimi wydarzy, o ile Saidi nie wróci do Bagdadu. Właściwie to Mahmud bardzo na to liczył. Wszystko szło gładko, umówili się na kolejne spotkanie, podczas którego miał jej przekazać wstępne streszczenie scenariusza. Potem wyszli z kawiarni i udali się do windy. Gdy tylko zostali sami,

a drzwi za nimi się zamknęły, Mahmud rzucił się na nią, obejmując ją ramieniem i całując jej czerwone usta. Nie zareagowała agresywnie. Pozwoliła się całować. On dalej przywierał do niej ustami i przyciskał do siebie jej miękkie ciało. Wreszcie dane mu było jej dotknąć. Czuł, że traci zmysły, czas i przestrzeń przestały istnieć. Jednak ona była od niego ostrożniejsza i najwyraźniej nie zachwyił jej ten niewprawy pocałunek. Poczekala, aż winda dotrze na parter, i na sygnał dzwonka odepchnęła go mocno od siebie. Wyszła, gdy tylko drzwi się otworzyły. Mahmud starał się ją dogonić. Stanąwszy przy samochodzie, spojrzała na niego z pewnym niezadowoleniem i powiedziała:

– Bardzo nieładnie. Gdybyś mi się podobał, dałabym ci więcej. Postaraj się mnie trochę szanować.

Chciał ją przeprosić, ale zatrzasnęła mu drzwi przed nosem i szybko odjechała.

Wielokrotnie powtarzał sobie w swojej pijanej głowie jej słowa, próbując znaleźć w nich drugie dno. Czemu to, co powiedziała, wydawało mu się takie niejasne? Mogła być przecież bardziej surowa. A jednak wydawała się częściowo zadowolona z tego, co się wydarzyło, jakby tego właśnie się spodziewała. A może ten jego zuchwały czyn był dla niej czymś normalnym, może doświadczyła go wcześniej już dziesiątki razy? Rozpaliła w nim ogień i porzuciła go.

Wychodząc z baru, zorientował się, że z trudem stawia kroki. Zanim dotarł na ulicę, wiedział, że zrobiło się bardzo późno. Za kilkadziesiąt minut zacznie się godzina policyjna. Poczuł, jak strach przenika przez wszystkie warstwy jego upojenia i dociera do samego środka. Kto o tej porze zabierze go z Batawin?

Doszedł do ulicy i faktycznie, taksówek było mało. Uciekł się więc do ostatecznego środka, wyjął telefon i zadzwonił po Sultana.

Minęło pełne obaw pół godziny. Samochód Sultana przemknął obok niego i zatrzymał się kilka kroków dalej. Usadowiwszy się obok kierowcy, Mahmud odkrył, że Sultana też był pijany. Poczuł zakłopotanie, bo była to rzecz niecodzienna u kierowcy szefa. Zaczął więc go wylewnie przeproszać, a następnie paplać, co mu ślina na język przyniesie, nie kontrolując swoich emocji. Był wobec przygnębionego Sultana otwarty w słowach bardziej, niż to sobie wyobrażał. Przeciął im drogę

amerykański hummer, trąbiąc głośno; zatrzymali się, by go przepuścić, po czym ruszyli szybko i po chwili zniknęli w bocznej uliczce.

Mahmuda ogarnęła senność, podczas gdy Sultan przerzucał stacje w samochodowym odbiorniku, nie zatrzymując się dłużej na żadnej, a w końcu zupełnie wyłączył radio. Nagle zaczął mówić i to tonem, jakiego Mahmud wcześniej nie znał. Mówił jak starszy brat, a nie pracujący dla niego kierowca.

– Proszę wybaczyć, ale widziałem dziś pana z tą Nawwal.

I zanim Mahmud zdążył odpowiedzieć, kontynuował:

– Proszę wybaczyć, jeśli się wtrącam, ale nadarza mi się okazja, żeby porozmawiać, jutro mogę już nie mieć szansy.

– Dlaczego?

– Wyjeżdżam.

– Wyjeżdżasz?

– Tak, ale chciałem coś panu powiedzieć. Ta Nawwal to nie jest porządna kobieta. Mam nadzieję, że nie wierzy pan w żadne jej słowo. To była przyjaciółka pana Alego. Bawili się razem. Znaczy... przykleiła się do niego. Potem chciała, żeby się z nią ożenił, ale pan Ali nie ma czasu na takie rzeczy... Znaczy... wie pan...

– Tak.

– W każdym razie to przez nią cała ta wielka sprawa. Sama biegła za panem Alim, a potem zaczęła mu grozić. To zepsuta kobieta i ma znajomości w Zielonej Strefie, wśród polityków, ma krewnych w parlamencie. Oni narobili szefowi problemów. Sądził pan, że pan Ali pojechał do Bejrutu na konferencję? Nie, on uciekł przed tą dziwką.

– A kiedy zamierza wrócić? To znaczy... jest możliwe, że w ogóle nie wróci?

– Nie, wróci. Wykorzystał swoje znajomości, żeby zablokowali sprawę, ale oni doradzili mu, żeby na razie nie wracał do Bagdadu.

– A ty dlaczego jutro wyjeżdżasz?

– Muszę zabrać siostry szefa i jego matkę do Ammanu. Jego matka jest bardzo chora, wymaga leczenia. Pan Ali jest teraz w Ammanie, czeka, aż przyjadą.

– Czyli nie w Bejrucie...

Mahmud wysiadł przed drzwiami hotelu Dilszad, podziękował Sultanowi gorąco za wielką przysługę, jaką mu wyświadczył, i pożegnał go przyjacielsko. Zanim wszedł do budynku, wyjął telefon, podążając za jakimś niepokojącym impulsem. Jego rolex pokazywał północ, nie było wcale późno, chyba że z punktu widzenia takiego miasta jak to, kontrolowanego przez ducha śmierci. Mahmud wybrał bejrucki numer Saidiego i poczekał kilka sekund, aż odpowiedział mu kobiecy głos automatu, informując, że numer, z którym próbuje się połączyć, jest poza zasięgiem.

Widział usta Nawwal Wazir, gdziekolwiek spojrzał. Nawet gdy zamknął oczy i chciał zasnąć, wspomnienie ich – jak mu się wtedy wydawało – gorącego pocałunku przejmowało kontrolę nad zmysłami. A kiedy zasnął, zaatakowało go pod postacią długiego i dziwnego snu.

Wyszedł na obiad do restauracji sąsiadującej z hotelem. Potem o drugiej po południu zadzwonił do Raghaid i poprosił o przysłanie Zejny. Miał nadzieję nie usłyszeć, że jest zajęta albo wyjechała, jak poprzednim razem.

Gdy przyszła tuż przed zachodem słońca, wydała mu się piękniejsza od Nawwal i młodsza od niej. Była miła, przyniosła mu do pokoju kolację. Jedli razem i pili, potem zaczęli pogawędkę. Kochali się kilka razy, a potem ona zasnęła w jego ramionach i tak została do rana. Sądził, że Zejna może pomóc mu zapanować nad jego obsesją na punkcie Nawwal Wazir i zapomnieć o tym idiotycznym, zuchwałym pocałunku w windzie. Ale to była ostatnia wizyta Zejny. Po tym, jak nazajutrz opuściła hotel, wszystko się zmieniło. Runął świat, który Mahmud budował sobie z tak wielkim trudem przez ostatnie miesiące.

Żegnając się z nim, Zejna powiedziała, że wybacz mu ostatni raz, podczas którego próbował ją udusić. Potem złożyła na ustach Mahmuda ostatni pożegnalny pocałunek, a jemu wydał się on najśłodszym pocałunkiem, jakiego w życiu doświadczył.

To było ostatnie spotkanie Mahmuda z Zejną i jego ostatnie spotkanie, poprzez nią, z Nawwal.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Daniel

1

Rano tego dnia, gdy Zejna opuściła pokój Mahmuda Sawadiego w hotelu Dilszad, Sultan, osobisty kierowca Alego Bahira Saidiego, jechał jego terenową toyotą drogą z Bagdadu do Ammanu, wioząc matkę szefa i jego dwie niezamężne siostry. Jednak samochód nigdy do Ammanu nie dotarł. Inni kierowcy mówili, że przy tej drodze uzbrojone gangi porywały pojazdy wraz z ich pasażerami, których zależnie od ich przynależności religijnej zarzynali w pobliskich ogrodach. Saidi czekał cały dzień, kilkakrotnie dzwonił pod numer Sultana. Słyszał sygnał, ale nikt nie odbierał.

Dzień wcześniej jeszcze jedna osoba opuściła stolicę, ale udała się w kierunku południowym. Był to Abu Anmar, właściciel hotelu Uruba. Wyjeżdżał i nie zamierzał wracać. Miał ze sobą dwie walizki, które włożył do bagażnika samochodu marki GMC, kupionego za pieniądze otrzymane z transakcji zawartej z Faradżem, agentem nieruchomości. Odpalił silnik, poprawił na głowie chustę i przytrzymując ją opaskę. Przyjrzał się swojej twarzy w lusterku wstecznym i poczuł, że ma się świetnie. Pozostałe pieniądze przelał dzieciom swojej siostry mieszkającym w Qalat Sukkar na południu Iraku. Tam się właśnie udawał. Uwolnił się od Bagdadu – miasta mordów i czyhającej na każdym kroku śmierci. Jedną z ostatnich rzeczy, które tu widział, były ciężkie rany, jakie odniósł nastoletni syn Weroniki, jego ormiańskiej sprzątaczkę, w wybuchu przy Bramie Wschodniej. Przyszedł do niego do szpitala i włożył jego matce w dłoń dużą sumę pieniędzy. Sąsiedzi nie przepuścili tej wspaniałej okazji do

plotek, mówiąc, że odwiedził chłopaka w przekonaniu, że to jego syn. W każdym razie teraz oto opuszczał miasto, którego już nie znał. Po dwudziestu trzech latach, które tu spędził, był obcym. Teraz oto kierował się do skromnego, ubogiego miasta, w którym się urodził i którego od lat nie widział.

Dziesięć minut po odjeździe Abu Anmara Faradz zdjął tablicę z napisem „Hotel Uruba”, rzucił ją na ziemię i przydeptał. Potem krzyknął na jednego z chłopaków, żeby zabrał tablicę do zakładu, usunął słowo „Uruba” i zamienił je na „Ar-Rasul al-Azam”. Wierzył, że uda mu się to, co nie udało się Abu Anmarowi.

Dla niego trwał szczyt sezonu. W tym miesiącu zawarł dwie duże transakcje, z których jedną było właśnie kupno hotelu Abu Anmara. Czuł, że szykują się kolejne dobre interesy. W dzisiejszych trudnych czasach szanse mają tylko odważni i lubiący ryzyko. A jemu odwagi i zamiłowania do ryzyka nie brakowało. Wielu uciekało, zostawiwszy domy albo lokale handlowe, ze strachu przed porwaniami, morderstwami i z najróżniejszych innych powodów. Gangi królowały na ulicach wszystkich dzielnic, a Faradz umiał to wykorzystać. To nie jego wina, że ludzie uciekali do innych części kraju, porzucając swoje domy. Nie było nic zdrożnego w tym, że proponował takim przerażonym biedakom odkupienie tych budynków. Tak, płacił za te domy znacznie mniej, niż byłyby warte w normalnych warunkach, ale na tym polega handel. Co w tym złego? W mgnieniu oka Faradz stał się jednym z potentatów, a liczba jego pomocników ciągle rosła. Niektórzy oskarżali go o prowadzenie własnego gangu, ale tak naprawdę poza paroma uderzeniami i kopniakami – bo tych nie szczędził, jeśli ktoś stawał mu na drodze – nie wdawał się w żadną przestępczą działalność w ścisłym znaczeniu tego słowa. Nikogo nie zabił ani nie okradł, przynajmniej oficjalnie. Słyszał o przestępcach mieszkających w dzielnicy, niektórych znał osobiście i nigdy nie występował przeciwko nim, chyba że wiedział, że może się ich pozbyć na zawsze. Donosił na nich swoim kolegom – oficerom policji; w ten sposób również im oddawał przysługę. Wiedział, że ludzie nienawidzą Amerykanów, którzy kręcili się po ulicach, wchodzili do zakładów fryzjerskich, kupowali gorące pieczywo w okolicznych piekarniach. Nie miał z tym problemu, choć unikał wchodzenia im w drogę, żeby nie ściągnąć na siebie żadnych podejrzeń.

Czterech chłopaków pracujących dla Faradza otworzyło drzwi hotelu na oścież.

Od razu zabrali się do pracy, którą już jakiś czas temu im zlecił. Kontynuowali rozpoczęte przez Abu Anmara opróżnianie hotelu z całej jego zawartości. Wynieśli wielki drewniany stół z ozdobnymi żłobieniami po bokach, przy którym Abu Anmar siadywał przez długie lata. Przeklinali przy tym byłego właściciela z powodu ciężaru stołu. W końcu udało im się postawić go na chodniku przed hotelem. Faradz pocierał w dłoniach sznur modlitewny, przyglądając się poczynaniom swoich pracowników. Westchnął przeciągle, zadowolony z siebie. Jednak nie cieszył się długo tą chwilą przyjemności. Dzień po wyjeździe Abu Anmara o szóstej trzydzieści rano stanął przed hotelem, trzymając w dłoni talerz z chińskiej porcelany. Chciał iść do piekarni po chleb i po krem śmietanowy na śniadanie dla swojej rodziny, jednak zatrzymał się, by obejrzeć jeszcze raz wrogi mu przez tyle lat hotel, który teraz przeszedł nareszcie w jego posiadanie. Od teraz z okna swojego biura będzie widział tylko własną tablicę nad drzwiami tego budynku. Wpatrywał się przez moment w jasny kwadrat, który pozostał na ścianie po zdjęciu tablicy z napisem „Hotel Uruba”. Potem nagle chiński talerz wypadł mu z ręki, a dźwięk ogromnego wybuchu ogłuszył go kompletnie. Był to największy wybuch, do jakiego doszło dotąd w Batawin.

2

Faradz nie zginął w tej gigantycznej eksplozji. Nie było mu jeszcze pisane umrzeć. Miał przeżyć, przynajmniej do czasu, gdy dane mu będzie zrewidować swoje biznesowe założenia i skorygować rozumienie wielu rzeczy, które działy się wokół. Przyszedł czas, że i on uwierzył w nadprzyrodzone moce staruszki Eliszeby, na której życie niektórzy nawet przysięgali. Okazała się naprawdę błogosławiona, a nie szalona, jak wcześniej sądził. Wygrała z nim, tak samo jak ostatecznie wygrał z nim Abu Anmar i wielu innych ludzi, którzy poczuli wreszcie ukojenie na wieść o jego nieszczęściu.

Na tydzień przed wybuchem udało mu się również dobić innego ważnego targu. Ze staruszką Eliszebą. Wreszcie poddała się i zgodziła się sprzedać mu swój stary

dom. Oczywiście nie wydarzyło się to bez ważnego powodu. Otóż powrócił jej syn Daniel, ten, na którego czekała ćwierć wieku. Zeszło się to w czasie z nagłym zelżeniem upałów i nastaniem dnia dwudziestej dziewiątej rocznicy objęcia przez Świętego Dinkhę IV tronu patriarchalnego Kościoła Wschodu. Eliszeba poszła wziąć udział w obchodach tego święta w kościele Świętego Qardagha w Camp Gilani. Wróciła do domu spokojna, duchowo spełniona, dumna z siebie, że pokonała plac Tajaran, improwizowany targ warzywno-owocowy i hałaśliwy postój taksówek przy wejściu na ulicę Szejch Omar, a następnie wróciła tą samą drogą, nie czując żadnego zmęczenia ani nawet znajomego bólu w łydkach. Nie zamierzała odcinać się od ojca Jozjasza i jego kościoła, ale po prostu akurat w tej chwili nie miała ochoty się z nim spotykać i słuchać o swoich córkach, przynajmniej do następnego święta w kalendarzu chrześcijańskim. Myślała o tym, że trzeba obmyć dziedziniec wodą i wytrzeć, póki miała tyle energii. Wtedy usłyszała pukanie do drzwi.

Wrócił Daniel. Sprawa wprawiła w zdumienie niektórych, w szczególności mieszkańców ulicy Siódmej, na czele z Umm Salim i jej milczącym mężem, ich dziećmi, a także kilkoma ciekawskimi młodzieńcami. W ciągu ostatnich miesięcy śledzili poczynania Umm Daniel, usiłując dojrzeć choć raz jej syna, o którego powrocie cały czas opowiadała. Jednak bezskutecznie. Nie udało im się zobaczyć legendarnego Daniela, który zmarł w latach osiemdziesiątych, a teraz powstał z martwych. Nie znaleźli żadnego śladu do niego prowadzącego. Doszli do wniosku, że to któryś z lokalnych złodziejasków postanowił wykorzystać demencję staruszki, żeby położyć łapę na cennej zawartości jej domu. Ale kiedy już nieco ucichły plotki na temat niestworzonych opowieści Eliszeby, jej syn nagle naprawdę się pojawił. Czarne włosy z przedziałkiem pośrodku, zaczesane na boki, jak na tradycyjnych obrazach przedstawiających Chrystusa. Jasna karnacja, ciało chude, dwudziestoletnie, ubrane w dopasowaną w taliu białą koszulę z wysokim kołnierzykiem podniesionym do góry. Podarte džinsy, na nogach białe sportowe buty. Czerwona skórzana torba, podobna do tych, które nosili rekruci w latach osiemdziesiątych. Sprawiał wrażenie smutnego i romantycznego zarazem, jak porzucony kochanek. Szedł powoli i niepewnie, rozglądając się po okolicy, jakby był tu obcy albo wyemigrował dawno temu, a teraz wrócił i zaczął na nowo odkrywać wspomnienia na temat tego miejsca

sprzed wielu lat. Wolnym krokiem szedł z nim stary diakon Nadir Szamoni. Nie spieszył się, by dać młodzieńcowi szansę zapoznania się z okolicą.

Czy to możliwe, że staruszka mówiła prawdę? Czy jej syn faktycznie uratował się z wojny w latach osiemdziesiątych? Krąży wiele podobnych opowieści, w których nagle powraca zamordowany syn. Wiele się tego słyszało w ciągu kilku ostatnich lat. Martwi wychodzili z piwnic służb bezpieczeństwa, zaginieni pojawiali się zniemacka przed wiekowymi drzwiami domów swoich biednych rodziców. Ludzie powracający z dalekich podróży z nowymi imionami, nową tożsamością. Kobiety, które całe swoje dzieciństwo spędziły w celach więziennych, które nauczyły się postępowania z dozorcami lepiej niż jakiegokolwiek innej sztuki w swoim życiu. Byli ludzie, którzy za czasów dyktatury wielokrotnie uciekali śmierci tylko po to, by nagle teraz, w czasach demokracji, spotkał ich idiotycznie prozaiczny kres, na przykład w wypadku z udziałem motocykla na ulicy. Wierni stawali się niewiernymi, po tym jak współwyznawcy i towarzysze broni zdradzili ich i ich zasady. Ateiści zaczęli wierzyć, widząc korzyści płynące z religii. Nie sposób zliczyć dziwów, które odkryto w ostatnich latach. Dlatego powrót wychudzonego gitarzysty Daniela Tadrosa Mosze do domu starej matki nie był rzeczą aż tak trudną do zaakceptowania.

Umm Salim obserwowała ich ze zdziwieniem razem ze swoim mężem, wychylającym prawie łysą głowę z białymi kępkami nastroszonych włosów na skroniach z okna balkonu na górze. Podobnie robiły staruszki siedzące na ławeczkach przed domami razem z żonami swoich synów – drobnych przedsiębiorców czy handlarzy.

Daniel doszedł mniej więcej do połowy ulicy, kiedy obserwatorzy zwrócili uwagę na pulchnego starca z wielkimi białymi wąsami, który szedł kilka kroków za nim i niósł w jasnej dłoni jego walizkę. Był to nikt inny jak diakon Nadir Szamoni, który kilka miesięcy wcześniej wyjechał razem ze swoją rodziną do Ankawy w Irbilu. Jak zatem spotkał się z Danielem? Gdzie go znalazł?

Mężczyźni doszli do drewnianych drzwi starego domu Umm Daniel, a chudy chłopak zaczął pukać, raz po raz rozglądając się dookoła, jakby wyczuwał ciekawskie spojrzenia. Drzwi otworzyły się i wyszła z nich wynędzniała Umm Daniel, owijając

sobie wokół głowy czarną chustę i zakładając grube okulary. Słońce świeciło jasno, ona jednak wciąż wydawała się pogrążona w mroku swojego mieszkania. Podniosła głowę i zobaczyła cień dwudziestoletniego mężczyzny, którego rysów nie była w stanie rozpoznać. Ruszyła więc ciężkimi krokami w jego stronę, a nie była to rzecz, którą miała w zwyczaju robić – zwykle zerkała, żeby sprawdzić, kto puka, przez mały otwór w drzwiach. Tym razem stanęła na asfalcie naprzeciwko dziwnego młodzieńca i obejrzała go w pełnym świetle dnia. To był on, z całą pewnością. Nigdy nie pomyliłaby jego rysów z innymi. To był chłopak ze zdjęć wiszących w salonie, z nieśmiałym, chłodnym uśmiechem. Ta sama postura, te same ubrania, również ten sam uśmiech. Ten właśnie uśmiech zajaśniał mu na twarzy, gdy jego oczy spotkały się z oczami staruszki schowanymi za grubymi okularami. A więc Święty Jerzy jednak spełnił daną jej obietnicę, zwrócił jej syna po tak długiej rozłące. Oddał go jej dokładnie takiego, jakim go zapamiętała tego poranka, gdy wyszedł z domu niepewny, przepełniony smutkiem, stawiając ciężko kroki po asfalcie, aż zniknął za zakrętem prowadzącym na główną ulicę.

Umm Daniel rozejrzała się wokół i dostrzegła Umm Salim stojącą u drzwi swojego domu. Zobaczyła też inne kobiety i dzieci oraz grupę młodzieży po drugiej stronie, bliżej ulicy Targowej. Zobaczyła jeszcze kilku gapiów przyglądających się jej z wysokich okien balkonowych. Pragnęła upewnić się, że wszyscy patrzą, jak ziszcza się cud, na który czekała. Jakby chciała im powiedzieć, że wszyscy się mylili, gdy oskarżali ją o kłamstwo albo naśmiewali się z niej. Oto chłopak stoi przed wami. Daniel Tadros stoi przed wami wszystkimi, z krwi i kości, możecie go dotknąć, porozmawiać z nim. Oto jej ukochany syn wraca w jej objęcia.

Ogarnęła ją nagła słabość; objęła Daniela spokojnie ramieniem, przycisnęła do siebie z miłością i wielkim smutkiem, nie wypowiadając ani jednego słowa. Nasyciła oczy oglądających tą teatralną sceną. Pewnie niejedna z obserwujących ich kobiet uroniła łzę, widząc, jak staruszka próbuje przycisnąć do siebie syna siłą, której jej brakowało.

– To jest Daniel, Eliszebo – powiedział stary diakon, wyjaśniając jej sprawę, która dla niej była jasna jak słońce. Dalej trzymała chłopaka w ramionach, nie pozwalając mu się ruszyć przez dwie minuty lub więcej. Potem zorientowała się, że Umm Salim

i wiele innych kobiet z okolicy podeszło do niej. Schodziło się coraz więcej sąsiadów. Umm Salim dotknęła ręką Daniela, żeby upewnić się, że jest prawdziwą osobą, a nie wyobrażeniem. Daniel wyśliznął się z uścisku podekscytowanej staruszki, spojrzął jej w twarz i uśmiechnął się. Poczuł, że musi z nią porozmawiać, upewnić się, że kobieta ma świadomość tego, co się dzieje.

– Jak się masz? – zapytał po syriacku, uśmiechając się jeszcze szerzej.

Eliszeba przebiegła wzrokiem po rysach jego twarzy i pogładziła dłońmi jego ramiona. Potem pociągnęła go delikatnie do środka domu, mówiąc:

– Wszystko dobrze.

W domu, w salonie Nadir Szamoni postanowił wyrażać się jasno, próbując sprowadzić staruszkę na ziemię i ucinając jej fantazje. Nie miał dużo czasu. Musiał jak najszybciej wrócić do swojej rodziny. Powiedział jej, żeby podjęła decyzję, bo ojciec Jozjasz oczekuje jej odpowiedzi. Hilda i Matyllda są obecnie z nim w Ankawie na obrzeżach Irbilu, przyleciały z Australii z kilkorgiem swoich dzieci tylko w jednym celu – żeby ją ze sobą zabrać.

– To jest Daniel, twój wnuk, Eliszebo. Najstarszy syn Hildy. Przysyłała ci jego zdjęcia pocztą, pamiętasz? Poznałaś go?

Mówił to, obserwując z bliska staruszkę, której wszystko się pomieszało. Czuł, że będzie potrzebowała chwili, by pojąć, kim jest siedzący obok niej chłopak, którego rękę trzymała i w którego twarz wpatrywała się, nie mogąc nasycić oczu. Wyglądało na to, że córki wreszcie wpadły na pomysł, jak podejść matkę. Próbowaly myśleć zdroworozsądkowo, nie starając się rozgryźć wewnętrznej logiki, którą kierowała się staruszka. Ale rozmowy Matylldy z ojcem Jozjaszem nieco rozjaśniły im sprawę. Eliszeba upierała się przy myśli, że jej syn powróci kiedyś z martwych albo się odnajdzie. Była gotowa umrzeć, zamknąć na zawsze oczy, wciąż pogrążona w tym nieziszczalnym marzeniu. Była gotowa czekać tak długo, jak długo Bóg pozwoliłby jej żyć, a nawet i po śmierci. Gdyby wyjechała, nie byłaby w stanie znieść poczucia winy, że opuściła własnego syna. A jeśli umrze – będzie to wolą bożą, nie jej własną. Przecież nie można staruszki związać i siłą wywieźć z domu. Trafny okazał się pomysł, na który wpadł ojciec Jozjasz, żeby wykorzystać ogromne podobieństwo

pomiędzy jej wnukiem Danielem a jego zmarłym wujkiem. To podobieństwo wystarczyło, żeby staruszce wszystko się pomieszało i żeby się w końcu zgodziła na wyjazd. Młody chłopak władał siłą, jakiej nie miał żaden inny człowiek: siłą wpływania na Eliszebę. Matylda wraz z Hildą i jej najstarszym synem przyjechali do Iraku. Zatrzymali się w domu Nadira Szamoniego, a następnego dnia diakon zabrał Daniela do Bagdadu. Chłopak, który nie mówił płynnie po arabsku, a jedynie po syriacku i angielsku, był zdenerwowany tą niezwykłą misją, która na niego spadła i której realizację postrzegał jak spełnienie rodzinnego obowiązku. To kierowało nim bardziej niż jakaś szczególna więź z babcią, której już zbyt dobrze nie pamiętał. Wyjechał z rodziną jako mały chłopiec. Bał się bardzo, jadąc do stolicy z Nadirem Szamonim, z głową wypełnioną niewyraźnymi rysami twarzy zapamiętanymi ze zdjęć, które matka i ciotka porozstawiały w ich domu w Melbourne.

Cały plan opierał się na jednym elemencie – wrażeniu, jakie robi na staruszce widok Daniela, ono bowiem miało ją popchnąć do zaakceptowania propozycji. Oczywiście cała sprawa była etycznie wątpliwa; chodziło o to, żeby staruszka wpadła w pułapkę. Daniel i diakon mieli wykorzystać moment zaskoczenia i nakłonić Eliszebę do zmiany zatwardziałej postawy, nim dotrze do niej całe oszustwo.

Daniel powiedział babci, że musi z nim wyjechać. Musi sprzedać ten dom, pozbyć się swoich rzeczy. Musi zamieszkać z nim. To ostatnie zdanie powiedział szczerze. Rozmawiając z nią, czuł, jak atmosfera tego miejsca przenika go powoli coraz bardziej; ogarnął go smutek, gdy patrzył na poszarzałe zdjęcia rozwieszane na ścianach. Czuł, że zna to miejsce, udało mu się odgrzebać w głowie kilka wyblakłych wspomnień z czasów, gdy odwiedzał z mamą babcię i dziadka więcej niż dekadę temu. Był pewien, że jeśli spędzi z Eliszebą więcej czasu, przypomni sobie inne rzeczy, które do tej pory wydawały mu się już całkiem niedostępne i mogły okazać się tylko snem.

Nadir Szamoni zostawił ich, żeby mogli wspólnie przegrzebać swoje wspomnienia, i wrócił do Garaż al-Amana. Miał kilka swoich spraw do załatwienia, musiał na przykład zorientować się w kwestii wynajmu domu, który opuścił kilka miesięcy wcześniej, odwiedzić przyjaciół i bliskich, rozliczyć zapomogę, którą staruszka Eliszeba otrzymywała z kościoła. Był pewien, że Eliszeba wyjedzie ze

swoim wnukiem, więc nawet nie czekał, by usłyszeć jej zdanie.

Rozmowa między babcią i wnukiem trwała aż do nocy. Im dłużej rozmawiali, tym bardziej wnuk był przekonany, że mają wspólne wspomnienia. Staruszkę zaś ogarniała coraz głębsza pewność, że jej wnuk i utracony syn to jedna i ta sama osoba. Coś zmieniło się dopiero w chwili, gdy stanęła w kuchni w świetle lampy naftowej, by powoli przygotować kolację. Dojrzała w szybie okiennej zarys swojej bladej, pomarszczonej twarzy. Ten widok uświadomił jej, że minęło wiele lat, że nie jest już matką dwudziestolatka, który bał się iść na wojnę. Jednak poddała się nowym emocjom, których nie miała szans doświadczyć od tak dawna. Czowała zapach swojego syna, mogła go dotknąć, pogłodzić po włosach, skłonić, by położył głowę na jej kolanach. To były cenne rzeczy, czuła ich ciężar; to nie były rojenia czy wyobrażenia. Była gotowa zrobić wszystko, co konieczne, by zatrzymać dla siebie te nowe doznania.

Umyła duże ceramiczne naczynie, choć już wcześniej było czyste, postawiła je na aluminiowej tacy, chcąc przełożyć na nie z patelni omlet z pomidorami. Zobaczyła, że Nabo zjawił się w drzwiach kuchennych, zwabiony zapachem jedzenia. W tej chwili postanowiła zaakceptować propozycję swojego syna-wnuka. Zrobi wszystko, by być blisko jego skóry, jego włosów, jego dziecięcego zapachu, którego nigdy nie zapomniała.

3

Daniel włączył telefon i zadzwonił do matki, która wołała zaczekać w domu diakona. Gdy odebrała, powiedział jej czystą angielszczyzną:

– Teraz jest czas na działanie, a nie na prawdę. Porozmawiaj z babcią, ale dostosuj się do niej, zgadzaj się na to, co mówi.

Powiedziawszy to, oddał telefon staruszce. Kobiety rozmawiały spokojnie, bez żadnych nieporozumień przez całe pół godziny. Eliszeba była szczęśliwa i widziała teraz świat zupełnie innymi oczami. Zmusiła Daniela, by razem uklękli przed obrazem

Świętego Jerzego, żeby podziękować mu za spełnienie danej jej obietnicy. Złożyła po cichu ręce i czekała, aż święty się odezwie, przemówi do jej syna siedzącego obok, ale on milcząco patrzył w przód z twarzą spokojną i łagodną. Jego spokój nie zdradzał stosownego zaangażowania wojownika, który za chwilę ma się zmierzyć z wyłaniającym się na dole obrazu przerażającym potworem. Była w tym obrazie jakaś sprzeczność. Staruszka miała nadzieję, że święty na chwilę zignoruje potwora i spojrzy na nią, żeby porozmawiać i zapewnić jej syna o cudzie, jaki się właśnie wydarzył. Lampa naftowa nieco przygasła, ciemność zgęstniała. Być może oczy świętego zwróciły się w stronę staruszki, ale ciemność nie pozwalała jej zobaczyć czegokolwiek, również z powodu słabego wzroku. Wstała, by napełnić lampę. Daniel też wstał i poszedł z nią w stronę niewielkiego korytarza w kącie domu, gdzie stała beczułka z naftą. Chciał jej pomóc, ale okazało się, że beczułka jest zupełnie pusta. Eliszeba nie zauważyła, kiedy skończyła jej się nafta. Stała tak, przygnębiona, czując jednocześnie, że to znak, że jej pobyt w tym domu także zbliża się ku końcowi.

Rankiem następnego dnia kobiety zapukały do drzwi Umm Daniel. Wypełniły sobą dom staruszki jak nigdy wcześniej. Umm Salim zaspokoila nieposkromioną ciekawość, która rozpierała ją od wczoraj, odkąd mąż i synowie zabronili jej wprosić się od razu do Eliszemy w gościnę. Poznała historię wnuka staruszki i ogarnął ją smutek; zachciało jej się płakać na wspomnienie jej własnego syna zabitego w latach osiemdziesiątych, mniej więcej w tym czasie, kiedy zaginął Daniel. Być może pomyślała sobie, że nie jest tak miła Bogu jak Eliszeba.

Sprzedaż domu i zabytkowych mebli nie była łatwą sprawą. Eliszeba pomyślała o tych chłopcach, którzy odwiedzili ją kilkakrotnie, by kupić dom i w ten sposób uchronić go przed zburzeniem. Miał zostać przekształcony w centrum kultury albo coś w tym stylu. Przypomniała sobie jednak, że części z nich nie okazała zainteresowania. Poza tym przestali ją odwiedzać już jakiś czas temu. Prawdopodobnie więcej nie wrócą. Nie było więc innej opcji niż Faradz, agent nieruchomości.

Faradz zdawał sobie sprawę z pogłosek o powrocie syna starej Eliszemy. Może był więźniem w Iranie i dopiero teraz powrócił? Może stracił pamięć, jak to często bywa na zagranicznych filmach? Potem przydarzył mu się wypadek, który przywrócił mu pamięć, więc wrócił do swojej starej matki. Ale chłopcy, którzy dla niego pracowali,

zapewnili go, że syn staruszki wciąż jest młodym chłopakiem, a powinien dziś już być po czterdziestce.

– Może zamrozili go na dwadzieścia lat? A teraz rozmrozili i zwrócili matce...

Powiedział to najmłodszy syn Faradża i zaraz potem oberwał od ojca po twarzy tak, że wszyscy zamilkli. Faradž miał już dosyć słuchania tych wierutnych bzdur, więc nakazał swoim pomocnikom dowiedzieć się jak najwięcej o tej sprawie. Swoim zwyczajem spodziewał się najgorszego. Zaczynał się przygotowywać psychicznie na konfrontację z faktami. Był bardzo zaniepokojony i sam nie wiedział, co myśleć, gdy po upływie doby od przybycia syna Eliszemy zobaczył go razem z diakonem Szamonim w swoim biurze. Proponowali mu kupno domu Umm Daniel.

4

Przed zakończeniem negocjacji Faradž poprosił, by pozwolono mu ponownie obejrzeć wszystkie pokoje, ściany i podłogi, zanim zgodzi się na ostateczną cenę. Umm Daniel wezwała Hadięgo, sprzedawcę staroci, i powiedziała mu, że chce sprzedać wszystkie meble. Zdumiony Hadi milczał przez pół minuty, czekając, aż staruszka dokończy myśl, ale ona zawarła całą swoją wypowiedź w tym jednym zdaniu. Był pewien, że ta Asyryjka szczerze go nienawidzi. Co więc spowodowało, że zmieniła zdanie?

Przejrzeni zawartość domu. Było w nim dużo mebli – łóżka zrobione z żelaza i mosiądzu, cudeńka, małe drewniane stoliki o dziwacznym kształcie. Wszystko było stare, z wyjątkiem kuchenki i kilku urządzeń elektrycznych. Po szybkim podliczeniu w głowie Hadi zdał sobie sprawę, że nie ma tyle pieniędzy, by kupić wszystko, ale mógł pożyczyć od przyjaciół, bo taka okazja zdarza się tylko raz. Ani Eliszeba, ani jej wnuk, który nie mówił dobrze po arabsku, nie mieli doświadczenia w negocjacjach. Hadi nie znał historii Daniela, nikt nie doniósł mu o aktualnych wydarzeniach, a sam właściwie nie pamiętał syna staruszki. Pracował nad tym, by przekonać kobietę do ustalenia ceny za całość jej dobytku, podczas gdy ona wolała rozwodzić się nad każdym przedmiotem, jaki znajdował się w domu. Hadi uznał to za irytujące. Po

godzinie dyskusji zdołał przekonać ją do swojej ceny, po czym szybko wyszedł, by pozbierać wśród przyjaciół potrzebne pieniądze. Jedynym warunkiem Umm Daniel było, że nie wyniesie mebli na jej oczach. Nie chciała patrzeć, jak jej dom rozpada się przed nią na kawałki. Hadi mógł zająć się wszystkim po jej wyjeździe. Chciała zachować na zawsze obraz domu w całości, uporządkowanego, czystego, wypełnionego zapachem mieszkańców i gości. Nadir Szamoni dostał polecenie transferu kwoty otrzymanej ze sprzedaży mieszkania oraz pieniędzy za meble sprzedane Hadiemu do biura walutowego w Ankawie na przedmieściach Irbilu. Nie byłoby dobrze przewozić tak wielkiej sumy w walizkach, i to na dużą odległość, wyjaśnił staruszcze.

W nocy poprzedzającej wyjazd Umm Daniel siedziała długo w pokoju gościnnym na kanapie naprzeciw obrazu Świętego Jerzego i rozmawiała z nim. Wyjątkowo o tej porze był prąd. Małe szklane lampki ze zdobieniami poustawiane w kątach pokoju nadawały pomieszczeniu liturgicznej powagi. Eliszeba rozmawiała długo ze świętym, który ani razu nie otworzył ust. Wyglądało na to, że nie ma sensu kontynuować tej pogawędki. Spełnił swoją obietnicę i na tym jego rola się skończyła. Tak to rozumiała. Jej święty na nowo stał się tylko wypłowiałym obrazem. Przyszło jej coś do głowy. Miała już spakowane wszystkie walizki, zebrała w nich wszystkie zdjęcia rodzinne, prezenty, małe alabastrowe figurki Matki Boskiej z Dzieciątkiem i różnych świętych. Spakowała szkolne podręczniki Hildy, jej dziecięce bazgroły. Zabrała wszystkie rzeczy niosące ze sobą rodzinne wspomnienia, nawet ubranka dzieci z okresu niemowlęcego. Pozostał tylko ten ukochany obraz jej najważniejszego świętego. Czowała, że nie będzie w stanie zabrać go w ciężkiej ramie z szybą, na której całe lata zbierała się sadza z lamp naftowych. Podniosła się, obserwowana bacznie przez kota Nabo, i stanęła na kanapie, naprzeciwko której wisiał obraz. Podniosła go, uwalniając ścianę od gwoździ. Na ścianie pozostał jasny kwadrat z kilkoma pajęczynami. Postawiła obraz przed sobą na podłodze i zabrała się z werwą do wyjmowania gwoździ, by uwolnić papierowy malunek zza szklanej witryny. Obraz był delikatny, zginał się pod naciskiem palców. Stracił nieco ze swojej dawnej majestatyczności. Mogła teraz z bliska przyjrzeć się rysom świętego, obejrzeć delikatne brwi i błysk na czerwonej dolnej wardze. Patrząc z tak bliskiej odległości i przy świetle lamp

elektrycznych, miała poczucie, jakby oglądała inny obraz. Pomyślała, żeby zwinąć malowidło w rulon i spakować razem z innymi rzeczami, ale ten pomysł nie do końca się jej spodobał. Tak jak mogła się przyjrzeć łagodnym rysom twarzy świętego, widziała teraz z bliska również jego imponującą zbroję. Metalowy pancerz, uniesioną złowieszczo twardą włócznię i jej ostrą końcówkę. Zobaczyła ciało wojownika w powiększeniu, siejącego popłoch białego jeźdźca. Czuła, że patrzy na te wszystkie szczegóły nowym spojrzeniem. Kochała łagodną, delikatną twarz świętego, ale nienawidziła jego zbroi i wojennego ekwipunku. W końcu podjęła decyzję. Poszła do swojej sypialni, rzucając po drodze szybkie spojrzenie na pokój syna i upewniając się, jak za każdym razem, że naprawdę jest tu z nią, śpi spokojnie. Znalazła wielkie nożyce krawieckie. Wróciła i uklękła przy wielkim papierowym obrazie. Odepchnęła Nabo ręką, kiedy próbował wskoczyć jej na kolana, i zabrała się do cięcia. Przecięła korpus malowidła zdecydowaną, prostą linią. Zatrzymała się w pewnej odległości od głowy i okrążyła ją, tworząc coś na kształt aureoli. Wycięła twarz i podniosła do góry. To była część, którą w nim kochała. Spojrzała na to, co pozostało z obrazu, i poczuła nagłe ukłucie w sercu. Obraz z dziurą wydał jej się wrogi. Zostawiła go tam, gdzie leżał, i zabrała kolisty wizerunek świętego, a Nabo towarzyszył jej w drodze do sypialni.

5

Umm Salim urządziła wielki lament na ulicy. Jej głos dało się słyszeć o wczesnej godzinie porannej, gdy wszyscy byli jeszcze w domach. Wielu mogło zobaczyć po raz pierwszy jej białe jak śnieg ramiona uniesione do góry, gdy krzyczała za Umm Daniel oddalającą się wraz ze swoim wnukiem ulicą. Złośliwi komentowali później, że może nie powinna nosić tak szerokich rękawów. Lamentując, podniosła do góry rękę, a szerokie rękawy jej stroju opadły ciężko i zaświeciła biel jej pięknych, krągłych ramion, które wyglądały raczej jak ramiona jakiejś młodej dziewczyny, a nie kobiety w jej wieku. Wielu też prawdopodobnie po raz pierwszy zobaczyło męża Umm Salim,

Abu Salima, idącego za nią powoli w dwuczęściowej piżamie. Włożył ręce do kieszeni i stanął jak duch z wyskubanymi włosami, patrząc ze zdziwieniem na to, co się dzieje.

Umm Salim zbliżyła się do swojej starej przyjaciółki i przytuliła ją, płacząc, gdy tylko zobaczyła ją w drzwiach domu. Umm Daniel zamknęła drzwi na klucz, który potem wręczyła chłopakowi pracującemu dla Faradża. Była smutna, ale nie płakała, aż do teraz. Omiotła wzrokiem wszystkie przedmioty znajdujące się w domu i zawołała na Nabo, żeby wziąć go ze sobą, ale uciekł na schody. Krzyknęła na niego, jakby miał zrozumieć jej słowa. Poprosiła, żeby przyszedł. Odwrócił się w jej stronę, zamiauczał przeciągle, jakby chciał powiedzieć, że nie jest takim tchórzem jak ona i nie opuści tego domu. Potem ruszył śpiesznym krokiem do góry i zniknął za zakrętem schodów.

Gdy Umm Salim zaskoczyła ją uściskiem swojego miękkiego ciała, w którym niemal zatoneła, i swoim płaczliwym pojękiwaniem, w niej samej wzmógł się smutek, a oczy nawilgły. Chciała sięgnąć ręką do okularów i przetrzeć załzawione oczy, ale wielkie cielsko Umm Salim blokowało ją z każdej strony, więc poddała się wspólnemu płaczowi. Były to stare łzy, zastygłe w jej sercu od wielu lat – powinna była je wylać, oplakując utraconego syna, lecz zamiast tego znalazła się w otchłani bez wyjścia. Teraz oto wydostawała się z niej przy pomocy Umm Salim, która nie wyglądała, jakby miała ją kiedykolwiek wypuścić z uścisku.

Po chwili Eliszeba z trudem uwolniła się z jej objęć. Kilka kobiet odciągnęło Umm Salim, ale zdołała się im wyrwać i pobiegła za Umm Daniel idącą pewnym krokiem w stronę skrzyżowania z ulicą Sa'adun, gdzie już czekała na nią taksówka z Nadirem Szamonim w środku. Daniel spakował walizki do bagażnika, a staruszka usadowiła się z tyłu. Umm Salim zwolniła kroku, czując zmęczenie w łydkach, osunęła się na ziemię i klęcząc, patrzyła, jak stara przyjaciółka opuszcza ją ostatecznie i na zawsze. Zbiegły się wokół niej kobiety. Umm Salim zaczęła bredzić i mamrotać pod nosem, nie wiedząc zupełnie, co mówi. Gdy przyjaciółki usiłowały odzyskać nad nią kontrolę, żeby odprowadzić ją do domu, dostrzegła Hadięgo. Ten z pomocą kilku chłopaków zabrał się do przenoszenia mebli Umm Daniel z jej domu do siebie. Widok ten przypominał Umm Salim sceny grabieży posiadłości polityków byłego reżimu w kwietniu 2003 roku, które można było zobaczyć za pośrednictwem telewizji

satelitarnej. Krzyknęła na Hadiego i jego pomocników, zwyzywała ich, bo sądziła, że okradają dom Umm Daniel. Jej obelgi i przekleństwa nie ustały aż do momentu, gdy zaprowadzono ją do domu, a drzwi się za nią zamknęły.

Hadi przeniósł meble staruszki do siebie, zostawiwszy kilka sprzętów, które uznał za nieprzydatne: stare, zużyte dywany, gazety, puste puszki na oliwę, tubki z różnymi pastami – same śmieci, a wśród nich pozbawiony twarzy obraz Świętego Jerzego. Kiedy Hadi go zobaczył, poczuł strach, jakby miał do czynienia z jakimś aktem czarnej magii albo innym rytuałem.

Sprzedawca staroci pozostawił drzwi swojego domu otwarte, żeby ludzie mogli wchodzić i coś kupić lub tylko żeby obejrzeć rzeczy staruszki. W południe połowa mebli była już sprzedana miejscowym i zanosilo się na to, że Hadi zarobi na nich fortunę. Nie miał wyrzutów sumienia z powodu wyjazdu Eliszeby. Spojrzał do góry w stronę ściany, która dzieliła ich domy, i zobaczył wyleniałego starego kota gapiącego się na niego w milczeniu, zastygłego w bezruchu jak posąg. Pomyślał sobie, że wzrok staruszki pozostał w tym kocie i oto teraz ona patrzy na niego za pośrednictwem jego oczu. Nie spodobało mu się to spojrzenie, więc podniósł kawałek cegły i rzucił nim w kierunku kota, ale nie trafił. Nabo nie ruszył się z miejsca.

Z nastaniem wieczoru Hadi był wykończony. Sprzedał mnóstwo rzeczy, a na podwórku zostały przedmioty, które planował wystawić następnego dnia na targowisku Hardź albo napomknąć o nich znajomym sprzedawcom. Zamontował wiatrak sufitowy znaleziony wśród rzeczy Umm Daniel w swoim zrujnowanym pokoju i włączył go z pomocą swojego nastoletniego pomocnika. Położył się na łóżku i przyjrzał ciemnej dziurze pozostałej po usunięciu figury Matki Boskiej. Przypomniały mu się słowa jednego z przyjaciół, które usłyszał w ciągu dnia. Ten drewniany obraz to żydowska pamiątka, którą też może sprzedać. Ale dokładnie tak jak za pierwszym razem, gdy zobaczył ten misterny drzeworyt, znów poczuł się niepewnie i wolał zaniechać tego kroku. Niech obraz pozostanie tam, gdzie jest. Może później wypełni tę dziurę w ścianie gipsem, żeby pozbyć się na zawsze tych niepokojących myśli. Analizował w głowie te następujące prędko jeden po drugim znaki, próbując połączyć wątki: zniszczenie figury, zniknięcie Umm Daniel i inne rzeczy, które się w tym czasie wydarzyły. Ale jego umysł nie potrafił złożyć tych

wszystkich elementów w spójny obraz. Hadi przypomniał sobie surowe spojrzenie kota i gdzieś w głębi serca odezwało się w nim poczucie strachu i winy, jakby popełnił jakiś grzech, ale do teraz nie zdawał sobie sprawy jaki.

Podczas gdy jego oczy starały się zwalczyć senność spowodowaną całodniowym zmęczeniem, jakiś duch zwinnie przemykał pomiędzy ścianami budynków, wskoczył na zniszczoną ścianę domu Hadiego, a potem przedostał się na dach domu Umm Daniel, który stał się teraz jednym z domów w posiadaniu Faradża. Duch zszedł po schodach i zobaczył Nabo na wewnętrznym dziedzińcu. Kot zamiauczał przeciągle, a duch minął go i udał się do opustoszałego salonu. Ten, którego ścigał cały aparat bezpieczeństwa i wiele innych grup, uklęknął i zbliżył się do pozostałości obrazu Świętego Jerzego. Podniósł go i przyjrzał się dziurze po utraczonej twarzy. Złożył obraz kilkakrotnie, tak że rozmiarem zaczął przypominać szkolny zeszyt. Rozejrzał się po pokoju i ogarnął go smutek. Nie zobaczy już więcej staruszki Eliszeby, kobiety, która przyczyniła się do jego narodzin, która dała mu imię swojego zaginionego syna. Czuł, że był jej bliższy niż inni, że nosił w sobie jakąś część pamięci o jej synu. Teraz, gdy odjechała, stracił jeden z powodów do życia. Porzuciła go, nie zdając sobie sprawy, że odcina ostatnią nić, która ją łączy ze zmarłym synem. Usiadł oparty o ścianę, a kot Nabo przeszedł obok, ocierając się o jego spodnie i pozostawiając na nich sierść. Potem zawrócił i otarł się o niego ponownie, żeby w końcu zwinąć się w kulkę przy jego stopach, jakby chciał się ogrzać.

Pozostali tak do rana.

Wybuch

1

Była piąta trzydzieści rano. Hadi spał jeszcze z wiatrakiem Umm Daniel zawieszonym nad głową, Jak-mu-tam również leżał pogrążony we śnie razem z kotem Nabo na brudnej podłodze salonu w domu Umm Daniel. Generał Surur walczył z koszmarami w swoim biurze w Wydziale Inwigilacji i Ścigania. Wielki Astrolog zamaszystymi krokami pokonywał korytarze, obudził stróża śpiącego przy biurze generała i zapukał z całej siły do drzwi.

Generał przebudził się wystraszony. Gdy zobaczył przed sobą Wielkiego Astrologa, zorientował się, że sprawa jest pilna i nie może czekać do wschodu słońca. Astrolog położył przed nim tylko jedną różową kartkę. Zanim generał sprawdził, co zawiera, Wielki Astrolog, z brodą szpiczastą jak w jakiejś kreskówce, powiedział:

– Jest tu. W tym domu w Batawin. Śpi. Musisz ruszać jak najprędzej, żeby złapać go, nim się obudzi.

Generał natychmiast kazał przygotować samochody, ubrał się w pośpiechu. Nie było konieczności, żeby towarzyszył swojej drużynie, wiedział, że może polegać na różowych oficerach. Czuł jednak potrzebę pojawienia się na choćby jednym zdjęciu w mediach razem z groźnym przestępcą, który dręczył cały kraj, ale którego żadna z agend bezpieczeństwa nie była w stanie złapać. Wreszcie go aresztuje i udowodni przełożonym swoją wartość. Pokaże, że jest najbardziej kompetentny ze wszystkich. Zamilkną wówczas ci, których usta nie zamykały się, gdy chodziło o jego przeszłość

w aparacie bezpieczeństwa poprzedniego reżimu.

Może mianują go ministrem spraw wewnętrznych albo obrony? Albo szefem służb wywiadowczych? Tak myślał, wsiadając do samochodu z napędem na cztery koła i przyciemnionymi szybami. Za nim ruszyły dwa mniejsze i pomknęły ulicami Bagdadu, praktycznie opustoszałymi o tak wczesnej godzinie. Starzec, którego nazywano Wielkim Astrologiem, siedział na tylnym siedzeniu samochodu generała. Jego również ta sprawa dotyczyła osobiście. Chciał zobaczyć twarz groźnego, bezimiennego przestępcy, zanim zniekształcą ją ciosy i kopniaki drużyny generała wymierzane podczas aresztowania. Wielokrotnie widział tę twarz we śnie i za każdym razem była inna. Nigdy wcześniej nie sprawiło mu tyle trudu przywołanie rysów człowieka – twarz Bezimiennego ciągle mu się wymykała, a to czyniło go nieprzeniknionym i jeszcze bardziej niebezpiecznym. Mógłby go kiedyś spotkać na ulicy, nie wiedząc nawet, że to on. Astrolog prawie nigdy nie opuszczał siedziby Wydziału Inwigilacji i Ścigania, a mimo to przestępca mógłby wyczuć, że go poszukuje, i zechcieć się go pozbyć. Czy dziś wyszedł po to, by stać się dla niego łatwym celem? Myślał o tym przez całą drogę, aż dojechali do ulicy Sa'adun. Zauważyli tłum ludzi i rozgardiasz. Samochody policyjne, kilka amerykańskich pojazdów wojskowych ustawionych na chodniku wzdłuż fasad meczetu Orfali i zakładów fotograficznych. Na rondzie przy pomniku Wolności dojrzeliby jeszcze więcej samochodów policyjnych. Gdy dotarli na plac Tajaran, wiedzieli już, że dzielnica Batawin została zamknięta. Co się mogło stać?

Poszukiwano samochodu pułapki, który dostał się na teren dzielnicy. Za kierownicą miał siedzieć przywódca jednej ze zbrojnych grup. Chcieli go złapać, nim się wysadzi.

– Co się stało? – krzyknął wściekły generał Surur. Wysiadł i skierował się w stronę uliczki, którą wskazał mu Wielki Astrolog. Porozmawiał z kilkoma oficerami, pokazał im swój identyfikator. Mimo to nie pozwolili mu wejść. Samochodem, którego szukali, był nowy biały opel: taki właśnie stał przed wejściem do domu Umm Daniel.

Zaczynał się dzień, była szósta trzydzieści, powoli wzrastał ruch na ulicach, co

tylko spotęgowało chaos spowodowany obecnością samochodów policyjnych i amerykańskich wozów. Wielki Astrolog był wściekły, ale nie wyszedł ze swojego samochodu z napędem na cztery koła. Jego widok mógłby wzbudzić podejrzenia. Miał na sobie strój z długimi rękawami, bawełnianą czapkę z pomponem, rozpuszczone włosy powiewały, a gęsta, wypielęgnowana broda była zebrana na końcu spinką do włosów. W najlepszym razie by się śmiali. Mogliby też pomyśleć, że gra w przedstawieniu dla dzieci. Śledził więc sytuację z otwartego okna samochodu i nie wiedział, co dokładnie się dzieje.

Zamachowiec siedział w swoim białym oplu w środku oblężonej dzielnicy – tyle zdołał dostrzec Abu Salim, schowany za ażurowym wykuszem wychodzącym na ulicę. Samochód był dokładnie pod jego balkonem, zaparkowany wzdłuż ściany domu Umm Daniel. Niebezpiecznie było stać w tym miejscu. Musiał zejść, ostrzec rodzinę, żeby wszyscy opuścili dom jak najprędzej albo chociaż wycofali się na tyły. Dom z pewnością zawali się na nich, jeśli zamachowiec naprawdę się wysadzi.

Ale Abu Salim stał jak przygwożdżony, nie znajdując w sobie motywacji do wykonania choćby kroku. Patrzył w dół, na zaparkowane eleganckie białe auto. Z tej perspektywy nie wydawało się ani trochę niebezpieczne. Nie było widać zamachowca w środku. Abu Salim ocknął się dopiero na dochodzący z megafonów dźwięk, wzywający terrorystę do opuszczenia samochodu z podniesionymi do góry rękami. Wspiął się na wyższe piętro i stamtąd zauważył, że auto znajduje się bezpośrednio pod jego balkonem. Jednak dalej pozostał więźniem tej chwili. Nie zrobił nic, nie zauważył nawet, że nie ma na sobie pantofli, choć nie miał w zwyczaju chodzić boso.

Jeszcze zanim rozpoczęło się oblężenie, dzielnicę zdążył opuścić nowym samochodem Abu Anmar. Faradz wyszedł z domu i stanął przed hotelem Uruba. Zdjął tablicę informacyjną. Wydał polecenia swoim pracownikom. Miał się właśnie przejść kawałek w stronę piekarni, żeby kupić pieczywo i krem śmietanowy, kiedy doszło do wybuchu.

Żydowska płaskorzeźba z ciemnego drewna poleciała do przodu. Hadi przez kilka krótkich sekund patrzył, jak wylatuje w powietrze. Widział, jak drewniany świecznik odłącza się od tła w tym samym kolorze, a potem rozpada na drobne kawałki. A może cała ta scena była tylko jednym z wielu snów, jakie śnił podczas długiego pobytu w szpitalu, który zaraz potem nastąpił.

Potwierdzałyby to fakt, że wszystko, co znajdowało się w zniszczonym pokoju Hadiego, wymieszało się ze so-bą w ułamku sekundy, gdy wybuchł biały opel nafaszerowany materiałami wybuchowymi z kierowcą obwiązany dynamitem. Była to zdecydowanie najstraszniejsza rzecz, jaka zdarzyła się w Batawin od jej powstania na początku ubiegłego wieku, kiedy to szczyciła się opinią najlepszej dzielnicy mieszkaniowej w centrum Bagdadu. Nawet w czasach jej powolnego upadku w latach osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych, gdy zmieniła się w centrum domów publicznych i pędzonego ukradkiem bimbru, nawet gdy w wielu tutejszych domach odkryto gangi zajmujące się handlem kobietami, dziećmi i ludzkimi organami, nawet wtedy nie zdarzyło się tu nic tak okropnego jak dziś.

Wybuch wstrząsnął całą dzielnicą. Dziennikarze mówili później w swoich relacjach, że pęknięcia pojawiły się nawet na pomniku Wolności, i ostrzegali przed możliwością jego zawalenia się. Ale najbardziej ucierpiały domy przy ulicy Siódmej, niektóre zbudowane w latach trzydziestych, które zawaliły się pod wpływem siły podmuchu.

Runął dom Umm Daniel. Nie został z niego kamień na kamieniu – to on przyjął na siebie najsilniejsze uderzenie. Niebawem, gdy tylko wyjdzie ze szpitala, Faradz zrozumie, jak bardzo pomylił się w ocenie trwałości tego budynku. To nadmierna dbałość Umm Daniel sprawiła, że wyglądał solidnie, ale wilgoć zżerała główne ściany od wielu lat. Pomimo pięknego wyglądu konstrukcja była krucha.

Runął też zniszczony pokój zajmowany przez Hadiego w Żydowskiej Ruinie. Nikt nie wiedział, skąd nagle wzięły się płomienie, które zajęły przedmioty z domu Umm Daniel i drewniane meble ustawione na podwórku, ani też w jaki sposób ogień przedostał się do łóżka, na którym spał sprzedawca staroci. Fakt, że ocalał z tego wypadku, mieszkańcy dzielnicy uznali za cud godny wszystkich kłamliwych historii,

które przez lata opowiadał: o tym, jak udawało mu się uratować przed śmiercią podczas upadku ze zbocza góry albo jak wylatywał w powietrze podczas wybuchów. Naprawdę ocalał! – mówili kilka dni później sąsiedzi wracający z odwiedzin w szpitalu Al-Kindiego, w którym leżał. Nikt jednak nie był do końca pewien, czy widział jego, czy może stał obok łóżka nieznanego mężczyzny, pogrążonego w śpiączce i zawiniętego w bandażę od stóp do głów.

Wybuch rzucił Faradża kilka metrów do tyłu, powodując dotkliwe rany na twarzy i kilka siniaków. Posypały się szyby z wszystkich okien hotelu Uruba, odpadły stare metalowe okna i niektóre drzwi. Zawaliła się znaczna część drukarni przylegającej do domu Umm Daniel, mimo że ściany jej domu osłoniły inne budynki przed impetem wybuchu. Nie ochroniły jednak domu Umm Salim, którego fasada kompletnie legła w gruzach, a ściany dzielące pokoje w głębi domu popękały. Na szczęście śpiącej rodzinie pisane było ocaleć. Jeśli zaś chodzi o Abu Salima, który obserwował z najwyższego piętra zamachowca w jego białym samochodzie, to runął bardzo prędko na sam dół razem z drewnianym balkonem. Połamał nogi i ręce, odniósł wiele ran na głowie i mniejszych zadrapań na całym ciele, ale nie umarł. Gdy upadł, część drewnianego balkonu zgięła się nad nim pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, chroniąc go tym samym przed sypiącą się z góry stertą kamieni. Został przetransportowany do szpitala Al-Kindiego. Bredził coś potem dziennikarzom, którzy przybyli sfotografować ofiary i porozmawiać z nimi. Mówił jak nakręcony, opowiadał o swoich wieloletnich obserwacjach prowadzonych z balkonu. O tym, kto wchodził i kto wychodził z sześciu domów znajdujących się w zasięgu jego wzroku. O prostytutkach przychodzących do drukarni przy domu Umm Daniel, o złodziejach wspinających się po ścianach. Nie czuł się zawstydzony, gdy wszyscy sobie poszli, a on mówił dalej. Odwrócił z trudem głowę i zobaczył ранego leżącego na łóżku obok. Rozejrzał się po dużej sali mieszczącej kilka łóżek i nie zobaczył w niej nikogo, kto by go jeszcze słuchał. Jednak po tygodniu spotkała go miła niespodzianka – odwiedził go mężczyzna po czterdziestce, w eleganckim stroju i z dyktafonem. Usiadł obok niego na krześle. Przywitał się serdecznie i ciepło. Potem włączył dyktafon i poprosił, by mówił. Abu Salim zapytał go, kim jest. Tamten odpowiedział:

– Jestem autorem.

- Autorem czego?
- Piszę opowieści.
- O czym chcesz, żebym ci opowiedział?
- Powiedz wszystko, zamieniam się w słuch.

3

Wielki Astrolog schowany za lekko uchyloną szybą samochodu z napędem na cztery koła widział, jak generał Surur przekracza kordon strażników, którzy zamknęli wejście na ulicę Siódmą od strony ulicy Sa'adun. Zaniepokoiło go to. Otworzył więc drzwi i wyszedł, pokonując niepewność spowodowaną swoim teatralnym strojem. Jego gęsta, wypielęgnowana broda zwisała i podrygiwała w rytm pośpiesznych kroków. Zatrzymał się przy strażnikach, chwilę stał tam w milczeniu, a potem krzyknął do generała. Ten odwrócił się i zobaczył za sobą Wielkiego Astrologa machającego na niego i nawołującego go do powrotu.

- Co robisz, panie? Chcesz umrzeć?
- Muszę osobiście złapać tego zbrodniarza.
- Umrzesz, panie. Wróć, proszę. Pozwól, że spojrzę w karty.

Generał Surur zawrócił. Zobaczył, jak Wielki Astrolog kuca, a potem siada po turecku, jak to miał w zwyczaju robić w jego biurze, w Wydziale Inwigilacji i Ścigania. Wyjął z kieszeni wielkiego rozmiaru karty do gry, zaczął je tasować jak najwprawniejszy gracz, a potem rzucił na chodnik. Wybrał kilka, usunął pozostałe. Następnie podniósł jedną kartę i zaczął się jej przyglądać z bliska, jakby coś w niej zobaczył. Generał kucnął przy nim. Strażnicy stojący obok nie mieli pojęcia, co się dzieje, ale zainteresowało ich to i na chwilę spuścili wzrok z zamachowca w samochodzie, żeby przyjrzeć się poczynaniom mężczyzny w dziwnym stroju.

– Tego, który nie ma imienia, nie ma już w tym domu – powiedział Wielki Astrolog po chwili intensywnego wpatrywania się w kolejną kartę.

– Co ty mówisz! To po co kazałeś nam tu przyjechać? Gdzie teraz jest?

– Był tu jeszcze przed kwadransiem. Uciekł po dachach, nie wiem dokładnie, dokąd się udał. Być może wciąż jest w Batawin, ale nie w tym domu. To pewne.

– Chcę to sprawdzić – powiedział generał, po czym wstał. Odwrócił głowę w stronę białego opla.

– Przyplacisz to życiem – powiedział astrolog, zbierając karty i chowając je do kieszeni. Po chwili dodał: – Jest coś jeszcze.

Astrolog odczekał, aż generał spojrzy w jego stronę.

– Ten samochód pułapka to w pewnym sensie nasza sprawa.

Usłyszawszy to, generał odwrócił się i zbliżył do starca:

– Jak to?

– Musimy natychmiast wrócić do biura. To jeden z moich pomocników. Młodszy Astrolog sprowadził tutaj ten samochód, żeby zabić Tego, który nie ma imienia. Ale przestępca uciekł, a zamachowiec w samochodzie nie ma pojęcia, co go w to miejsce sprowadziło i czy nacisnąć detonator w kamizelce naładowanej dynamitem, czy nie.

– Co ty opowiadasz? Co to za brednie?

– Musimy wracać, teraz – powtórzył Wielki Astrolog z naciskiem, kierując się w stronę samochodu z napędem na cztery koła. Zaraz po tym nastąpił wybuch.

Generałowi i astrologowi nic się nie stało, poza tym że oblepił ich gęsty pył. W pośpiechu wsiedli do samochodu i wrócili do biura. Tam generał wezwał do siebie całą drużynę astrologów i ich pomocników – oficerów. Rozpoczęli śledztwo. Wyszło na jaw, że zamachowiec samobójca planował zasadniczo skierować się w stronę komendy policji, żeby wysadzić się w tłumie ludzi i oficerów. Coś jednak wpłynęło na zmianę jego zamiarów i sprawiło, że udał się do Batawin. Na tę wieść wśród astrologów zapanował chaos, zaczęli obrzucać się oskarżeniami. Standardowych metod prowadzenia dyskusji, przyjętych w agendach bezpieczeństwa wewnętrznego, w Wydziale Inwigilacji i Ścigania nie przestrzegano. Dało się wyczuć brak właściwego poszanowania generała u jego pracowników, którzy ignorując obecność Surura, zaczęli się wyzywać. On sam pozwolił im na taką swobodę.

Po godzinie doszedł do wniosku, że śledztwo, które wszczął, prowadzi donikąd.

Co gorsza, istniała możliwość, że rząd postawi jego i wydział w stan oskarżenia, a była to ostatnia rzecz, jakiej by sobie w tych okolicznościach życzył. Dlatego zamknął śledztwo i tymczasowo wstrzymał prace astrologów. Po dwóch tygodniach pojawiła się komisja złożona z wysokich rangą oficerów wywiadu wojskowego, żeby przesłuchać go osobiście; towarzyszył im jeden amerykański oficer łącznikowy. Generał Surur czuł, że informacje, według których to jego wydział był odpowiedzialny za wybuch w Batawin, wyciekły w ten czy inny sposób i dotarły do jego przełożonych. Cel tego mógł być tylko jeden: zniesławienie i osłabienie jego pozycji. Po tym, jak marzył o stanowisku szefa służb wywiadowczych, teraz oto stanął przed możliwością wcześniejszej emerytury.

4

Mahmud spał w swoim pokoju w hotelu Dilszad, obejmując nagim ramieniem Zejnę, gdy usłyszał w oddali silny wstrząs, od którego zadrżał cały hotel. Otworzył oczy na kilka sekund i na nowo zapadł w sen. Potem, w okolicach ósmej trzydzieści, gdy żegnał się z Zejną, usłyszał od młodego pracownika hotelu o strasznym wydarzeniu. Mahmud wręczył mu dwudziestopięciodinarowy banknot w zamian za milczenie w sprawie ostatniej nocy. Poprosił, by opowiedział mu wszystko, co usłyszał na temat wybuchu.

– Jest tam teraz wielkie jezioro wody i ścieków z kanalizacji i wodociągów prowadzących do domów, które uległy zniszczeniu. Woda płynie ulicą Sa’adun i wpływa do kanału przy Bramie Wschodniej. Mówią, że zawaliły się dziesiątki budynków. Na środku ulicy Siódmej jest teraz ogromna dziura. Niektórzy mówili, że widzieli na jej dnie kamienny mur. Na dnie tej dziury.

Gdy chłopak to powiedział, umysł Mahmuda powędrował do hotelu Uruba. Wybuch zdarzył się w pobliżu, może coś się stało jego przyjacielowi Hazimowi Abudowi albo Abu Anmarowi, albo innym mieszkającym w tamtej okolicy osobom, które znał? Ale co mógł teraz zrobić? Zadzwoił do Hazima i dowiedział się, że jest

poza Bagdadem, towarzyszy amerykańskim żołnierzom i fotografuje walki dla amerykańskiej agencji prasowej. Powiedział mu też, że Abu Anmar wyjechał z Bagdadu. Sprzedał hotel i wrócił do rodziny w Qalat Sukkar.

Ta informacja była dla Mahmuda zaskoczeniem, ale nie wstrząsnęła nim. Dobrze było wiedzieć, że ktoś, kogo znał, wciąż żyje. Mówił to sobie, wychodząc na ulicę i przywołując taksówkę, by pojechać do redakcji.

W trakcie krótkiej trasy przypomniła mu się szybko sytuacja gazety. Zbliżał się termin oddania do druku najnowszego numeru, a materiały wciąż nie były gotowe. Nie wypłacił też jeszcze wynagrodzenia niektórym pracownikom. Saidi nic mu nie przysłał. Jego ponury księgowy nie pojawił się i od dwóch dni nie odpowiadał na jego telefony. Z takimi myślami Mahmud wychodził powoli z upojenia, w jakie wprawiły go marzenia o Nawwal Wazir i jej odpowiednicze. Stanął wreszcie twardo na ziemi. Przypomniły mu się również jego rozmowa z Sultanem, prywatnym kierowcą szefa, oraz ostatnia rozmowa telefoniczna z samym Saidim. Poczłł niepokój. Saidi musi wrócić, żeby wybawić go od tego ciągłego napięcia. Kiedy się zobaczą, Mahmud powie mu, że chciałby wrócić na swoje poprzednie stanowisko, zwykłego dziennikarza – nie ma już siły na te wszystkie wyczerpujące misje.

Był to najzwyczajniejszy dzień. Nie było bardzo gorąco. Oprócz wiadomości o wybuchu w Batawin wszystko toczyło się, jak należy. Tak przynajmniej Mahmud widział to teraz zza szyby w taksówce. Ludzie szli do pracy, sprzedawcy stali na chodnikach obok wózków z falafelami, urzędniczki czekały na autobus. Ptaki latały po czystym, niebieskim niebie. Czuł głębokie odprężenie połączone z jakimś rodzajem smutku, gdy wspominał namiętą noc spędzoną z Zejną. Zdał sobie sprawę, że nie był już tym młodym chłopakiem mieszkającym w hotelu Uruba, podążającym za instrukcjami Hazima Abuda, z którym podbijali domy płatnej miłości przy ulicy Piątej. Teraz wspiął się na wyższy poziom życiowego doświadczenia. Ale był zmęczony. Czuł, że przez ostatnie miesiące zdobył się na wysiłek, na który inni ludzie potrzebują lat. Jego przyjaciele też bardzo się zmienili w ciągu tego roku. Kiedyś, gdy ktoś go zawodził, nazywał to podatkiem od sukcesu. Przepaść między ludźmi nie rodzi się z niczego, to oni sami ją tworzą z powodu swojej zawiści i braku zrozumienia. Ale teraz Mahmud nie wiedział, co powiedzieć. Teraz we wszystkim, co

mówił, był elegancki i błyskotliwy, przypominał Saidiego z jego pośpieszną, dynamiczną mową.

Gdy dotarł do redakcji, na ulicy przed wejściem do budynku zobaczył kilka rządowych pojazdów. Nie przyszło mu nawet do głowy, że celem ich wizyty mogła być redakcja. Może przyjechali sprawdzić pobliski Bank Narodowy? Ale kiedy wszedł przez otwartą na oścież bramę główną, miał już pewność, że to jego odwiedzają. Było tam kilku uzbrojonych ochroniarzy w cywilnych strojach. Zatrzymali go i poprosili o dowód. Gdy okazało się, że jest kierownikiem redakcji gazety, pozwolili mu wejść. W środku nie spotkał żadnych pracowników poza starym służącym, który spojrzał na niego w osłupieniu, ale nic nie powiedział, tylko kontynuował przecieranie szmatką stołów i krzatanie się, jakby był to najzwyklejszy w świecie dzień pracy. Wyglądało na to, że wszyscy uciekli. Być może już wcześniej wiedzieli o czymś, o czym on nie wiedział do teraz, i woleli uniknąć jakiegokolwiek odpowiedzialności.

Gdy Mahmud wszedł do biura Saidiego, zobaczył czterech wąsatych mężczyzn w oficjalnych mundurach. Byli mniej więcej w wieku Saidiego. Pozdrowił ich i przedstawił się, a oni poprosili, by usiadł. Poinformowali go krótko, że zamykają gazetę i konfiskują cały należący do niej sprzęt.

– Co się stało? – spytał.

– To jest teraz sprawa wagi państwowej – odpowiedział jeden z wąsaczy.

Mahmud poczuł ucisk w żołądku. Mężczyzna przyjrzał mu się, potem uniósł palec na wysokość jego twarzy i powiedział:

– Twój przyjaciel ukradł trzynaście milionów dolarów z pomocy amerykańskiej.

– Trzynaście milionów dolarów?! To strasznie dużo. Jak to je ukradł? Przecież to słynny pisarz. Znana osoba.

– Sam go zapytaj, jak to zrobił. A teraz daj nam klucze i otwórz nam ten oto sejf, bardzo proszę.

Dziwni mężczyźni poruszali się szybko, niektórzy rozeszli się po innych pokojach, poszli na drugie piętro, gdzie znajdował się magazyn z poprzednimi numerami pisma i innymi rzeczami. Mahmud zauważył, że wywrócili redakcję do góry nogami, poprzesuwali meble, zdjęli nawet dywan w głównej sali w poszukiwaniu ukrytych

sejfów, w których Saidi miałyby przetrzymywać skradzione pieniądze.

Mahmud otworzył im drzwi sejfu, gdzie zwykle przechowywane były dokumenty i umowy gazety.

Jak mógł to zrobić? Czy to możliwe, że mi to zrobił? – Mahmud zadawał sobie po cichu to pytanie dziesiątki razy, nie znajdując na nie odpowiedzi. Czuł, jakby to wszystko było tylko snem, nieporozumieniem, albo czymś okropnym błędem, który ci budzący postrach mężczyźni zaraz odkryją, a wówczas staną przed nim i go przeproszą. Zwrócą mu klucze i będą błagać o wybaczenie.

Mężczyzna z gęstymi wąsami, wyglądający na szefa całej grupy, polecił mu zadzwonić do Saidiego.

– Zadzwoń do przyjaciela. Jeśli odbierze, daj mi go do telefonu.

Mahmud pośpiesznie wybrał numer Saidiego, choć wiedział bardzo dobrze, że jest poza zasięgiem. Wykonał ten zupełnie pusty gest z czystego strachu. Potem zadzwonił jeszcze raz z innego telefonu, ale efekt był taki sam.

– Jest poza zasięgiem – powiedział Mahmud przepaszającym tonem, a mimo to właściciel gęstych wąsów przyglądał mu się dalej, niedowierzając.

Wszystko skończyło się po trzech kwadransach. Abu Dżuni przerzucił sobie przez ramię mokrego mopa i wyszedł z redakcji. Przechodząc obok Mahmuda, nie zwrócił na niego uwagi, nie zatrzymał się ani nie obejrzał. Poszedł do domu mieszczącego się w pobliskiej uliczce. Wydawało się, że w tym momencie rzucił pracę. Mahmud nie wiedział, co robić. Czekał na swoją spóźnioną pensję, żeby opłacić pobyt w hotelu. Zadzwonął ze swojej komórki do księgowego, potem do przyjaciół i znajomych z redakcji. Czasem słyszał tylko głuchy sygnał, czasem ktoś odbierał i przeproszał, że nic nie może zrobić. Ostatecznie wąsaty oficer poklepał go po ramieniu, mówiąc:

– Mój drogi, jedziesz z nami na przesłuchanie.

– Przesłuchanie?

– Tak... Myślałeś, że będzie lekko?

Wsiadł z nimi do auta, pogrążony w głębokim smutku. Przynajmniej go nie poniżali. Jak do tej pory jeszcze ani razu go nie uderzyli. Ale wiedział z rozmów z Saidim i jego żartów z generałem Sururem, że przesłuchanie przez irackie służby

bezpieczeństwa bywa bolesne dla ciała. Załamał się. Wszystko się rozpadło, jakby nagle ześliznął się w głęboką przepaść. Stracił kontakt z samym sobą i ze światem zewnętrznym. Postanowił, że będzie ratował siebie, że powie wszystko, nawet gdyby zapytali o Zejnę, z którą spał poprzedniej nocy. Opowie nawet o pozycjach seksualnych, jakie z nią przyjmował. Nie będzie nic ukrywał, bo jest niewinny.

Trzyście milionów dolarów! – powtarzał sobie, próbując cokolwiek pojąć, podczas gdy samochód rządowy mknął w nieznane.

5

Przesłuchanie generała Surura nie miało końca. Komisja złożona z oficerów wywiadu irackiego oraz wywiadu wojskowego, jak również amerykańskich oficerów żandarmerii wojskowej zdecydowała się poczekać na pojawienie się większej liczby dowodów przed postawieniem generała i jego biura w stan oskarżenia. W tym czasie Surur postanowił działać szybko i nie czekać, aż wydarzy się katastrofa. Telefony do kilku wysoko postawionych oficerów z listy jego przyjaciół spowodowały nieznaczne opóźnienie śledztwa. Sprawa była oburzająca. Miał niezliczone zasługi w dziedzinie zwalczania terroryzmu. Należą mu się pochwały i wszystkie możliwe ordery, jakie tylko istnieją w narodowych protokołach honorowych. Władze powinny o tym pamiętać, skoro próbują podnieść na niego rękę i przesłuchiwać go w tak haniebnym sposób.

Był wściekły z powodu wybuchu w Batawin. Wezwał Wielkiego Astrologa i jego młodszego pomocnika wraz z wszystkimi mniej ważnymi astrologami na szybkie spotkanie. Nie żeby się poradzić czy wysłuchać ich opinii, ale żeby przedstawić im swoje ostateczne decyzje. Rozmowa z nimi spowodowała u niego zawrót głowy. Potrafili błyskawicznie przenieść rozważania ze świata rzeczywistego do metafizycznego. Odkrył, że od dawna są skonfliktowani i że sytuacja wymknęła się spod kontroli, a teraz odbija się na nim osobiście. Ci astrologowie doprowadzą w końcu do jego zwolnienia, może nawet to on stanie przed sądem zamiast groźnego

zbrodniarza, na którego złapanie poświęcił, bez żadnego rezultatu, kilka ostatnich miesięcy.

– Wszyscy jesteście zwolnieni.

Powiedziawszy to, oczekiwał oznak zdziwienia na ich twarzach, ale oni wstali szybko, nic nie mówiąc. Krzyknął za Wielkim Astrologiem:

– Czemu nic nie odpowiesz?

– Znałem tę decyzję. Wszystko to przez mojego głupiego pomocnika. Jest moim wrogiem, zniszczył mnie. Nie masz z tym nic wspólnego, generale. Nie ponosisz winy.

Ta odpowiedź jeszcze bardziej zdezorientowała generała Surura. Z pewnością spojrzeli w karty albo lustra, albo sznury koralików z ziaren grochu, zanim przyszli się z nim spotkać. Wiedzieli o jego decyzji. Jednak spodziewał się innej reakcji. Myślał, że będą się z nim kłócić, błagać o wybaczenie, że obiecują razem z nim pracować nad rozwiązaniem powstałych problemów. W głębi duszy miał nadzieję, że zaoferują pomoc i że nie odwrócą się od niego tak po prostu. Nie znalazł w sobie siły, żeby odwołać swoją decyzję – w ten sposób okazałby słabość. Poza tym oni również nie byliby w stanie tak łatwo rozwiązać problemów, jakie pomiędzy nimi wyrosły. Biuro rozpadło się od środka, jego naprawa nie była już możliwa. Ich zwolnienie było jedynym sensownym krokiem. Tak oto został sam.

Wielki Astrolog wrócił do siebie. W spokoju spakował walizkę, potem wszedł do łazienki, natarł zarost wodą i mydłem, zdjął spinę do włosów. Wziął małe nożyczki i uciął brodę w połowie. Potem ciął dalej, tak że została mu krótka bródka, jak u religijnych mężczyzn. Tak oto prezentował się jego nowy wizerunek.

Zdjął teatralne ubranie i wrzucił je do kosza stojącego w łazience. Jakby kończyła się jego rola Wielkiego Astrologa w przedstawieniu dla dzieci. Założył białą koszulę w delikatny niebieski prążek, białe płócienne spodnie i letnie buty. Wziął walizkę i skierował się do wyjścia z wydziału w stronę swojego domu w dzielnicy Zafranijja na południu stolicy. Zauważył drobne czerwone ziarenka piasku na podłodze, a szukając swojego skórzanego etui na telefon komórkowy, natknął się na takie same ziarenka na swoim łóżku i w innych miejscach. Nim zdążył wyjść, przyszedł Młodszy

Astrolog. Mistrz uznał, że to zuchwałe z jego strony stawać z nim teraz twarzą w twarz. Jakby zaplanował sobie pojawienie się właśnie teraz, na sam koniec. Uczeń powiedział mu, że zostaje i będzie ostatnią osobą, która opuści ten budynek, mimo że widzi, jak jego mistrz odchodzi przed nim. Wielki Astrolog chciał mu wykrzyknąć w twarz: „Wszystko zniszczyłeś, głupcze!”. Być może myślał nawet przez chwilę, żeby go zaatakować, udusić swoimi starymi rękami. Ale co by to dało? Może kiedyś będzie miał sposobność ukarać go za to, co zrobił. Może go obserwować i wpływać na niego swoimi własnymi sposobami, mógłby go nawet zabić na miejscu, mimo że czegoś takiego jeszcze nigdy nie zrobił.

Młodszy Astrolog również zmienił ubranie, ale na piżamę. Patrzył na Wielkiego Astrologa w jego nowym stroju z pewną pogardą, jakby chciał go sobie takiego dobrze zapamiętać. Chwila upadku mistrza, który kiedyś był wybitny, a teraz staje się zwykłym człowiekiem.

Nie zamienili już ze sobą ani słowa, to był raczej dialog spojrzeń. Wielki Astrolog wyszedł wściekły, przepełniony goryczą, niosąc w ręku swoją małą walizkę.

Inni nie odeszli tak prędko. Czekali nastania kolejnego dnia, by wyjechać rankiem, bo niektórzy mieszkali w odległych prowincjach. Nie widzieli Wielkiego Astrologa, gdy opuszczał wydział. Byli ze sobą bardzo skłóceni. Każdy, co jeden, to głupszy, widział siebie na jego miejscu. Stali się sobie wrogami. Generał nie zdawał sobie sprawy, jak głębokie były te animozje. Decyzja o zwolnieniu, choć odważna, była mądrym krokiem i mogła tylko przysłużyć się sprawie.

Wielki Astrolog myślał o tych konfliktach, wsiadając do taksówki ze starym kierowcą. Powiedział, gdzie chce jechać, i umówili się co do ceny. Wielki Astrolog rzucił walizkę na tylne siedzenie, potem rozsiadł się wygodnie z przodu. Wyglądał jak duchowny ubrany po cywilnemu. Być może to właśnie jego wygląd sprawił, że kierowca poruszał z nim głównie tematy religijne. Gdy wspomniał coś o sektach i partiach politycznych, staremu astrologowi przypomniały się jego własne słowa wygłaszane podczas jednego z zebrań w Wydziale Inwigilacji i Ścigania.

– Tylko Bóg nie jest sekciarzem ani partyjnym – powiedział więc, komentując słowa taksówkarza. Po chwili zorientował się, że jadą pustą ulicą, nie widać ani

samochodów, ani przechodniów. Kierowca zwolnił i zdawało się, że nie wie, dokąd jechać. Patrzył do przodu zza grubych okularów, potem odwrócił głowę, żeby spojrzeć za siebie. Przełknął ślinę i powiedział:

– Zdaje się, że zgubiłem drogę.

Zawrócił, by znaleźć się znów na trasie, którą przyjechali, ale zobaczył, że Amerykanie w międzyczasie zablokowali mu przejazd swoimi samochodami. Jeden z żołnierzy świecił kierowcom w oczy, zlecając im obranie bocznej uliczki. Na końcu ulicy, w którą skręcili, kierowca zorientował się, że znów nie wie, dokąd jechać. Zatrzymał się przy chodniku i powiedział staremu astrologowi:

– Bracie, przepraszam. Mój dom jest za tymi budynkami. Nie chcę zapłaty, proszę tylko, wysiądź, znajdź sobie inną taksówkę. Nie podoba mi się ta okolica.

Wielki Astrolog próbował z nim dyskutować i zachęcić, by jednak jechali dalej, ale stary kierowca upierał się, żeby zakończyć pracę, więc wysiadł. Auto odjechało prędko, a astrolog został na ulicy, czekając na inną taksówkę.

Po dwóch minutach zorientował się, że lepiej będzie znaleźć się w jakiejś bardziej ruchliwej okolicy. Skręcił więc w przecznicę prowadzącą do głównej drogi. Idąc, miał wrażenie, że ulica się wydłuża, wokół było całkiem ciemno, wręcz nienaturalnie. Nie bał się. Przyzwyczał się przez lata do udawania, że wie o pewnych rzeczach, nawet jeśli nie miał o nich pojęcia. A mimo to jego twierdzenia bardzo często okazywały się słuszne. W końcu osiągnął stan, w którym już nie wiedział, czy udaje, czy naprawdę odkrywa rzeczy.

Wiedział, albo tylko udawał przed sobą, że wie, co zdarzy się tej nocy. Nie było więc powodu się bać – przecież nie bał się przy poprzednich tego rodzaju doświadczeniach. Wiedział jednak, że ta noc będzie zupełnie inna, że dane mu będzie posmakować końca.

Przez tę plataninę myśli w głowie czuł się wyczerpany i przypomniało mu się, że nie zjadł w biurze obiadu, a minęła już pora kolacji. Poza tym był przecież starym, słabym człowiekiem. Nawet ta mała walizka była dla niego ciężka. Szedł dalej ciemną boczną uliczką. Nagle zza okularów o okrągłych oprawkach, które były jedyną rzeczą, jaka mu pozostała po fikuśnym stroju czarnoksiężnika, zobaczył wyłaniającą się

pośrodku ulicy ciemną postać mężczyzny. Nie przybliżał się do niego ani od niego nie oddalał – nic nie robił. Stał i patrzył, jakby oczekiwał jego przybycia.

Zaschło mu w gardle i jednocześnie przypomniał sobie, że nie wziął ze sobą na wszelki wypadek butelki wody mineralnej z wydziałowej lodówki. Przełknął ślinę i zatrzymał się w odległości dwóch metrów od dziwnej ciemnej postaci. Ma się do niego odezwać? A może go po prostu ominie i będzie szedł dalej aż do końca ulicy? Nie był na tyle naiwny, by tego spróbować. Wiedział, albo tak sądził, że spotkanie, którego oczekiwał od dawna, dokona się tutaj; nie chciał okazać strachu lub słabości. Jest od niego starszy, godność nie pozwala mu przyjąć roli ofiary, błagać kata o litość.

– Ten długi mur to ogrodzenie szkół dla dziewcząt, podstawowych i średnich. Tamto to lokale handlowe, warsztaty samochodowe, a nad nimi znajdują się biura, które ich właściciele zamykają godzinę przed zachodem słońca i odjeżdżają. Może pojawi się jakiś samochód i przetnie ulicę. Może się nie pojawi.

– Sądzisz, że się boję? Nie zamierzam nikogo wzywać na pomoc – odpowiedział Wielki Astrolog na słowa człowieka o twarzy ukrytej w mroku. Pozwolił walizce wysliznąć mu się z dłoni i uderzyć delikatnie o ziemię. Jakby potrzebował obydwu rąk, by porozmawiać z duchem groźnego przestępcy, którego od wielu dni pragnął zobaczyć. Po to pojechał na ulicę Siódmą w dzielnicy Batawin. Nie wiedział, ile może potrwać ich rozmowa, ale chciał, nim dobiegnie ona końca, zobaczyć jego twarz. Dlaczego nie udało mu się odgadnąć jego rysów? Dlaczego również i teraz przestępca stoi tyłem do świateł ulicy?

– Zanim cokolwiek zrobisz, musisz wiedzieć, że to wszystko było zaplanowane przez mojego ucznia, Młodszeo Astrologa. Nie udało mu się zabić cię tamtego dnia za pomocą samochodu pułapki, więc teraz wykorzystuje cię, żebyś zabił mnie. To rozgrywka pomiędzy mną a nim, a ty jesteś w niej tylko narzędziem.

– Chcesz powiedzieć, że mnie uratowałeś tamtego poranka?

– Nie, nie będę kłamał. Chciałem cię złapać. Choćby po to, żeby zobaczyć twoją twarz.

– A ja chcę tych kart, których używałeś, żeby mnie znaleźć. Chcę też twoich rąk.

– Wyrzuciłem karty do kosza. Nie będę cię już szukał, odchodzę na emeryturę.

- Karty nie są ważne, chodzi raczej o ręce, które rozkładają karty.
- Chciałbym zobaczyć twoją twarz, jeśli można.
- Co ci z tego przyjdzie? Moja twarz cały czas się zmienia. Nie mam twarzy.
- Pozwól mi spojrzeć.

Bezimienny, podszedł do starego człowieka i złapał go za ręce. Ścisnął je z całej siły, aż astrolog poczuł, że opada z sił i nie jest już w stanie dłużej stać. Po chwili osunął się na kolana. Przestępca ciągle ścisnął jego ręce.

- To nie jest twoja walka. Nie rozumiesz. To nie jest twoja walka.

Głos astrologa drżał, jakby mężczyzna tracił nieco ze swojego uporu i zaczynał błagać. Chwilę potem, gdy starzec wciąż wyteżał wzrok zza okrągłych okularów, by ujrzeć cokolwiek z zacienionej twarzy przestępcy ducha, nagle uderzyła w nią wiązka światła samochodu, który wyłonił się w oddali i chyba zamierzał skręcić w ciemną ulicę, gdzie się znajdowali. Wreszcie zobaczył tę twarz. To dobry koniec jego dramatycznego życia. Nawet ze swoimi kartami i czarnoksięskimi zabawami nie wierzył, że kiedyś mu się uda ujrzeć te rysy. Jakiś głos w głowie mówił mu, że wszystko, co przeżył, to kłamstwa, a on tak głęboko był w nich zanurzony, że sam zaczął w nie wierzyć. Przyszedł taki dzień w jego przeszłości, że zapomniał, że to wszystko nieprawda.

Ta twarz, którą teraz widział po raz pierwszy i ostatni, też była z przeszłości. Znał ją, ale potrzebował więcej czasu, żeby sobie przypomnieć, do kogo należała. Kto był jej właścicielem?

Później, opadając już na asfalt opustoszałej ulicy, uświadomił sobie, że była ona złożona z wielu różnych twarzy z jego odległej przeszłości. A sądził, że jego własna przeszłość nie ma żadnych rysów. Teraz oto ujawniły się przed nim tutaj, podczas krótkiej chwili, jakiej potrzebował nieznany samochód, by wykonać skręt.

Kierowca wycofał się z pomysłu skręcenia w ciemną, boczną uliczkę, gdy zobaczył na jej środku podejrzaną scenę. Jakiś człowiek szybko i z zaangażowaniem odrąbał ręce leżącemu na asfalcie mężczyźnie, posługując się szerokim połyskującym toporem.

Autor

1

Poznałem Mahmuda Rijada Sawadiego w kafejce Bagdadi w Karradzie. Roilo się tam od intelektualistów, pisarzy, aktorów, reżyserów i malarzy. Podłużne metalowe ławki ustawione na chodniku nie były w stanie pomieścić wszystkich gości, szczególnie po zachodzie słońca, kiedy łagodniał nieco letni upał i temperatura stawała się do zniesienia.

Pijąc spokojnie herbatę, zobaczyłem go, jak próbował sprzedać swój drogocenny zegarek marki Rolex i laptopa. Zdaje się, że udało mu się dogadać w tej kwestii z jakimiś znajomymi. Nie wyglądał dobrze, miał na sobie brudne ubranie, jego włosy były w nieładzie. Wyglądał, jakby nie mył się i nie przebierał od wielu dni. Wykonał kilka połączeń, chodząc tam i z powrotem po chodniku. Gdy skończył, wyłączył telefon i wyjął z niego kartę SIM. Wrócił prędko do grupy swoich przyjaciół, wręczył jednemu z nich telefon i czekał, aż otrzyma zapłatę. Nie sprzedawał więc tylko niepotrzebnych rzeczy. Spieszyło mu się, by uzbierać konkretną kwotę. Czy zamierzał wydać je na przykład na alkohol?

Wyjął z kieszeni małe urządzenie na srebrnym sznurku do powieszenia na szyi, jak się okazało, dyktafon. Rozmawiał o nim z przyjaciółmi, niektórzy zaczęli się śmiać, potem on też zaczął się śmiać. Ale nie był to szczery śmiech, raczej nerwowy i niepewny. Zobaczyłem, jak jeden z jego przyjaciół wskazuje palcem w kierunku metalowych ławek przy dużym stole, gdzie siedziałem razem z innymi. Może

doradzili mu, żeby zaproponował któremuś z nas zakup sprzętu. Gdy Mahmud podszedł, spojrzałem na niego, a on od razu skierował swoje słowa do mnie, pomijając innych, próbując szczęścia właśnie ze mną.

Jego propozycja była dziwna. Życzył sobie czterystu dolarów za dyktafon marki Panasonic. Sto dolarów to cena dyktafonu, trzysta – cena historii, która jest zapisana w jego pamięci. To najdziwniejsza opowieść, jaką słyszał, i taki pisarz jak ja może ją wykorzystać w jakiejś wielkiej powieści.

Zanim jeszcze do mnie podszedł, postanowiłem sobie, że kupię od niego dyktafon. Nie dlatego, że go potrzebowałem – chciałem pomóc. Upewniłem się w tej decyzji, gdy powiedział, że ma poważne długi, które musi spłacić, nim wyjedzie do swojej rodziny w prowincji Majsan. Nie spodziewałem się jednak kupować historii, a tym bardziej wydać czterystu dolarów. Nie miałem takiej kwoty.

Ciekawość skłoniła mnie do wysłuchania tego człowieka. Nie wyglądał mi na zaburzonego ani chorego psychicznie. Nie wydawało się też, żeby zwodził innych dla wyłudzenia pieniędzy. Był inteligentny, mówił poprawnym językiem. Ale przechodził kryzys i jego sytuacja była trudna. Czułem, że zasługuje na pomoc, dlatego powiedziałem mu:

– Zapłacę ci trzysta dolarów, na tyle mnie stać. Mam ze sobą dwieście, a sto mogę pożyczyć od właściciela hotelu, w którym się zatrzymałem.

– Ale chcę je teraz. Trzysta dolarów teraz, inaczej nie pozbędę się projektantki.

– Kogo?

– Dziewczyny, która projektuje strony w gazecie. Wciąż domaga się wypłaty.

Zagłębił się w opowiadaniu o swoich problemach z tą dziewczyną i innymi pracownikami redakcji, którzy dowiedzieli się, że mieszka w hotelu Dilszad, i zrobili mu scenę w recepcji, domagając się zaległych wypłat, których wciąż nie otrzymali po zamknięciu gazety, ucieczce Saidiego oraz jego księgowego.

Zapłaciłem za herbatę swoją i Mahmuda i poszedłem w jego towarzystwie do pobliskiej restauracji, wziąłem na wynos kolację i ruszyliśmy w kierunku hotelu Fanar przy ulicy Abu Nuwasa, gdzie mieszkałem. Wypiliśmy po kieliszku whisky z butelki, którą trzymam w lodówce w swoim pokoju. Zjedliśmy kolację. Zapytałem go:

– Dlaczego po prostu nie zwiejesz? Przecież i tak wracasz do Al-Amary. Możesz uciec i zostawić ich wszystkich, skoro to nie ty jesteś sprawcą ich problemów.

– Nie mogę. Są biedni. Ja dostawałem duże wynagrodzenie w gazecie, pensję i bonusy. Czuję się odpowiedzialny za te problemy. Nie chcę, żeby mnie przeklinali albo umieścili na tej samej liście razem z Saidim i jego księgowym.

Była to dziwna, przepełniona idealizmem postawa. Ale wzbudziła mój podziw. W trakcie kolacji założyłem słuchawki i wysłuchałem kilku przypadkowych fragmentów historii. Mahmud twierdził, że całość trwa ponad dziesięć godzin. Naprawdę była ekscytująca.

Ostatecznie dałem mu czterysta dolarów, o które prosił. Umówiliśmy się na spotkanie następnego dnia. Obiecałem, że przesłucham wszystkie nagrania. Chciałem go odwiedzić do hotelu, ale powiedział, że się przejdzie. Hotel Dilszad nie był daleko. Dałem mu więc odejść, choć jakaś część mnie podejrzewała, że ten młody chłopak zrobił mnie w balona. Że już więcej się nie pojawi. Odegrał swoją rolę dobrze, udało mu się wyciągnąć ode mnie sumę, o jaką mu chodziło. Nie wybrał mnie przypadkowo, prawdopodobnie dowiedział się czegoś o mnie, skąd inaczej wzięłoby się jego zaufanie? Nie idzie się tak łatwo i bez wahania z obcą osobą do hotelu.

Oszukał mnie. Ale czyż nie robimy tak zawsze? Oszukujemy siebie nawzajem, a najbardziej wtedy, kiedy szczerze wierzymy w to, co mówimy. Dziś on mnie oszukał, jutro ja kogoś oszukam, również w dobrej intencji, i tak dalej. Byłem zajęty pisaniem powieści *Podróż niepewna i ostatnia*, nie chciałem jej porzucać dla jakiejś niedokończonej opowieści zawartej w nagraniach. Wiele zmieniło się wraz z mailem, jaki otrzymałem któregoś poranka od osoby, która sama nazywała siebie „Drugim Pomocnikiem”. Twierdził, że zna mnie przez naszych wspólnych znajomych. Ufał mi, ale nie chciał w obecnej sytuacji zdradzać mi swojej tożsamości, żeby chronić mnie i siebie. W ciągu następnych kilku dni Drugi Pomocnik przesłał mi różne dokumenty, które jego zdaniem powinny ujrzeć światło dzienne. Wiązały się z działalnością agendy nazwanej Wydziałem Inwigilacji i Ścigania. Jakże byłem podekscytowany, gdy odkryłem, że dokumenty te dotyczą wydarzeń, o których mówiły nagrania Mahmuda Sawadiego!

Postawiłem butelkę whisky na plastikowym stoliku na balkonie hotelu, usiadłem i piłem spokojnie, z rozkoszą. Zapomniałem o swojej powieści. Zająłem się wdychaniem zapachu drzew, który przynosiły wilgotne nocne poddmuchy wiatru od rzeki, i słuchałem na nowo z dyktafonu wyznań Mahmuda Sawadiego i opowieści przestępcy bez imienia.

2

Przesłuchanie Mahmuda Sawadiego pierwszego dnia aresztu trwało wiele godzin. Nie zdołali wiele z niego wyciągnąć. Nie chcieli więzić go długo, choć grozili, że wniosą przeciwko niemu sprawę do sądu. Jednak jedynym celem było wyciągnięcie od niego potrzebnych im informacji na temat Alego Bahira Saidiego, ich wzajemnych relacji, miejsca ukrycia pieniędzy, jego kont bankowych i stanu posiadania.

Już wcześniej położyli łapę na domu w pobliżu placu Andalus, który kupił od starego Amiriego, oraz jego domu rodzinnym, który okazał się wynajęty. Skonfiskowali samochody, meble, inne dobra w siedzibie redakcji i w jego obydwu domach, ale nawet mając to wszystko, nie odzyskali choćby dziesięciu procent sumy, którą ich zdaniem ukradł.

– Jestem tylko jego pracownikiem, pobieram od niego wynagrodzenie – Mahmud powtarzał to zdanie wielokrotnie podczas przesłuchania i miało się wrażenie, że mówi prawdę. Opowiadał, żywo gestykulując, a jego oczy, dłonie i wyraz twarzy zdradzały niewinność oraz to, że nie miał ze sprawą nic wspólnego. Nie bili go, jak się spodziewał. Nic złego mu nie zrobili. Noc spędził w areszcie z innymi zatrzymanymi, a rano został wezwany do podpisania oświadczenia. Oddali mu portfel, telefon komórkowy i resztę rzeczy, potem odprowadzili go do drzwi, powtarzając jeszcze raz, że musi współpracować i informować o każdej nowej rzeczy, jakiej dowie się na temat oskarżonego Saidiego.

To wszystko było z jego punktu widzenia dopiero początkiem tragedii. Został teraz bez pieniędzy. Stracił swoją wspaniałą posadę. Czekał na koniec miesiąca, żeby

po otrzymaniu wypłaty spłacić dług w hotelu, w którym mieszkał. Ponadto nie mógł już pracować jako zwykły dziennikarz w tej czy innej gazecie. Przez ostatnie miesiące z całych sił starał się zachowywać jak naczelny gazety „Haqiqā” i ten swój nowy image wpoił innym. Stałby się pośmiewiskiem, starając się o pracę zwykłego dziennikarza. Być może któryś z jego dawnych przyjaciół, których mógł w przeszłości źle potraktować, teraz zostałby jego szefem. Zresztą w tej chwili i tak nie był w stanie myśleć o nowej pracy, w szczególności jeśli miałyby to być praca niezapewniająca mu standardu życia, do jakiego przyzwyczał go Saidi – życia pełnego drobnych przyjemności, na które pozwalał sobie bez umiaru, nie myśląc o przyszłości. Niepotrzebnie tak bardzo zaufał Saidiemu. Potem pojawił się problem pracujących w gazecie dziennikarzy, którzy domagali się zapłaty za ostatni miesiąc. Po głośnym skandalu rozplłynęli się w powietrzu i Mahmud nie spodziewał się zobaczyć ich ponownie. Nagle jednak dziennikarze i projektanci pojawili się w recepcji jego hotelu, a Mahmud od razu zorientował się, że byli to najbardziej roszczeniowi spośród pracowników. Dobrze zdawali sobie sprawę, że to nie Mahmud był odpowiedzialny za ich wypłaty. Sprzedał swoje eleganckie ubrania i buty na stoiskach z używaną odzieżą przy Bramie Wschodniej. Następnie dogadał się z przyjaciółmi co do kupna pozostałych jego rzeczy. Umówił się z nimi w kawiarni Erchito, a zanim sprzedał telefon jednemu z przyjaciół, wykonał trzy ostatnie połączenia. Pierwsze do swojego najstarszego brata Abdullaha. Powiedział mu, że w najbliższych dniach przyjedzie do Al-Amāry.

– Czemu wracasz? Nie jest ci dobrze w Bagdadzie?

– Nie, stęskniłem się za wami. Bagdad zmierza ku wojnie domowej, boję się, że któregoś dnia zabije mnie samochód pułapka.

– Ale masz tam pracę. Postaraj się być ostrożny.

– Ci wszyscy, którzy codziennie umierają na ulicach, zazwyczaj są ostrożni.

– Nie rozumiem, Mahmud. Przecież wiesz, że nasz przyjaciel stał się teraz ważną osobistością w prowincji. Co, jeśli cię rozpozna i narobi problemów?

– Nie będzie mnie pamiętał. Jest teraz zbyt zajęty rozkoszowaniem się władzą i jej urokami. Sprawa mojego artykułu się przedawniła.

– Jak chcesz, bracie. Wiesz, że za tobą tęsknimy.

– Dobrze więc, wracam. Nie dzwoń na ten telefon, bo właśnie go sprzedałem. Po powrocie opowiem ci, co się tu wydarzyło.

– Dobrze, jak Bóg da, wracaj bezpiecznie.

Następnie zadzwonił do przyjaciela Hazima Abuda, który robił zdjęcia dla amerykańskich oddziałów zbrojnych. Powiedział, że wróci do Bagdadu dopiero w przyszłym tygodniu. Może wysłać Mahmudowi na adres mailowy kilka ekscytujących zdjęć do gazety.

– O jakiej gazecie mówisz? Przecież została zamknięta. Myślałem, że się z tobą spotkam przed powrotem do Al-Amary.

Hazim nie miał o niczym pojęcia. Rozmawiali jeszcze przez trzy minuty, ale gdy Mahmud upewnił się, że nie zobaczy się z przyjacielem, zakończył połączenie i zaczął wyszukiwanie innego numeru. A ściślej rzecz ujmując, numeru oznaczającego imię. Na ekranie wyświetliło się 666, więc nacisnął słuchawkę i przyłożył telefon do ucha. Odpowiedział mu automat: „Wybrany numer nie istnieje albo abonent jest poza zasięgiem, prosimy...”.

Chciał tylko usłyszeć jej głos. Albo umówić się z nią po raz ostatni, zanim ostatecznie opuści Bagdad. Nie wierzył słowom Saidiego ani jego kierowcy Sultana. Kłamali, chcieli mu ją zohydzić. Kochał ją i wiedział, że miałby u niej szansę, gdyby tylko sprawy miały się lepiej. Ale sprawy miały się bardzo źle. Nadzieja jednak pozostała. Teraz, gdy cały świat mu się walił, mógł skupić się na swoich własnych uczuciach i miał już pewność, że ją kocha, i to bardzo. W tej sprawie nie potrafił samego siebie oszukać. Nie była najpiękniejszą kobietą na świecie i była od niego dużo starsza, ale gdyby teraz zamiast automatu w słuchawce usłyszał jej głos, byłoby to wystarczającym powodem, by pozostać w Bagdadzie, nawet gdyby znów miał zamieszkać w którymś z dusznych i wilgotnych pokoi hotelu Uruba. Pracowałby w jakiegokolwiek gazecie czy czasopiśmie. Nieważne, ile by mu płacili. Ona jedna byłaby teraz w stanie uciszyć głos rozsądku w jego głowie i poprowadzić go w stronę szaleństwa. Szaleństwa i nadziei, których tak teraz potrzebował.

Jeszcze raz wybrał jej numer i usłyszał tę samą automatyczną odpowiedź.

Ogarnęło go silne uczucie goryczy. Zdawało mu się, że noc spowiła jego duszę, noc tak gęsta, jakby miała się nigdy nie skończyć. Zdjął obudowę telefonu i usunął baterię, żeby wyjąć kartę SIM. Na powrót włożył baterię. Potem oddał telefon przyjacielowi. Włożył kartę do kieszeni i wyjął dyktafon, żeby spróbować go sprzedać.

Mahmud przekazał mi te wszystkie szczegóły w ciągu dwóch dni, a ja przesłuchałem nagrania na dyktafonie. Uderzyło mnie, że głos należący podobno do człowieka, którego Mahmud nazwał Frankensteinem, był głęboki i przypominał jakiegoś znanego prezentera telewizyjnego. Zacząłem podejrzewać, że cała historia jest sfabrykowana. Ale po tygodniu, w jednym z korytarzy szpitala Al-Kindiego, usłyszałem ten głos po raz drugi, gdy siedziałem przy łóżku staruszka nazywanego Abu Salimem. Mówił dokładnie tym samym tonem i opowiedział mi wiele innych szczegółów związanych z historią tegoż Frankensteina. Nie byłem całkiem pewny, czy obydwa głosy należą do tej samej osoby, ale historia pochłonęła mnie w zupełności i zacząłem szukać innych źródeł jej potwierdzenia.

Mahmud zamknął wszystkie swoje sprawy i uwolnił się od pościgu byłych pracowników gazety „Haqīqa”. Spakował swoją małą walizkę, tę samą, z którą przyjechał do Bagdadu z prowincji Majsan. Zamknął rachunek w hotelu Dilszad.

Ogień w Bagdadzie miał rozgorzeć jeszcze bardziej. Rozsądnie było się teraz oddalić na południe. To samo niebawem zrobi wielu jego przyjaciół. Farid Szawwaf wróci do swojej małej wioski niedaleko Ishaqi, na północ od Bagdadu. Zerwie na jakiś czas z blaskiem telewizji satelitarnej i eleganckimi garniturami. Zaid Murszid pojedzie do miasteczka Hilla, zaś Adnan Anwar uda się do Nadżaf, gdzie ma rodzinę i wujków. Jeśli zaś chodzi o Hazima Abuda, to ze względu na swoją pracę fotografa prasowego nie będzie mógł wrócić do dzielnicy Sadr, nie znajdzie też hotelu Uruba na swoim miejscu, ani też Abu Anmara. Ostatecznie w innym tanim hotelu będzie dzielił pokój ze swoim kolegą, również fotografem.

Abu Salim wyszedł ze szpitala Al-Kindiego o kulach. Przyszli po niego synowie. Nie zabrali go do swojego domu na ulicy Siódmej, lecz do domu męża jednej z córek Abu Salima. Miał tam pozostać do czasu, gdy uda się odbudować fasadę zwaloną podczas wybuchu.

Organizacje i towarzystwa archeologiczne zaapelowały o wstrzymanie prac zasypywania dziury, którą pozostawił po sobie wybuch, ze względu na mur odkryty pośrodku jeziora ścieków i wody pitnej wypływających ze zniszczonych rur. Niektórzy upierali się, że jest to część muru otaczającego dawną abbasydzką^[18] stolicę i że mają do czynienia z najważniejszym odkryciem archeologicznym w islamskim Bagdadzie od wielu dekad. Niektórzy wysuwali nawet odważną tezę o korzyściach płynących z terroryzmu. Cóż innego doprowadziło do tego ważnego odkrycia? Jednakże władze zaskoczyły wszystkich, ignorując całą tę dyskusję i zasypując dziurę ziemią. Oficjalny rzecznik miasta oświadczył: „Nie robimy niczego złego. Zachowamy te zabytki dla przyszłych pokoleń, a one postąpią z nimi wedle swojej wiedzy. Jeśli uznają za słuszne usunięcie ich z dzielnicy Batawin, będzie to ich sprawa. Naszym zaś zadaniem w tej chwili jest wybrukować ulicę”.

Abu Salim wyszedł ze szpitala, ale została w nim inna osoba z ulicy Siódmej. Był to Hadi, sprzedawca staroci. Zdjęto mu bandaż z twarzy i rąk, ale nie był jeszcze zdolny wstać z łóżka i opuścić szpitala. Leżąc tak, rozpamiętywał, co mu się przytrafiło. Myślał o swoim zniszczonym domu, który teraz z pewnością się zawalił i naprawdę, a nie tylko z nazwy stał się ruiną. Ale czy to na pewno był jego dom? Pewnie jeszcze długo tu poleży, kto wie, czy po wyjściu nie okaże się, że Faradž pozbył się ruiny i postawił budynek na nowo, a potem umieścił go pod własnym nazwiskiem w rejestrze nieruchomości.

Najpierw musi wyzdrowieć. Musi wyratować się z tej opresji, a rozwiązanie jego sytuacji znajdzie się samo – powtarzał sobie, żeby się uspokoić. Jednocześnie co rusz próbował podnieść się z łóżka. Nużyło go to ciągłe leżenie.

Pewnego wieczoru miał tak wypełniony pęcherz, że nie wytrzymał i jeszcze raz spróbował wstać. Było spokojnie, inni pacjenci spali, pielęgniarki siedziały w dyżurce daleko od sali chorych. Uniósł się i podciągnął nogi owinięte grubą warstwą bandaża,

potem spokojnie opuścił je na podłogę, aż wyczuł palcami chłód posadzki. Po kilku minutach stał, utrzymując równowagę. Nadeszła pora zrobić krok. W każdej chwili mógł upaść na twarz. Dyżurne zorientowałyby się nie wcześniej niż po godzinie lub dwóch. Byłoby źle, gdyby tak się stało. Ale zaczął powoli kroczyć, przytrzymując się łóżek innych pacjentów, które pod wpływem nacisku odjeżdżały nieco na kółkach. Złapał się ściany i zaczął iść powolnymi, ciężkimi krokami w stronę łazienki. Tam, zanim jeszcze zdążył się zastanowić, jak wyjąć spod bandażu członek, żeby móc oddać mocz, zauważył swoje odbicie w łazienkowym lusterku. Zapomniał o pełnym pęcherzu i podszedł do lustra. Wpatrywał się w swoją nową, zniekształconą przez ogień twarz. Wiedział o poparzeniach, odkąd się wybudził ze śpiączki kilka dni wcześniej. Odkąd zdjęto mu z rąk bandaż i mógł zobaczyć mapy, które narysował na nich pożar. Ale spodziewał się, że jego twarz będzie w lepszym stanie. Teraz doznał szoku. Stał się odrażającą istotą. Nawet jeśli wyzdrowieje, nikt już nie przywróci mu dawnego wyglądu i dawnej postaci. Przejęty potarł ręką lustro, aby się upewnić. Zbliżył się, żeby zobaczyć wszystkie detale swoich zniekształceń. Chciał zapłakać, zrobić cokolwiek. Im dłużej się wpatrywał w swoje odbicie, tym bardziej oczywisty stawał się dla niego pewien fakt. To nie była twarz Hadiego, sprzedawcy staroci. To twarz, którą bardzo dobrze znał. Kogoś, kto, jak sam siebie przekonał przed wieloma miesiącami, był tylko wytworem jego bujnej wyobraźni. Teraz widział go przed sobą. Człowieka, którego nazywał Jak-mu-tam. Koszmar, który odcisnął piętno na jego życiu, nie zostawiając nadziei na powrót do tego, co było. Hadi wydał rozdzierający krzyk, który obudził pacjentów śpiących na korytarzu. Jego samego również przeraził, tak że aż stracił równowagę. Noga w gipsie pośliznęła się na płytkach i Hadi upadł do tyłu, uderzył głową o kant sedesu i stracił przytomność.

4

Jego twarz cały czas się zmienia, tak jak powiedział Wielkiemu Astrologowi tej nocy, kiedy pozbawił go życia. Żadna jego część nie żyje długo, poza wolą przetrwania.

Zabija, żeby żyć. To jego jedyne usprawiedliwienie. Nie chce się rozpaść, przestać istnieć. Nikt nie chce umierać, nie rozumiejąc, dlaczego umiera, dokąd pójdzie po śmierci. On nie znał jeszcze odpowiedzi na te pytania. Dlatego kurczowo trzymał się życia. Być może nawet bardziej niż inni, którzy oddawali części swojego ciała tylko z powodu strachu. Oni nie walczyli o swoje życie – dlatego on zasługiwał na nie bardziej. Nawet jeśli byli pewni, że nie są zdolni go pokonać, powinni przynajmniej walczyć. Czy honorowo jest poddać się bez walki? A przecież to walka w obronie życia. Jedyne, jakie mieli. To jedyna walka, jaką warto stoczyć.

Stawał się coraz bardziej znany, choć mówiono o nim różnie. W dzielnicy Sadr na przykład uważano, że jest wahhabitą^[19], zaś opowieści krążące w Azamijji przedstawiały go jako szyickiego ekstremistę. Rząd iracki widział w nim agenta sił zagranicznych. Natomiast rzecznik amerykańskiego Departamentu Stanu oświadczył, że ten wielce podstępny osobnik obrał sobie za cel zniszczenie amerykańskiego projektu w Iraku.

Ale co to za projekt? Zdaniem generała Surura ich projektem było właśnie stworzenie tego osobnika. Stworzenie Frankensteina i wypuszczenie go na wolność w Bagdadzie. To Amerykanie stali za tym potworem.

Ludzie w kawiarniach opowiadali sobie historie o spotkaniach z nim w biały dzień. Prześcigali się w opisywaniu jego ohydnej twarzy. Siadał z nimi w restauracjach, wchodził do sklepów z ubraniami, jeździł autobusami. Był wszędzie. Miał zdolność niezwykle szybkiego poruszania się – potrafił skakać nocą po dachach i ścianach domów. Nikt nie wiedział, kto będzie jego następną ofiarą. I pomimo zapewnień ze strony rządu obywatele z każdym dniem zaczęli nabierać coraz większej pewności, że ten zbrodniarz nigdy nie umrze. Zнали dobrze historie o pociskach, które przesywają jego ciało na wylot, a on kontynuuje bieg, jak gdyby nigdy nic. Wiedzieli, że nigdy nie krwawi. Nikomu nie pozwala zobaczyć swojej twarzy, chyba że na kilka sekund. Jedyne obraz tego człowieka przechowywany był w ludzkich głowach, dokarmiany przez strach, wyolbrzymiany przez rozpacz wywołaną wszechobecną śmiercią. Jego wersji było tak wiele jak zmartwionych, śpiących ostrożnie na poduszkach głów.

Nawet ja, im dłużej zagłębiałem się w tę historię, czułem coraz większy niepokój. Nocami na ulicach rozglądałem się na boki w poszukiwaniu mrocznych rysów groźnego przestępcy. Zastanawiałem się, jaki mógłby mieć powód, by mnie zabić.

5

Surur Muhammad Madzid został odesłany na przymusową emeryturę. To była ostatnia informacja, jaką otrzymałem. Jednak generał nie odpuścił. Wykorzystał starych znajomych z kadry oficerskiej, których sytuacja była obecnie lepsza niż jego. Ostatecznie udało mu się wrócić do służby, lecz już nie w Wydziale Inwigilacji i Ścigania, bo ten został rozwiązany. Surura zesłano poza stolicę, by pracował jako zwykły oficer służb bezpieczeństwa na jednej z komend policji. Znów udało mu się umknąć przed czystką mającą na celu pozbycie się byłych członków partii Baas z organów państwowych.

W ciągu ostatnich miesięcy często zagłębiałem się do Batawin, żeby zebrać jak najwięcej elementów układanki tworzącej obraz Frankensteina. Siadywałem w kawiarni Aziza Egipcjanina. Raz uciałem sobie z nim krótką pogawędkę. Na koniec powiedział mi, że od dnia wybuchu nie miał żadnych wiadomości na temat Hadiego. Odwiedził go dwa razy w szpitalu: za pierwszym razem Hadi był w śpiączce, za drugim mówienie sprawiało mu trudność, bo twarz, podobnie jak inne części ciała, miał owiniętą bandażem. Aziz uznał, że wyjdzie z tego. Za trzecim razem lekarze powiedzieli mu, że Hadi, nikomu nic nie mówiąc, opuścił szpital.

Nie udało mi się porozmawiać z agentem nieruchomości Faradzem. Większość czasu spędzał w domu. Jeden z jego synów przejął obowiązki związane z prowadzeniem biura. Umm Salim nie pozwoliła mi na kolejne odwiedziny u męża po naszym pierwszym ekscytującym spotkaniu w szpitalu Al-Kindiego. Zadzwońłem za to do ojca Jozjasza. Odwiedziłem go w kościele i od niego dowiedziałem się różnych szczegółów historii Umm Daniel, jej zaginionego syna, córek w Australii i diakona Nadira Szamoniego.

W wiadomościach przesyłanych z prowincji Majsan Mahmud poinformował mnie o swoich ostatnich kontaktach z uciekającym przed wymiarem sprawiedliwości Alim Bahirem Saidim. Przekazał mi wieści na temat tego, co się z nim stało. Gdy zobaczyłem jego zdjęcie dołączone do jednego z artykułów opublikowanych w którymś ze starych numerów gazety, przypomniałem sobie, że już go widziałem. Było to przed laty, podczas konferencji zorganizowanej w sali Teatru Narodowego. Saidi był elokwentny i błyskotliwy. Jego słowa zachwyciły wielu obecnych, miał zdolność przekonywania innych do swoich idei. Rozbudził we mnie wówczas nadzieję, że ludzie tacy jak on nabiorą kiedyś odwagi, by wejść na arenę polityki w miejsce tych wszystkich półinteligentów i półanalfabetów.

Odwiedziłem szpital Al-Kindiego dwukrotnie. Od jego pracowników dowiedziałem się, co stało się z Hadim po tym, jak odkrył zniekształcenia swojej twarzy. Potwierdzili, że zniknął.

Drugi Pomocnik wciąż dostarczał mi pocztą elektroniczną coraz to nowe dokumenty dotyczące działań Wydziału Inwigilacji i Ścigania, a w szczególności przesłuchań.

Ostatni przesłany przez niego dokument zawierał zeznania Młodszeo Astrologa, który przyznał się, że jest odpowiedzialny za zabójstwo swojego mistrza w jednej z uliczek Bagdadu. Dokonał tego za pomocą sugestii przesłanej na odległość bezimiennemu przestępcy, który po wykonaniu zadania odrąbał Wielkiemu Astrologowi ręce i przyczepił je sobie. Ale Młodszy Astrolog stanowczo zaprzeczył, że to on stworzył tego przestępcę. Udało mu się go wykorzystać do swoich celów, to wszystko. Chciał się go pozbyć i udałooby się to, gdyby nie interwencja jego mistrza, który pragnął czegoś innego. A to wszystko z powodu konfliktu, jaki pomiędzy nimi wyniknął.

Spisywałem historię z pewną dozą niepokoju, że któregoś dnia niespodziewanie otworzą się drzwi mojego pokoju w hotelu Fanar i zostanę aresztowany. I ostatecznie tak właśnie się stało. Trzymałem w ręku niedokończoną powieść złożoną z siedemnastu rozdziałów, gdy grzecznie poproszono mnie o udanie się przed komisję złożoną z amerykańskich i irackich oficerów. Skonfiskowano mi powieść, następnie

padło wiele pytań. Oficerowie byli bardzo uprzejmi, podali mi kubek wody, herbatę, pozwolili zapalić. Nic nieprzyjemnego mnie z ich strony nie spotkało. Pytali o dokumenty, które otrzymałem, i o to, co z nimi zrobiłem, chcieli wiedzieć, kim jest Drugi Pomocnik. Jeśli jest drugim, to znaczy, że jest jakiś pierwszy – czyimi pomocnikami są ci dwaj? Moimi? Czy stoję na czele jakiejś sieci? Jakie są moje kontakty w kraju i poza nim? Jakie są moje przekonania polityczne?

Osadzono mnie na kilka dni w areszcie, do czasu aż specjaliści przeanalizują moją niedokończoną powieść. Następnie któregoś poranka członkowie komisji wezwali mnie do siebie. Nie rozmawiali ze mną długo. Zobaczyłem oświadczenie na stole – zażądali, abym je podpisał, nie przeczytawszy. Wystraszyłem się i chciałem zaprotestować, ale bałem się, że każą mi wrócić do wilgotnej celi, więc w milczeniu podpisałem dokument. Zwrócili mi wszystkie rzeczy osobiste, ale nie oddali kopii książki. Została skonfiskowana i zdaje się, że nie wolno mi było już jej dokończyć ani w ogóle niczego z nią robić.

Wypuścili mnie, zerknąwszy tylko przelotnie na dowód osobisty, który im pokazałem. A był to dowód sfalszowany, jeden z wielu, którymi posługiwałem się w Bagdadzie, by ułatwić sobie życie w tym mieście, w szczególności pokonywanie licznych punktów kontrolnych, stawianych znienacka tu i tam przez różnego rodzaju zwalczające się ugrupowania.

To przesłuchanie nie było na serio, pomyślałem, wracając do hotelu. Nie zależało im. To była czysta formalność. Zasiadłem do komputera, by wznowić pisanie. Spędziłem w ten sposób kilka dni, aż otrzymałem kolejną wiadomość od Drugiego Pomocnika. Była to jednocześnie jego ostatnia wiadomość: zawierała zdjęcie raportu końcowego przesłuchującej mnie komisji. A więc i do tego zdołał dotrzeć.

Przeczytałem szybko raport i ogarnął mnie ogromny strach. Zamierzają mnie ponownie aresztować. Coś mówiło mi, że tym razem inaczej ze mną postąpią.

Zebrałem w pośpiechu swoje rzeczy, rozliczyłem się z właścicielem hotelu i uciekłem do domu. W taksówce przypomniał mi się mój podrobiony dowód osobisty; wyjąłem go z kieszeni i wyrzuciłem przez okno. Ci, którzy mnie ścigają, nie zobaczą już więcej mojej twarzy. Dokładnie tak, jak bezskutecznie próbują złapać

Bezimiennego.

[18] Abbasydzi – średniowieczna dynastia rządząca w latach 750–1258 kalifatem arabskim ze stolicą w Bagdadzie.

[19] Wahhabizm – skrajnie konserwatywny nurt religijno-polityczny w islamie.

Przestępca

1

– Modliszka został zabity – powiedział rozradowany Abdullah, wpadając do pokoju Mahmuda, który leżał na łóżku, dając odpocząć oczom zmęczonym od ciągłego czytania. Nic innego nie robił od swojego powrotu do domu w dzielnicy Dżidajda w Al-Amarze. Odkrył u siebie masę książek, które kiedyś kupił i których nigdy nie przeczytał. Było też kilka takich, które pragnął przeczytać ponownie. Szukał pretekstów, by pozostać w domu. Nie chciał wychodzić, by ludzie wokół nie dowiedzieli się, że wrócił. Nadmierna ostrożność spowodowana była naleganiem matki, jej strachem, że Modliszka spełni obietnicę złożoną samemu sobie rok temu i naprawdę zabije Mahmuda, gdy tylko go spotka na ulicy Al-Amary.

Być może Modliszka zapomniał o sprawie. Być może tacy jak on rzucają podobnymi groźbami na lewo i prawo, nie zapisując sobie w notatniku, komu czym grozili. Poza tym Mahmud czuł, że ma dosyć zgiełku świata i chce spędzić trochę czasu w ciszy i spokoju. Nie zamierzał też niepokoić matki i przysparzać komukolwiek problemów.

Taka sytuacja trwała mniej więcej dwa i pół miesiąca, ale teraz oto jego dobrowolne odosobnienie się kończyło. Modliszka został zabity. Nieznana grupa sprawców stanęła mu na drodze, gdy jechał w konwoju autostradą, wracając z prowincji Wasit. Obsypali go deszczem pocisków; razem z nim zginęli jego kierowca i kilku pomocników. Sprawcy rzucili się do ucieczki. Wyglądało na to, że

Modliszkę dopadła sprawiedliwość ulicy.

Mahmud przypomniał sobie swoją teorię o trzech rodzajach sprawiedliwości, ale już zdążył zwątpić w jej prawdziwość. Wokół panowała anarchia, próżno było szukać jakiegokolwiek logiki stojącej za tymi wszystkimi wydarzeniami. Zaczerpnął powietrza i westchnął głęboko. Najważniejsze, że uwolnił się od zmartwienia, które tak długo nie dawało mu spokojnie oddychać.

Gdy wychodził z domu, matka nawet nie podniosła oczu, była spokojna. Włóczył się chwilę bez żadnego konkretnego celu, a kiedy doszedł do głównej ulicy, przypomniało mu się, że od bardzo dawna nie sprawdzał skrzynki mailowej. Na pewno była pełna wiadomości.

Wsiadł do autobusu i skierował się na targ. Tam spotkał przypadkiem kilku przyjaciół. Przywitał ich wylewnie i ciepło, a oni nie rozumieli powodu tej przesadnej serdeczności. Nie wiązali jej oczywiście z zabójstwem, jakiego dokonano tego dnia w prowincji Wasit. Pożegnał się i poszedł do kafejki internetowej. Usiadł przy komputerze i otworzył pocztę. Rzeczywiście znalazł sto osiemdziesiąt wiadomości, w większości spam, ale szybko doszukał się maila od swojego przyjaciela Hazima Abuda. Otworzył wiadomość i znalazł dziesięć nowych zdjęć zrobionych w różnych miejscach – na prowincji i w wioskach, przedstawiających stare sklepy i zabytkowe budowle. Były to piękne fotografie, a w dołączonej wiadomości Hazim wyjaśniał, że prawdopodobnie dostanie azyl w Ameryce ze względu na swoją współpracę z siłami amerykańskimi. Nie może wrócić do domu ze strachu przed czystkami urządzanymi przez zbrojne grupy. Mahmud miał poczucie, że Hazim nieco przesadza. Że szuka usprawiedliwienia dla realizacji swojego odwiecznego pragnienia o wyjeździe do Ameryki. To przecież pragnienie emigracji popchnęło Hazima na drogę, którą kroczył od wielu lat – a teraz stanął u jej kresu.

Była też wiadomość od jednej z dużych bagdadzkich gazet zawierająca propozycję pracy w charakterze korespondenta z prowincji Majsan. Następnie Mahmud znalazł mail od nieznanego nadawcy. Okazało się, że to wiadomość od Nawwal Wazir. Wyjaśniała, że wielokrotnie próbowała się z nimi skontaktować, ale bez skutku. Potem nagle znalazła jego adres mailowy pod którymś ze starych artykułów w gazecie

„Haqīqa” i postanowiła napisać. Przesłała mu swój nowy numer telefonu.

„Musisz do mnie zadzwonić, Mahmud”.

Na tym wiadomość się kończyła. Zdezorientowany Mahmud chciał natychmiast chwycić za telefon, wybrać numer i usłyszeć jej głos. Już był zdecydowany to zrobić, gdy nagle o wszystkim zapomniał. Jego oczom ukazała się kolejna wiadomość – od Alego Bahira Saidiego. Otworzył ją i zobaczył wersy długiego listu. Autor musiał poświęcić dużo czasu i wysiłku, żeby go poskładać. Czytanie pochłonęło Mahmuda całkowicie.

2

Drogi Mahmudzie,

jak się masz?

Dzwoniłem do ciebie dziesiątki razy, ale twój telefon cały czas był wyłączony. Martwię się o Ciebie, mój przyjacielu. Dowiedziałem się od przyjaciół o przesłuchaniu, któremu byłeś poddany, boli mnie to. To po prostu zbiry. Boję się, że oczernili mnie przed Tobą i być może nigdy nie uda mi się tego naprawić. Ty jednak wciąż jesteś mi bardzo drogi. Przysięgam na moją matkę i moje drogie siostry, które zostały zabite przez terrorystów na drodze międzynarodowej w Ramadi, że nie ukradłem złamanego grosza temu parszywemu państwu ani amerykańskim okupantom. Uknuli wobec mnie spisek i udało im się, więc oto teraz muszę uciekać przed ich chorym wymiarem sprawiedliwości. Chcieli wygnać mnie z państwa, bo wiedzieli, że przygotowuję narodowy projekt i że niebawem okaże się, kto jest prawdziwym patriotą, a kto zagranicznym agentem. Chcieli zjeść mnie na obiad, zanim ja zjem ich na kolację.

Nie masz obowiązku mi wierzyć. Ale przysięgam Ci. Czy choć raz cię okłamałem? Czy nie dałem Ci szansy sięgnąć po to, co Ci się należy? Czy Cię kiedyś skrzywdziłem, albo czy w ogóle kogokolwiek skrzywdziłem? Czy nie

byłem sługą pomagającym każdemu? Przypomnij sobie i zastanów się chwilę.

Być może chciałbyś wiedzieć, czemu poświęcam czas i energię, żeby do Ciebie napisać. Dlaczego zależy mi, żeby przekonać Cię do mojego punktu widzenia. Nie przejmuję się wszystkim tym, co zostało na mój temat powiedziane, ani tym, że moja opinia w środowisku prasowym jest zszargana. Że zrobiono ze mnie międzynarodowego przestępcę. Że Interpol posłał za mną list gończy. Z tym wszystkim mogę sobie poradzić. Mam odwagę i siłę, by walczyć z tymi zbirami. Kiedyś ich zwyciężę, zobaczysz. Ale nie mogę znieść myśli, że straciłem w Twoich oczach. Obchodzisz mnie Ty jeden, nikt inny, ponieważ w Tobie dostrzegam siebie. Jesteś do mnie bardzo podobny. Nawet jeśli Ty sam tego nie dostrzegasz, ja wierzę, że jesteśmy do siebie podobni. Jesteś czystym, godnym człowiekiem. To, jak mnie postrzegasz, jest jedyną rzeczą, która się dla mnie liczy.

Przypominasz sobie generała Surura Madżida? Przypominasz sobie nasze odwiedziny w jego biurze? Tego dnia po obiedzie generał opowiedział mi, co usłyszał od Wielkiego Astrologa, który dla niego pracował. Ta wizyta nie była związana z kupnem drukarni, nie chodziło też o żaden wywiad, nic podobnego. Wówczas nie mogłem zdradzić ci prawdy, żeby Ci nie mącić w głowie. Woląłem zachować to dla siebie. Ale teraz jestem zmuszony Ci powiedzieć. Nasza wizyta miała bardzo jasno określony cel. Chciałem, żeby jego astrolog spojrział w Twoją przyszłość. Co czeka Mahmuda Sawadiego? Jakże zaskoczyło mnie to, co usłyszałem. Wielki Astrolog powiedział, że ten chłopak ma przed sobą świetlaną przyszłość. Będzie kiedyś jedną z najważniejszych osobistości w Iraku. Ale potrzebuje treningu. Musi zostać postawiony w obliczu trudnych zadań, żeby nauczyć się, jak sobie z nimi radzić. Nie wiem, jak odbierzesz to, co teraz powiem, ale dokładnie za piętnaście lat zostaniesz, Mahmudzie, premierem Iraku. Od chwili, gdy usłyszałem te słowa i uwierzyłem w nie, uczyniłem Cię moim projektem. Sobie także przypisałem w nim rolę. Postanowiłem, że będę Janem Chrzycielem, a Ty Chrystusem. Wspomogę teraz tę słabą roślinkę, która w przyszłości przerodzi się w wielkie drzewo o mocnym pniu i rozległych gałęziach porośniętych liśćmi.

Niedługo wracam do Bagdadu. Odeprę wszelkie stawiane mi zarzuty. Zobaczysz, że postawię przed sądem wszystkie osoby, które wysunęły wobec mnie swoje podłe oskarżenia. Wtedy do Ciebie zadzwonię. Będziemy mogli przywrócić nasze dawne relacje i znów ze sobą pracować.

Pamiętaj o przepowiedni Wielkiego Astrologa, którą Ci właśnie powierzyłem. Albo zapomnij o niej – to bez różnicy. Co zostało zapisane, musi się spełnić.

3

To był pocisk, a nie list. Mahmudowi przypomniał się styl wypowiedzi Saidiego i jego umiejętność przekonywania innych do swoich racji. Nie wzbraniał się przed falą emocji, która go teraz ogarnęła, emocji wobec tego człowieka, który faktycznie mu pomógł i otworzył przed nim wiele drzwi. Dzięki niemu stał się dojrzały i mądrzejszy. Poruszyła go informacja o przepowiedni i nowe spojrzenie na wizytę, jaką odbyli w Wydziale Inwigilacji i Ścigania. Sądził, że stoi z boku, a tak naprawdę był w centrum wydarzeń.

Położył ręce na klawiaturze i zamierzał natychmiast odpowiedzieć Saidiemu. Już chciał go przeprosić, że przez chwilę źle o nim myślał. Ale zaraz stanęły mu przed oczami inne wspomnienia. Przypomniało mu się, jak błagalnym tonem próbował przekonać śledczych o swojej niewinności oraz o tym, że nie brał udziału w kradzieży trzynastu milionów dolarów. Przypomniały mu się jeszcze inne, mniej ważne sprawy. Przywołał w pamięci sytuacje, w których Saidi raz po raz zaprzeczał sam sobie. Było ich niemało. Siedząc tak w kafejce, Mahmud bezskutecznie starał się zrozumieć, co naprawdę kierowało Saidim. Ten mężczyzna był jak puste naczynie, które mogło wypełnić się dowolną materią myśli i postaw. Był człowiekiem bez twarzy.

Mahmud uderzał palcami w klawisze, ale niczego nie pisał. Próbował tylko zapanować nad emocjami i napięciem. Po chwili zdał sobie sprawę, że zgrzyta zębami. Teraz ogarnął go gniew. Nie tylko z powodu tego, co przeczytał w liście

Saidiego. Był wściekły, bo po tym wszystkim, przez co przeszedł, Saidi znów na chwilę zdołał przeciągnąć go na swoją stronę. Po raz kolejny strzelił mu bramkę.

Napisał pośpiesznie jedno zdanie: „FUCK YOU”, jako odpowiedź na długi list Saidiego. Powiększył czcionkę i zmienił kolor na czerwony. Już chciał nacisnąć „wyślij”, ale zawahał się. Przez dziesięć minut siedział tak, zastanawiając się, co zrobić. A potem skasował te dwa słowa. Skopiował obydwie maile – od Hazima Abuda i od Saidiego – a następnie w jednej wiadomości wysłał Autorowi. Zamknął komputer i wyszedł z kafejki. Niebawem, w kolejnym, ostatnim już mailu, wyjaśni Autorowi powody swojego zawahania.

Szedł ulicą, palił papierosa i przyglądał się, jak przez niebo przepływają chmury. Na pewno się rozpada. Dni były podobne do tych, które pamiętał z Bagdadu sprzed roku. W tym właśnie czasie spotkał Alego Bahira, Nawwal Wazir i innych.

Szedł w kierunku targowiska, pogrążony w myślach. Co, jeśli Saidi mówi prawdę? Nie, to wszystko wymysły i kłamstwa. Saidi wróci i znów namiesza w jego głupiej głowie. Ale co, jeśli te wymysły i bajki są prawdziwe choćby w jednym procencie? Czy życie nie składa się z rzeczy realnych i takich, w które trudno uwierzyć? Może wyciągnięta na zgodę dłoń Saidiego należy do tej drugiej grupy – rzeczy niewiarygodnych i niespodziewanych? Z tego właśnie powodu postanowił mu nie odpisywać. Chciał pozostać niejasny, jak niebo tego dnia. Potraktował Saidiego tak, jak on sam go nauczył.

4

Dwudziestego pierwszego lutego 2006 roku dowództwo sił bezpieczeństwa ogłosiło wreszcie schwywanie niebezpiecznego przestępcy, którego niektóre raporty określały jako „przestępcę X”, a którego zwykli ludzie nazywali Bezimiennym. Oprócz tego nadano mu wiele innych imion. Przestępca ten był odpowiedzialny za serię potwornych, budzących przestrasz zabójstw dokonanych w ciągu ubiegłego roku w Bagdadzie. Z jego powodu powodzenie operacji politycznych w państwie stanęło

pod znakiem zapytania. Teraz na ulicznych telebimach można było zobaczyć jego zdjęcie ogromnych rozmiarów. Kraj wreszcie usłyszał jego imię: to Hadi Hassani Ajdros, mieszkaniec dzielnicy Batawin, znany jako Hadi, sprzedawca staroci.

Oskarżony przyznał się do wszystkich stawianych mu zarzutów, w tym prowadzenia gangu zajmującego się mordowaniem i odcinaniem części ludzkich ciał, a następnie rozrzucaniem ich po różnych dzielnicach Bagdadu. Chciał w ten sposób siać postrach wśród mieszkańców. Przygotował również zamach pod hotelem Sadir Novotel z udziałem śmieciarki nafaszerowanej materiałami wybuchowymi, którą prowadził jeden z jego zwolenników, zamachowiec samobójca. Zabił wielu emerytowanych zagranicznych oficerów sił bezpieczeństwa. Spowodował potężny wybuch w dzielnicy Batawin. Eksplozja pozostawiła wiele ofiar, doprowadziła do zburzenia licznych domów i kosztowała Irak niedające się oszacować straty w zabytkach dziedzictwa architektonicznego. Ponadto przestępca brał czynny udział w walkach bojówek i działał jako płatny morderca na zlecenie gangów, niezależnie od ich religijnej przynależności.

Aziz Egipcjanin zobaczył na ekranie twarz swojego drogiego przyjaciela i nie rozpoznał go. To nie był Hadi, sprzedawca staroci. Potwierdziło to wielu z gości obecnych w kawiarni. Ten przestępca był paskudny, z całą pewnością nie był to Hadi. Jednak gdy w telewizji wyemitowano nagrane fragmenty jego zeznań, Aziz nie miał już takiej pewności. Głos zbrodniarza przypominał głos Hadiego. Czy to możliwe, żeby był tym groźnym przestępcą, o którym mówią ludzie? Hadi był uzależniony od zmyślania. Czy to możliwe, żeby wszystkie niesamowite historie, które opowiadał tu, na ławce w kawiarni, były prawdziwe? Może były inspirowane zbrodniami, które popełniał w tajemnicy przed innymi?

Mahmud nie myślał o tym zbyt wiele, gdy siedząc razem z rodziną w salonie, patrzył na zniekształconą twarz na ekranie telewizora. To kolejna potworna pomyłka i tyle. Chciał już zamknąć tę sprawę. Ten starzec nie jest przestępcą, to niemożliwe. Spędził z nim na rozmowach dużo czasu. To zwykły pijaczyna. Ma trochę niepokładane w głowie i wybujałą wyobraźnię, ale nic więcej. Fascynująca, symboliczna opowieść o Bezimiennym nie przestawała budzić w Mahmudzie pytań. To niemożliwe, żeby Hadi i Jak-mu-tam byli jedną osobą. Hadi był nieustannie

rozkojarzony, nie miał w sobie ani krzty elokwencji i spokoju Bezimiennego, którego długich wyznań Mahmud słuchał za pośrednictwem swojego dyktafonu.

5

Zaraz po ogłoszeniu tej wiadomości niebo nad Bagdadem rozbrzmiało wystrzałami z broni palnej. Wszystkich ogarnął stan histerycznej i gwałtownej radości, w szczególności mieszkańców dzielnicy Batawin. Nikt nie wierzył w to, że ten niebezpieczny przestępca naprawdę kiedyś mieszkał wśród nich, ale skoro rząd tak powiedział, należało uznać, że to prawda. Byli szczęśliwi, że pozbyli się wroga, który przez rok terroryzował ludność.

Umm Salim wyszła na ulicę i zaczęła tańczyć, potrząsając złotymi bransoletami na białych ramionach. Jej mąż spoglądał nieśmiało zza uchylonych drzwi, z rękami głęboko w kieszeniach pizamy. Stara Ormianka Weronika przeszła ulicą, rzucając cukierki i inne słodczyce na głowy okolicznych dzieci. Pomimo zwiastujących rychłe nadejście deszczu czarnych chmur, które właśnie gęstniały nad Bagdadem, ludzie tańczyli na ulicach i na dachach domów przez ponad godzinę. Oto skończyły się wszystkie ich problemy. Może tylko się łudzili, ale co z tego? W tej chwili dane im było posmakować radości, jakiej wcześniej nie zaznali. Nawet jeśli niektórzy z nich doświadczyli kiedyś w życiu podobnego wesela, dziś już nie pamiętali jego smaku z powodu wszystkich tragedii, jakie przetoczyły się przez kraj w ciągu minionych dekad. A one potrafią pozbawić pamięci. Wszyscy byli szczęśliwi, nawet agent nieruchomości Faradz, którego od dnia gigantycznego wybuchu na ulicy Siódmej nie opuszczał stan przygnębienia. Teraz radośnie wznosił ręce ku niebu. Aziz Egipcjanin, widząc ludzi świętujących spontanicznie na ulicach, przekonał jeszcze raz sam siebie, że ten przestępca, o którym mowa, to nie Hadi. To po prostu niemożliwe. W końcu i on wyszedł, żeby zatańczyć przed kawiarnią. Wszystkich pochłonęła fala dziecięcej radości i utonęli w niej bez pamięci. Wszyscy z wyjątkiem kilku osób, których nikt w tym ferworze nie zauważał. A nawet gdyby chcieli, nie zdołaliby zobaczyć oczu

śledzących masową eksplozję radości z balkonów i okien. Nikt nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany tym, by zaglądać teraz w okna opuszczonego hotelu Uruba, na którego górnych piętrach dałoby się dostrzec obserwatorów.

Odkąd Faradz zdjął tablicę nad drzwiami, hotel nie nosił żadnej konkretnej nazwy. Nie był to już hotel Uruba, ale jeszcze nie stał się hotelem Rasul, jak planowano. Nowy właściciel poddał się fali pesymizmu i poczuciu, że hotel przyniósł mu pecha. Stracił znaczną część swojego majątku na dwa budynki, z których jeden runął całkowicie, a drugi uległ zniszczeniu. Ściany i podłogi na wszystkich piętrach popękały. Renowacja wymagała nakładów finansowych, na które teraz Faradz nie mógł sobie pozwolić. Nie chciał ryzykować pieniędzy, które mu zostały, na ten pechowy budynek. Zostawił go na razie w takim stanie – opuszczony, zdewastowany, grożący zawaleniem. Nie oglądał się już na niego. Nie przejmował się też tym, kto do niego wchodził ani kto z niego wychodził. Koty urządziły tu sobie noclegownię, a być może również i młodzież obrała go sobie jako miejsce pośpiesznych erotycznych schadzek. Być może jeszcze poważniejsze rzeczy miały tam miejsce, ale kto by to wiedział. Po budynku szwendali się kot Nabo oraz nieznany mężczyzna, który teraz stał od godziny w pustym oknie jednego z pokoi na trzecim piętrze, palił papierosa i obserwował świętującą ulicę. Zerkał co chwila na niebo, które przykrywały coraz gęstsze chmury.

Nabo wdrapał się po schodach pokrytych poszarpanym dywanem. Wskoczył na przewrócone drewniane krzesło, a stamtąd zbliżył się do patrzącego przez okno mężczyzny ducha. Otarł się o jego lewą nogę, podniósł głowę i zamiauczał cicho, jakby o coś prosił. Mężczyzna wyrzucił przez okno papierosa. Zauważył rozśpiewaną grupę muzyczną, która przeszła pod oknami hotelu z ciągnącą się za nią procesją dzieci bijących brawo.

Na niebie pojawiły się pioruny i wreszcie lunął deszcz; ludzie rozbiegli się do swoich domów. Skończyły się muzyka i odgłosy świętowania. Pozostał tylko narastający odgłos uderzających kropli. Mężczyzna kucnął, żeby pobawić się z kotem, pogłaskać jego stare ciało, niemal już pozbawione sierści. Bawił się z nim i swawolił jak z serdecznym przyjacielem.

Bagdad
2008–2012

Spis treści:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Spis postaci](#)

[Raport końcowy. Ścisłe tajne](#)

[Rozdział pierwszy. Stara wariatka](#)

[Rozdział drugi. Kłamca](#)

[Rozdział trzeci. Zagubiona dusza](#)

[Rozdział czwarty. Dziennikarz](#)

[Rozdział piąty. Ciało](#)

[Rozdział szósty. Dziwne wypadk](#)

[Rozdział siódmy. Arak i Krwawa Mary](#)

[Rozdział ósmy. Tajemnice](#)

[Rozdział dziewiąty. Nagrania](#)

[Rozdział dziesiąty. Jak-mu-tam](#)

[Rozdział jedenasty. Śledztwo](#)

[Rozdział dwunasty. Na ulicy Siódmej](#)

[Rozdział trzynasty. Żydowska Ruina](#)

[Rozdział czternasty. Śledztwa i kontrole](#)

[Rozdział piętnasty. Zagubiona dusza](#)

[Rozdział szesnasty. Daniel](#)

[Rozdział siedemnasty. Wybuch](#)

[Rozdział osiemnasty. Autor](#)

[Rozdział dziewiętnasty. Przestępca](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: فرانكشتاين في بغداد

Copyright © Ahmed Saadawi, 2013

Copyright © for the translation by Magdalena Zawrotna

Projekt okładki: Anna Niklewicz

Grafiki na okładce: © Smith Collection / Gado / Getty Images, © pantero4ka / Adobe Stock

Opieka redakcyjna: Monika Janota

Adiustacja: Anna Niklewicz

Korekta: Magdalena Matyja-Pietrzyk, Katarzyna Onderka

Projekt typograficzny: Pracownia Mole

ISBN 978-83-240-7135-7



Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink



plik przygotowała Katarzyna Rek